

CHRIS

KRAJ ŚMIERCI

TWENT

ZDOBYWCA PRESTIŻOWEJ NAGRODY RIVERTONA
ZA NAJLEPSZĄ POWIEŚĆ KRYMINALNĄ

Chris Tvedt

Krąg śmierci

Przełożyła Katarzyna Tunkiel



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

Zajrzyj na strony:

www.wnk.com.pl



Znajdź nas na Facebooku

www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia



Poznaj naszą ofertę z serii MIKAEL BRENNE

<http://www.wnk.com.pl/mikael-brenne/189/seria.html>

W serii

UZASADNIONA WĄTPLIWOŚĆ
NA WŁASNĄ REKĘ
W MROKU TAJEMNIC
ŁOWCA SZCZURÓW
KRAJ ŚMIERCI

Książkę tę poświęcam mojemu ojcu.
Myślę, że by się mu spodobała.

PROLOG

Gerd nuciła, kiedy zajmowała się kotami. Robiła to codziennie. Czyściła je, przesuwała, niektóre wystawiała na parapet, inne wracały na regał albo na odziedziczony po matce sekretarzyk w rogu. Kotki o niewinnym spojrzeniu, przepasane różnobarwnymi wstążeczkami, pochodziły ze wszystkich zakątków świata. Niektóre kupiła sama, ale większość dostawała latami od przyjaciół i rodziny. Wszyscy wiedzieli, że kocha koty, ale z powodu alergii na te prawdziwe zbiera porcelanowe figurki.

W głębi duszy cieszyła się, że ma alergię, lecz nikomu tego nie mówiła. Właściwie wcale tak bardzo nie lubiła żywych kotów. Same o sobie decydowały, chodziły własnymi ścieżkami i robiły, co chciały. Nie znosiła ich leniwego przeciągania się, wąskich, podłużnych źrenic i ostrych pazurów. Prawdziwe koty to maszyny do zabijania. Jej koty żyły na parapecie w zgodzie i pokoju razem z ptaszkami w pastelowych barwach. Tak było lepiej.

Dalej bezgłośnie nuciła.

Love is in the air. Everywhere I look around...

Prawie się zarumieniła. Żeby taka dojrzała kobieta jak ona chodziła we wtorkowe przedpołudnie po własnym mieszkaniu, śpiewając piosenki o miłości! Jednak lonc nie mogła na to poradzić. Taka była szczęśliwa. Zapytał ją, a ona się zgodziła. Postanowili, że w sierpniu zostanie panną młodą. Przeszło pięćdziesięcioletnią, prawie niecałowaną, ale panną młodą. W sierpniu.

Od razu zadzwoniła do matki, nie mogła się doczekać przekazania nowiny, lecz ona oczywiście się nie ucieszyła. Zmusiła się do pogratulowania córce, po czym wygłosiła długi monolog o tym, że Gerd nie będzie mieć dla niej czasu, że równie dobrze mogłaby się od razu przeprowadzić do domu opieki, że fatalnie się

czuje, aż Gerd miała ochotę wrzasnąć, by się zamknęła. Lecz tego nie zrobiła. Nigdy tego nie robiła. Słuchała cierpliwie, powtarzając: „Tak, mamó” i „Nie, mamó”, i zapewniła, że zawsze będzie o nią dbać. Zawsze.

Później poczuła znajome ukłucie wyrzutów sumienia. Lekko mdlące uczucie w brzuchu, wywołane tym, że niewystarczająco się angażuje, że nigdy nie uda jej się odwdzięczyć matce za poświęcenie wszystkiego, całego życia, zdrowia, miłości – dla Gerd. Jednak ten jeden raz wyparła to uczucie. Była szczęśliwa. Zasługiwała na to. Ostrożnie przestawiła dwa różowe koty z półki na parapet. Dwa błękitne pokonały trasę w odwrotnym kierunku.

Martwiło ją jedynie to, co zrobił i powiedział, kiedy zgodziła się go poślubić. Rozplakał się. Najpierw sądziła, że to z radości i ulgi, lecz wtedy zaczął mówić, opowiadać o swoim życiu, a ona pojęła, że chodziło o coś innego. Coś więcej. Coś tak zdumiewającego i nieprawdopodobnego, że nie mogła dać mu wiary.

Pokręciła głową. Nadal ledwie wierzyła w jego historię. To do niego niepodobne. Miły, przyjazny, ostrożny Gustav. Był tak ostrożny, że właściwie to ona musiała przejąć inicjatywę w ich związku, to ona pchała go naprzód. Ona pocałowała Gustava, a nie odwrotnie. Ona położyła jego dłoń na swojej piersi i usłyszała, jak nagle wciąga powietrze. I to ona wreszcie zaprowadziła go do swojej sypialni – tam, gdzie żaden mężczyzna nie postawił wcześniej stopy – zgasła światło i przypieczętowała ich miłość. Gustav był... lękliwy. Inaczej nie dało się tego określić.

Najpierw pomyślała, że nie uda im się przeżyć ślubu. Że to niemożliwe. Ale potem znalazła rozwiązanie. Wyjaśniła Gustavowi, co musi zrobić, a on się zgodził. Później razem się modlili i znów z sobą spali – było inaczej niż za pierwszym razem. Gwałtowniej,

ale też w pewien sposób czulej. I po raz pierwszy w swoim życiu Gerd czuła się silna.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Trochę się zdziwiła, bo na nikogo nie czekała. Na zewnątrz stał potężny mężczyzna z włosami spiętymi w kucyk.

– Tak? – odezwała się. – W czym mogę panu pomóc?

– To pani jest Gerd Garshol? – zapytał.

Zawahała się chwilę, nagle dopadł ją niejasny niepokój, lecz szybko go zdusiła. Było wtorkowe przedpołudnie, środek dnia, znajdowali się na osiedlu, gdzie mieszkała niemal przez całe swoje dorosłe życie. Wszędzie wokół sąsiedzi.

– To ja – powiedziała.

Wtedy drzwi eksplodowały jej prosto w twarz.

Część I

ROZDZIAŁ 1

Nagle po plecach przebiegł mi dreszcz, nieuzasadnione mrowienie, które sprawiło, że się wzdygnąłem. Zauważył to tylko mój klient. Zerknął na mnie trochę zdziwiony, po czym krzywo się uśmiechnął.

– Ciarki, Brenne?

Wiele tygodni później przypominałem sobie ten moment. Krzywy uśmiech mężczyzny nazywanego Grekiem. Cisza w sali rozpraw, przerywana jedynie suchym szelestem dokumentów, dochodzącym ze stołu prokuratora. Błyszczący od potu czubek głowy sędziego przewodniczącego Stenersena, który siedział podparty i zdawał się spać. Ława przysięgłych, dziesięć słupów soli, nieruchomych i wycieńczonych po wielu dniach duchoty i niekończących się zeznań świadków. To właśnie w tej chwili, gdy przeszedł mnie dreszcz, zaledwie kilka kilometrów od miejsca, gdzie siedziałem spocony pod czarną togą, rozgrywały się wydarzenia, które wkrótce miały wywrócić moje życie do góry nogami. Wtedy jednak tego nie wiedziałem, więc odwzajemniłem tylko uśmiech Greka i ze wzruszeniem ramion rzekłem:

– Tak. Chociaż nie mam w sumie powodów do obaw.

Nikt nie pamiętał już, dlaczego nazwano go Grekiem. Może ze względu na ciemne włosy, połyskujące od żelu, lakieru czy czego tam używał do ich wygładzania, albo przez ciemny zarost, którego cień wiecznie spowijał jego szczęki. W nieskazitelnych, dobrze skrojonych garniturach i drogich, lecz nieco zbyt barwnych koszulach wyglądał na południowoeuropejskiego gangstera. Nazywał się jednak Hans Mikkelsen i, o ile wiedziałem, w jego żyłach nie płynęła ani kropla egzotycznej krwi. Wygląd chyba mu nie przeszkadzał. Hans Mikkelsen BYŁ gangsterem, odnosił nawet

na tym polu sukcesy, a to rzadkość. Tylko nieliczni przestępcy wybierają swoją życiową drogę. Na ogół lądują na niej, pogrążeni przez kiepskich przyjaciół, kiepski alkohol, kiepskie pomysły i kiepskie prochy. Ich losy splatają się w serię nieszczęść i nieprzewidzianych okoliczności. Gdy raz na pewien czas zarobią jakieś pieniądze, przelatują im one między palcami jak dym czy miraż.

Grek to co innego. Był na swój sposób inteligentny, choć niewykształcony. Myślę, że w innej sytuacji mógłby sobie nieźle poradzić w legalnym biznesie. W każdym razie miał mniej skrupułów, niż potrzeba, aby przeżyć w dowolnej dżungli. Był alfonsiem, przemytnikiem, największym paserem w mieście, maczał palce w większości interesów, na których dawało się zarobić, ale zawsze trzymał się w cieniu. Nigdy nie brudził sobie rąk, czarną robotę zawsze zlecał innym. Dlatego trudno było się z nim rozprawić i dlatego policja go nienawdziła. Przez lata im się wymykał, notowany jedynie za drobne wykroczenia z czasów młodości. Teraz jednak wpadł w tarapaty. By przeprowadzić potężną – jak na nasze lokalne warunki – operację, policja wykorzystwała wszelkie dostępne metody. Otwierano jego pocztę, sprawdzano maile, infiltrowano organizację, podsłuchiowano telefony w domu, w biurze, a nawet w samochodzie, aż w końcu prokurator zebrał tak ogromną ilość informacji, że mógłby w nich zatonać. Grek był jednak przezorny. Stosował pewne środki ostrożności, zawsze mówił szyfrem albo mglistymi ogólnikami, nigdy niczego nie zapisywał. Tak więc dowody nie wystarczyły, aby wnieść akt oskarżenia, i cała praca i zasoby poszłyby na marne, gdyby nie mężczyzna o nazwisku Gustav Niemann.

Pewnego deszczowego, jesienno-wieczoru zjawił się w domu

naczelnika policji. Był tak uprzejmy i niepozorny, że naczelnik, zazwyczaj ostrożny, po paru chwilach wahania wpuścił go do środka. Przy herbacie w kuchni Niemann wyznał, że od lat jest księgowym Hansa Mikkelsena, ale teraz żałuje i chce wyznać to, co wie o jego nielegalnej działalności. Tego właśnie potrzebował prokurator – zeznania świadka znającego sytuację od środka, zeznania, które powiązałyby z sobą wszystkie przesłanki, fundamentu, podwalin, głównego wątku. I nagle Mikkelsen znalazł się w poważnych tarapatach.

Jednak nie dało się tego po nim poznać. Podczas gdy ja się pociłem, Grek wyglądał na zadbanego i zrelaksowanego. Pochylił się ku mnie i szepnął:

– Dlaczego siedzimy tu tak i czekamy? Czemu nie zrobimy sobie po prostu przerwy?

– Ponieważ sędzia chce postępów, a przerwy zajmują dużo czasu. Wszyscy muszą wyjść, wrócić na miejsce, wiesz, jak jest. – Zerknąłem na zegar. – I ponieważ świadek miał się tu zjawić... minutę temu.

– Kto będzie teraz zeznawał?

– Rewident.

– Czyj rewident?

– Wynajęty przez policję, żeby przeanalizować rachunki klubu nocnego Zebra.

Machnął ręką.

– I co? Nie mam z tym miejscem nic wspólnego.

– Według Niemanna jesteś jego właścicielem.

– Gustav Niemann! – prychnął, a w tych dwóch słowach zdołał zawrzeć nieprzebrane pokłady pogardy. – Żałosny tchórz.

– Okej. Ale ten tchórz może posłać cię za kratki na resztę życia.

– Tak, wiem. Bez przerwy mi to powtarzasz. Wszystko zależy od Niemanna. Kiedy ma zeznawać?

– Jutro rano. To będzie decydujący dzień.

– Tak. Jeśli przyjdzie.

– Chyba nie kombinujesz nic głupiego? – zachnąłem się. – Co, Mikkelsen?

– To znaczy?

– Nie chcesz na przykład wysłać do niego kogoś, żeby nakłonić go do zmiany zeznań?

– Oczywiście, że nie.

– Mam nadzieję – odparłem, ale w jego spojrzeniu ujrzałem coś, co do tej pory pozostawało ukryte za wypielegnowaną fasadą. Przeblysłk czegoś, co wywołało kolejny dreszcz na moich plecach.

Otrząsnąłem się i wstałem.

– Wysoki sędzie!

Głowa sędziego Stenersena podniosła się nagle, a krótkowzroczne oczy się zmrużyły.

– Tak, panie mecenasie?

– Proponuję przerwę, żeby nie czekać tak w tym upale.

Stenersen westchnął, po czym skierował wzrok na oskarżyciela.

– Gdzie ten świadek, panie prokuratorze?

Prokurator spojrział na zegarek.

– Powinien już tu być – odpowiedział – ale chyba trochę się spóźni. To może jednak przerwiemy posiedzenie na pięć minut.

Wyszedłem zaczerpnąć świeżego powietrza. Stałem na zacienionych schodach głównych, zwrócony plecami w stronę jednego z potężnych filarów. Plac przed budynkiem sądu skąpany był w ostrym słońcu. Ubrani w garnitury mężczyźni z aktówkami maszerowali spieszonym krokiem, lecz pozostali przechodnie

w większości zachowywali się spokojnie, jakby mieli pod dostatkiem czasu i nic ich nie martwiło. Trzy młode dziewczyny jadły lody na ławce. Jakieś dzieci bawiły się na rzeźbach na placu. Nagle wszystkim im zazdrościłem. Poczułem palącą potrzebę, by rzucić togę, poluzować krawat i kupić sobie lody. Jednak nie zrobiłem tego, tylko odwróciłem się plecami do jaskrawego słonecznego światła, chichoczących dziewcząt i bawiących się dzieci i ciężko wspiałem się po schodach.

W drzwiach prawie się zderzyłem ze szczupłą, młodą kobietą z naręczem teczek z dokumentami.

– Przepraszam – powiedziałem, nim zorientowałem się, że to Synne.

– Mikael! – rzuciła zimno. – Trochę za późno na przeprosiny, nie sądzisz?

Pobiegła dalej, nie zaszczyciwszy mnie choćby spojrzeniem.

Odprowadziłem ją wzrokiem. Synne Bergstrøm przez lata była moją aplikantką. Rok wcześniej odmówiłem jej partnerstwa w firmie. Synne, która słusznie poczuła się pominięta, złożyła wypowiedzenie i rozpoczęła pracę na własny rachunek. Nie przebaczyła mi. I miała rację. Nie przeprosiłem jej, chociaż wiedziałem, że postąpiłem niesprawiedliwie.

Świadek się nie pojawił. Nie chciałem wchodzić do zbyt dusznej sali ani wysłuchiwać wiecznego marudzenia Greka o tym, w jaki sposób powinienem się zajmować jego sprawą. Dlatego stałem w korytarzu z rękoma opartymi o poręcz, obojętnie spoglądając na hol wejściowy znajdujący się piętro niżej. Dręczyło mnie niespodziewane spotkanie z Synne. Przez prawie pół roku nie zamieniliśmy z sobą choćby słowa i już prawie pozbyłem się wyrzutów sumienia z powodu tego, jak ją potraktowałem. Nagłe

zetknięcie się z nią, z jej chłodem i odrzuceniem, znów obudziło wyrzuty sumienia. Westchnąłem. Kątem oka dostrzegłem nadchodzącego prokuratora.

– Świadek właśnie dzwonił – powiedział. – Stoi w korku, prawdopodobnie przez wypadek w tunelu, ale będzie tutaj za dziesięć minut.

Skinąłem głową.

– Okej. Jak dla mnie mógłby w ogóle nie przyjeżdżać.

– Rozumiem. Dla pańskiego klienta to nie będzie przyjemna chwila.

– Nie to mnie martwi. Ten człowiek jest rezydentem. Obawiam się, że zasną.

Zaśmiał się krótko, ostro i całkiem niespodziewanie. Prokurator Ulv Garmann był na ogół poważny i – na ile mogłem ocenić – zasadniczo nie miał poczucia humoru, a także ani krzty uroku osobistego. Mimo to ceniłem go, ponieważ był profesjonalistą w każdym calu. Jednak w sali sądowej stawał się trudnym przeciwnikiem, dokładnym, metodycznym, o dobrej prawniczej głowie. Do tego chętnie walczył i nienawidził przegrywać. Zawsze dobrze przygotowany, nigdy nie popełniał błędów. Jego włosy nieustająco wyglądały na świeżo przystrzyżone, przedziałek miał równiutki, krawat świetnie zawiązany, a koszulę olśniewająco białą i idealnie uprasowaną. Nieświadomie dotknąłem swojej koszuli na piersi. Nie wyprasowałem jej całej, a jedynie część wokół kołnierzyka, która wystawała spod togi.

– Naprawdę dobrze panu idzie ostatnimi czasy, Brenne – rzekł.

– Właściwie to zdumiewające, jak rozwinęła się pańska kariera. W gazecie czytałem, że uważa się pana za jednego z pięciu najlepszych obrońców w kraju.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie należy wierzyć we wszystko, co piszą gazety.

– Z własnego doświadczenia wiem, że jest pan dobry. Ale w tej sprawie to nie pomoże. Nie ma znaczenia, jaki jest pan dobry i czy zachowa pan trzeźwość umysłu, czy zaśnie. I tak zamkniemy pańskiego klienta.

– Może.

– Nie może. Gwarantuję, że tak się stanie. Wykorzystaliśmy ogromne środki, a Grek... Hans Mikkelsen... już dość długo pluł na społeczeństwo. Sam pan wie, Brenne, że to prawda.

Jeszcze raz wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem, co jest prawdą, a co nie, panie Garmann, i wcale o to nie dbam. Nie o to tu chodzi.

– To znaczy?

– Prawda nie mieszka w sali rozpraw. Szczerze mówiąc, niewiele jest miejsc, w których kłamię się tyle, ile tam. Oskarżeni kłamią. Świadkowie kłamią. I my też kłamiemy, zarówno oskarżyciele, jak i obrońcy. Wybieramy przypadkowe wycinki rzeczywistości, które zszywamy w jedną opowieść. Ale opowieść to nie prawda. Procesy oddają rzeczywistość w sposób losowy, a prawnicy mają więcej wspólnego z pisarzami niż jakakolwiek inna grupa zawodowa. To wszystko gra. Gra, w której czasem wygrywamy, a czasem przegrywamy.

Spodziewałem się gwałtownego protestu, ponieważ Ulv Garmann był człowiekiem porywczym – czasem w jego mowach końcowych pobrzmiwał starotestamentowy gniew – jednak tylko spojrzał na mnie z nieprzeniknionym wyrazem ciemnych oczu.

– Tak pan na to patrzy, Brenne? Ciekawa opinia. Ale Grek i tak zostanie skazany.

Poszedł, żeby poszukać swojego świadka. Wiedziałem, że ma rację. Moja kariera nabrała w ciągu ostatnich lat ogromnego rozpędu. Wygrałem wiele spraw, niektóre wbrew przewidywaniom, jednak ta była nie do wygrania. Sprawiedliwość, o ile istniała, nadchodziła właśnie po Hansa Mikkelsena. „Ale z procesami nigdy nie wiadomo – pomyślałem. – Czasami dzieje się coś zupełnie nieoczekiwanego. Coś, czego nikt się nie spodziewa. Coś, co wszystko zmienia”.

Tę myśl również miałem sobie przypomnieć, ale dopiero dużo później. Wróciłem do sali rozpraw. Do duchoty, precyzyjnych pytań Ulva Garmanna i świadka, który okazał się tak nieznośnie nudny, jak się obawiałem.

ROZDZIAŁ 2

– Zaczynam mieć dość tych spóźnień – powiedział sędzia Stenersen następnego ranka, wyraźnie zirytowany. Stenersen był na ogół łagodny i cierpliwy i mimowolnie zastanowiłem się, czy to przez skwar wszyscy stali się tacy drażliwi. Fala upałów trwała już tak długo, że wręcz zamieszkała w grubych murach sądu, więc nikt nie miał ochoty wchodzić z dość chłodnego letniego poranka do dusznej sali rozpraw.

Ulv Garmann podniósł wzrok.

– Przepraszam, wysoki sędzie, ale wezwałem świadka na właściwą godzinę, a nie mogę odebrać go osobiście.

– Hm – mruknął sędzia. – Proszę spróbować zadzwonić do... jak się nazywa świadek, panie prokuratorze?

– Niemann. Gustav Niemann. Był księgowym oskarżonego.

– Ach tak. Proszę spróbować się z nim skontaktować. Sąd nie ma zamiaru tu siedzieć z założonymi rękami!

Stenersen wstał i wypadł z sali tak nagle, że parę sekund trwało, nim pozostali dwaj sędziowie zrozumieli, co się dzieje, i podążyli za nim.

Odłożyłem togę na krzesło i poszedłem do gabinetu sekretarza sądu. Na ogół można tam dostać kawę.

– Mikael – przywitał się Ofte. – Jak tam?

Wzruszyłem ramionami.

– Cholernie nudno.

Piliśmy razem kawę w przyjemnym milczeniu. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegał mnie głos prokuratora i chociaż nie rozróżniałem słów, to nie robił wrażenia zadowolonego. Wskazałem kciukiem zamknięte drzwi.

– Co z Garmannem?

– Nie może sprowadzić świadka.

– Znowu korek?

– Może. O ile twój klient nie wpadł na nic głupiego.

Pokręciłem głową.

– Aż tak głupi nie jest.

– Nie? – zdziwił się Ofte, który przez pół życia służył w policji, nim został sekretarzem sądu. – To istnieją jakieś granice głupoty przestępców?

Gustav Niemann zapadł się pod ziemię. Nie odbierał telefonu, nie otwierał drzwi, a kiedy prokurator rozkazał funkcjonariuszom z patrolu, który sprawdzał jego dom, by weszli do środka, nikogo tam nie zastali.

– Wygląda na to, że spakował się i wyjechał – oświadczył Garmann na kolejnym posiedzeniu sądu – ale nie można mieć pewności.

– Co pan przez to rozumie, panie prokuratorze? – zapytał sędzia.

– Szafa była otwarta, wokół leżały porozrzucane ubrania, jakby pakował się w pośpiechu, ale to nic pewnego. Istnieją przecież inne możliwości...

– Na przykład jakie?

– Niemann jest kluczowym świadkiem w sprawie. W interesie oskarżonego leżałoby oczywiście, aby się tu nie stawił. Nie możemy pominąć ewentualności, że świadkowi coś się stało.

Zerwałem się z krzesła, jeszcze nim zdążył dokończyć zdanie.

– Wysoki sędzie, sprzeciw! To są oskarżenia wyssane z palca. Nie można insynuować, że mój klient odpowiada za to zniknięcie.

– Tak, tak, panie mecenasie, w porządku. Panie prokuratorze, proszę się powstrzymać od takich spekulacji.

– Dobrze, wysoki sędzie. Przepraszam.

Ujrzałem cień zadowolenia na jego twarzy i wiedziałem, że za nic nie przeprosza.

– Więc co teraz, panie prokuratorze? Możemy powołać innych świadków, podczas gdy wy będziecie szukać Gustava Niemanna?

Garmann pokręcił głową.

– Nie, wysoki sędzie. Jak powiedziałem, to kluczowy świadek w sprawie. Przesłuchiwanie pozostałych nie będzie mieć większego sensu bez uprzedniego zapoznania się z zeznaniem Niemanna.

Westchnienie Stenersena było niemal słyszalne.

– Dobrze, panie prokuratorze. A więc możemy jedynie czekać na pojawienie się świadka.

– Wysoki sędzie, będziemy potrzebować nakazu zatrzymania Gustava Niemanna.

– Oczywiście. – Kolejne westchnienie. – Mam nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo.

Grek pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, co się stało, Brenne – stwierdził, a zobaczywszy moje badawcze spojrzenie, dodał: – Prawdę mówiąc, zniknięcie Niemanna nie ma ze mną absolutnie nic wspólnego.

Wydawał się spokojny i szczerzy, ale Hans Mikkelsen całe życie okłamywał i oszukiwał ludzi, a ja wiedziałem, że wrażenie, że mogę wyczytać coś z jego wzroku lub twarzy, jest tylko złudzeniem.

Do biura miałem niecałe sto metrów pieszo. Przeciąłem plac przed sądem, minąłem kwaciarnię na rogu i wszedłem w zaułek, w którym znajdowała się moja kancelaria. Na końcu ulicy dostrzegłem kuszący przebłysk lśniącego morza i stojące przy brzegu jachty. Minąłem sklepik ze śmiesznymi rzeczami, który istniał, odkąd byłem dzieckiem – eldorado pełne doczepianych

nosów, swędzącego proszku, pierdzących poduszek i sztucznych papierosów. Dwoje drzwi dalej wisiał szyld z napisem „Adwokaci Ruud, Ula, Brenne & Co”. Był to dość nowy, nadal błyszczący szyld z mosiądzu. To Finn Ruud założył firmę, ale rok temu przeszedł na emeryturę. Peter Ula pozostawał aktywny. Był nie tylko moim kolegą z pracy, lecz także najlepszym przyjacielem. Zналиśmy się od wieków, aż od czasów studenckich. To on kilka lat temu namówił mnie, abym porzucił życie samotnego wilka i został partnerem w firmie. Było to dobre posunięcie. Przez ostatnie lata regularnie rozszerzaliśmy działalność. Nowi klienci napływali równym strumieniem, zatrudnialiśmy coraz to nowych prawników, aż wreszcie zostaliśmy liczącą się w tym mieście kancelarią. Rok wcześniej przyjęliśmy dwóch nowych partnerów i dodaliśmy do nazwy firmy „& Co”. Obaj byli młodzi, zdolni, dynamiczni i ambitni.

Gdy wszedłem do recepcji, jeden z nich, Hans Olav Tungesvik, stał oparty o ladę. Za nią siedziała Eva. Pracowała tu, jeszcze zanim dołączyłem do firmy, i organizowała większość spraw. Była pogodną kobietą, lubiącą nam matkować. Teraz jednak policzki miała płomiennie czerwone, a na ogół uśmiechnięte usta zaciśnięte w cienką kreskę.

– Dzień dobry – przywitałem się. – Co się dzieje? Coś nie tak?

Odpowiedział mi Hans Olav.

– Nie, wszystko w porządku. Wyłuszczam tylko Evie, że godziny pracy są po to, by ich przestrzegać.

– Pozwól do mnie na chwilę, Hansie Olavie – powiedziałem.

W moim gabinecie panowały bałagan i zaduch. Ledwie zaglądałem tam przez ostatnie dwa tygodnie, więc powietrze wydawało się zatęchłe i pełne kurzu. Otworzyłem okno na oścież

i wpuściłem do środka lato, zapach spalin i nagrzanego od słońca asfaltu, a także odgłosy ruchu ulicznego, krzyki mew i szczebiotanie turystów. Następnie odwróciłem się do Hansa Olava.

– Co to miało być?

Wzruszył ramionami.

– Eva ciągle spóźnia się rano do pracy.

– Czyżby?

– Tak. Dzisiaj była dwadzieścia po ósmej. Powinna zacząć o ósmej. Miałem masę rzeczy do zrobienia, a zamiast tego musiałem odbierać telefony. To cholernie irytujące. Dlatego pomyślałem, że przyda się przywołać ją do porządku.

– Eva ma niepełnosprawne dziecko.

– Tak, wiem. I co z tego? Chyba też musi się jakoś zorganizować?

Zignorowałem jego nieco agresywny ton.

– Ma niepełnosprawne dziecko – powtórzyłem. – Czasami coś jej rano nie wyjdzie. Nieczęsto, ale zdarza się. Wtedy trochę się spóźnia. Tak jest od dziesięciu lat. Zawsze wszystko odpracowuje, a my zawsze ją rozumieliśmy. Można powiedzieć, że w naszej firmie obowiązuje niepisana umowa zezwalająca na taki układ.

– Ja... – Odchrząknął. – Nikt mi nie powiedział, że...

– Nie pytałeś. Jak długo jesteś naszym partnerem, Hansie Olavie?

– Ee... pięć miesięcy. Prawie sześć.

– Właśnie. Niezbyt długo. Eva mogłaby być twoją matką. Jest zdolną recepcjonistką i cudownym człowiekiem, atutem tej kancelarii. Zawsze taka była. Proponuję, żebyś zaczekał przynajmniej kilka lat, nim zaczniesz przywoływać kogokolwiek do

porządku. Poza tym proponuję, żebyś zapytał mnie albo Petera, zanim nawrzeszczysz na innych cennych pracowników, bez względu na to, że też jesteś partnerem.

Na jego twarz wystąpiły jasnoczerwone plamy. Nie wiedziałem, czy z irytacji, czy z zakłopotania. Wetknął palec pod kredowobiały kołnierzyk koszuli, jakby nagle stał się on zbyt ciasny.

– Posłuchaj, Hansie Olavie. Jesteś dobrym adwokatem, dobrze radzisz sobie z klientami i przynosisz firmie pieniądze. Dlatego zostałeś partnerem, lecz nie oznacza to, że skończyłeś się uczyć. Takie sytuacje, jak ta z Evą, są zbędne. Nie pozyskasz w ten sposób szacunku, choć może ci się tak wydawać. Dość tej urażonej miny, posłuchaj, co do ciebie mówię. Spróbuj wyciągnąć z tego naukę, okej?

Skinął głową, wymamrotał coś, co mogło być zgodą, po czym wymaszerował z pokoju. Przez ostatnie pół roku poznałem go od innej strony. Nasza decyzja o zaoferowaniu mu partnerstwa nie wyszła Hansowi Olavowi na dobre. Nie lubił, gdy go strofowano, i zdążył stać się dość niepopularny wśród aplikantów i pracowników biurowych. Westchnąłem, wstałem i poszedłem do Petera.

Słuchał mnie, ale nie był skupiony, a jego rozbiegany wzrok zdradzał zniecierpliwienie. Wkrótce mi przerwał.

– Nie mam na to czasu, Mikaelu.

– A więc sądzisz, że to w porządku, że jeden z partnerów ma umiejętności społeczne i poziom empatii chomika?

– Przejdzie mu. Hans Olav jest młody, my też byliśmy młodzi.

– Tak, ale nigdy nie byliśmy zarozumiałymi gnojkami.

– Czyżby?

– Owszem. No dobra, może czasami, ale nie wobec personelu. Ja

w każdym razie nie musiałem podkreślać swojej pozycji kosztem pracowników.

– Okej. Wyraziłeś swoje zdanie.

Wydawał się zrezygnowany, a ja nagle dostrzegłem, jak bardzo jest zmęczony. Jego cera miała szary, niezdrowy odcień, skóra tworzyła worki pod oczami i zwisała z podbródka, wskutek czego wyglądał na starszego i bardziej zgorzkniałego niż Peter, którego cenilem od lat.

– Ta firma schodzi na psy, Peter. Ten facet to gnojek. Z kolei Steinar Kroken...

– A z nim co jest nie tak? Obaj nowi partnerzy są tak samo źli?

– Steinar to cholerny, ograniczony formalista i biurokrata pozbawiony ludzkiego oblicza. Powinien być rezydentem, a nie adwokatem. Wiesz, że to prawda, Peter.

– W przeciwieństwie do ciebie, Mikaelu, obaj przynajmniej biorą udział w zarządzaniu firmą. Odciążają mnie, czego ty nigdy nie robiłeś.

– Nie wszyscy są stworzeni do zadań administracyjnych – wymamrotałem.

– Nie wszyscy chcą ponosić odpowiedzialność, Mikaelu. A poza tym to ty w zeszłym roku nie chciałeś, aby Synne została naszą partnerką, nie ja.

To mnie ubodło.

– Co z tobą, Peter? Nie da się już z tobą porozmawiać. Wiesz, kiedy ostatnio byliśmy razem na piwie?

Nie podniósł nawet wzroku, tylko odprawił mnie machnięciem ręki.

– Mam dużo pracy.

Temperatura w moim gabinecie wzrosła o kolejne kilka stopni.

Koszula kleiła mi się do ciała, pod pachami pojawiły się ciemne plamy potu. Westchnąłem, myśląc o zimnym piwie i odświeżającej kąpieli w morzu. Pomyślałem też o Synne. Nagle ujrzałem jej szczupłą, inteligentną twarz, smukłe i trochę niezdarne, a jednak eleganckie ciało – i zatęskniłem za nią. Zdałem sobie sprawę, że nie cieszy mnie już przychodzenie rano do pracy. Ta firma, której po części byłem właścicielem, niepostrzeżenie zmieniła się w nieprzyjemne miejsce. Martwiło mnie to.

ROZDZIAŁ 3

Gustav Niemann wyglądał, jakby miał się zaraz roztopić. Pot ciekł mu od nasady włosów, płynął po czole, perlił się na górnej wardze, kapał na kołnierzyk – ten człowiek dosłownie się rozpływał. Do tego, o ile dobrze zgadywałem, był przerażony.

Niemanna aresztowano poprzedniego wieczoru na lotnisku z walizką pełną pieniędzy, w drodze na samolot do Londynu i z biletem w jedną stronę do Bangkoku w kieszeni. Rankiem został przyprowadzony do sądu przez dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Na pytanie sędziego, dlaczego nie stawiał się poprzedniego dnia na rozprawie, odpowiedział – ze wzrokiem wbitym w blat stołu – że zapomniał. Przewodniczący Stenersen zaniemówił. Chyba zdarzyło mu się to po raz pierwszy w życiu.

Całe przedpołudnie mijało podobnie. Gustav Niemann albo nie odpowiadał, albo bąkał coś bez ładu i składu. Po kilku godzinach nawet Ulv Garmann wydawał się strapiony i nieco spocony.

– Panie Niemann, porozmawiajmy o klubie nocnym Zebra – zaproponował wreszcie.

Niemann gapił się w milczeniu na stół.

– Co pan wie na temat właściciela klubu?

– Nic.

– Podczas przesłuchania drugiego grudnia zeszłego roku zeznał pan policji, że klub w rzeczywistości jest własnością Hansa Mikkelsena.

Brak odpowiedzi.

– Pamięta pan to?

– Nie.

– Uważa pan, że policjanci wymyślili sobie to zeznanie?

– Nie wiem.

– Nie wie pan? Ale wie pan chyba, że był przesłuchiwany przez policję. Pamięta pan, panie Niemann?

– Tak.

– A ten podpis? – Garmann przeszedł przez salę i położył zeznanie na stole przed świadkiem. – Należy do pana, prawda?

– Owszem.

– Więc dlaczego podpisał pan to zeznanie, skoro nie powiedział pan tego, co tu napisano?

– Nie wiem.

Garmann westchnął głęboko i teatralnie, a potem zwrócił się do ławy przysięgłych.

– To trochę dziwne. Czy istnieje jakiś szczególny powód, dla którego nie chce pan się przyznać w sądzie do zeznania złożonego policji?

– Nie.

– Czy pan się czegoś boi? Ktoś panu groził?

– Nie.

– Co pan powiedział? Proszę mówić głośniej, panie Niemann. Nie słyhać pańskich odpowiedzi.

– Nie.

– Nikt panu nie groził?

Milczenie.

Ulv Garmann stał tuż przed świadkiem, ale nie patrzył na Gustava Niemanna, podobnie zresztą jak nikt inny. Wszyscy wpatrywali się w Hansa Mikkelsena.

A Grek, który na ogół wydawał się chłodny i niewzruszony, nagle zdał sobie sprawę z tych spojrzeń i pojął, co znaczą. Ku swojemu zdziwieniu zobaczyłem, jak mięsień drgnął mu pod okiem, a słaby rumieniec rozlał się powyżej kołnierzyka.

– Co... – wyjąkał. – Ja nie...

– Wysoki sędzie, czy możemy zrobić krótką przerwę? – odezwałem się.

Mogliśmy, lecz nie sądziłem, że to cokolwiek pomoże.

Spodziewałem się, że po przerwie prokurator będzie kontynuował temat, ale ten jeden raz Ulv Garmann zdołał mnie zaskoczyć.

– Zostawmy na chwilę pańskie przesłuchania na policji – powiedział, a Gustav Niemann zerknął na niego z nadzieją w oczach, jak pies, który wierzy, że już nie będzie bity. – Zastanawia mnie coś zupełnie innego.

– Tak?

– Jest pan kawalerem, prawda?

– Zgadza się. – Grunt był bezpieczny, więc głos Niemanna zabrzmiał pewniej.

– Właśnie. I mieszka pan sam?

– Tak.

– A czy ma pan partnerkę?

To był kolejny cios. Widziałem, jak Niemann drgnął.

– Czy może pan odpowiedzieć na pytanie, panie Niemann? To chyba nietrudne.

Milczenie.

– Okej, proszę pozwolić, że panu nieco pomogę. Czy to prawda, że jest pan w związku z niejaką Gerd Garshol?

– Skąd...?

Wreszcie wstałem.

– Przepraszam, panie prokuratorze, ale co to ma być? Ta sprawa nie wydaje mi się istotna, poza tym w moich dokumentach nie ma ani słowa na temat osoby o nazwisku Gerd Garshol. Nie

podoba mi się, że wprowadza pan zupełnie nowe i nieznane mi elementy.

Sędzia nie interweniował, tylko popatrzył pytająco na prokuratora, który zignorował mnie i odezwał się wprost do przewodniczącego.

– Wiem, że to lekkie nadużycie, wysoki sędzie, ale skoro świadek próbował zbiec z kraju i ponieważ najwyraźniej nie zamierza składać prawdziwych zeznań, przeprowadziliśmy dodatkowe śledztwo. Okazuje się, że świadek pozostaje w związku z niejaką Gerd Garshol.

– I jakie to ma znaczenie? – Nie chciałem zostać zepchnięty na bok i pozwolić, by ta rozmowa toczyła się tylko między oskarżycielem a sędzią.

– Cóż, panie mecenasie, okazuje się, że dwa dni przed tym, jak Niemann miał zeznawać w charakterze świadka, Gerd Garshol napadnięto i pobito w jej własnym domu. Prokuratura jest zdania, że nie ma tu mowy o przypadku. Widzimy wyraźny związek między napadem a nagłą chęcią świadka, aby opuścić kraj.

– To spekulacje – zaprotestowałem, próbując zachować inicjatywę, choć w głębi ducha zacząłem tracić nadzieję. – Trzymajmy się może faktów, panie prokuratorze.

Garmann lekko wzruszył ramionami.

– Oczywiście, panie mecenasie. Ale każdy ma prawo się zastanawiać, nawet policja, a dwa plus dwa zawsze daje cztery.

– Ogłaszam przerwę – rzekł sędzia – aby mecenas Brenne mógł się zapoznać z materiałami ze śledztwa w sprawie napaści, co już dawno powinno mu zostać umożliwione. Panie prokuratorze, proszę więcej nie próbować takich zagrywek w mojej sali rozpraw.

– Tak, wysoki sędzie... – Garmann z pokorą pochylił głowę.

– Cicho – upomniałem Greka, kiedy, Bóg wie po raz który, próbował mnie o coś zapytać. – Daj mi skończyć.

Czytałem dokumenty pod presją. Z wolna zacząłem dostrzegać obraz tego, co się stało. Pojąłem, dlaczego Niemann niespodziewanie zdecydował się zstąpić z przestępczej ścieżki i powiedzieć policji wszystko, co wie. Niemann odnalazł mianowicie Boga. Wcześniej znalazł jednak Gerd Garshol. Sądząc po zdjęciach, była szarą, zwyczajnie wyglądającą kobietą, trochę pulchną, o niespecjalnie inteligentnym, lecz szczerym i sympatycznym wyrazie twarzy.

Policji zeznała, że poznała Gustava Niemanna podczas gry w bingo, chwytając się ostatniej deski ratunku zdesperowanych singli. Oboje byli samotni i nieśmiali i pewnie nigdy nie odezwaliby się do siebie, gdyby Gerd Garshol po skończonej rozgrywce nie upuściła portfela, wyciągając z torebki apaszkę. Gustav Niemann to zobaczył, po czym bez zastanowienia chwycił zgubę i rzucił się za kobietą.

– Upuściła to pani – wyjąkał, rozpoczynając w ten sposób nowe życie.

Odprowadził ją do domu, a w drodze, ku obopólnemu zdziwieniu, rozmawiali z sobą lekko i bez wysiłku. Podczas następnej wieczornej gry w bingo Gustav odszukał Gerd wzrokiem, a w przerwie zebrał się na odwagę i do niej zagadał. Po miesiącu go pocałowała. Kolejny miesiąc później się jej oświadczył. Gdy się zgodziła, wybuchł płaczem i powiedział jej wszystko o swojej relacji z Grekiem, o tym, jak kontroluje przepływ gotówki z przestępstw na całym świecie, jak załatwił zakup legalnych przedsiębiorstw, aby prać brudne pieniądze z działalności kryminalnej – wyznał swe grzechy, które popłynęły długim, mokrym od łez i smarków

strumieniem. Gerd Garshol wysłuchiwała go z otwartymi ustami. Była zszokowana, ale kochała Gustava i wiedziała, co robić. Nie po raz pierwszy poprosiła go, by towarzyszył jej podczas spotkania małej grupy wyznaniowej, do której należała. Zawsze odmawiał, lecz tym razem nalegała, więc w swej rozpaczycy i wzburzeniu posłusznie z nią poszedł.

Tam odnalazł Boga, a Bóg, przez pastora o nazwisku Geirmund Bergheim, przekazał mu wyraźną instrukcję, jak odkupić grzechy. Dlatego Gustav Niemann zadzwonił do drzwi naczelnika policji.

– Niech mnie diabli wezmą! – zaklął Grek, gdy doczytałem dokumenty i streściłem mu ich zawartość. – Gustav i religia? Niech mnie diabli.

– Nie wiedziałeś? – zapytałem, a on pokręcił głową z wyrazem szczerzego zdumienia na twarzy.

– Ale wiedziałeś o Gerd Garshol.

– Wcale nie. Nigdy o niej nie słyszałem.

– Cóż, ktoś odwiedził ją w miejscu zamieszkania, jak to się mówi, i porządnie stłukł. Złamana ręka, wybity bark, poważne wstrząśnienie mózgu i nowa twarz.

Podąłem mu zdjęcie przedstawiające zupełnie nierozpoznawalną Gerd Garshol. Podpuchnięte oczy, rozcięte usta, policzki pełne ran, otarć i siniaków. Popatrzył i wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, kto to zrobił.

– Myślisz, że to przypadek?

– Na pewno.

– Nikt inny na świecie w to nie uwierzy.

Spojrzał na mnie.

– Ty też nie, Brenne? Jesteś moim adwokatem.

Nie zamierzałem mu odpowiadać. Jak stwierdził oskarżyciel, nawet obrońcy mają prawo się zastanawiać, a dwa plus dwa zawsze daje cztery.

ROZDZIAŁ 4

Gdy Gustav Niemann wrócił na miejsce dla świadków, wyglądał na człowieka, który wyzbył się wszelkiej nadziei na zbawienie, czy to w niebie, czy na ziemi. Zapytany przez oskarżyciela, przyznał się do związku z Gerd Garshol.

– I wiedział pan, że została pobita?

Skinął głową.

– Zadzwonili ze szpitala.

– Odwiedził ją pan?

– Tak.

– Jak się czuła?

– Niedobrze.

– Mocno ją poturbowano, prawda?

– Tak.

Prokurator odchrząknął, odwrócił się do ławników i przebiegł po nich wzrokiem, jakby chciał się upewnić, że słuchają.

– Czy powiedziała, dlaczego ją napadnięto?

– Co ma pan na myśli?

– Cóż, nic nie skradziono, więc nie był to napad rabunkowy czy zwykłe włamanie. Zastanawiam się, czy napastnik powiedział Gerd Garshol coś, co mogłoby rzucić światło na tę sprawę.

– Nie... ale...

– Tak?

– Ona wiedziała... oboje wiedzieliśmy, co to znaczy. To było ostrzeżenie.

– Ostrzeżenie? Przed czym?

– Żeby się zamknąć.

– Żeby nie zeznawać w tej sprawie? Nie donosić na Hansa Mikkelsena?

– Tak.

– To dlatego próbował pan wyjechać z kraju?

– Tak. Nie chciałem... Bałem się, że coś jeszcze może przydarzyć się Gerd.

Wiedziałem, że muszę coś zrobić, nie mogłem zostawić wypowiedzi Niemanna bez słowa sprzeciwu, ale nie miałem dobrych przeczuć, kiedy wstałem i poprosiłem o możliwość zabrania głosu.

– Mówi pan, że pan wiedział... że oboje wiedzieliście, że to było ostrzeżenie.

– Tak.

– Czy ktoś groził panu słownie lub fizycznie?

– Nie.

– To może pisemnie? Czy otrzymał pan jakieś pisemne ostrzeżenia przed zeznawaniem jako świadek?

Pokręcił głową.

– Nie.

– A Gerd? Czy ona otrzymała taki list?

Znów pokręcił głową.

– O ile mi wiadomo, to nie. Nie, nic takiego nie otrzymała.

– Nawet gdy została pobita? Czy napastnik przekazał jej jakieś ostrzeżenia lub wiadomości?

– Nie. Powiedziałyby mi o tym.

– Więc chyba nie mógł pan mieć pewności, że to ostrzeżenie, nieprawdaż?

– Jak to?

– Chodzi mi o to, że ani pan, ani Gerd zupełnie nic nie wiedzieliście. To, co nazywa pan wiedzą, jest jedynie hipotezą niepopartą faktami.

Gustav Niemann miał brązowe, smutne oczy; wyglądał jak szczeniak. Popatrzył na mnie bez agresji czy autorytetu, po czym wzruszył ramionami i rzekł:

– Możliwe. Ale co to właściwie było, jeśli nie ostrzeżenie? Nie rozumiem, co innego mogło to znaczyć.

Usiadłem na powrót na krześle; nagle zabrakło mi energii. Zobaczyłem uśmieszek prokuratora, badawcze spojrzenia i zmarszczone czoła ławników i wiedziałem, że Gustav Niemann powiedział jedynie to, co wszyscy myśleli. Co innego mogło to znaczyć?

Prokurator kontynuował przesłuchanie świadka, a ja nie potrafiłem się skoncentrować. Niemann przestał wreszcie zaprzeczać i puścił parę. Nie miał już nic do stracenia, więc zeznał to samo, co wcześniej powiedział policji. Głos miał cichy, a wzrok utkwiał w blacie stołu, lecz mówił, a im więcej mówił, tym bardziej pograżał mojego klienta. Naszą jedyną nadzieją było zasianie wątpliwości co do motywów i wiarygodności Gustava Niemanna, ale nie wierzyłem już, że to się uda. Wszystko przez Greka. Narastała we mnie irytacja spowodowana tym, co zrobił. Napaść na Gerd Garshol była bezmyślnym posunięciem, które musiało obrócić się przeciwko niemu.

Zerknąłem na niego, nie mogąc uwierzyć, że był aż tak głupi. Nagle jednak przypomniałem sobie uwagę sekretarza sądu o tym, że głupota przestępców nie zna granic, a wiedziałem, że przemawiało przez niego doświadczenie całego życia. Grek poczuł moje spojrzenie i podniósł wzrok. Rozłożył ręce w geście mającym wyrażać zdumienie. Demonstracyjnie odwróciłem głowę.

Ulv Garmann zdążył zadać świadkowi ledwie połowę planowanych pytań i pod koniec posiedzenia sądu stało się jasne,

że cały następny dzień również upłynie na mozolnym przesłuchiwanu Niemanna. Po porannym dramacie rozprawa wróciła do spokojniejszego rytmu, do szczegółowego i usypiającego analizowania rachunków, przelewów i transakcji. Ławnicy mieli pusty, trochę głupkowaty wyraz twarzy sygnalizujący przemożne znużenie, a ja pomyślałem, że mógłbym wygrać tę sprawę jedynie wtedy, gdyby zasnęli.

Coś przykuło uwagę prokuratora. Zająknął się, po czym całkiem przerwał. Popatrzyłem w tym samym kierunku co on. W końcu sali, pod wielkimi łukowymi oknami, gestykułował jakiś policjant.

– Panie prokuratorze? – Sędzia również się obudził, gdy głos Garmanna ucichł.

– Ee... wysoki sędzie, jeśli mogę przeprosić... Wygląda na to, że policja ma dla mnie wiadomość...

Lekkim ruchem dłoni Stenersen zdołał wyrazić zniecierpliwienie i irytację zarazem.

– Oczywiście, panie prokuratorze.

Na parkiecie rozległ się stukot butów prokuratora. Garmann chwycił funkcjonariusza za ramię, odciągnął go parę kroków od ławy przysięgłych i poza zasięg słuchu widzów. Szeptali. Trochę to trwało. Ulv Garmann był potężnym, mocno zbudowanym mężczyzną, górował nad niższym i młodszym policjantem, który najwyraźniej miał sporo do powiedzenia. Tylko czasami Garmann przerywał mu pytaniem i tylko raz podniósł wzrok, a ja odniosłem wrażenie, że w jego oczach dostrzegam zdziwienie. Zdziwienie i coś jeszcze, czego nie potrafiłem określić, co jednak sprawiło, że znowu poczułem niespokojne mrowienie. Żmija, wieczna paranoja obrońców, poruszyła się i czujnie uniosła głowę.

Złe wieści.

Wiedziałem, że to złe wieści.

Troje dziennikarzy, którzy wytrzymali cały ten długi, senny i ciepły dzień, też to wiedziało. Ujrzałem, jak otrząsnęli się z otępienia i przytknęli długopisy do notatników.

Prokurator i policjant wciąż rozmawiali.

Wreszcie Garmann wrócił na miejsce, lecz tym razem jego obcasy nie stukały o parkiet. Szedł powoli, a gdy znalazł się za swoim stołem, nieco zdezorientowany rozejrzał się wokół, jakby nie do końca pewien, gdzie się znajduje.

– Wysoki sędzie... – odezwał się, ale znowu przerwał.

– Tak, panie prokuratorze?

– Otrzymałem... nowe informacje. Chodzi o atak na Gerd Garshol. Kilku świadków widziało, jak napastnik opuszczał miejsce zdarzenia, więc policja dysponowała dość dobrym rysopisem. – Rozkręcił się, słowa płynęły gładko. – Dwoje świadków zidentyfikowało sprawcę na fotografiach z policyjnego archiwum. To nasz stary znajomy z kilkoma wyrokami za stosowanie przemocy, nazywa się Morten Ålekjaer. Aresztowano go dziś rano. Podczas przesłuchania po pewnym czasie przyznał się, że to on napadł na Gerd Garshol, i potwierdził, że zrobił to na zlecenie.

– Powiedział też, kto był zleceniodawcą? – Pytanie zadał sędzia przewodniczący.

Wyraziłem sprzeciw i zażądałem dostępu do akt śledztwa przed kontynuowaniem rozprawy, lecz Garmann tylko podniósł głos i zagłuszył mój protest.

– Tak – oznajmił. – Morten Ålekjaer zeznał, że zadanie zlecił mu mecenas Mikael Brenne.

Nie do końca to do mnie dotarło. Myślałem, że wiem, co mnie czeka. Moje uszy, mój umysł, wszystko przygotowało się na to, że

prokurator wymieni nazwisko Hansa Mikkelsena. Dlatego usłyszałem słowa, ale ich nie zrozumiałem. Zdołałem jedynie zapytać: „Co? Co pan powiedział?”, przekonany, że się przesłyszałem albo że prokurator się przejęzyczył.

Ulv Garmann podniósł wzrok i spojrzał prosto na mnie, a ja dostrzegłem w jego oczach coś niezidentyfikowanego.

– Mecenias Mikael Brenne – powtórzył. – Zadanie napadnięcia na Gerd Garshol w celu zastraszenia głównego świadka prokuratury zlecił Mortenowi Ålekjaerowi mecenias Brenne.

Otworzyłem usta, by zaprzeczyć, lecz tym razem słowa mnie opuściły, a umysł, który w sądzie na ogół pracuje na najwyższych obrotach, ogarnęła całkowita pustka. Jak przez mgłę usłyszałem słowa prokuratora, który stwierdził, że nie można kontynuować rozprawy i należy zapewnić oskarżonemu nowego obrońcę. Jak przez mgłę zarejestrowałem, że sędzia Stenersen się z nim zgodził. Później wybuchł wokół mnie chaos. Głosy przekrzykiwały się nawzajem, flesze błyskały mi prosto w twarz. Wszystko było tak absurdalne, tak niewiarygodne, oderwane od rzeczywistości, że wezbrał we mnie chichot. Nie wierząc w to, co się dzieje, nie mogąc wziąć tego na poważnie, głośno się zaśmiałem.

Nagle jednak poczułem chłodną, twardą stal zamykającą się z trzaskiem wokół moich nadgarstków, a jakiś głos powiedział mi do ucha, że jestem aresztowany. Dziennikarze wykrzykiwali stale te same pytania, coraz bardziej podniesionymi, histerycznymi głosami, błyski fleszy nasiliły się niczym burza, która zbliża się do punktu kulminacyjnego, i już nie było mi do śmiechu.

ROZDZIAŁ 5

Na wysokości moich oczu, cienkimi, nierównymi literami, ktoś wyrył na ścianie: „chuj”. A trochę bardziej po lewej: „cipa”. Między wyrazami narysowano stylizowanego penisa, uniesionego, aroganckiego fiuta z wielkimi jajami. Z początku ordynarne słowa i prymitywny rysunek wzbudziły moją pogardę, lecz wraz z upływem czasu zacząłem podziwiać nieznanego artystę, który przyozdobił w ten sposób celę. Zacząłem postrzegać wulgarne bazgroły na ścianie jako formę sprzeciwu, chęć stawienia oporu, zachowania normalności i indywidualności, niepoddania się panice i szaleństwu grożącym człowiekowi w tej nagiej betonowej jaskini.

Na początku tak nie było.

Gdy wyprowadzili mnie z sali rozpraw do radiowozu, byłem nieprzytomny, niemal w szoku. Na komisariacie przeszedłem upokarzającą procedurę przeszukania, prawie nie zdając sobie z tego sprawy. Miałem wrażenie, jakby to wszystko mnie nie dotyczyło. Obserwowałem z zewnątrz tego mężczyznę w średnim wieku, od którego pobrano odciski palców, którego sfotografowano, wypymano o dane osobowe (choć wszyscy doskonale wiedzieli, kim jestem), którego zrewidowano, któremu opróżniono kieszenie, odebrano pasek i sznurówki, by następnie odeskortować go do piwnicy.

Byłem jak robot, dałem się prowadzić z miejsca na miejsce, odzywałem się tylko pytany, stałem spokojnie w windzie, grzecznie pomaszerowałem do celi, położyłem się na materacu. W nozdrzach poczułem ukłucie ostrej woni środków dezynfekcyjnych. Na chwilę zamknąłem oczy. Zasnąłem.

Gdy się obudziłem, niczego nie pojmowałem. Nie wiedziałem, gdzie jestem, nie pamiętałem, co się stało. Strasznie dużo czasu

minęło, nim powróciły wspomnienia, jakby mój umysł już zatrzasnął drzwi za całym tym popołudniem i jedynie wbrew swojej woli lekko je uchylił. Kiedy wreszcie odzyskałem pamięć, nie zmartwiłem się zanadto. To wszystko nieporozumienie. Wiedziałem przecież, że nie zrobiłem nic złego, że jestem niewinny.

Nie martwiła mnie też myśl o ewentualnym spędzeniu kilku godzin w areszcie. Miejsce to nie było mi obce. Odwiedzałem je mnóstwo razy, by spotykać się z klientami. Na ogół spotykałem się z nimi w ciasnym pokoju odwiedzin, który oddawano do dyspozycji obrońców, ale nie zawsze. Czasami pokój bywał zajęty, a wtedy musiałem rozmawiać z klientami w celi. Dlatego nie pierwszy raz siedziałem w pomieszczeniu przystosowanym do potrzeb ludzi tak odurzonych, że nie potrafili się sobą zająć. Mogli tu sikać, srać i rzygać, a później wszystko splukiwano do czysta i dezynfekowano. Przypuszczałem, że jedynym powodem, dla którego dostałem taką celę, był brak miejsc. Albo to, albo policjanci nie lubią adwokatów.

Czekałem, aż zostanę zabrany na przesłuchanie, lecz godziny mijały i nic się nie działo. Kiedy pytałem strażników, wzruszali tylko ramionami. „Nie wiemy – twierdzili. – Nikt nam nic nie mówi”. Uśmiechali się, lekko skrepowani, bo się znaliśmy. W każdym razie spotykaliśmy się tu wielokrotnie, pozdrawialiśmy się skinieniem głowy, wymienialiśmy grzeczności. Wpadałem do tych smutnych piwnicznych wnętrz ubrany w drogie garnitury, z aktówką w ręce, pewien siebie i swojego zawodowego statusu, swobodny w swojej roli. Teraz wszystko stanęło na głowie. Gdy odprowadzali mnie do toalety, musiałem jedną ręką podtrzymywać spodnie. Byłem nieogolony i nieumyty, spałem w ubraniu i żaden z nas, ani ja, ani oni, nie wiedzieliśmy do końca, jak się zachować w związku z tą nagłą, całkowitą zamianą ról. Dlatego byli

uprzejmi, lecz nie patrzyli mi w oczy.

„Nie wiemy” – odpowiadali na moje ciągłe pytania, wbijając wzrok w punkt nad moim prawym ramieniem. Wywoływało to we mnie uczucie, że jestem niewidzialny, jakbym w ogóle nie istniał, i przytłaczała mnie nagła chęć, by zawołać do nich, krzyknąć: „Spójrzcie na mnie! Spójrzcie na mnie, to ja, Mikael Brenne. Znamy się. Spójrzcie mi w oczy, do cholery!”.

Nie robiłem tego jednak. Tylko grzecznie im dziękowałem.

W nocy nie mogłem zasnąć. Leżałem i wierciłem się godzina za godziną. Wydarzenia z sali sądowej, które wcześniej tego dnia z trudem sobie przypominałem, nagle zupełnie wyraźnie stanęły mi przed oczami. Przeżywałem je wciąż od nowa. Prowadzoną szeptem rozmowę Ulva Garmanna z policjantem. Chwilę, gdy wypowiedział moje nazwisko zamiast nazwiska Hansa Mikkelsena. Spojrzenie, kiedy w końcu popatrzył wprost na mnie. Wyraz jego oczu w tamtym momencie. Moment zatrzaskiwania kajdanków i oślepiające światło fleszy. Mój umysł w kółko wyświetlał ten sam film. Próbowałem się wyłączyć, próbowałem usnąć, ale na próżno.

Wokół mnie rozlegały się krzyki i jęki, trzaskały drzwi, ktoś płakał, ktoś się modlił, a kto inny przeklinał. Wszystko niesło się echem w tych katakumbach. Wszelkie dźwięki się nasilały, a pogłos zatrzaskiwanych stalowych drzwi przetaczał się między ścianami i napierał na moje uszy. Zwinąłem się w pozycję embrionalną i objąłem głowę rękoma, próbując odgrodzić się od świata, lecz wieczna kakofonia dźwięków przenikała wszystko. Zacząłem się pocić. W celi było coraz cieplej. Po jakimś czasie poczułem w powietrzu zaduch, z trudem mogłem oddychać. Wierciłem się na materacu, zrzuciłem przydzielone wełniane koce, ale na próżno. Cella zdawała się ciaśniejsza niż wcześniej. Brudnożółte betonowe

ściany zaczęły jakby niepostrzeżenie chylić się ku sobie. Poczułem nad sobą wagę całego komisariatu, wszystkie piętra, ogromny ciężar ton stali i betonu.

Zamknąłem oczy, lecz to nie pomogło. Pot lał się ze mnie. Wetknąłem palce do ust, ssałem je albo żułem. Ciemność rosła we mnie, rozprzestrzeniała się, wypełniała mnie. Słyszałem swoje ciche postękiwania.

Właśnie wtedy, ponieważ nie było tam nic innego, co mogłoby mnie uratować przed sobą samym, utkwilem wzrok w bazgrołach na ścianie, ledwie widocznych w mdłym świetle.

Chuj. Cipa. I stojący fiut.

Było w tym coś znajomego i bezpiecznego, niemal codziennego. Takie same bazgroły widywałem na setkach ścian toalet, na niezliczonych pomazanych murach, lecz po raz pierwszy do mnie przemówiły. „Jestem tu. Jestem kimś. Mam fiuta. Chcę kochać, pieprzyć się, żyć”.

Ja też tego chciałem. Przez całą długą noc wpatrywałem się w te dwa słowa i niepokorny rysunek, aż po zmienionym pulsie policyjnego aresztu poznałem, że noc wreszcie minęła.

ROZDZIAŁ 6

– Przecież zna pan procedury, Brenne – powiedział mężczyzna z nadwagą. Przedstawił się, odbierając mnie z celi na przesłuchanie, ale od razu zapomniałem jego nazwisko. – Mimo to dla porządku muszę przypomnieć, że nie ma pan obowiązku składania zeznań na policji i jeżeli pan chce, ma pan prawo do obecności adwokata.

Poruszyłem się niespokojnie na krześle, podniosłem rękę, aby podrapać się po głowie, i nagle poczułem swój zapach. Ostry zapach niemytego ciała. Dłoń, którą przesunąłem po podbródku, potarła zaczątki zarostu. W ustach czułem niesmak. Miałem suche, popękane wargi. Drugi funkcjonariusz głośno się zaśmiał. Odwróciłem się i popatrzyłem na niego zdumiony.

– To pan jest ponoć najlepszym obrońcą w mieście, no nie? – zauważył. – Więc kolega po fachu chyba nieszczególnie panu pomoże?

Nie widziałem w tym nic zabawnego.

– Chce pan zeznawać, Brenne? – Znów mówił ten z nadwagą.

Wzruszyłem ramionami.

– Tak, czemu nie? Może uda nam się zapomnieć o tej całej farsie.

– Zobaczymy – rzekł z uśmiechem, który jednak nie pojawił się w jego oczach. – Najpierw poprosimy o trochę informacji wstępnych.

Zawsze tak jest. Policyjne przesłuchanie nigdy nie zaczyna się od sedna sprawy. Początek jest zawsze zupełnie inny, dotyczy bezpiecznych i pewnych kwestii, które nie budzą wątpliwości. Jak się nazywasz, gdzie mieszkasz, tego rodzaju rzeczy. W ten sposób ustala się rytm i podział ról. Policjant pyta, podejrzany odpowiada.

Wytwarza się sytuacja rozmowy, a rozmowy, jak każda forma komunikacji międzyludzkiej, mają swoją dynamikę i rządzą się swoimi prawami. Dopiero w takim kontekście wszelkie wymówki, uniki i kłamstwa wychodzą na jaw w postaci maleńkich odstępstw od normy i to właśnie na podstawie naturalnego rytmu rozmowy wprawny śledczy potrafi zidentyfikować wahanie, zmiany tempa, różnice temperatury emocjonalnej podejrzanego, wszystkie drobne znaki wskazujące na to, że trafiono w czuły punkt.

Wiedziałem to i sam korzystałem z tych technik, zadając w sądzie pytania świadkom, lecz i tak musieliśmy przez to przejść. Potwierdziłem, że nazywam się Mikael Brenne, mam czterdzieści pięć lat i z zawodu jestem adwokatem.

– Modny adres – skomentował ten z nadwagą. – Mieszka pan sam?

– Tak.

– Nie pozostaje pan w związku małżeńskim ani partnerskim?

Miałem kiedyś żonę, ale było to tak dawno i skończyło się takim fiaskiem, że prawie o tym zapomniałem. Miałem też partnerkę, Kari, kilka lat temu. Jej nie zapomniałem. Ani trochę.

– Zgadza się, mieszkam sam.

– Mhm. – Stukał na klawiaturze. – Czy był pan karany?

– Co?

– Czy był pan karany za przestępstwo?

Parę lat temu zabiłem człowieka, klienta, który groził mi i mnie szantażował, ale nikt o tym nie wiedział.

– Nie. Nigdy nie byłem karany.

Kontynuowaliśmy w ten sposób – nieszkodliwe pytania, nieszkodliwe informacje. Czułem, że zaczynam się rozluźniać. Tęgi śledczy odchylił się na krześle.

- A zatem ta sprawa, panie Brenne. Napaść na Gerd Garshol.
 - O której nic nie wiem – odparłem.
 - Może i nie. – Uśmiechnął się. – Tego mamy się tutaj dowiedzieć, prawda? Możemy zacząć od pańskich relacji z Hansem Mikkelsenem, zwanym też Grekiem?
 - Proszę.
 - Był pan jego adwokatem, prawda?
 - Zgadza się.
 - Jak otrzymał pan to zlecenie?
 - To znaczy?
 - Kto skontaktował się z kim? Czy to pan skontaktował się z Grekiem, czy odwrotnie?
 - Oczywiście to on skontaktował się ze mną.
 - W jaki sposób?
 - Chyba do mnie zadzwonił.
 - I co powiedział? Jaki był temat rozmowy?
- Już miałem odpowiedzieć, lecz nagle zrozumiałem, że jestem o krok od popełnienia błędu. Zasada numer jeden wśród adwokatów: nie reprezentuj samego siebie.
- Oczywiście nie mogę rozmawiać o relacjach z klientami. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.
 - Chyba nie wszystko, o czym rozmawiał pan z Hansem Mikkelsenem, objęte jest tajemnicą? Nie proszę pana o zdradzanie szczegółów, które mogą zaszkodzić Mikkelsenowi, ale musi pan teraz myśleć o sobie.
- Nagle znużył mnie ten powolny, stylizowany taniec. Nadszedł już czas, by przejść do sedna.
- Chcę przeczytać zeznanie Mortena Ålekjaera.
 - Naturalnie dostanie je pan, ale wszystko w swoim czasie.

Jeżeli możemy wrócić do...

– Nie. Chcę je przeczytać teraz.

– Proszę się tak nie niecierpliwić. Chyba możemy przynajmniej...

Wstałem.

– W takim razie chcę adwokata. Potrzebuję też czystych ubrań i przyborów toaletowych. O ile nie zamierzacie mnie wypuścić.

Pokręcił głową z rezygnacją, gdyż wiedział, że zniknęła szansa, by coś ze mnie wydobyć.

– Nie sądzę, byśmy pana wypuścili, Brenne.

Rune Seim miał ciężką, nalaną twarz o obwisłych policzkach pokrytych siatką popękanych naczynek, lecz jego oczy były brązowe i łagodne – zawsze nasuwały mi skojarzenia z grzecznym psem. Pół życia spędził jako stały obrońca w tutejszym sądzie rejonowym i chociaż nie należał do najbardziej błyskotliwych adwokatów na świecie, to nie był też kiepski. Odznaczał się dokładnością, systematycznością i sumiennością, które są z zasady ważniejsze niż sporadyczne przyływy geniuszu.

Wybrałem go, ponieważ mu ufałem i nie chciałem nikogo, kto byłby mi zbyt bliski. Nie znaczyło to jednak, że się nie znaliśmy.

– Mikael, Mikael – westchnął, kręcąc głową, aż zatrzęsł się jego podwójny podbródek. – Nie myślisz jasno.

– Jak to? Nie mogą nic na mnie mieć z tego prostego powodu, że nic nie zrobiłem. Po co miałbym się, kurde, w coś takiego mieszać? Odniosłem sukces, dostaję duże sprawy. Po prostu nie potrzebuję łamać prawa, aby wygrać proces!

– Wiem, Mikaelu, całkowicie cię rozumiem, ale...

– Ale co?! – prawie krzyknąłem. Rune Seim wydawał się nieco skrępowany, jak bywają niektórzy, gdy muszą przekazać złe wieści.

– Jesteś osobą publiczną. Względnie rozpoznawalną. I właśnie dlatego... nie muszę ci chyba mówić, jaką sensację wzbudziła ta sprawa w mediach. Sam pomyśl.

Skinąłem głową, choć tak naprawdę nie zastanawiałem się nad tym ani chwili.

– I właśnie dlatego – ciągnął – nie chce mi się wierzyć, że Ulv Garmann, który jest ostrożnym i, co nie mniej ważne, dbającym o swoją reputację człowiekiem, posunąłby się do tak dramatycznego kroku, jakim było aresztowanie cię w sądzie, gdyby nie dysponował wystarczającymi dowodami. – Zamilkł, upewnił się, że jego słowa do mnie dotarły, po czym kontynuował: – Dlatego uważam, że jednak coś na ciebie mają, Mikaelu. Nie wiem co, ale coś na pewno, a to samo nie zniknie.

Nie mogłem się skoncentrować. Nie analizowałem, nie rozumowałem logicznie. Zdałem sobie sprawę, że jestem w szoku, że przeszedłem wystarczająco dużo, by się załamać. Rune Seim miał rację. Spróbowałem się pozbierać, myśleć praktycznie i konkretnie.

– Okej – powiedziałem. – Potrzebuję ubrań i przyborów toaletowych. Policja ma moje klucze. Rune, spróbuj zdobyć dokumenty, żebyśmy wiedzieli, z czym, do cholery, walczymy.

Kiwnął głową.

– W porządku. I tak dostanę je jutro rano. Wtedy dokonają oficjalnego aresztowania, chyba że postanowią cię wypuścić, ale przeczucie podpowiada mi, że tak się nie stanie.

ROZDZIAŁ 7

Świat stanął na głowie, a ja widziałem wszystko z nowej, innej perspektywy. Różnica między obrońcą a oskarżonym w sprawie karnej była poważniejsza, niż sobie wyobrażałem. Nie chodziło jedynie o kwestię uprawnień czy praktycznych zasad stanowiących o tym, gdzie mam siedzieć i kiedy mówić. W równie dużym stopniu chodziło o to, jak mnie postrzegano, jak odzywali się do mnie i jak traktowali mnie ludzie. Nikt z nas nie obchodzi się z żebrakiem siedzącym na rogu ulicy tak samo jak z dyrektorem banku, a ja miałem właśnie odrobić swoją lekcję. Jako oskarżony w sprawie karnej znajdowałem się na samym dole drabiny społecznej.

Było to dość niepokojące przeżycie. Wczesnym rankiem zawieziono mnie do sądu. Później czekałem w piwnicznej celi. Nikt mi nic nie mówił, nie odpowiadał na pytania. Po prostu zamknęli drzwi celi tuż przed moim nosem. Witamy w prawdziwym świecie.

Nie miałem zegarka, ponieważ mi go odebrano, ale czułem, że mijają godziny i nic się nie dzieje. Drzwi trzasnęły, w korytarzu pod moją celą rozległy się jakieś głosy, ktoś coś powiedział, ktoś inny odpowiedział, wzbudzając głośny śmiech. Później znów zapadła cisza. Wzbierała we mnie frustracja wywołana tym, że jestem ignorowany i pomijany, czułem potrzebę, by krzyczeć, tłuc i niszczyć. Zmusiłem się do zajęcia miejsca na pryczy, próbowałem odzyskać kontrolę. Przypomniałem sobie własną rezygnację na widok klientów, którzy dostawali szału, wrzeszczeli i wyli, wyzywali policjantów, sędziów, kogo popadnie. Gardziłem nimi z powodu ich braku samokontroli i irracjonalnych działań, jednak tak naprawdę nie rozumiałem ich położenia. Moje zrozumienie było teoretyczne, powierzchowne – patrzyłem na nich z zewnątrz.

Od środka wyglądało to inaczej.

Położyłem się na plecach, zamknąłem oczy. Oddychałem równomiernie, powtarzałem sobie, że mogę wszystko naprawić. Że to nieporozumienie. Jeszcze parę dni i się skończy. W głębi ducha czułem jednak panikę, na razie w postaci nikłego, rozedrganego płomienia.

– Nie wiem, wysoki sędzie – oznajmiłem. – Mogę jedynie powiedzieć, że nie znam tej sprawy. Nie znam Mortena Ålekjaera, nigdy z nim nie rozmawiałem i na pewno nie prosiłem go o napadnięcie na Gerd Garshol ani na nikogo innego. – Rozłożyłem ręce. – Po co miałbym to robić?

Sędzią była kobieta po pięćdziesiątce, o siwych włosach i trochę nieostrzych rysach. Popatrzyła na mnie z powątpiewaniem, lekko ściągnęła usta i rzekła:

– Aby pomóc swojemu klientowi, panie Brenne. Aby wygrać sprawę.

Pokręciłem głową.

– To absurd. Nie muszę posuwać się do ostateczności ani łamać prawa, by pomóc swoim klientom.

– Cóż... – odparła. – To argumentacja, nie dowód.

Nie wspomniałem, że to ona zaczęła, tylko pochyliłem głowę.

– Tak, wysoki sędzie. Ale, jak powiedziałem, nie znam sprawy i niestety nie mogę udzielić na jej temat informacji.

– Hm, tak. Panie prokuratorze, może chce pan zabrać głos?

– Tak, dziękuję – odparł Ulv Garmann, wstając.

Doznałem szoku, kiedy ujrzałem go po przybyciu na posiedzenie w sprawie aresztowania. Prokuratorzy nie występują podczas tych posiedzeń, tylko przekazują obowiązek policyjnym prawnikom, więc nadal nie przestawałem się dziwić, z trudem też ukryłem lekki niepokój, zobaczywszy go w tej roli. Nie mogłem pojąć

przyczyny, a gdy zapytałem Runego Seima, pokręcił jedynie głową.

– Nie wiem, Mikaelu. Uznaj to za komplement. Pewnie uważa, że zwyczajni prawnicy policyjni nie daliby rady sprostać temu zadaniu.

Garmann odchrząknął.

– Mówi pan, że nie zna Mortena Ålekjaera, panie Brenne.

Panie Brenne. Nie: „mecenasiu Brenne”.

– Zgadza się.

– Hm. – Przejrzał papiery leżące na stole przed nim. – A czy nie reprezentował pan gangu motocyklistów o nazwie Dark Knights?

– Dark Knights? Tak, chyba tak, ale to było już kilka lat temu. Chodziło chyba o lokal, w którym mieli swój klub, jakieś kłopoty z umową najmu czy coś takiego.

– Tak, właśnie – rzekł Garmann. – I był pan ich adwokatem?

– Jak powiedziałem.

– Morten Ålekjaer jest członkiem Dark Knights.

Słowa uderzyły mnie jak cios w brzuch, niespodziewany i odbierający oddech.

– Panie Brenne? Nadal twierdzi pan, że go nie zna?

– Nie... nie pamiętam go. To oczywiście możliwe, ale nie potrafię powiedzieć, czy...

– Według protokołu ze spotkania, spisane zresztą na pańskim papierze listowym, odwiedził pana w kancelarii drugiego lutego dwa tysiące piątego roku. Czy nadal twierdzi pan, że go nie pamięta?

Szukałem głęboko w pamięci, lecz nic nie kojarzyło mi się z nazwiskiem Morten Ålekjaer.

– Mógł tam być, ale w spotkaniach brało udział więcej osób, o ile sobie przypominam. Nie pamiętam go.

– Ach tak – rzekł Garmann. – Ale spotkaliście się. I on pana pamięta.

Po raz pierwszy cieszyłem się, że w sali nie ma publiczności ani dziennikarzy. Garmann z uwagi na dobro śledztwa poprosił o posiedzenie przy zamkniętych drzwiach, a sąd na to przystał. Miałem ochotę na chwilę oprzeć czoło o stół, aby odpocząć i zebrać myśli, ale zamiast tego zmusiłem się do patrzenia prosto na niego.

– Oczywiście możliwe, że tak jest, chociaż ja go nie pamiętam. W każdym razie nie spotkałem się z nim teraz, w związku z tą sprawą. To zupełne brednie.

– Czyżby? – odezwał się Garmann tonem zdradzającym uprzejme niedowierzanie. Słyszałem już, jak mówił tak w sądzie, używając dokładnie tej samej intonacji, lecz tym razem było inaczej. Wtedy kierował te słowa do innych oskarżonych. Teraz to ja usłyszałem zarzut kłamstwa i nie mogłem zgłosić sprzeciwu. Czułem, że zaczyna się we mnie gotować. – Gdzie był pan wieczorem dwudziestego trzeciego czerwca, panie Brenne?

– Dwudziestego trzeciego? W noc świętojańską?

– Właśnie. Konkretniej około dziewiątej wieczorem. Pamięta pan, gdzie pan wtedy był?

– Na to pytanie mogę z łatwością odpowiedzieć, panie prokuratorze. Biegałem, dość długo, zwirową drogą wzdłuż zbiornika retencyjnego. – Uśmiechnąłem się. – A czemu? Może Morten Ålekjaer twierdzi, że to wtedy otrzymał zlecenie? Nie tylko ja uprawiałem tego wieczoru jogging, więc pewnie uda się znaleźć świadków, którzy mnie widzieli.

– Hm, tak, oczywiście, ale nie będzie to raczej konieczne. Nie ma tu bowiem sprzeczności między pana zeznaniem a zeznaniem Ålekjaera. – Uniósł kartkę i zmrużył oczy. – Zeznaje, że zgodnie

z umową spotkał pana nad jeziorem, kilkaset metrów od początku linii brzegowej, przy wejściu do tunelu. Zdaniem Ålekjaera był pan zdyszany i ubrany jak do joggingu.

Ten cios nie trafił mnie w brzuch, ale dokładnie w podbródek. Poddałem się pokusie, położyłem głowę na stole i czekałem, aż sędzia odliczy do dziesięciu. Albo do stu.

Pięć minut zajęło sądowi wydanie postanowienia, które pozwalało policji zatrzymać mnie w areszcie na cztery tygodnie z zakazem korespondencji i odwiedzin. Słyszałem, jak sędzia głośno odczytuje postanowienie; jej głos wydawał się odległy. Później potwierdziłem, że rozumiem decyzję sądu, i gestem kazałem Runemu Seimowi wrócić na miejsce, gdy wstał, aby zaskarżyć postanowienie do sądu apelacyjnego.

– Nie ma sensu, Rune – mruknąłem. – Nie w takiej sytuacji. To wszystko nieporozumienie, absurdalny zbieg nieszczęśliwych okoliczności. Dajmy policji kilka dni na spokojne prowadzenie śledztwa, a na pewno sami do tego dojdą.

Opadł ciężko na miejsce. Wiedział równie dobrze, jak ja, że nic nie można zrobić.

Następnego dnia wysłali mnie na północ do zapuszczonego więzienia w zapomnianym miasteczku gdzieś na wybrzeżu. Leciałem zwyczajnym samolotem rejsowym z sennym policjantem w charakterze strażnika. Posadził mnie przy oknie, ale był to jedyny środek ostrożności, jaki podjął.

– Zna pan tylu ludzi w naszym więzieniu – wyjaśnił. – Osadzonych i pracowników. Pomyśleliśmy, że lepiej dla pana i sprawy będzie wysłać pana gdzie indziej.

Później zasnął. Ja wyglądałem przez okno. Po starcie ujrzałem pod nami moje rodzinne miasto. Stawało się coraz mniejsze, aż

nagle schowało się w chmurach. Czułem, jakby cały mój świat, wszystko, co znałem i o czym wiedziałem, co czyniło mnie tym, kim jestem – przepadło.

ROZDZIAŁ 8

Cztery tygodnie. Nie brzmi to jak szmat czasu i nie jest nim, przynajmniej nie zawsze. Ale w więzieniu cztery tygodnie to długo.

Do tej pory żyłem w ciągłym biegu. Spieszyłem się ze spotkania na spotkanie, od procesu do procesu, zawsze zajęty, zawsze podminowany. Nigdy nie starczało mi czasu. Uciekał zbyt szybko, wciąż go brakowało, aż do dnia, gdy Ulv Garmann odwrócił się w sądzie i wypowiedział moje nazwisko. Wtedy moje życie stanęło w miejscu. A czas, który dotąd był wzburzoną rzeką podczas wiosennych roztopów, także się zatrzymał. W więzieniu nawet minuta może trwać długo.

Leżałem na pryczy wpatrzony w sufit. Później sprawdzałem godzinę automatycznym, na pół nieświadomym ruchem, który pozostał mi z poprzedniego życia. Następnie opuszczałem luźno rękę, układając ją przy boku, i dalej gapiłem się ślepo w sufit. Leżałem tak długo, bez myśli, po czym znów spoglądałem na zegarek. Minęła minuta.

Miałem ochotę wrzeszczeć.

Czas jak gdyby zyskał ciało i formę, jakby stawiał opór, nie pozwalał się przez siebie przedrzeć. Jak woda. Jakbym biegł w wodzie.

Siedziałem w areszcie, z zakazem korespondencji i odwiedzin. Oznaczało to dwadzieścia cztery godziny izolacji na dobę, bez żadnego kontaktu z ludźmi z wyjątkiem paru zdań zamienionych czasem ze strażnikami. Często zasypiałem, ale na krótko. Budziłem się po godzinie czy dwóch, zgrzany, spocony, z silnym uczuciem niepokoju. Nigdy nie pamiętałem snów, ale stwierdziłem, że wszystko mi jedno.

Serwowane w więzieniu jedzenie odrzucało mnie, ale

wmuszałem w siebie trochę każdego posiłku, chociaż pokarm pęczniał mi w ustach, a mdłości wzbierały w gardle. W lustrze obserwowałem własny rozkład. Nie rozpoznawałem wpatrzonego we mnie mężczyzny. Miał obcą twarz o rozgorączkowanym spojrzeniu człowieka, który utracił kontrolę nad swoim życiem. Przerazał mnie.

Codzienny spacer stanowił jedyną przerwę w monotonii. Dzień w dzień chodziłem bez wytchnienia tam i z powrotem po wąskim skrawku asfaltu wciśniętym między budynek więzienia a wysoki na cztery metry betonowy mur. W ładne dni górną część jednej ze ścian oświetlało słońce, a szary tynk zyskiwał ciepły, złoty odcień. Przez godzinę na spacerunku obserwowałem, jak rozłam między słońcem a cieniem, jasnością a mrokiem, z wolna przesuwa się w dół ściany. Światło nigdy nie docierało jednak tam, gdzie chodziłem.

Sześć dni minęło, nim odwiedził mnie Rune Seim, a kiedy przyszedł, byłem potwornie wściekły.

– Gdzie się podziewałeś?! – zapytałem, a on popatrzył na mnie bez zrozumienia.

– Jak to?

– Czekam tu na ciebie całą wieczność. Tylko ty możesz mnie odwiedzać.

– Nie minął nawet tydzień, Mikaelu. Wcale nie tak długo. W zeszłym tygodniu byłem obrońcą w sądzie apelacyjnym, później był weekend. W weekendy staram się nie pracować, na ile to możliwe. Wiesz przecież, jak jest.

Ale już nie wiedziałem. Nieco ponad tydzień upłynął od mojego aresztowania, a jego słowa już brzmiały obco. Obrońca w sądzie apelacyjnym. Wolny weekend. Inny świat.

– Tak, oczywiście – odparłem, spuszczać wzrok. –
Przepraszam. Po prostu jestem... Czas tu wolno płynie.

Przyjrzał mi się uważnie.

– Jak się czujesz, Mikaelu?

– W porządku.

– Nie wyglądasz dobrze. Schudłeś, wydajesz się zmęczony.

Rozmawiałeś z lekarzem więziennym?

– Nie ma takiej potrzeby – powiedziałem. – Daję sobie radę,
Rune. A jak moja sprawa? Co się działo?

Pokręcił głową.

– Niezbyt wiele, Mikaelu. Wiesz, jak to jest ze śledztwami.
Najpierw cholerny pęd, ze wszystkim im się spieszy, wszystko
muszą zrobić zaraz, a potem, gdy oskarżony zostaje zamknięty
w więzieniu, powietrze uchodzi z balonu i wszystko się zatrzymuje.

Skinąłem głową.

– Wiem. To zupełnie nic się nie działo?

– Owszem. – Odchrząknął. – Coś się działo. Morten Ålekjaer
złożył krótkie zeznanie uzupełniające. Opisuje ubrania, które
miałeś na sobie podczas joggingu tamtego wieczoru, gdy rzekomo
otrzymał zlecenie. Białe adidas. Błękitne spodnie do biegania.
Czerwona koszulka z białym logo na piersi. Nie pamięta, co tam
było napisane.

Popatrzył na mnie wyczekująco. Przełknąłem ślinę.

– Zgadza się. Zasadniczo zawsze noszę to samo, gdy biegam.

– Okej. Jest jeszcze jedno. Twierdzi, że rozmawiał z tobą krótko
przez telefon tego samego dnia, kiedy napadł na Gerd Garshol. To
wtedy miał otrzymać ostateczne potwierdzenie, by zaczynać.

– Co takiego? Oczywiście nigdy...

Coś w spojrzeniu Runego Seima kazało mi przerwać.

– Policja zdobyła billing z twojego telefonu komórkowego. Wynika z niego, że odbyłeś rozmowę z Mortenem Ålekjaerem mniej więcej we wskazanym przez niego czasie.

– Co? Ale... ale to niemożliwe!

Podał mi wydruk. Musiał pomóc mi się w nim rozeznąć.

– Zobacz. Połączenie przychodzące z numeru zarejestrowanego na Mortena Ålekjaera.

Wpatrywałem się w kartkę, lecz litery i cyfry tańczyły mi przed oczami.

– Nie rozumiem – szepnąłem.

Raz w młodości kąpałem się w nocy z przyjaciółką. Nieważki i szczęśliwy uniosłem ręce i zanurzyłem się, patrząc na jej ciało, białe połyskujące w wodzie. Półtora metra pod powierzchnią jakiś olbrzym chwycił mnie miękko za nogi – to podwodny prąd pociągnął mnie ku mrocznej głębi. Oswobodziłem się, ale nadal pamiętam tę panikę i bezsilność. To samo uczucie narastało we mnie teraz.

– Nie wyglądasz za dobrze, Mikaelu. Może powinieneś jednak... jeżeli z jakiegoś powodu rzeczywiście to zrobiłeś, może powinieneś jednak się zastanowić, czy nie nadszedł czas, by się przyznać i uzyskać łagodniejszy wymiar kary.

Gapiałem się na niego, jakby postradał zmysły, a on unikał mojego spojrzenia.

– Wiesz, że muszę ci to powiedzieć. Jako adwokat muszę cię o tym powiadomić, gdy uznam to za konieczne. Co nie znaczy, że uważam cię za winnego. Wiesz przecież, przerabiałeś to wiele razy.

Miał rację, ale nie dałbym rady wytłumaczyć mu, że niezbyt mi to pomaga. Znajdowałem się teraz po drugiej stronie stołu, przestraszony i potrzebujący wszelkiego wsparcia. To, co właśnie

powiedział, odebrałem jak policzek.

– Nie zrobiłem tego – stwierdziłem jedynie.

– Okej – rzekł. – Więc nie będziemy już o tym rozmawiać.

Gadaliśmy jeszcze trochę o sprawie. Później przekazał mi parę nowinek i plotek ze środowiska prawniczego. Uśmiechałem się najposłuszniej we właściwych momentach, ale ledwie go słuchałem. Morten Ålekjaer poprawnie opisał mój strój w noc świętojańską, chociaż się wtedy nie spotkaliśmy. Zadzwoił też pod mój numer w dniu, gdy napadnięto Gerd Garshol. Nie potrafiłem zebrać myśli, ale wiedziałem jedno. Moja sprawa z kiepskiej stała się katastrofą.

Wstałem, a Rune Seim przerwał w środku zdania.

– Przepraszam – powiedziałem. – Nie czuję się za dobrze. Chyba muszę się na chwilę położyć.

– Jasne, Mikaelu – odparł, a w jego brązowych oczach dostrzegłem troskę. – Proszę cię, porozmawiaj z lekarzem, dobrze? Wyglądasz na wycieńczonego.

Byłem wycieńczony. Ale nie sądziłem, że rozmowa z lekarzem coś da. Jedyne, co mogło mi pomóc, to zakończenie tego koszmaru.

ROZDZIAŁ 9

Wszedłem do domu jak złodziej, w nocy. Minęło dużo więcej czasu niż cztery tygodnie, odkąd ostatnio zamknąłem za sobą drzwi własnego domu. Skończyło się lato, z sąsiednich ogrodów pachniało paloną trawą i wilgotną ziemią, wieczory zrobiły się ciemne. Cieszyłem się z tego, bo nie chciałem zostać zauważony, czuć na sobie spojrzeń sąsiadów. Wolałem być anonimowy, niewidzialny, jak cień wśród innych cieni. Dwa i pół miesiąca w areszcie sprawiło, że stałem się roztrzęsiony i bałem się świata.

Mój pobyt w areszcie przedłużono dwukrotnie. Za pierwszym razem udaliśmy się do sądu, gdzie stoczyliśmy bezowocną walkę, za drugim poddałem się i bez słowa protestu zaakceptowałem przedłużenie aresztu. Egzystencja w celi stała się moim życiem, rytm więzienia – moim rytmem. Oduczyłem się myśleć, przestałem patrzeć na zegarek czy sprawdzać dni w kalendarzu, nauczyłem się funkcjonować z dnia na dzień. Udało mi się nawet opanować wieczny, nieskupiony lęk, który męczył mnie od samego początku. Nie zniknął, a jedynie został zepchnięty głębiej w podświadomość. Gdy Rune Seim zjawił się pewnego dnia na początku września, bez zapowiedzi, z informacją, że następnego dnia mam zostać zwolniony, nie ucieszyłem się. Poczułem cień paniki, czystego strachu. Dwa i pół miesiąca wystarczyło, abym bał się wolności bardziej niż celi.

Poznał to po mojej twarzy.

– Co się stało, Mikaelu?

– Nic – odpowiedziałem, ale nawet nie zdołałem spojrzeć mu w oczy.

– Rozumiesz, że nie oznacza to, że twoja sprawa została odroczone? Moim zdaniem niedługo przedstawią ci akt oskarżenia.

Wydaje się jednak, że śledztwo utknęło w martwym punkcie, więc według oceny prokuratora nie istnieje już groźba zafałszowania dowodów i nie ma podstaw, by dłużej trzymać cię w zamknięciu.

– Rozumiem, Rune.

Chyba usłyszał coś w tonie mojego głosu, bo nagle wydał mi się skrepowany.

– Wiem, że to rozumiesz, tyle tylko że... jakbyś był nieobecny. Stąd ta moja paplanina.

W domu panował zaduch. Pachniało kurzem i czymś jeszcze. Unosiła się tu lekka, niezidentyfikowana woń czegoś zgniłego i ohydneho. Chodziłem od pokoju do pokoju, nie włączając światel, jakbym się bał, że ktoś odkryje moją obecność. Meble jawiły się jako ciemne kształty w mroku. Słaby blask latarni ulicznych wpadał przez okna, pozwalając mi rozróżnić szczegóły otoczenia, znajome i obce zarazem. Bez zastanowienia zająłem moje stałe miejsce w wykuszu. Stały tam dwa fotele. Zawsze wybierałem ten z prawej. Miał wytarte, miękkie obicie, podczas gdy drugi fotel wydawał się zupełnie nowy i nieużywany.

Na stoliku między fotelami stał na pół pełen kubek z kawą. Stał tak przez dziesięć tygodni, więc powierzchnię pokryła pleśń, szarobiała w słabym świetle. Z obrzydzeniem odsunąłem go od siebie, postanawiając, że następnego dnia odkurzę i posprzątam.

W głębi ducha wiedziałem, że wszystkie te pomysły na prace domowe są jedynie wykrętami, wymówkami, aby nie musieć myśleć. Wyszedłem z więzienia, byłem wolnym człowiekiem, nadszedł czas, by znów zająć się swoim życiem, ruszyć do natarcia, wykombinować jakieś rozwiązania.

Bo nic z tego, co mi się przytrafiło, nie zdarzyło się przypadkowo. Początkowo sądziłem, że Morten Ålekjaer wybrał

mnie na zleceniodawcę bez głębszego namysłu, po prostu żeby mieć na kogo zrzucić winę, i wtedy byłem też stosunkowo pewny, że sprawa przeciwko mnie sama się rozwiąże wraz z postępem śledztwa. Tak dzieje się z większością fałszywych zgłoszeń czy oskarżeń – nie wytrzymują starcia z rzeczywistością. Jednak w tym przypadku wcale się tak nie ułożyło, wprost przeciwnie. Z czasem wyszły na jaw nowe szczegóły. Morten Ålekjaer wiedział, gdzie byłem i co robiłem w noc świętojańską. Wiedział nawet, jakie miałem na sobie ubranie.

I zadzwonił do mnie, zostawiając elektroniczny ślad, który dowodził, że kontaktowaliśmy się tuż przed napaścią. Podczas kolejnej wizyty Runego Seima w więzieniu dokładniej przyjrzałem się billingowi. Połączenie z telefonu komórkowego Mortena Ålekjaera było krótkie, nie trwało więcej niż sześć sekund. Tyle wystarczyło, aby się przedstawił i abym ja powiedział, że może zaczynać, tak jak to zeznał. Jednak wystarczyło to też pewnie, aby nieznajomy głos zapytał o nieznajome nazwisko i żebym ja odpowiedział, że wybrano zły numer. Bo to właśnie musiało się zdarzyć. Niewyraźnie przypominałem sobie telefoniczną pomyłkę, która tego wieczoru przeszkodziła mi w bieganiu. Sądziłem, że to właśnie musiało się wydarzyć. Nie dostrzegałem innej możliwości, ponieważ jedyne, czego w tej sprawie byłem stuprocentowo pewien, to tego, że Morten Ålekjaer kłamał.

Nie dało się wysnuć innego wniosku niż ten, że wszystko zostało ukartowane. Zrzucenie winy na mnie nie było ślepym wyborem Mortena Ålekjaera. Ktoś ułożył prosty, lecz przebiegły plan, w którym ja grałem rolę kozła ofiarnego. Nietrudno zrozumieć, że musiał stać za tym Grek. Tylko on skorzystał na tym, co się stało, ale niewiele mi to pomagało. Znalazłem się w sieci kłamstw i nie

wiedziałem, jak się z niej wydostać. Za każdym razem, gdy o tym myślałem, odczuwałem frustrację i wściekłość. Przerazało mnie to trochę, wywoływało wrażenie, że nie panuję nad sobą.

Wziąłem się w garść, odsunąłem myśli na bok, wstałem i zacząłem włączać światła. Przegoniłem cienie otaczającej mnie nocy. Poszedłem do kuchni, gdzie znów poczułem woń zgnilizny, tym razem nieco silniejszą. Zrobiłem głęboki wdech i otworzyłem lodówkę. Zapach uderzył mnie w twarz, kaszlnąłem i poczułem mdłości. Wyjąłem czarny worek na śmieci i wrzuciłem do niego wszystko, łącznie z garnkami i miskami, po czym wyniosłem go w wiadrze i otworzyłem na oścież kuchenne okna. Mimo to smród prześladował mnie przez całą noc – słodkawy, gryzący zapach, jakby ktoś ukrył w moim domu zwłoki.

Rankiem w łazience trząsałem się z zimna. Pod stopami miałem lodowate kafelki. Gdy mnie aresztowano, było lato. Teraz nastąpiła jesień. Włączyłem ogrzewanie podłogowe, ale wiedziałem, że kilka godzin potrwa, nim się nagrzeje. W lustrze widziałem, jak bardzo schudłem. Pod bladą skórą odznaczały się żebra. Twarz wydawała się zmęczona, nowe zmarszczki zarysowały się na policzkach, włosy prawie całkiem posiwiały. Po raz pierwszy pomyślałem, że wyglądam na starszego, niż jestem. Nie podobał mi się też wyraz moich oczu, błysk lęklivosti, którego wcześniej tam nie było. Spróbowałem zmarszczyć brwi, dodać twarzy nieco stanowczości, ale wyszedł mi tylko krzywy grymas. Robiłem wrażenie raczej smutnego niż przebojowego.

W kancelarii nie byłem złodziejem, ale duchem. Ludzie wzdrygali się na mój widok, podskakiwali przerażeni i niepewnie się ze mną witali, nie wiedząc, jak się zachować w związku z moim nagłym powrotem. Prawie zapominałem przez to o własnej niedoli.

Nie wiem dlaczego, lecz przyjąłem za pewnik, że firma została powiadomiona o moim zwolnieniu i że się mnie spodziewano, ale najwyraźniej wcale tak nie było. Gdyby się zastanowić, to przez te dziesięć tygodni sam nie dałem znaku życia. Miałem co prawda zakaz korespondencji i odwiedzin, lecz uderzyło mnie, że współpracownicy, a szczególnie Peter, mogli przesłać mi za pośrednictwem Runego Seima pozdrowienia, jakieś krzepiące słowo. Może Peter to zrobił. Może tylko tego nie odnotowałem. Podczas pobytu w areszcie bywały dni, kiedy niewiele do mnie docierało.

Ludzie mnie unikali, zdarzały się jednak wyjątki. Jedną z ostatnio zatrudnionych aplikantek, młoda dziewczyna, która wyglądała, jakby właśnie była u konfirmacji, i której imienia nawet nie pamiętałem, zapukała do moich drzwi i wetknęła głowę do środka.

– Dzień dobry – powiedziała. – Słyszałam, że pan wrócił. Witamy. – Po czym po chwili wahania dodała: – Dobrze się pan czuje?

– Tak, dziękuję – odparłem. – Dziękuję bardzo.

Kiedy poszła, przypomniałem sobie, że ma na imię Ida.

Była jeszcze Eva, recepcjonistka. Kiedy przyszedłem, właśnie coś załatwiała poza kancelarią, lecz potem wpadła do mojego gabinetu bez pukania, ze łzami w oczach. Objęła mnie i powtarzała: „Mikael, Mikael, Mikael”, aż ostrożnie wyswobodziłem się z jej uścisku i cicho się zaśmiałem. Gdy jednak oznajmiła, że jest przekonana o mojej niewinności, bez względu na to, co mówią ludzie, musiałem odwrócić się na chwilę, aby skryć napływające do oczu łzy. Wiedziałem, jak jestem wrażliwy, jak niewiele trzeba, aby stłuc skorupę, którą próbowałem wokół siebie zbudować.

Później pojąłem sens tego, co powiedziała.

„Bez względu na to, co mówią ludzie”.

Siedziałem na krześle za biurkiem. Na moim krześle, za moim biurkiem. W moim gabinecie. W mojej firmie. Powinienem czuć, że wróciłem do domu, lecz miałem jedynie chęć uciekać. Widziałem kwadratowe ślady na blacie, pokryte cieńszą warstwą kurzu niż jego pozostała część. Przeniesiono stamtąd sterty papierów, zabrano teczki. Nic w tym dziwnego. Sprawy nie zatrzymały się z powodu mojego zniknięcia. Klienci nadal potrzebowali pomocy, a kancelaria musiała zapewnić środki, by zapanować nad sytuacją. Mimo to wywarło to na mnie trochę nieprzyjemne wrażenie, jakby ktoś wdarł się na mój prywatny teren. Odrzuciłem to uczucie, wiedząc, że jest irracjonalne.

Na drugim końcu biurka leżał stos nieotwartych prywatnych listów. Prędko je przejrzałem. Kilka rachunków, trochę reklam oraz zaproszenie na przyjęcie, które już dawno się odbyło. Poza tym znajdowała się tam koperta z ozdobnym logo Związku Adwokatów.

Otworzyłem ją z bijącym sercem. List składał się z zaledwie pięciu linijek. Suchym, rzeczowym językiem informowano mnie, że tymczasowo zawieszono moją licencję adwokata, w oczekiwaniu na ostateczne rozwiązanie toczonej przeciwko mnie sprawy karnej. Siedziałem przy biurku. Może powinienem był się tego spodziewać, zrozumieć, że to się stanie, lecz nawet nie przyszło mi to na myśl. Podejrzywałem, że trudno może być wrócić do pracy, zastanawiałem się, czy powinienem występować w sądzie, skoro sam jestem podejrzany, czy nie wpłynie to negatywnie na moich klientów, ale nigdy nie spodziewałbym się, że zostanę pozbawiony możliwości pracy.

Po chwili raz jeszcze przeczytałem list. Nosił datę sprzed trzech

tygodni. Kopie wysłano do sądów, jedną do wojewody i jedną do firmy, dla informacji.

W firmie o tym wiedziano. Peter, Hans Olav i Steinar Kroken wiedzieli o tym od trzech tygodni. Dostali kopię, a oryginał położyli na krawędzi mojego biurka. Razem ze stertą niezapłaconych rachunków zostawili list, który pozbawiał mnie możliwości wykonywania zawodu. List, który znowu wywrócił moje życie do góry nogami. Wiedzieli, ale nie pisnęli ani słowa, nie przesłali mi listu ani nie przekazali informacji. Ciepło ogarnęło moje ciało i głowę, jakbym dostał nagłej gorączki, dłonie zaczęły mi drżeć.

Siedziałem tak wpatrzony w pustkę, aż się uspokoilem, po czym wstałem od biurka i poszedłem do domu, nie odezwawszy się do nikogo słowem.

ROZDZIAŁ 10

Straciłem licencję, ale nadal byłem współwłaścicielem firmy. Byłem też jej najbardziej znanym adwokatem. Pozostali nie mogli mnie tak po prostu ignorować. Czekałem prawie tydzień, a kiedy wreszcie odebrałem telefon z kancelarii, nie usłyszałem Petera ani innego z partnerów. Któraś z sekretarek chciała się dowiedzieć, czy może umówić mnie na spotkanie następnego ranka. Miałem ochotę cisnąć słuchawką, krzyknąć, że sami muszą zadzwonić, jeśli pragną ze mną rozmawiać, ale zmieniłem zdanie i powiedziałem, że przyjdę.

Następnego ranka wstałem wcześniej. Wziąłem prysznic i dokładnie się ogoliłem, wyprasowałem białą koszulę, wyjąłem garnitur i krawat. Zerknąłem na siebie w lustrze. Garnitur na mnie wisiał. Kropla krwi pojawiła się na podbródku w miejscu, gdzie skaleczyłem się przy goleniu. „Więzień w przebraniu adwokata” – pomyślałem, próbując uśmiechnąć się do swojego odbicia, ale usta skrzywiły się tylko w grymasie bez cienia humoru.

– Jeśli mógłbyś chwilę poczekać... – powiedziała Eva. – Zaraz będą gotowi.

Posłałem jej uśmiech, lecz pokręciłem głową.

– Chyba nie – odparłem. To była moja firma, więc nie miałem zamiaru siedzieć w recepcji jak klienci czekający, aż adwokat zgodzi się ich przyjąć. Woląłem spróbować przejąć inicjatywę. Wziąłem filiżankę kawy z kuchni i usiadłem w sali spotkań.

Po pięciu minutach otworzyły się drzwi, a do środka zajrzał Hans Olav z lekką dezorientacją na twarzy.

– Tutaj jesteś? – zapytał i zniknął, nie czekając na odpowiedź. Dwie minuty później wrócił w towarzystwie Steinara Krokena. Zamknął za sobą drzwi, a ja uniosłem pytająco brwi.

– A Peter? Nie dołączy do nas?

– Nie – powiedział Steinar. – Peter jest... Niestety nie mógł do nas dołączyć.

Skinąłem tylko głową, gdyż w tej samej chwili uświadomiłem sobie, jaki przebieg będzie mieć to spotkanie. Aż do tej pory do końca w to nie wierzyłem, lecz teraz już wiedziałem i chociaż gardziłem Peterem za to, że zabrakło mu odwagi na osobistą konfrontację, jednocześnie poczułem ulgę z powodu jego nieobecności. Nigdy nie przypuszczałem, że nasza przyjaźń skończy się w taki sposób.

– Cóż – rzekł Hans Olav i odchrząknął. – Zacznijmy. – Jego twarz przybrała trochę zasmucony wyraz. – To nie takie proste, Mikaelu, ale musimy porozmawiać o twojej przyszłości tutaj. Symbolizujesz wszystko, co reprezentuje ta firma, dlatego chciałbym wyrazić mój...

– Daruj sobie tę gadkę – przerwałem mu. – Nie mam siły słuchać jednego z twoich przesadnie uroczystych i mocno nieszczerých przemówień, Hansie Olavie. Nie lubisz mnie, obaj o tym wiemy. Ja ciebie też nie lubię. Więc proszę, przejdźmy do rzeczy.

Steinar Kroken wydawał się zszokowany, jak gdybym popełnił okropną gafę. Był człowiekiem, który lubił przestrzegać wszelkich towarzyskich reguł gry, nawet gdy dźgał kogoś w plecy. Hans Olav z kolei skinął powoli głową.

– Jak chcesz – rzekł. – Sprawa wygląda tak, że nie pracujesz już w tej firmie, Mikaelu.

Gdy nie odpowiedziałem, kontynuował.

– Straciłeś licencję i nie możesz już wykonywać zawodu adwokata. Nie wiem, jak miałbyś...

– Jestem nadal współwłaścicielem. I nic nie stoi na przeszkodzie, abym tymczasowo pracował jako referent – odparłem.
– Brak licencji oznacza jedynie, że nie mogę występować w sądzie.

W oczach Hansa Olava pojawił się błysk zadowolenia, jakby ucieszył się, że przedstawiłem swój argument.

– To, co zrobiłeś... Popełniłeś przestępstwo niezgodne z tym, co reprezentuje ta firma. To niedopuszczalne, abyś dalej pracował po tym, co się stało.

– Czy nie powiedziałaś właśnie, że symbolizuję wszystko, co ta firma reprezentuje?

Rumieniec irytacji wystąpił na jego policzki.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Nie – zaprzeczyłem. – Nie wiem. Nie zostałem skazany. Czy nie obowiązuje już zasada domniemania niewinności do momentu udowodnienia winy?

– Nie jesteśmy w sali sądowej, Mikaelu. Z taką reputacją nie możesz tu dłużej pracować. – Tym razem to Steinar Kroken zabrał głos. Gapił się na mnie butnie, gdy odwróciłem się w jego stronę.

– Co chcecie zatem zrobić?

– Odbyliśmy zebranie wspólników, podczas którego podjęliśmy decyzję o wykluczeniu cię jako partnera. Pozwala na to umowa, w przypadku gdy któryś z partnerów w istotny sposób naruszy jej warunki, zaniedba swoją działalność adwokacką lub okaże się w inny sposób nieodpowiedni do pełnienia swojej funkcji. Przypuszczam, że to, co zrobiłeś, kwalifikuje cię do wszystkich kategorii.

– Zebranie wspólników beze mnie?

Hans Olav pochylił się i znów przemówił, dużo agresywniej niż Steinar.

– Siedziałeś w więzieniu. Co mieliśmy zrobić?

– A Peter... się z tym zgadza?

W odpowiedzi przesunął do mnie po stole kartkę. Prędko omiotłem wzrokiem jej treść. Był to krótki protokół z zebrania wspólników. Decyzja o wykluczeniu mnie z firmy zapadła jednogłośnie. Podpis Petera był prawie nieczytelny, lecz dobrze mi znany. Na jego widok poczułem ukłucie. Popatrzyłem na mężczyznę po drugiej stronie stołu. Hans Olav, pozornie rozluźniony, lecz jego mięśnie szczęk pracowały, a coś w spojrzeniu zdradzało, jak szczerze mnie nie lubi. Z zarozumiałej twarzy Steinara Krokena wyczytałem oburzenie spowodowane moim zachowaniem.

– Wyleciałeś, Brenne – warknął. – Pogódź się z tym.

– Zastanowię się nad tym – odrzekłem.

– Masz przed sobą zupełnie inną sprawę, nad którą powinieneś się zastanawiać, Mikaelu – zwrócił mi uwagę Hans Olav.

Moje dłonie zaczęły bez ostrzeżenia drżeć. Szybko włożyłem je do kieszeni. Odchyliłem się na krześle, próbując wyglądać na odprężonego.

– Zastanowię się nad tym, czy was pozwać, czy nie – wyjaśniłem.

– Zrobisz, co zechcesz, Mikaelu – stwierdził Hans Olav. – Ale chyba daleko nie zajedziesz.

Wstałem i włożyłem płaszcz.

– Zobaczymy. Takich jak wy jadałem na śniadanie.

– Chyba wtedy, gdy jeszcze miałeś licencję adwokacką – sparował Hans Olav, na co Steinar wybuchł gromkim śmiechem.

Wyszedłem przez recepcję, radośnie pomachałem Evie na pożegnanie, po czym zszedłem spokojnie po schodach. Między pierwszym a drugim piętrem musiałem się zatrzymać i oprzeć

głowę o ścianę. Poczucie bezsilności było tak potężne, że przez chwilę obawiałem się, że zacznę płakać. Hans Olav miał rację. Przede mną zatrzaśkiwały się kolejne drzwi, ale dopóki nad głową wisiała mi sprawa karna, zupełnie nic nie mogłem z tym zrobić. Po jakimś czasie bezsilność zmieszała się z wściekłością. Nie tylko na Hansa Olava i Steinara Krokena, ale przede wszystkim na Petera. Nasza przyjaźń trwała dwadzieścia pięć lat. Imprezowaliśmy i pracowaliśmy razem, razem świętowaliśmy sukcesy i pocieszaliśmy się nawzajem po porażkach. Był świadkiem na moim ślubie, a ja na jego. Byłem ojcem chrzestnym jednej z jego córek. Zdrada Petera wydawała mi się tak fundamentalna, że nie mogłem jej pojąć; zostawiła gorzki posmak na języku.

Wpadłem w ten sam otępiający rytm, który rządził moim pobytem w więzieniu. Większość dnia spędzałem na kanapie, spałem po kilka godzin, za mało jadłem, za dużo piłem. Wiedziałem, że nie mogę tak dalej funkcjonować. Musiałem wziąć się w garść, zająć się swoim życiem, zorganizować sobie jakąś normalną codzienność. Pewnego wieczoru zmusiłem się do zajęcia miejsca przed komputerem ze stertą nieopłaconych rachunków. Wszedłem na stronę banku i sprawdziłem salda moich kont. Jedną z niewielu zalet pobytu w więzieniu był znaczny spadek wydatków. W ostatnich miesiącach nie wydałem na siebie dużo, ale stałe koszty nie zniknęły, a nie miałem większych wpływów. Kiedy zapłaciłem rachunki, na koncie osobistym niewiele zostało. Były jeszcze pieniądze na koncie oszczędnościowym, ale szybka kalkulacja pokazała, że starczy ich najwyżej na parę miesięcy, nawet przy zachowaniu ostrożności. Musiałem znaleźć sobie źródło dochodu. W przeciwnym razie utrata domu była tylko kwestią czasu. W tamtym momencie wpadłem jednak wyłącznie na to, aby

otworzyć butelkę koniaku. Gdy zataczałem się do łóżka, zostało go mniej niż połowa.

Następnego dnia kac tworzył w mojej głowie lokalny obszar niskiego ciśnienia. Ubrany jedynie w szlafrok podreptałem do przepelnionej skrzynki na listy. Od powrotu nie wychodziłem do ogrodu. Był piękny jesienny poranek, więc zdecydowałem się wypić kawę na zewnątrz. Holenderska spółka finansowa chciała dać mi tanią pożyczkę i nową, lepszą kartę kredytową. Dentysta przypominał mi, że dawno nie byłem na kontroli. Kobieta, której nazwiska nie znałem, przeczytała o mnie w gazecie i twierdziła, że moją jedyną nadzieją jest zwrócić się do Boga. Miałem czterdzieści tysięcy koron podatku do dopłacenia. Wypiłem łyk kawy, po czym otworzyłem ostatni list, w którym przeczytałem, że prokuratura oskarża mnie „o naruszenie §132a kodeksu karnego, ustęp pierwszy por. ustęp trzeci, dotyczącego przeciwdziałania pracy systemu sądowniczego w okolicznościach szczególnie zaostrzających odpowiedzialność karną, oraz §129, mówiącego o przyczynieniu się do uszkodzenia ciała”. Czułem, jakby życie wymierzało mi nowy policzek za każdym razem, gdy próbowałem się podnieść.

Złote listowie bukowego żywopłotu migotało w słońcu. Na dworze pachniało wilgotną ziemią i mokrymi liśćmi, a powietrze było łagodne i przyjemne.

Piłem kawę, myśląc o zmianie i upadku. Nieco ponad trzy miesiące temu ten ogród był w miarę zadbany. Teraz wysoko pięły się gęste chwasty. Nieco ponad trzy miesiące temu pracowałem jako wzięty adwokat. Teraz byłem blady po pobycie w więzieniu, dziesięć kilo lżejszy, pozbawiony pracy i dochodów, a w najbliższej przyszłości czekało mnie niewiele poza wyrokiem w sprawie karnej.

Przeraziło mnie, jak szybko się to potoczyło i jak kruche okazało się wszystko, co tworzyło moje poczucie bezpieczeństwa. Przeraziło mnie też, jak bardzo bierny się stałem. Byłem niczym bokser zamroczony już po pierwszym uderzeniu. Wiedziałem, że muszę przejść do ataku, zacząć zadawać ciosy. Nie wiedziałem tylko komu.

ROZDZIAŁ 11

Drgnąłem na dźwięk dzwonka do drzwi. Odkąd zostałem zwolniony z aresztu, nikt do mnie nie zaglądał. Próbowałem zastanowić się, kto powinien to uczynić, którzy przyjaciele byli mi tak bliscy, abym mógł spodziewać się ich wizyty, ale nie przychodził mi do głowy nikt z wyjątkiem Petera, a ta przyjaźń już się skończyła. Dzwonek zabrzmiał ponownie, niecierpliwie. Miałem ochotę go zignorować, lecz wziąłem się w garść i mimo wszystko otworzyłem drzwi.

Na zewnątrz stała Synne. Poza tamtym epizodem w sądzie nie widziałem jej od ponad pół roku. Nie odezwała się, tylko patrzyła na mnie wyczekująco, aż cofnąłem się i zaprosiłem ją do środka. Była kiedyś zdolną i godną zaufania aplikantką. Lubiliśmy się, w końcu zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi, lecz ja skutecznie i brutalnie zniszczyłem tę przyjaźń, odmawiając Synne partnerstwa w firmie. Tą decyzję podjąłem wyłącznie z egoistycznych pobudek. Chciałem zatrzymać Synne w roli pomocnicy, zamiast pozwolić jej robić karierę, lecz ostatecznie ją straciłem, a zostali mi Hans Olav i Steinar. Może dostałem to, na co zasłużyłem.

– Jak się masz? – zapytała, wszedłszy do salonu. Jej wzrok spoczął na kocach zwiniętych na kanapie, gazetach na stole, brudnych filiżankach po kawie. Widziałem, jak jej nozdrza wibrują; zdawała się wyczuwać zapach rozkładu. Następnie zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, po czym kiwnęła głową, jakby potwierdziły się wszystkie jej obawy.

– Fatalnie tu wyglądasz. Ty też fatalnie wyglądasz, Mikael. Jesteś chudy i załosny.

– Dziękuję – mruknąłem. – Ty z kolei wyglądasz olśniewająco.

Skwitowała to krótkim uśmiechem, ale taka była prawda. Czas dobrze obszedł się z Synne. Jej twarz o regularnych, delikatnych rysach wreszcie zaczęła nabierać charakteru. Trochę przytyła, co do niej pasowało. Zawsze przypominała wyrosniętą dziewczynkę, jednak teraz jej ciało stało się pełniejsze. Miała na sobie adidas, obcisłe spodnie treningowe i podkoszulek.

– Biegasz?

– Chciałam z tobą porozmawiać, więc pomyślałam, że upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu.

– O czym porozmawiać? Nie rozmawiałaś ze mną przez osiem miesięcy.

– Sześć. Mogę usiąść?

– Tak, oczywiście. Przepraszam. Może się czegoś napijesz?

Poprosiła o szklanekę wody. Kiedy wróciłem z kuchni, siedziała w jednym z foteli w wykuszu. Zająłem miejsce w drugim. Wypiła do dna, po czym zerknęła na mnie.

– To prawda, co słyszałam?

– Zależy, co słyszałaś.

– Że straciłeś licencję i wyrzucili cię z firmy na bruk.

Skinąłem głową.

– Tak.

– Co za świnię! – Była szczerze wzburzona. – Za grosz lojalności!

– Tak. Bardziej w ich stylu jest kopać leżących kolegów.

– A Peter...? Jak Peter mógł pozwolić, żeby...?

Machnąłem ręką. Nie chciałem rozmawiać o Peterze.

– Nie wiem, Synne, ale to zrobił.

– Nie mogłam uwierzyć, gdy się dowiedziałam. – Zawahała się chwilę. – Co teraz zrobisz, Mikael?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem.

– Myślałeś, jak to rozwiązać?

– Chyba nie mam za bardzo wyboru, co? Czeka mnie sprawa karna, jest tuż za rogiem. Mogę wylądować za kratkami na wiele lat. I...

Spojrzenie miała chłodne, badawcze.

– Potrzebujesz pieniędzy, prawda? Nie wyobrażam sobie, że oszczędzałeś na czarną godzinę. To do ciebie niepodobne.

– Coś pewnie wymyślę.

– Naprawdę?

Zapadła między nami cisza. Po chwili westchnęła i powiedziała, nie patrząc na mnie:

– Pracuj dla mnie, Mikael.

Milczałem. Długo.

– Nie potrzebuję jałmużny.

Kolejne westchnienie.

– Nie bądź upartym durniem.

– Dam sobie radę.

– Jak? Zostaniesz taksówkarzem? Albo zatrudnisz się w McDonalddie?

Nie odpowiedziałem, a ona kontynuowała.

– Możesz nadal pracować jako referent, chociaż nie masz licencji. Jesteś zdolnym prawnikiem. Mógłbyś też chyba przejąć paru dawnych klientów, prawda?

– Nie wiem. Moimi sprawami zajęli się już pewnie inni adwokaci.

– Tak. Ale możesz pogadać z klientami, w każdym razie z tymi, których dobrze znasz i z którymi jesteś w dobrych relacjach. Na pewno uda ci się kogoś przekonać.

– Może – odparłem z wahaniem.

– Uda ci się, Mikael. Nie licz na krocie, ale... – krzywo się uśmiechnęła – ...ty też nie płaciłeś mi dużo.

– Sam nie wiem.

– Nie bądź głupi. Czekam na ciebie w biurze jutro przed dziewiątą.

Gdy była w drodze do drzwi, chrząknąłem i odezwałem się:

– Jeszcze jedno, Synne. Ten napad, z powodu którego mnie oskarżono... Chciałem ci tylko powiedzieć...

Przerwała mi.

– Nie musisz nic mówić. Znam cię od lat. Wiem, że tego nie zrobiłeś.

Po chwili wspięła się długimi susami pod górę i zniknęła w mroku wieczoru. Zostałem na schodach z zapachem świeżego potu i lekkim aromatem perfum w nozdrzach oraz ze łzami w oczach. Niewiele innych osób we mnie wierzyło.

To był najmniejszy gabinet świata, tak mały, że Synne się zawstydziała.

– Właściwie to nie gabinet... Mieliśmy tu składzik, ale tylko tyle mogę zaoferować.

Rozejrzałem się. Pokój urządzone naprędce. Małe biurko, chybotliwe krzesło biurowe z dziurawym obiciem, pusta półka. Przed biurkiem stało pojedyncze drewniane krzesło. Przypuszczałem, że to dla klientów, ale nie byłem pewien, czy między biurkiem a ścianą znajduje się dość miejsca, żeby ktoś zdołał się tam wślizgnąć. Tuż pod sufitem małe okienko wpuszczało do środka odrobinę światła dziennego.

– W porządku – odpowiedziałem. – Nie ma problemu.

– Za to masz telefon – poinformowała Synne.

– Tak, świetnie. Bardzo ładny telefon.

Staliśmy tak chwilę w milczeniu, przyglądając się aparatowi, po czym naraz wybuchliśmy śmiechem.

Pani Sørensen, sekretarka o matczynym usposobieniu, będąca oprócz mnie jedyną osobą zatrudnioną w firmie, popatrzyła na nas trochę niepewnie, ale też się uśmiechnęła.

– Kawy, panie Brenne? – zapytała.

– Mikael – poprawiłem ją. – Proszę mówić mi Mikael. I dziękuję, poproszę. Jeśli ją zmieszczę w gabinecie.

Znów zaczęliśmy się śmiać i tym razem pani Sørensen nam zawtórowała.

Dzwonienie do moich dawnych klientów nie było już takie zabawne. Nie dysponowałem teczkami i numerami telefonów, więc trochę czasu zajęło zdobycie ich. Skupiłem się na osobach, z którymi miałem osobisty kontakt, na klientach, z którymi pracowałem przy wielu sprawach, lecz dość prędko zorientowałem się, że Hans Olav mnie uprzedził. I ani trochę nie oszczędził.

Najpierw dotarłem do niejakiego Bullego. Sam twierdził, że przywisko wzięło się od jego podobieństwa do buldoga, i był z tego dumny. Reprezentowałem go przez wiele lat.

– Brenne? – Bulle nie dowierzał. – To ty nie siedzisz?

– Już nie – odpowiedziałem. – Wyszedłem. – Wyjaśniłem, że zacząłem pracę w nowej firmie i pozostaję do dyspozycji starych klientów, jeżeli potrzebowaliby pomocy.

– Ten... jak mu było... mecenas Tungesvik powiedział, żebym trzymał się od ciebie z daleka.

– Czyżby? A powiedział dlaczego?

– Tak. Stwierdził, że wystarczy, że sam jestem bandytą, i nie potrzebuję adwokata, który też nim jest.

– Tak powiedział?

– Nie, to moje słowa. On opakował wszystko w ładne prawnicze zwroty, ale to miał na myśli.

– Ale reprezentowałaby cię Synne. Ja trzymałbym się z boku i pomagał swoim doświadczeniem, w każdym razie dopóki toczy się przeciwko mnie sprawa karna.

Na drugim końcu linii na kilka sekund zapadła cisza.

– Jesteś zdolnym adwokatem, Brenne. Lubię cię. Ale to małe miasto. Obojętnie, kto występowałby w moim imieniu, wszyscy i tak wiedzieliby, że to ty pociągasz za sznurki, a tego nie mogę zaryzykować. Przepraszam, ale muszę myśleć o sobie.

– W porządku, Bulle – odparłem. – *No problem*. Powodzenia.

Mało kto wyraził się równie jasno i wyraźnie. Niektórzy po prostu odkładali słuchawkę na dźwięk mojego nazwiska. Inni uciekali się do wymówek i mglistych usprawiedliwień. W każdym razie rezultat pozostawał taki sam – prawie nikt nie dał się namówić na zmianę adwokata. Po dwóch dniach odmów i upokorzeń byłem spocony, zły i zrezygnowany. Poszedłem do Synne na skargę.

– Hans Olav, no tak – powiedziała Synne, pstrykając długopisem. Zapomniałem już o tym irytującym zwyczaju. – Nigdy nie lubiłam tego chłopaka. Jest zbyt ambitny, zbyt zarozumiały, zbyt przebiegły.

– Ale przynajmniej porządnie przyłożył się do zadania. Klienci boją się mnie bardziej niż zarazy.

– Nikt nie chciał się przenieść?

– Tylko dwie małe sprawy narkotykowe, jedna sprawa z drogowki i jedno oszustwo. To tyle.

Wzruszyła ramionami.

– Zawsze coś, Mikael. Nie jestem przyzwyczajona do tego, że duże sprawy czekają na mnie w kolejce.

– Ale ja jestem.

Uśmiechnęła się.

– Witamy w nowym życiu. Rozmawiałeś ze wszystkimi klientami?

– Prawie. Do kilku nie mogę się dodzwonić. Poza tym mam spotkanie na temat pewnej sprawy, gdzie klient jeszcze ma podjąć decyzję.

– Ach tak? A co to za sprawa?

– Wznowienie. Stara jak świat sprawa zabójstwa. Nienawidzę takich spraw, na ogół to same bzdury.

– Tak? To po co ktoś miałby próbować wznowić swoją sprawę, skoro to same bzdury?

Westchnąłem.

– Mnie nie pytaj, ale to dość powszechne, że ludzie z poważnymi wyrokami nie godzą się z tym i przez resztę życia usiłują oczyścić się z zarzutów, pomimo swojej ewidentnej winy.

– Tak jest i teraz?

– Najprawdopodobniej, ale szczerze mówiąc, nie przeczytałem jeszcze ani słowa. W starym biurze czekają na mnie trzy skrzynki dokumentów.

Synne skinęła głową. Pomyślała. Pstryknęła długopisem.

– Okej. Klient zapłaci?

– Do sześćdziesięciu tysięcy.

– Spotkaj się z nim, zajmij się sprawą. Wystarczy na twoją pensję przez dwa miesiące.

– To moja pensja? Trzydzieści tysięcy miesięcznie? To będzie brutto?

Machnęła lekko dłonią.

– Coś takiego. Później o tym pogadamy. Zajmij się tylko tą sprawą.

– Tak, szefowo. – Wstałem. – Ale muszę skorzystać z twojego gabinetu.

– Dlaczego? Twój nie jest dość imponujący?

– Nie o to chodzi. Klient przychodzi z matką, a u mnie nie będzie miejsca dla obojga.

ROZDZIAŁ 12

Aron Sørvik nie wyglądał na mężczyznę, który spędził osiemnaście lat w więzieniu. Miał świeżą, rumianą cerę, jaką często miewają jasnowłosi ludzie przebywający dużo na świeżym powietrzu. Był dość niski i krępy. Mocno ścisnął dłoń, mówił cicho, a jednak wyraźnie. Wiedziałem, że przekroczył czterdziestkę, ale wyglądał dużo młodziej. Trudno było uwierzyć, że zabił dwie osoby.

– Myślałem, że będzie z panem matka – powiedziałem, gdy poprosiłem go, by zajął miejsce. Pokręcił głową.

– Nie. Przyjechała ze mną do miasta, ale nie będzie jej na spotkaniu.

– Okej. W takim razie źle zrozumiałem.

– Tak. Ale czeka na zewnątrz. Sądziła, że nie powinienem sam jechać do miasta.

Miał w sobie coś z dziecka. Świadczyły o tym nie tylko jego słowa, lecz także sposób, w jaki je wypowiedział, jak gdyby było normalne, że matki towarzyszą dorosłym mężczyznom w wyjazdach do miasta. Skinąłem głową i uśmiechnąłem się do niego, a on zamrugał naiwnie ufnymi, błękitnymi oczami. Przez chwilę zastanawiałem się, czy Aron Sørvik nie jest trochę niedorozwinięty.

– Posłuchaj, Aron – odezwałem się. – Kiedy zgodziłem się przyjrzeć twojej sprawie, prawie nic o niej nie wiedziałem. Niewyraźnie pamiętam ją z prasy, to wszystko. Niestety nadal wiem równie mało. Nie zacząłem jeszcze czytać dokumentów, kiedy... coś się stało. I dlatego poprosiłem, żebyś tu dzisiaj przyjechał.

Kiwnął głową.

– Został pan aresztowany.

– Zgadza się.

– A mama mówi, że nie jest pan już adwokatem. Że już nie może mi pan pomóc. Ktoś do niej zadzwonił i tak powiedział. To prawda?

– I tak, i nie.

Popatrzył na mnie zdezorientowany.

– Co to znaczy?

– Mogę przeanalizować twoją sprawę i zobaczyć, co uda mi się wymyślić, a jeżeli będą ku temu podstawy, mogę zrobić wszystko, co trzeba, aby wznowić proces, ale nie zrobię tego w swoim imieniu.

– Wyjaśniłem, na czym polega mój układ z Synne.

Aron zastanowił się chwilę.

– Więc pan wykonuje całą pracę, ale pani... mecenas Bergstrøm się pod tym podpisuje?

– Zgadza się. Jednak wszystko zależy od ciebie. Zrozumiem, jeżeli w tej sytuacji wybierzesz innego adwokata.

Znów przerwa na zastanowienie. Zacząłem się już do nich przyzwyczajając. Rozumiałem, że to wolne tempo, proste zdania, stanowią część jego stylu bycia i nie muszą wcale oznaczać, że jest głupi.

– Powiedziano mi, że jest pan zdolny. Może nawet najlepszy. I chyba aresztowanie tego nie zmieniło?

– Nie.

– W takim razie w porządku. Jeżeli nadal chce mi pan pomóc.

– Chcę.

Porozmawialiśmy nieco o jego sprawie. Mówił, jakby tak naprawdę go nie dotyczyła, jakby wszystko to przydarzyło się innej osobie.

– Tak – odpowiedział na moje pytanie – zostałem skazany za dwa zabójstwa.

– Dwóch młodych kobiet, prawda?

– Tak, dwóch dziewczyn, obie były z wyspy.

– Z Vestøy, skąd pochodzisz?

– Zgadza się.

– A te dziewczyny... Obie znałeś?

– Tak, oczywiście, przecież dorastaliśmy razem.

– Okej. Zapoznam się z aktami i wtedy pogadamy. Prawdopodobnie pojedę na Vestøy. Wtedy będę mógł spotkać się z innymi mieszkańcami wyspy. Z twoją matką też chciałbym zamienić parę słów.

Zmarszczył czoło.

– Nie wiem. Mama nie jest tym zachwycona. Wolałaby, żebym zostawił tę sprawę w spokoju. Mówi, że ostatecznie wszystko zostanie zapomniane i każdy może uzyskać przebaczenie od Boga, jeżeli tylko chce.

– Okej. Ale ty jesteś pewien, że chcesz się tym zająć?

– Odsiedziałem osiemnaście lat za dwa zabójstwa, których nie popełniłem. Kiedy wreszcie wyszedłem z więzienia, musieliśmy się przeprowadzić, nie mogliśmy dłużej mieszkać na Vestøy. Teraz mieszkamy w gospodarstwie, z którego pochodzi mama, na małej wysepce oddalonej o pół godziny drogi łodzią. Jesteśmy tam zupełnie sami. – W jego oczach pojawił się błysk. – Chcę zostać uniewinniony. Chcę wrócić na Vestøy.

– Musisz wiedzieć jedno, Aronie: to wcale nie takie pewne, że zdołam ci pomóc. Trudno... bardzo trudno jest wznović starą sprawę zabójstwa. Dlatego nie mogę nic obiecać. Spróbuję, ale nie gwarantuję, że mi się uda.

Skinął głową, już spokojny; spojrzenie błękitnych oczu znów stało się ufne.

– Wszyscy tak mówią. Ale pan jest zdolny. Wierzę, że mi pan

pomoże.

Zanim wyszedł, przedstawiłem go Synne.

– To mecenas Bergstrøm, która oficjalnie będzie twoim adwokatem – powiedziałem.

Kiedy podali sobie ręce, spuścił wzrok i się zarumienił.

– Muszę już iść. Mama czeka.

– Dziwny facet – stwierdziła Synne, gdy zniknął za drzwiami.

– To nie ma znaczenia. Dostaliśmy to zlecenie.

– Myślisz, że możesz mu pomóc?

– Nie wyobrażam sobie tego.

Później wysłałem do swojej starej firmy faks z listą spraw, w których klienci woleli przenieść się ze mną do Synne, i poprosiłem o przygotowanie dokumentów do odbioru następnego dnia.

– Możemy wysłać po nie kuriera – zaproponowała Synne, ale pokręciłem głową.

– Nie ma potrzeby, sam je odbiorę.

– Jesteś pewien, Mikael?

– Dlaczego nie? – zapytałem. Wzruszyła ramionami, mówiąc, że to mój wybór, lecz w jej spojrzeniu widziałem zwątpienie.

Następnego dnia pożałowałem swojej decyzji. Zdążyli już zdjąć szyld z moim nazwiskiem. Teraz nazywali się „Firma adwokacka Ula & Co”. Całe lata wchodziłem do tej kancelarii i z niej wychodziłem, a poza szyldem nic się w niej nie zmieniło, lecz gdy przekroczyłem próg, poczułem się obco. To nie było już moje miejsce, nie miałem tam nic do roboty i wiedziałem, że nie jestem mile widziany. I chociaż Eva uśmiechnęła się jak zawsze, uściśnęła mnie i zapytała o samopoczucie, to chciałem jak najprędzej stamtąd wyjść.

– Masz dla mnie papiery, Evo? – zapytałem, a ona kiwnęła głową i położyła na biurku nieduży stosik cienkich teczek. Prędko je przejrzałem.

– A co ze sprawą Arona Sørvika?

– To sprawy, które dostałam od Hansa Olava.

– Powinna być jeszcze jedna, wznowienie starej sprawy karnej.

Wielka sterta dokumentów policyjnych.

Popatrzyła na mnie trochę bezradnie.

– Nie wiem, Mikaelu. Dostałam tylko te.

– W porządku, to nie twoja wina. Ale klient chce zmienić adwokata, więc muszę mieć te akta. Hans Olav jest u siebie?

– Jest w sądzie.

– A Peter?

– W swoim biurze.

– Sam?

– Chyba tak. Mogę zadzwonić i...

Ale ja zdążyłem już odwrócić się do niej plecami.

Zapukałem do drzwi i otworzyłem je jednym ruchem. Peter uniósł twarz znad sterty papierów i już miał coś powiedzieć, lecz na mój widok ugryzł się w język.

– Dzień dobry, Peter – przywitałem się.

– Mikael.

Zamilkliśmy. Zszokowało mnie, jak bardzo się zmienił. Schudł co najmniej dziesięć kilo. Zawsze był chudy i kościsty, ale teraz garnitur wisiał na nim jak namiot, a oczy straciły swój blask.

– Przyszedłem odebrać akta spraw – powiedziałem.

– Słyszałem. Zacząłeś pracę u Synne, o ile rozumiem.

– Tak. Ale brakuje mi jednej sprawy. Arona Sørvika.

Wznowienie. Hans Olav nie...

– Nie mam o niczym pojęcia, Mikael. Jeżeli klient chce zmienić adwokata, Eva powinna przygotować ci dokumenty. Dam jej znać.

– Dobrze.

Chwilę wahałem się w drzwiach, chciałem po prostu odwrócić się i wyjść, lecz mimo to wyrzuciłem z siebie:

– Co sobie myślałeś, Peter? Jak mogłeś tak po prostu olać w ten sposób dwudziestoletnią przyjaźń?

Przełknął ślinę. Widziałem, jak jego grdyka przemieszcza się z wysiłkiem, głowa zdawała się chybotać niepewnie na cienkiej szyi. Poruszył dłońmi nad blatem stołu, jakby czegoś szukał.

– Ja... – zaczął, po czym ucichł, jak gdyby przestał dobierać słowa. Chciałem już odejść, kiedy wymamrotał coś, czego nie usłyszałem.

– Co? Co powiedziałeś, Peter?

– Powiedziałem, że na końcu mnie męczyłeś.

– To znaczy?

– Nigdy nie brałeś w niczym udziału. Unikałeś odpowiedzialności. I zawsze były z tobą cholerne problemy. Wiecznie jakieś niedoszłe katastrofy, sprawy na śmierć i życie, kłopoty z kobietami, kłopoty z klientami, kłopoty z policją. Znużyło mnie już ciągle ratowanie ci skóry. Nie ruszyłeś nawet palcem, żeby stworzyć sobie sensowny układ z nowymi partnerami. Zresztą i tak byli w większości. Nie mogłem za wiele zrobić.

– Pieprzenie, Peter! Mogłeś postawić sprawę na ostrzu noża, zagrozić, że odejdziesz, cokolwiek. Bez ciebie ta firma by nie przetrwała. Hans Olav i Steinar w życiu nie zdołaliby mnie wyrzucić, gdybyś naprawdę chciał mi pomóc.

– Męczyłeś mnie, Mikael – powtórzył cicho. Wydawało się, że pod jego bladą skórą igrają cienie.

Zanim wróciłem do recepcji, Eva zdążyła sprawdzić, co się stało ze sprawą Arona Sørvika.

– Tutaj są akta, Mikaelu – powiedziała, podając mi teczkę, która wyglądała na pustą. Otworzyłem ją, a w środku ujrzałem jedną kartkę – kopię mojego listu do Arona, w którym informowałem, że przyjmuję zlecenie.

– A gdzie dokumenty? Stały w rogu w moim starym gabinecie, dwa kartony pełne akt.

– Już ich tu nie ma, Mikaelu.

– Co takiego?

– Policja odebrała je pod twoją nieobecność. Przepraszam, ale będziesz musiał pozyskać je od nich.

– Okej – westchnąłem, wtykając cienką teczkę do aktówki. Już miałem zapytać Evę o Petera, lecz zmieniłem zdanie i się pożegnałem.

Wieczorem zadzwoniłem do Finna Ruuda, naszego byłego partnera.

– Słyszałem, co się stało – rzekł – i chyba nie muszę ci mówić, co o tym sędzę. Niestety nic nie mogę zrobić.

– Wiem, Finn, ale to nie dlatego dzwonię.

– Nie?

– Chodzi o Petera. Byłem dzisiaj w kancelarii i go spotkałem. Pomyślałem potem... Nie wyglądał dobrze. Wiesz może, czy nie jest chory?

Po drugiej stronie nastąpiła długa cisza. Później Finn westchnął.

– On ma raka, Mikael.

– O kurde.

Rozmawialiśmy dłużej, lecz Finn nie znał szczegółów.

– Nie chce o tym gadać, chyba wolałby, żeby się nie wydało. Ale,

Mikael...

– Tak?

– Nic nie możemy zrobić dla Petera, ale co ty zamierzasz w swojej sytuacji?

– To znaczy?

– Oczywiście jesteś niewinny postawionych zarzutów. Jak zakładam, oznacza to, że ktoś wykorzystuje cię jako kozła ofiarnego. Moje pytanie brzmi: co z tym zrobisz?

– Nie wiem, co zrobię.

– Nie wiesz?! – W jego głosie brzmiała wyraźna irytacja. – Tak nie mówi Mikael Brenne, którego znam. Nigdy na nic nie czekałeś, nawet wtedy, gdy powinieneś! A w tej sytuacji bierne czekanie wydaje się pewnym sposobem, by wszystko stracić. Rusz się lepiej, chłopcze, nim będzie za późno. Bo na pomoc policji na pewno nie możesz liczyć.

Później długo myślałem. Wieść o chorobie Petera mną wstrząsnęła – tak bardzo, że prawie chwyciłem telefon, by do niego zadzwonić, lecz gorycz z powodu jego zdrady nie minęła. Może był chory, jednak nie zwalniało go to z moralnego zachowania.

Myślałem też o sobie, o własnej sytuacji. O tym, jak wszystko, co wydarzyło się w ostatnich miesiącach, obezwładniło mnie i uczyniło biernym. Finn miał rację. Nie mogłem siedzieć z założonymi rękami, czekając na proces i wyrok, na to, aż los przejmie nade mną kontrolę. Ktoś chciał się na mnie odegrać. Nie wiedziałem kto i dlaczego, ale utknąłem jak mucha w pajęczej sieci. Frustracja wywołana bezsilnością tkwiła we mnie od miesięcy niczym rosnący guz. Nadal tam była, ale teraz zaczęło też narastać nowe uczucie. Spojrzałem na swoje dłonie. Lekko drżały, jakby ktoś je podłączył do prądu. Złość przywitałem jak starego przyjaciela.

ROZDZIAŁ 13

Na drzwiach zamocowano gruby łańcuch bezpieczeństwa. Oko Hansa Mikkelsena przyglądało mi się kilka sekund przez szczelinę w drzwiach.

– Chwileczkę – powiedział, po czym je zamknął.

Kilka minut minęło, zanim usłyszałem brzęk łańcucha i drzwi otworzyły się na oścież. Nie wydawał się zmartwiony, tylko czujny.

– Zastanawiałem się, czy się zjawisz, Brenne – stwierdził. – Późno jest. Zawsze odwiedzasz ludzi koło północy?

Nie odpowiedziałem, a on westchnął i zrobił krok w tył.

– To wejdź już.

Rozejrzałem się z ciekawością po jego salonie. Wytarta skórzana kanapa z IKE-i, stolik kawowy, dwa regulowane fotele przed wielkim telewizorem z płaskim ekranem. Na meblościance stały pamiątki i trochę filmów, ale nie było ani jednej książki. Kilka tanich reprodukcji wisiało na ścianach. Przez suwane drzwi wychodzące na ogródek za domem widziałem turkusowe refleksy oświetlonego basenu, lecz był to jedyny znak luksusu w tym zupełnie przeciętnym norweskim domu.

– Mogę zaproponować coś do picia? – zapytał Grek grzecznie. – Drinka albo piwo?

– Nie, dziękuję – odparłem, jednak zaraz zmieniłem zdanie. – Albo poproszę piwo.

– Nie rozkwitłeś za kratkami, Brenne. Wyglądasz fatalnie, wiesz?

– Tak. Wszyscy mi to mówią.

– Sam siedziałem i też mi się nie podobało. Ale może takim jak ty, porządnym, solidnym obywatelom, jest jeszcze gorzej. Macie więcej do stracenia.

– Mam wszystko do stracenia.

– Nie wszystko – zaprzeczył. – Można stracić jeszcze więcej.

W jego słowach wyczułem ukrytą groźbę, więc zaczęło się we mnie gotować. Musiał to zauważyć, bo uniósł dłonie w uspokajającym geście.

– Wyluzuj, Brenne. Usiądź.

Stałem, czując bużującą w ciele adrenalinę.

– To nie takie proste, Hans. Wykorzystałeś mnie, zrobiłeś ze mnie kozła ofiarnego. Myślisz, że możesz ot tak sobie zniszczyć mi życie, a potem dać piwo i kazać wyluzować? – zapytałem i sam usłyszałem, że mój głos zabrzmiał inaczej niż zwykle, nieco bardziej szorstko. – Myślisz, że to takie łatwe?

Pozornie wydawał się spokojny, lecz coś w jego postawie zdradzało, że ma się na baczności – był gotowy, by w razie potrzeby zareagować. Wsunął dłoń do kieszeni marynarki.

– Co tam masz, Hans?

Jego uśmiech błysnął ostrą bielą w ciemnej twarzy. Grek wyciągnął mały, niklowany pistolet i trzymał go przed sobą, jakby zdziwił się na jego widok. Broń połyskiwała w świetle lampy.

– Przezorny zawsze ubezpieczony.

– Pistolet? To śmieszne. Jestem adwokatem w średnim wieku, a nie jednym z twoich kolegów psychopatów.

Pokręcił głową.

– Z doświadczenia wiem, że ludzie pod presją potrafią popełniać głupstwa. Jak sam mówisz, przywykłem do towarzystwa wszelkiego rodzaju ludzi, również takich, którzy chętnie uciekają się do przemocy. A ten wyraz twoich oczu, Brenne, już kiedyś widziałem.

Usiadł na kanapie, odłożył pistolet na stół.

– Masz na sobie podsłuch?

– Naoglądałeś się filmów.

– Niewykluczone, ale wolę się upewnić. Mogę sobie wyobrazić, że myślisz, że w cztery oczy przyznam się do czegoś, co raczej chciałbyś mieć na taśmie.

Zmusił mnie do zdjęcia marynarki, a następnie koszuli. Musiałem wywrócić kieszenie i opuścić spodnie.

– Zadowolony?

Lekkie wzruszenie ramion.

– Wolałem się upewnić. Siadaj, Brenne, proszę. Nie, nie tam, usiądź na tamtym krześle.

– Czy to nie zakrawa na paranoję?

– Wiesz, czym się zajmuję. Jestem przestępcą. Bandytą. Mam za sobą długą karierę i nauczyłem się niepotrzebnie nie ryzykować.

– Znów się uśmiechnął. – Co chciałeś osiągnąć, przychodząc tu dzisiaj, Brenne? Wzbudzić we mnie współczucie, a może siłą wydobyć ze mnie prawdę?

Nie odpowiedziałem, głównie dlatego, że nie wiedziałem, co powiedzieć. Zadzwoiłem do jego drzwi bez gotowego planu, wiedziony frustracją, wściekłością oraz potrzebą, aby zacząć działać. Miał rację. Tak naprawdę byłbym w stanie rzucić się na niego z pięściami.

– Niewiele możesz zrobić, Brenne – ciągnął. – Nie potrafię współczuć, bo gdyby tak było, musiałbym się zajmować czym innym. A gdybyś wydusił ze mnie przyznanie się do winy, i tak nie mógłbyś go do niczego użyć, prawda? Chyba nie da się pójść z czymś takim do sądu? – Pochylił się naprzód, położył łokcie na kolanach. – Poza tym masz inny problem.

– Tak? Jaki?

– Polujesz na niewłaściwego człowieka. To nie ja stoję za oskarżeniami przeciwko tobie.

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem.

– I ty chcesz, żebym ci uwierzył? Kto inny mógłby to być? Nikt poza tobą nie ma motywu, Mikkelsen.

Wykrzywił usta z rezygnacją.

– Nie liczyłem, że mi uwierzysz, ale to prawda. Nie wiem, kto za tym stoi ani dlaczego to się stało, jednak to nie moja sprawka. Rusz trochę głową, mecenasie Brenne. – Zaakcentował słowo „mecenas”, jakby użył wyzwiska. – Co właściwie dało mi to, że Morten Ålekjaer napadł na Gerd Garshol, a później zrzucił winę na ciebie? Nie wycofano oskarżenia przeciwko mnie. Gustav Niemann nadal będzie przeciw mnie zeznawał. Moja sprawa została jedynie przełożona o kilka miesięcy. Tak naprawdę teraz znajduję się w gorszym położeniu niż wcześniej, bo wszyscy myślą oczywiście, że to ja stoję za napaścią na tę babę, a ty byłeś jedynie moim pośrednikiem, chociaż nie mogą tego udowodnić. Gównu zyskałem.

Pokręciłem wolno głową.

– Nie, Mikkelsen, twoja argumentacja nie trzyma się kupy. Oczywiście sądziłeś, że uda ci się przestraszyć Gustava Niemanna na tyle, by nie zeznawał, taki był główny cel. Prawie ci się to udało, w końcu facet próbował uciec z kraju. Zrzucenie winy na mnie było jedynie planem awaryjnym, na wypadek gdyby wszystko trafił szlag. Osiągnąłeś w ten sposób dwie rzeczy. Po pierwsze sam uniknąłeś oskarżenia o zlecenie pobicia, a po drugie zyskałeś na czasie.

– Po co mi ten czas?

– Żeby wymyślić jakieś inne bezceństwo? Skąd mam wiedzieć? A w ogóle kto jest twoim nowym adwokatem?

– Twój były kolega. Hans Olav Tunesvik.

– Żartujesz! Przecież to jeszcze szczeniak.

Hans Mikkelsen wstał.

– Nie liczyłem, że mi uwierzysz, Brenne, ale mam to w dupie. Nie chcę, żebyś mnie więcej odwiedzał. Następnym razem, kiedy cię tu zobaczę, dostaniesz kulkę w łeb.

Nie powiedział tego szczególnie groźnym tonem, nie wycelował we mnie pistoletu. Nie trzymał go nawet w dłoni – broń leżała na stole przed nim, lśniąca, podobna do zabawki – ale nie miałem wątpliwości, że naprawdę tak myśli. Wypiłem ostatni łyk piwa. Zostawiło gorzki smak w ustach. Następnie wyszedłem bez pożegnania.

– A czego się spodziewałeś? – zapytała Synne nazajutrz. – To zatwardziały przestępca.

– Tak – odparłem. – Na pewno masz rację. Ale...

– Jakie ale?

– Zmusił mnie do zdjęcia prawie wszystkich ubrań, żeby sprawdzić, czy nie nagrywam rozmowy. Dlaczego miałby mnie potem okłamać?

– Boże drogi, Mikael. Znasz kryminalistów równie dobrze... nie, lepiej niż ja. Nie mówimy tutaj o ludziach o normalnej osobowości. To psychopaci, zwyrodnialcy, pomyleńcy, rutynowo kłamią i oszukują. Wielu jest tak zadufanych w sobie, że ledwie można w to uwierzyć. Niszczą wszystko i wszystkich wokół, ale nigdy z własnej winy. Zawsze trzeba obwinić kogoś innego.

– Tak, masz rację. Wiem.

Zawahała się.

– Nawet nie myśl o tym, żeby odwiedzać Mortena Ålekjaera.

– Dlaczego uważasz, że...

– Znam cię, Mikael. A to logiczny kolejny krok.

Nie odpowiedziałem.

– Naprawdę, Mikael. Po pierwsze Ålekjaer jest przypuszczalnie dużo bardziej nieprzewidywalny i łatwiej zorientuje się w sytuacji niż Hans Mikkelsen. Poza tym to główny świadek w sprawie przeciwko tobie. Sam wiesz, jak to będzie wyglądać, jeśli policja dowie się, że u niego byłeś. W każdym razie nie wpłynie to pozytywnie na twoją sprawę. Nie życzę sobie, żebyś jechał do niego do domu.

– Nie życzysz sobie? Chyba nie ty o tym decydujesz, prawda?

Aż się zjeżyła.

– Jestem teraz twoim pracodawcą, Mikael. Zapomniałeś? I nie życzę sobie tego.

Byłem mocno rozdrażniony. Chociaż chciała mojego dobra, to nie była jej sprawa. Już miałem się odszczeknąć, lecz się powstrzymałem. Wiedziałem, że balansuję na linie, że przez frustrację spowodowaną moją sytuacją oraz ciągłym upokorzeniem w związku z uzależnieniem od jej pomocy i dobrej woli łatwo mogłem powiedzieć coś, co raz jeszcze zniszczyłoby naszą relację. Zamknąłem usta. To nie wina Synne, że moje życie legło w gruzach, a ja, chcąc nie chcąc, stałem się od niej zależny. Zamilkłem. Siedzieliśmy, gapiąc się na siebie ze złością.

Drzwi się otwarły i do środka zajrzała pani Sørensen. Musiała wyczuć atmosferę w pomieszczeniu, bo popatrzyła po nas lekko przerażona.

– Masz gościa, Synne – powiedziała. – Niejaki Svein Jensen. Twierdzi, że jest umówiony, ale nie figuruje na żadnej liście.

– Ach! – odezwała się Synne. – Tak, zgadza się. Ee... nie jestem z nim umówiona w ten sposób. Idziemy tylko na kawę.

Wstała, obciągnęła spódnicę, nieświadomie poprawiła włosy. Zauważyła spojrzenia, jakie posłaliśmy sobie z panią Sørensen, i wywróciła oczami.

– Co? Co z wami? Boże, to tylko przyjaciel!

Wypadła z pokoju, ale zdążyłem zauważyć jej delikatne rumieńce. Na pół obróciłem się na krześle i zobaczyłem, jak nadstawia policzek wysokiemu, młodemu mężczyźnie o brązowej skórze, jasnych włosach i idealnych zębach. W moich oczach wyglądał na nastolatka. Poczujęm się stary i zmęczony.

Po lunchu zjawił się kurier z policyjnymi aktami sprawy Arona Sørvika. W korytarzu postawił trzy kartony papierów. Kiedy przeniosłem je wszystkie do swojego pokoju, stał się nieznośnie zagracony. Synne nie wróciła jeszcze ze spotkania. Chciałem, aby po mnie również ktoś przyszedł, ale nikt się nie zjawił, więc zasiadłem do lektury.

ROZDZIAŁ 14

Nazywały się Anne i Siri i urodziły się w tym samym roku. Anne wiosną, Siri jesienią. Dorastały w tej samej wiosce, Vestøy, u ujścia fiordu. Tam chodziły razem do szkoły, grały w orkiestrze dętej, należały do tej samej parafii. I tam też zmarły, w odstępie mniej niż doby, latem 1984 roku.

Przeczytałem całe sterty dokumentów, kolejne teczkę szczegółowych zapisków ze śledztwa w sprawie zabójstwa sprzed dwudziestu pięciu lat. Raporty wyglądały inaczej niż te, do których przywykłem, i chwilę trwało, nim zorientowałem się, że zostały napisane na maszynie, a nie komputerze. Krój czcionki był nierówny, jakość taśmy wyraźnie się zmieniała. Niektóre przesłuchania okazały się wyblakłymi kopiami, spisany niewyraźną szarą czcionką na pozółkłych kartkach, przez co ciężko się je czytało.

W roku 1984 studiowałem prawo, miałem życie przed sobą. Chodziłem do czytelni. Imprezowałem. Byłem zakochany w dziewczynie o imieniu Karina, blondynce o wydętych ustach, pochodzącej z Oddy. Pewnego wieczoru w klubie prawniczym pocałowała mnie i dała mi nadzieję, lecz potem nagle przepadła. Bez ostrzeżenia zniknęła z uczelni i miasta. Dużo później ktoś powiedział mi, że jej matka zachorowała, więc Karina pojechała w swoje rodzinne strony. Kiedy wracałem w myślach do tych wydarzeń, wydawały się strasznie odległe, były niejasnymi wspomnieniami. Nie pamiętałem już, jak Karina wyglądała, przypominałem sobie jedynie jej usta i własne pożądanie. Niewyraźne wspomnienia pozwoliły mi pojąć, jak długim odcinkiem czasu jest dwadzieścia pięć lat i jak dużo można w takim okresie zapomnieć. Zrozumiałem, jak trudno będzie pomóc Aronowi

Sørvikowi. Nawet zeznania świadków na temat całkiem niedawnych zjść często bywają niepewne. W prawie karnym niebezpiecznie jest opierać się w stu procentach na czyjejs wizji przebiegu zdarzeń. My, ludzie, potrzebujemy historii z początkiem, rozwinięciem i zakończeniem, zrozumiałych motywów i jasnych granic między dobrem a złem, i to właśnie ma wpływ na wszystko, czego doświadczamy. Wzdrygnąłem się na myśl, jak czas zmienił wyobrażenie tego, co naprawdę stało się ćwierć wieku temu.

W każdym razie wydawało się, że nikt wtedy nie wątpił w winę Arona. W dokumentach roiło się od opinii, że był dziwny. Ludzie, jeden za drugim, zwierzali się policji ze swoich złych przeczuc i podejrzenia, że Aron dopuści się czegoś złego. Nie było tam jednak nic konkretnego, nikt też nic nie zrobił, nie interweniował, ani szkoła, ani opieka społeczna czy ośrodek zdrowia. Nie traktowałem tych wypowiedzi poważnie. Vestøy było małą wiejską społecznością, gdzie ciasne więzy łączyły czterysta dusz mieszkających tam w latach osiemdziesiątych. Podwójne zabójstwo młodych dziewcząt musiało być szokiem, zbiorową traumą, która odcisnęła piętno na całej wiosce. Łatwo można było wyobrazić sobie, jak ci ludzie poszukiwali u siebie nawzajem pocieszenia i wsparcia, lecz również jak opowieść o Aronie, jego inności i skłonnościach do przemocy oraz okrucieństwa rozwinęła się wśród doszukujących się sensu w tej bezsensownej tragedii.

Sam odebrałem Arona jako dziwnego, chociaż nie w groźny czy nieprzyjemny sposób. Po chwili poszukiwań odnalazłem wreszcie obszernie sprawozdanie psychiatry sądowego. Był to potężny dokument liczący ponad sto pięćdziesiąt stron, napisany dość staroświeckim, trochę zawiłym, akademickim językiem. Wziąłem raport do domu jako lekturę na wieczór.

Po kolacji, w blasku lampki i przy dźwięku kropli deszczu, bębniących w szybę niczym drepnące stópki, próbowałem zapoznać się z Aronem Sørvikiem. Przebiegałem wzrokiem stroną za stroną w nadziei, że uda mi się zajrzeć w głąb jego duszy. Zanim skończyłem, zrobiło się późno. Siedziałem chwilę, rozmyślając o tym, co przeczytałem, niepewny, czy stałem się dzięki temu mądrzejszy.

Duża część raportu dotyczyła przeszłości i dzieciństwa Arona. Były to tak zwane informacje uzupełniające od osób trzecich – wywiady z jego bliskimi lub innymi ludźmi, którzy mieli z nim do czynienia. Nauczyciele, pielęgniarka, lekarz gminny i pastor z parafii – wszyscy się o nim wypowiedzieli, a najważniejsze szczegóły na temat jego życia określono tak dokładnie, jak było to możliwe. Ponadto Aron został gruntownie przebadany.

Jego poziom inteligencji znajdował się w granicach normy, chociaż w jej dolnej części. Również wyniki szkolne pokazywały, że nie należał do najbardziej uzdolnionych uczniów, ale radził sobie całkiem nieźle. Ewentualne odchylenia Arona musiały dotyczyć jego osobowości, a nie możliwości umysłowych, bo wszyscy zgadzali się, że Aron Sørvik nie jest do końca taki jak inni. Nigdy nie pasował do rówieśników. Nie umiał się z nimi dogadać, nie złamał społecznych kodów. Chociaż nikt nie użył tego słowa, z opisów wynikało, że Arona cechowała pewnego rodzaju naiwność, wyróżniająca go na tle mieszkańców Vestøy.

„Miał całkowicie dziecięcą wiarę – wyjaśnił pastor z jego parafii. – Potrafił szczerze doświadczyć prawdy Ewangelii, czego wszyscy moglibyśmy mu zazdrościć. Jego wiary nie skaził ani nie skorumpował grzech tego świata. Aron był owieczką bożą, dlatego tak trudno jest mi zrozumieć, że zrobił te okropieństwa, o które się

go oskarża”. Wreszcie ktoś wyraził zwątpienie w winę Arona, lecz nawet pastor Salomonsen wydawał się zdumiony głównie tym, jak ktoś mógł zachować taką niewinność na tym świecie.

Pomimo wszystkich wypowiedzi świadków, którzy postrzegali Arona jako tykającą bombę, w raporcie nie znalazłem podobnych określeń. Przez pewien czas w szkole podstawowej miał trudności z kontrolowaniem swoich impulsów, jednak ten okres minął, a później chłopak był już troskliwy, dobrze wychowany i grzeczny. Nikt nie podał konkretnych przykładów zachowań, które mogłyby dawać powody do zmartwienia, a już na pewno nie uzasadniać dwa zabójstwa.

Im więcej o tym myślałem, tym silniejsze czułem zaniepokojenie. Aron odbiegał od normy, przez co wyróżniał się w małym, homogenicznym, prowincjonalnym środowisku. Nie był taki jak inni. Z doświadczenia wiedziałem, jak bardzo tacy ludzie są narażeni na napiętnowanie, jak łatwo uczynić z nich kozły ofiarne.

Sama ocena psychiatryczna też mnie nie pocieszyła. Biegli uznali, że Aron cierpi na dewiację osobowości. Ich zdaniem ma problem z rozróżnieniem dobra i zła, brakuje mu „wewnętrznych standardów moralnych”. Według lekarzy Aron rozwiązuje dylematy etyczne czy moralne „na podstawie wyuczonych kategorii, często jawnie zaczerpniętych z historii biblijnych, a nie na podstawie właściwie zinternalizowanego standardu etycznego”.

Tę część raportu czytałem z narastającym zdumieniem. Różnicy między dobrem a złem Aron nauczył się w zborze, co najwyraźniej nie wystarczało oceniającym go lekarzom. Uważali, że jego wypowiedzi są zbyt proste, dlatego założyli, że był w stanie dokonać zabójstwa. Odpowiedzi na pytanie, co tak naprawdę jest Aronowi,

z wyjątkiem pojemnego określenia „zaburzenia osobowości”, nie potrafili już jednak udzielić.

Wszyscy, czy to członkowie lokalnej społeczności, czy lekarskiej braci, zgadzali się jednak co do tego, że dzieciństwo, które Aron spędził jako jedyny syn głęboko religijnej matki, miało decydujący wpływ na jego osobowość. Z drugiej strony nikt nie potrafił powiedzieć, jakie przyniosło to skutki i jak wiązało się ze sprawą, natomiast sama matka milczała. Kobieta, która przypuszczalnie znała Arona najlepiej ze wszystkich, nie zgadzała się na rozmowy z psychiatrami. Samo w sobie wydało mi się to interesujące i zdecydowałem, że muszę z nią pomówić.

Do łóżka poszedłem, ziewając, o pierwszej w nocy, ale długo się wierciłem, nie mogąc zasnąć. Gdy wreszcie mi się udało, śniłem, że znów występuję w sądzie. Na miejscach dla świadków zasiadało dwóch biegłych – starszych, pewnych siebie lekarzy w okularach o złotych oprawkach, a ja mocno ich przyciskałem, aż pogubili się w sprzecznych zeznaniach i zaczęli wyglądać na winnych. Podobało mi się to, że mam nad nimi władzę, lecz gdy po przebudzeniu przypominałem sobie sen, dopadły mnie smutek i przygnębienie. W szarym świetle poranka zrozumiałem, że to tylko iluzja, marzenie o odzyskaniu dawno utraconej kontroli nad własnym życiem. Byłem pasażerem pociągu bez hamulców i maszynisty. Zastanawiałem się, czy Aron Sørvik ćwierć wieku temu przeżywał to samo. Czy też budził się rano, wiedząc, że zmierza ku przepaści.

W ciągu dnia chciałem dalej czytać dokumenty, bo zostało ich jeszcze sporo, ale zamiast pójść do kancelarii, zasiedziałem się przy kuchennym stole. Zrobiłem sobie nową kawę, przepełniały mnie niepokój i zniecierpliwienie. Czułem się, jakbym miał wysoką gorączkę, przez moją głowę przelatywały niejasne impresje

i obraży. Przez chwilę podejrzewałem, że zaraz oszaleję, ale odrzuciłem tę myśl. Nie straciłem kontaktu z rzeczywistością. Wręcz przeciwnie, rzeczywistość prawie nade mną zapanowała, a podświadomość uruchomiła wszystkie dzwonki alarmowe. Nagle nabrałem przekonania, że prokurator Ulv Garmann dokładnie w tej chwili patrzy w otwarty kalendarz i ustala datę mojego procesu. Była to całkowicie irracjonalna myśl, jednak nie mogłem się pozbyć wrażenia, że to prawda. I wiedziałem, że nikt nie zadzwoni, aby zapytać, czy termin mi odpowiada.

Poszedłem do swojego gabinetu, włączyłem komputer i znalazłem stronę informacji telefonicznej. Figurowały tam numer stacjonarny i komórkowy oraz adres Mortena Ålekjaera. Mogłem nawet wydrukować mapę wskazującą jego miejsce zamieszkania.

ROZDZIAŁ 15

Dojazd potrwał dłużej, niż sądziłem. Wąska, kręta droga prowadziła w głąb doliny, gdzie mieszkał Morten Ålekjaer. Żyło tam niewiele osób. Dwa razy między gęstymi pniami świerków dostrzegłem nieużywane budynki gospodarskie, domy pokryte złuszczoną farbą, z wybitymi szybami, stodołę, której dach na pół się zawalił. Próbowałem badać skrzynki na listy, zatrzymując się przy każdej z nich, aby sprawdzić nazwisko. Wreszcie dotarłem do jednej wiszącej na zmurszałym stojaku. Nazwiska Ålekjaer i Hansen wypisano na niej białą farbą. Napis wykonano niechlujnie, szerokim pędzlem, farba spłynęła – wyglądało to bardziej na akt wandalizmu niż informację dla listonosza. Skręciłem w prawo między ciemne świerki.

Droga była w kiepskim stanie, pełna dziur i dołów. Drzewa rosły gęsto wzdłuż rowów. Dolne gałęzie omiatały dach samochodu, kiedy wolno manewrowałem na licznych zakrętach. Wreszcie dotarłem na szczyt wzgórza. Między pniami dostrzegłem polanę oraz przeblysłk czerwieni. Ostrożnie zjechałem na pobocze, gdzie zaparkowałem, a następnie wyszedłem na skraj lasu. Przedemną znajdowało się nieduże gospodarstwo ze stodołą, budynkiem gospodarczym i mieszkalnym. Piękne miejsce. Słońce wyjrzało zza chmur, oświetlając pomalowane na czerwono budynki oraz miękkie, trawiaste pagórki otoczone płotami o poziomych sztachetach. Ogródzenia wyglądały na dobrze utrzymane, ale farmę obficie porastała trawa i nic nie wskazywało na to, że ktoś tu coś uprawia. Za rogiem stodoły dostrzegłem stary traktor, brązowy od rdzy i otoczony wysokimi źdźbłami, jakby przyroda chciała go pochłonąć. Nie widziałem żadnych ludzi, ale pośrodku podwórka stał biały osobowy opel.

Ruszyłem w stronę gospodarstwa. Znalazłszy się między budynkami, zobaczyłem, że nadal ktoś tam mieszka. Narzędzia ogrodowe leżały koło małej grządki, a na stoliku pod zwróconą do słońca ścianą stały dwie filiżanki po kawie i pełna popielniczka. Przy schodach poniewierała się foliowa torba z pustymi puszkami po piwie. Zrobiłem głęboki wdech i zapukałem do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Pokręciłem się trochę po podwórku, nie chcąc tak łatwo rezygnować, skoro już tu dotarłem. Drzwi stodoły były na pół otwarte. Zerknąłem do środka. Było tam ciemno i prawie pusto, z wyjątkiem stojącego pośrodku, lśniącego motocykla Harley-Davidson.

Na zewnątrz musiałem zmrużyć oczy z powodu ostrego światła. Przez podwórze przebiegł prądkowany, żółto-brązowy kot z uniesionym ogonem, miniaturowy tygrys, który w zwolnionym tempie przekradł się przez wysoką trawę, po czym zniknął za rogiem domu. Poszedłem za nim i usłyszałem słaby, skrzypiący, rytmiczny dźwięk, którego nie umiałem zidentyfikować. Minąłem kolejny róg. Na tyłach domu dźwięki stały się głośniejsze i bardziej rozpoznawalne. Jedno okno było uchylone. Zbliżyłem się ostrożnie, bezgłośnie stąpając po miękkiej trawie, i zajrzałem do środka. W półmroku ujrzałem kobietę stojącą na czworakach na łóżku, którą brano od tyłu. Mężczyzna był potężny i silnie zbudowany, miał długie ciemne włosy. Trzymał ją za biodra i poruszał się rytmicznie, skoncentrowany, z pochyloną głową, chrząkając z podniecenia. Kobieta była blondynką, dużo niższą od niego, ale o dość obfitych kształtach. Widziałem, jak kołyszą się jej pełne piersi. Miała zamknięte oczy, a usta otwarte. Cicho, monotonicznie pojękiwała.

Łóżko ciągle żałośnie skrzypiało. Chwilę stałem tak, patrząc na

nich. Jako mimowolny podglądacz byłem jednocześnie zgorzony i lekko zafascynowany. Nagle kobieta otworzyła oczy i spojrzała prosto na mnie. Drgnąłem. Czekałem, aż krzyknie, ale nie zrobiła tego, tylko wpatrywała się we mnie, jakby w ogóle nie rejestrując mojej obecności.

Wróciłem na podwórko, gdzie usiadłem na stercie drewna pod ścianą stodoły. Wyczuwałem zapach żywicy i świeżych drzew. Zamknąłem powieki, wystawiając twarz na ciepło słońca. Minęła dłuższa chwila, nim usłyszałem trzask drzwi. Kiedy otworzyłem oczy, na schodach stał ciemnowłosy mężczyzna. Był nagi od pasa w górę.

– A ty co, kurwa, za jeden? – zapytał.

– To ty jesteś Morten Ålekjaer?

– Bo co? Kim jesteś?

Przeszedł przez podwórko, a ja zauważyłem, że jest nie tylko potężny, lecz także trochę przy kości. Pierś i ramiona trzęsły się w rytm jego kroków. Garbił się i szedł ciężko, lekko utykając. Jednak pod tłuszczem kryły się mięśnie, a dłonie miał wielkie jak łopaty.

– Kim jesteś? – powtórzył, lecz nagle mnie rozpoznał. – Brenne? Mecenas Brenne? Co tutaj robisz?

Kiedy się zbliżył, ja również go rozpoznałem. Minęły lata, odkąd reprezentowałem klub motocyklowy, do którego należał, i nie mogłem sobie przypomnieć, jak wyglądał. Pamiętałem ich wszystkich tak samo: jako potężnych, niedomytych mężczyzn, niezręcznych w kancelarii adwokackiej, w obcym otoczeniu. Przez to wydawali się jeszcze bardziej brutalni i masywni, niż byli w rzeczywistości, niczym słonie w prawniczym składzie porcelany. Ale teraz go sobie przypominałem. Nie wiem, czy coś tamtego dnia

powiedział, czy wyróżnił się w jakiś inny sposób, ale rozpoznałem jego nalaną twarz o oczach schowanych głęboko w cieniu pod groźnym czołem, o nieco za małych ustach i trochę zbyt pełnych szczękach.

– Cześć, Morten. Chciałem z tobą porozmawiać.

– Ale ja nie chcę rozmawiać z tobą – warknął. – Wynoś się z mojej posesji.

Zignorowałem jego słowa.

– Ile dostałeś za pobicie Gerd Garshol? Jaka jest zwyczajowa stawka za skrzywdzenie kobiety w średnim wieku? Dziesięć tysięcy? Pięć? Pewnie niewiele więcej. Na świecie pełno jest zdesperowanych ćpunów, którzy zrobią wszystko za drobniaki. Do takiej roboty nie trzeba supermena. Z niezbędnych kwalifikacji wystarczy jedynie zupełny brak normalnych uczuć.

Zatrzymał się tuż przede mną, czerwony na twarzy.

– Co ty, kurwa, mówisz? Że jestem nienormalny?

Morten Ålekjaer nie należał do bystrzaków.

– Ile dostałeś, Morten? Nie zaszkodzi, jak mi powiesz, co? Przecież przyznałeś się już, że ją napadłeś. Ile za to dostałeś?

Mówiłem ostrym, rozkazującym tonem. Jego wzrok nieco błędził i przez chwilę myślałem, że naprawdę mi powie, ale nagle jeszcze bardziej poczerwieniał na twarzy.

– Wynoś się stąd!

– A co z kłamstwami o mnie, Morten? Dostałeś dodatek za rzucenie winy na mnie czy może uwzględniono to już w pakiecie? To ty śledziłeś mnie w noc świętojańską? Czy dowiedziałeś się od Greka, co miałem na sobie?

Pokręcił głową.

– Nie. Grubo się mylisz.

Było coś perwersyjnego w tym, że ów wielki, niedomyty facet zrujnował mi życie jednym prostym, idiotycznym kłamstwem. Ten mężczyzna nie miał żadnych zasad, jego jedynym talentem było straszenie i krzywdzenie innych, a jednak policja uwierzyła właśnie Mortenowi Ålekjaerowi, podczas gdy mnie nie zaufano i zamknięto w więzieniu. Popatrzyłem na niego, na małe usta nadające mu – pomimo wzrostu – dziecięcy, trochę nadąsany wygląd, na puste, bezbarwne oczy bez śladu inteligencji, wyrażające jedynie zwierzęcą przebiegłość, i bez ostrzeżenia straciłem panowanie nad sobą.

– Dlaczego kłamiesz?! Ja wiem i ty wiesz, że wszystko, co zaserwowałeś policji, to czysta błaga, więc dlaczego, do jasnej cholery, mnie okłamujesz?! Zupełny z ciebie debil?!

Mój głos narastał. Podszedłem do Mortena Ålekjaera i krzychałem mu prosto w twarz, z taką wściekłością, że prawie na niego plułem. To był błąd. Dopóki mówiłem, zachowując autorytet i pewność siebie, on pozostawał w defensywie. Występowałem wtedy jako adwokat, przedstawiciel systemu i rzeczywistości, w której nigdy nie potrafił się odnaleźć, w której czuł się niepewnie. Jednak balansowałem na granicy, a gdy się wściekłem – przekroczyłem ją. Morten Ålekjaer przywykł do agresji, więc zareagował na nią instynktownie – zrobił krok w przód i otwartą dłońią mocno pchnął mnie w pierś.

Zaskoczyła mnie siła ciosu. Zatoczyłem się w tył. Ålekjaer ruszył za mną, zaskakująco lekko jak na tak wielkiego mężczyznę. Raz jeszcze trafił mnie w pierś wierzchem dłoni. Uderzenie w mostek było tak potężne, że lekko jęknąłem. Wycofałem się o kolejne kilka kroków, nastąpiłem piętą na próg drzwi i straciłem równowagę. Upadłem w tył, w półmrok stodoły, gdzie wylądowałem na plecach

z ręką schowaną pod sobą.

Moja bezradność chyba wyzwoliła coś w Mortenie. Podeszedł do mnie, a po jego koncentracji poznałem, że minął etap szturchania. Teraz zamierzał zrobić mi krzywdę. Dlatego zdążyłem się odsunąć, nim jego but z trzaskiem uderzył o podłogę. Przetoczyłem się w prawo, desperacko czołgałem się i wlokłem, pozostając wciąż w ruchu. Chciałem uciec, wstać i móc się bronić. Prawie mi się udało, bo stałem na pół wyprostowany, i już miałem się do niego odwrócić, kiedy z rykiem walnął mnie wyciągniętymi rękami. Jakby potrafiła mnie ciężarówka. Popychał mnie, dopóki nie uderzyłem z głuchym łomotem o deski, aż posypał się na nas pył. Przyciskał mnie do ściany. Był tak wielki, że moja twarz wcisnęła się w jego nagą pierś i pod pachę. Czułem kwaśny zapach niemytego ciała, starego potu i coś jeszcze, trochę mdlącą woń łona i nasienia, zapach mężczyzny, który właśnie uprawiał seks. Nagle dostałem nudności, zgarbiłem się i odkaszlnąłem, musiałem wymiotować. Cofnął się z obrzydzeniem na twarzy, z wyraźną obawą, że go pobrudzę.

Wtem jego oblicze przybrało zupełnie inny wyraz – grymas, na który zareagowałbym śmiechem, gdybym tak się nie bał. Po chwili potężnie kichnął od wirującego wokół nas pyłu. To stworzyło dokładnie taką okazję, jakiej potrzebowałem, więc bez wahania kopnąłem go w krocze. Krzyknął i padł na kolana. Później pochylił się w przód i oparł o podłogę.

Uciekłem.

Na zewnątrz budynek mieszkalny jaśniał czerwienią jak norweska flaga w popołudniowym słońcu. Blondynka, którą widziałem przez okno, szła właśnie przez podwórze do stodoły. Zatrzymała się na mój widok, z twarzą wyrażającą zaniepokojenie

i zdziwienie. Ze stodoły dochodziły krzyki Mortena Ålekjaera, pełne bólu i wściekłości. Zdawało mi się, że wśród nieartykułowanych ryków rozróżniam swoje nazwisko.

– Bez obaw, nie jest poważnie ranny. Przepraszam – powiedziałem do kobiety, surrealistycznie uprzejmy w tej sytuacji. Następnie przeciąłem podwórze i dalej pobiegłem drogą.

Gdy dotarłem do samochodu, nie mogłem złapać tchu, częściowo z wysiłku, lecz również ze strachu, że mściwy, wzburzony Morten Ålekjaer ruszy za mną w pościg. Przez moment walczyłem z kluczykami i wcisnąłem zły przycisk, usiłując otworzyć centralny zamek, a dłoń mi drżała, kiedy wkładałem kluczyk do stacyjki. Tylne koło tylko zakręciło się w piachu, gdy za mocno wcisnąłem gaz. Zmusiłem się do ostrożności, wjechałem na stały grunt i odjechałem tak szybko, jak mogłem na kiepskiej nawierzchni.

Przy skrzyżowaniu koło skrzynki na listy zatrzymałem się, opuściłem szybę i chwilę nasłuchiwałem. Wydało mi się, że w oddali słyszę przeszywający dźwięk silnika motocykla na wysokich obrotach. Próbowałem sobie wmówić, że Morten Ålekjaer nie zdoła mi nic zrobić, dopóki ja będę siedział w aucie, a on na motorze, lecz to nie pomogło. Przerażony za szybko puściłem sprzęgło, samochód lekko zabuksował i zgasł. Ogarnęła mnie panika, konwulsyjnie wciskałem pedał gazu, jednocześnie przekręcając kluczyk. Kłąłem, słysząc niekończące się rżenie silnika. Wreszcie kilka razy głęboko odetchnąłem. Zmusiłem się do zdjęcia nogi z pedału. Odczekałem. Przekręciłem kluczyk i odetchnąłem z ulgą, gdy silnik od razu zaskoczył. Wtoczyłem się na skrzyżowanie.

Szybko jechałem przez dolinę do głównej drogi. Szosa, choć kręta i dość wąska, była sucha, więc miałem przyzwoite warunki

jazdy. Nie napotkałem żadnego samochodu. Stale spoglądałem w lusterko, ale widziałem w nim jedynie szary asfalt w otoczeniu ciemnego lasu. Minęło pięć minut, nim się pojawił. Najpierw tylko mi mignął, gdy wchodziłem w zakręt. Pomyślałem, że mi się przywidziało, lecz na długim prostym odcinku znów go ujrzałem – motocyklistę, który szybko rósł w lusterku. Przed następnym zakrętem już wyraźnie odróżniałem twarz Mortena Ålekjaera i ciemne włosy powiewające na wietrze.

O dziwo, nagle się uspokoiłem. Panikę wywołała ucieczka, a podtrzymało ją uczucie, że jestem ścigany, lecz teraz, gdy wreszcie widziałem mojego prześladowcę, częściowo odzyskałem kontrolę i chociaż nadal się bałem, to daleko mi było do hysterii. Przyspieszyłem, przeciskałem się przez zakręty najszybciej, jak tylko mogłem, lecz nie udawało mi się go zgubić. Siedział mi na ogonie, zaledwie kilka metrów za mną. Gdy wyjechaliśmy na kolejną prostą, zredukowałem do dwójki i wcisnąłem gaz do dechy. Silnik zawył niezadowolony, nieprzywykły do takiego traktowania. Jak najprędzej wrzuciłem trójkę. Ponad dźwiękiem własnego samochodu słyszałem ciężki ryk wielkiego, mocno przyspieszającego motocykla. Zerknąłem w lusterko, ale nic nie zobaczyłem. Obróciłem głowę w lewo i wtedy dostrzegłem go kątem oka. Nim pomyślałem, żeby zajechać mu drogę, był tuż obok. Widziałem jego szyderczy uśmiech, kiedy mnie mijał, ale ponieważ miałem przed sobą długi, ostry zakręt w prawo, musiałem skupić się na hamowaniu. Czułem siłę odśrodkową spychającą mnie ku osi jezdni. Wstrzymałem oddech. Mało brakowało, ale udało mi się nie stracić przyczepności. Morten Ålekjaer wyminął mnie, lecz nadal znajdował się na lewym pasie. Gwałtownie się przechylił. Kolanem prawie dotykał asfaltu. Jechał z niewątpliwą gracją, jak gdyby

przeczył prawom fizyki, które chciały wypchnąć go z drogi.

Nadjeżdżający z naprzeciwka żółty samochód zauważyłem dopiero, gdy był już bardzo blisko. Morten Ålekjaer mógł zobaczyć go wcześniej, ale i tak za późno, żeby cokolwiek zrobić. Skupiony na brawurowym pokonywaniu zakrętu, nie zdołał już wykonać żadnego manewru.

Prawy błotnik żółtego samochodu osobowego trafił motocykl i jego kierowcę tak, że łukiem wypadli z drogi i poszybowali w górę. Tam się rozdzielili. Harley zniknął mi z oczu za barierką, Morten Ålekjaer zaś wznosił się coraz wyżej. Pokonał siłę ciężenia. Z rozłożonymi rękoma i rozwianymi włosami wyglądał jak czarny krzyż na tle modrego nieba. Wtedy zawyły hamulce, a ja odkryłem, że siedzę za kierownicą stojącego spokojnie auta. Nagle na świecie zapanowała zupełna cisza.

ROZDZIAŁ 16

Żółty samochód zniknął, zostałem sam. Ostrożnie zszedłem po stromym zboczu przy drodze, ślizgając się i brnąc przez grząską ziemię, aż teren się wyrównał i łatwiej było iść naprzód. Prawie od razu spostrzegłem harleya. Wbił się w głąb lasu, zostawiając ślad w postaci połamanych gałęzi, ostrzegających mnie bielą, a w końcu owinał się wokół pnia świerku. Wokół leżały rozrzucone luźne, metalowe części – reflektor, wygięty, zdeformowany błotnik – lecz nigdzie nie widziałem Mortena Ålekjaera.

Znalazłem go po dwudziestu minutach systematycznych poszukiwań. Cisnęło go głębiej między drzewa, niż mogłem sobie wyobrazić. Leżał na plecach wśród wrzosów i mchów, w cieniu świerków. Gdy się nad nim pochyliłem, przez krótką chwilę myślałem, że nie jest ranny, że w cudowny sposób przeżył swój lot. Czarna skórzana kurtka i poplamione smarem džinsy wydawały się całe, niepopękane ani podarte, nie dostrzegałem też śladów krwi czy widocznych urazów. Ale wtedy zwróciłem uwagę na jego oczy. Były otwarte. Patrzył prosto w górę, ponad ciemnozielone, niemal czarne świerki, wpatrując się w bezdennie niebieskie, czyste niebo. Jednak Morten Ålekjaer nic nie widział. Oczy miał puste, bez wyrazu. Wzdrygnąłem się i ostrożnie go obszedłem. Po drugiej stronie w długich, ciemnych włosach połyskiwała wilgoć, a gdy się pochyliłem, ujrzałem kamień, na którym wylądował. Leżał pod jego głową jak poduszka, lecz w tym przypadku to głowa przyjęła jej kształt, a nie odwrotnie. Ålekjaer miał zupełnie roztrzaskany tył czaszki.

Zanim przyjechała karetka, zdążyłem doczołgać się z powrotem do drogi. Pomachałem sanitariuszom, żeby się zatrzymali, i potwierdziłem, że to ja ich wezwałem. Wskazałem w dół zbocza,

wyjaśniając, gdzie leży Ålekjaer.

– Nie żyje – zapewniłem, ale mnie zignorowali. Przeskoczyli przez barierkę i zniknęli w dole.

Stałem niezdecydowany przy drodze, lecz po chwili podszedłem do auta, odpaliłem je i ruszyłem w stronę miasta. Trochę dalej minął mnie rozpędzony radiowóz na sygnale. Po głównej drodze jechałem tak wolno, że utworzył się za mną korek. Klaksony trąbiły przeszywająco. Kiedy dwóch zdenerwowanych kierowców wyprzedziło mnie tuż przed zakretem, zmusiłem się do zwiększenia prędkości, lecz tak mocno ścisnąłem kierownicę, że bolały mnie palce. Gdy wreszcie zaparkowałem w garażu, byłem mokry od potu.

Dzwonek do drzwi rozległ się dopiero późnym popołudniem. Przespałem kilka godzin i miałem tak ociężałą głowę oraz osłabione ciało, jakbym dopiero wstał po chorobie. Gdy otworzyłem, ujrzałem na schodach dwóch młodych policjantów, umundurowanych i z poważnymi twarzami.

– Mikael Brenne?

– Tak?

– Pójdzie pan z nami.

– Dlaczego? – zapytałem. – O co chodzi? Jestem zatrzymany?

Nie odpowiedzieli na moje pytania, tylko powtórzyli, żebym z nimi poszedł, a ja westchnąłem i włożyłem płaszcz.

– Chwileczkę – powiedział jeden, gdy stanąłem na schodach. – To pana samochód stoi w garażu?

Kiedy potwierdziłem, poprosili o kluczyki.

Byli to ci sami śledczy co poprzednio i tak samo jak wtedy głos zabrał grubszy z nich. Nazywał się Hansen.

– Proszę posłuchać, Brenne – rzekł, drapiąc się po głowie, co – jak z czasem się zorientowałem – oznaczało irytację. – Niech pan

pozwoli, że podsumuję. Wiemy, że odwiedził pan dzisiaj Mortena Ålekjaera w miejscu jego zamieszkania. Wiemy też, że go pan pobił.

Już chciałem coś powiedzieć, ale uniósł dłoń.

– Nie, Brenne, proszę mi teraz nie przerywać. Konkubina Ålekjaera zeznała, że gdy opuścił pan miejsce, Ålekjaer leżał w pozycji embrionalnej na ziemi. Wiemy też, że odjechał pan z farmy, a Ålekjaer ruszył za panem na motocyklu. Dziesięć minut później nie żył. – Podrapał się mocno po karku. – Morten Ålekjaer był głównym świadkiem w zbliżającym się procesie karnym przeciwko panu, więc dysponował pan wyraźnym motywem. Nadal twierdzi pan, że nie ma nic wspólnego z jego śmiercią?

– Tak – odparłem. – Nie słuchał pan, co mówiłem?

– Owszem. Tylko panu nie uwierzyłem.

Zaczęło robić się późno. Byłem zmęczony i rozdrażniony, miałem też dość tego, że Hansen nie wierzy w żadne moje słowo.

– Mam to w dupie – warknąłem. – Powiedziałem już, co się stało. Nie muszę składać dalszych zeznań. A teraz chcę wrócić do domu.

Popatrzył na mnie.

– Niech pan tu poczeka, Brenne – rzucił, po czym wstał i wyszedł z pokoju.

Spojrzałem pytająco na drugiego śledczego, wysokiego, kościstego mężczyznę o płaskim nosie boksera i palcach pożółkłych od nikotyny, ale wzruszył tylko ramionami, jakby chcąc pokazać, że nie ma pojęcia, co się dzieje.

– Będzie pan musiał spędzić tu noc – oznajmił Hansen po powrocie. – Aresztujemy pana. Jest pan podejrzany o zabójstwo Mortena Ålekjaera.

Myśl o spędzeniu nocy w dusznej i ciasnej betonowej celi

głęboko w piwnicy bez ostrzeżenia wzbudziła we mnie panikę. Gdy mnie tu przyprowadzono, wiedziałem, że to możliwe, lecz dopiero usłyszawszy jego słowa, dopuściłem do siebie rzeczywistość. Przypomniałem sobie tamto poczucie, że jest się na dnie świata, hałas, zapachy, klaustrofobię.

– Żartuje pan – odpowiedziałem, ale usłyszałem drżenie własnego głosu. Gdy się nie odezwał, kontynuowałem: – Kto podjął tę idiotyczną decyzję? Naprawdę myśli pan, że zabiłem Mortena Ålekjaera? Co miałbym dzięki temu wskórać? Przecież już złożył zeznania na policji, a podczas mojego procesu te zeznania zostaną odczytane na głos w sądzie. Myśli pan, że jego śmierć w czymś mi pomoże?

Opadł na miejsce za biurkiem.

– Nie wiem, Brenne. Wiem tylko, że się biliście, że za panem pojechał, a pan był na niego wściekły, może tak bardzo, że panu odbiło i zepchnął go pan z drogi. Bogowie wiedzą, że takie rzeczy już się zdarzały. Chyba nie rozumie pan do końca, jak to wygląda.

– To po co miałbym wzywać pogotowie, gdyby było tak, jak pan mówi?

Już zamierzał odpowiedzieć, ale przerwało mu stukanie do drzwi. Młody, umundurowany funkcjonariusz zajrzał do środka i zapytał, czy może zamienić z nim kilka słów. Hansen wyszedł na korytarz. Przez na pół otwarte drzwi słyszałem ich głosy, ale nie rozróżniałem słów.

Kiedy Hansen wrócił, po jego twarzy poznałem, że coś się zmieniło.

– Co się stało? – odezwałem się.

– Ma pan szczęście, Brenne. Znalazł się kierowca żółtego samochodu. To starsza kobieta, która, jak sama twierdzi, była

w zupełnym szoku po zdarzeniu. Ale teraz się zgłosiła.

– I...?

– I potwierdziła z grubsza pańską wersję. Może pan iść, Brenne. Dziękuję za współpracę.

– Ależ proszę – mruknąłem, siląc się na ironię, jednak w głębi ducha odetchnąłem z ulgą i byłem pewien, że wyczytał to z mojej twarzy.

Dopiero kiedy leżałem wieczorem pod kołdrą, wpatrując się w ciemność, naprawdę zdałem sobie sprawę z konsekwencji wszystkiego, co wydarzyło się tego dnia. W zwolnionym tempie od nowa przeżyłem wypadek, wznoszenie się Mortena Ålekjaera ku niebu, drogę człowieka ku wieczności. Widziałem zamglone spojrzenie wpatrujące się pusto w błękit i nagle przypomniałem sobie muchę, która z bzyčeniem wylądowała na jego suchym oku, jakby ostatecznie potwierdzając, że opuściło go życie. To Morten Ålekjaer zrobił ze mnie przestępcę, zleceniodawcę brutalnej napaści na Gerd Garshol. Teraz nie żył, a wraz z jego śmiercią zniknęła ostatnia szansa, aby prawda ujrzała światło dzienne. Śmierć przypieczętowała kłamstwa Mortena Ålekjaera na mój temat, na zawsze wyryła je w kamieniu, a wszelkie moje nadzieje, by rozgryźć tę sprawę, przepadły. Nie miałem dalszych planów, nie widziałem innych możliwości. Zostałem pokonany – szach-mat – a co najgorsze, wszystko z powodu moich pochopnych działań.

ROZDZIAŁ 17

Synne wściekła się na wieść o tym, co się stało. Zwymyślała mnie, wyzwała od idiotów i zagroziła wypowiedzeniem. Miała rację, więc zacisnąłem zęby, pochyliłem głowę i wysłuchałem jej wiązanki. A ponieważ nie wiedziałem już, jak ratować siebie, skupiłem się na ratowaniu Arona Sørvika. Zamknąłem się w maleńkim gabinecie, zmusiłem do zapomnienia o własnych problemach, odgrodziłem od dzwoniących telefonów, trzaskających drzwi, wchodzących oraz wychodzących klientów i znów zatonałem w aktach sprawy.

Niełatwo było się w niej zorientować. Przeczytałem pierwotny wyrok sądu apelacyjnego w nadziei, że znajdę tam zachętę do dalszej pracy, zestawienie dowodów, na których oparł się sąd, ale pomogło mi to tylko w niewielkim stopniu. Ława przysięgłych nie uzasadnia na piśmie swojej decyzji w kwestii winy, więc sam wyrok często dotyczy jedynie niezbędnych aspektów wymierzenia kary. Tak było też w tym przypadku.

Przy jednej z nielicznych okazji, gdy wyściubiłem nos z pokoju, by wypić kawę z Synne, wylałem przed nią swe żale. Wzruszyła ramionami.

– Nie widzę, w czym problem. I tak chyba musisz przebrnąć przez wszystkie dokumenty?

– Oczywiście. Muszę je odkurzyć w płonnej nadziei, że po dwudziestu pięciu latach znajdę coś pominiętego przez innych. Nie o to chodzi, Synne. Chodzi o to, że zanim zacznę marzyć o znalezieniu czegoś użytecznego, muszę mieć ogólne rozeznanie w faktach. Muszę umiejscowić sprawę w czasie i przestrzeni.

– To znaczy, gdzie co się wydarzyło i kiedy?

– Tak, i właśnie to sprawia mi największą trudność.

Spodziewałem się, że któryś śledczy sporządził podsumowanie albo oś czasu, zebrał jakieś dokumenty pomocnicze, ale nic takiego nie mogę znaleźć. Straszny w tym wszystkim bajzel.

- Wiem, czego ci trzeba, Mikael – powiedziała Synne.
- Czego?
- Aplikanta.

Serdecznie się zaśmiała. Nie wydawało mi się to zabawne, ale ją rozumiałem. Przez lata, gdy dla mnie pracowała, musiała wykonywać właśnie taką pracę, więc stwierdziłem, że zasłużyła na tę chwilę wesołości.

Czasy się zmieniły. Kupiłem pisak i rolkę białego papieru i wziąłem je do domu. W internecie znalazłem mapę Vestøy, którą starannie przerysowałem, a następnie nałożyłem na nią budynki, drogi i najważniejsze formacje przyrodnicze. Ostateczny produkt nie był może idealnym odwzorowaniem rzeczywistości, ale wystarczał na moje potrzeby. Nazajutrz zabrałem mapę do kancelarii i powiesiłem ją na ścianie nad biurkiem.

Pod nią przymocowałem długi pas białego, czystego papieru. Pośrodku narysowałem czarnym pisakiem grubą kreskę. Zastanowiłem się, po czym po lewej stronie dorysowałem poziomą linię. Nad nią umieściłem datę 26 sierpnia 1984 roku i godzinę 5:00 – wczesny ranek dwa dni przed zabójstwem Anne. Następnie podzieliłem linię na cztery dni, a potem godziny.

Zacząłem wyszukiwać informacje. Najpierw skupiłem się na zeznaniach świadków. Obie ofiary, Anne i Siri, dostały każda swój kolor, odpowiednio zielony i żółty. Aronowi przydzieliłem czerwony. Za każdym razem, gdy znalazłem informację na temat któregoś z nich, zaznaczałem odpowiednim kolorem punkt na mapie, a następnie na osi czasu. Gdy mapa zapełniła się punktami,

połączyłem je kreskami. W ten sposób mogłem uwidocznic, jak ważne osoby poruszały się w czasie i przestrzeni. Pracowałem od wczesnego ranka do późnego wieczoru, więc białe kartki na ścianie zaczęły się wolno zapełniać. Synne zajrzała do mnie kilka razy, lecz widząc, co robię, uśmiechała się szeroko i wychodziła.

Przez parę dni ciężko pracowałem. Z nadejściem weekendu czułem się wyczerpany i trochę zdołowany. Harówka w kancelarii pomogła mi zapomnieć o procesie, lecz teraz nagle koszmar powrócił. Nie mogłem znieść myśli o powrocie do domu. Przez otwarte drzwi słyszałem głos Synne rozmawiającej przez telefon. Raz głośno się zaśmiała, po czym nastąpiła cisza. Włożyłem płaszcz, a następnie mimowolnie zajrzałem do jej gabinetu.

– Koniec na ten tydzień, Mikael?

– Tak. – Zawahałem się chwilę. – Może pójdziemy na piwo, co?

– Sorry, ale nie mogę. Jestem już umówiona.

– Ze Sveinem? Tym opalonym?

– Nic ci do tego, Mikael.

– A więc ze Sveinem.

Rzuciła we mnie długopisem, a ja wyszedłem.

Bez zastanowienia skierowałem się do ulubionego pubu. W piątkowe popołudnia roiło się tam od dziennikarzy, adwokatów i prawników policyjnych, czasem wpadał ktoś z urzędu miasta czy urzędu ochrony konkurencji. Dopiero na korytarzu zdałem sobie sprawę, że długo mnie tam nie było, aż od aresztowania. Od czasu utraty licencji adwokackiej. Od czasu, gdy rozpadło się moje poukładane życie, kiedy to brylowałem wśród lokalnych prawników, przychodzących tutaj na mniej lub bardziej zasłużone piwo.

Zawahałem się na schodach. Usłyszałem nakładające się na

siebie głosy, wrzaski, przeszywający kobiecy śmiech. Dźwięki weekendu. Dźwięki rosnącego upojenia i nadchodzących dwóch dni wolnego. Na szczycie schodów zatrzymałem się, by zajrzeć do lokalu. Przy barze panował ścisk. Znałem wielu, którzy tam stali. Pośrodku grupki ożywionych młodych ludzi dostrzegłem Hansa Olava obejmującego młodą blondynkę. Spotkałem kiedyś jego żonę. To nie była ona.

Nagle poczułem, że nie mogę tam wejść. Nie miałem siły na fałszywe współczucie, szeptanie po kątach i ukradkowe spojrzenia. Może dałbym radę z Synne, ale nie sam. Z wypiekami wstydu na twarzy uciekłem w gęstniejący mrok jesieni. Zazwyczaj nie piłem dużo, z wyjątkiem okazjonalnych toastów w towarzystwie, i samotne picie zawsze uważałem za klęskę, ale bywają wieczory, gdy wszystkie inne możliwości wydają się gorsze.

ROZDZIAŁ 18

W poniedziałek rano miałem worki pod oczami, ranę na górnej wardze od golenia się drżącymi rękoma i ból głowy pulsujący w rytm tętna. Mimo to czułem ulgę, że weekend się skończył i mogę wrócić do pracy.

Synne wparowała do kancelarii z radosnym „dzień dobry” na ustach. Skuliłem się. Jej skóra jaśniała, spojrzenie miała promienne, wyglądała fantastycznie. Nie musiałem pytać, jak minął weekend. Wypiliśmy kawę w jej biurze. Gadała jak najęta, a ja odpowiadałem półsłówkami.

– Zły jesteś? Coś się stało? – zapytała, gdy wreszcie zarejestrowała mój brak entuzjazmu, ale tylko pokręciłem głową.

– Nic się nie stało, Synne, wszystko po staremu.

– Czyli jak?

Zacząłem wyliczać na palcach.

– Jest wczesny ranek, poniedziałek, pada deszcz. Jestem samotnym facetem w średnim wieku, bez licencji, bez widoków na przyszłość. Zaciałem się przy goleniu. Nic nie mogę wskórać w sprawie Arona ani w swojej własnej. Poza tym wszystko świetnie.

Zaśmiała się, lecz nawet ja usłyszałem bijącą z mojego głosu gorycz i lęk pobrzmiwający wibrującym półtonem. Moje słowa zadziałały jak zimny prysznic, który skutecznie ugasił jej żar. Uciekła się więc do rzeczowości.

– Chcesz, żebyśmy razem przeanalizowali sprawę Arona?

– Nie wiem, czy jest sens – odparłem, lecz Synne już była w drodze do mojego pokoju.

Staliśmy ramię w ramię, wpatrzeni w ścianę. Białe pasy papieru wypełniały kreski, notatki i długie, kręte linie.

– Skończyłeś? – zapytała Synne.

– Prawie. Nie całkiem.

– W każdym razie pracujesz. Poproszę o skróconą wersję, Mikael. Co zaważyło na wyroku?

– Cóż... Połączenie różnych czynników. Obserwacje świadków, umiejscawiające Arona we właściwym czasie na miejscach zbrodni. Dziwna osobowość. Zła opinia. Innymi słowy: pogłoski i poszlaki. No i oczywiście przyznanie się do winy.

– Co takiego? Przyznał się?

Skinąłem głową.

– Tak.

– Do obu zabójstw?

– Tak.

– Boże. No to masz pod górkę, Mikael.

– Tak to może wyglądać, ale w tej chwili sam już nie wiem. Chłopak był wtedy bardzo młody, miał zaledwie osiemnaście lat. Nie jest zbyt bystry, a jego osobowość odbiega od normy. Przesłuchiwano go cztery doby, aż nagle do wszystkiego się przyznał. Jak myślisz, jak trudno mogło być doświadczonym śledczym wydobyć z niego oświadczenie? Jeżeli tylko coś znajdę, jakiś wytrych, to samo przyznanie się do winy nie będzie przeszkodą nie do pokonania.

– Okej – powiedziała Synne, lecz w jej głosie słyszałem zwątpienie. – Co to?

Wskazała dwie krwistoczerwone, pionowe kreski dzielące czarną oś czasu na trzy prawie identyczne części.

– To zabójstwa. – Dotknąłem jednej z kresek. – Anne Vestøy. Zabita późnym wieczorem dwudziestego szóstego sierpnia. Zmarła w wyniku uderzenia.

– A druga?

– Siri Jensen. Zabita mniej niż dobę później, po południu lub wczesnym wieczorem następnego dnia. Też zmarła od ciosu zadanego kamieniem. Brak śladów przemocy na tle seksualnym u którejkolwiek z nich.

Chwilę staliśmy w milczeniu, po czym podjąłem wątek.

– To mapa Vestøy. Mają tam mnóstwo wysp, ale Vestøy jest największą w gminie i to na niej położona jest jedyna większa miejscowość. Pozostałe wyspy są przeważnie opustoszałe.

Synne skinęła głową.

– Mhm. A to co? – Postukała w kwadracik w miejscu gęsto zakreskowanym różnymi kolorami.

– To szkoła. A tutaj... widać, że kreski też zbiegają się wokół tego budynku w porcie... tutaj znajduje się sklep. Tu mamy gospodę, a tu skup ryb, gdzie od czasu do czasu pracowała większość dzieciaków, natomiast tu, na samym zachodzie, tuż przy morzu, znajduje się dom modlitwy.

– Wszyscy do niego chodzili?

Kiwnąłem głową.

– Tak, należeli do tej samej parafii.

– Czy to nie trochę zastanawiające?

– Nie wydaje mi się. Wygląda na to, że naprawdę wszyscy mieszkańcy wioski tam chodzili. Nie wiem, czy było to w tamtych czasach wyjątkowe ani czy miejscowi są szczególnie religijni, lecz ewidentnie dom modlitwy stanowił miejsce spotkań.

Synne w zamyśleniu wpatrywała się w ścianę.

– To wyspa – odezwała się wreszcie. – Dość mała wyspa.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie wiem. To dość wyjątkowe. Zamknięte, jakby odcięte od

reszty kraju środowisko... W takich wypadkach często pojawia się pokusa, by sądzić, że winny jest ktoś z zewnątrz, prawda? Jakiś włóczęga, wędrowny psychopata szukający własnego rewiru. Większość ludzi nie potrafi uwierzyć, że ktoś z ich znajomych mógłby coś takiego zrobić.

– Pewnie tak.

– Właśnie! – Ożywiła się trochę. – Ale na wyspie, a w każdym razie tak odizolowanej jak Vestøy i tak małej, że łatwo jest się rozeznać w terenie, ludzie nie mają tego przywileju. Gdy dokonano zabójstw, na wyspie na pewno nie było wielu obcych, a ci, którzy byli, musieli przyplłynąć promem, więc wszyscy doskonale wiedzieli, gdzie przebywają.

– Zgadza się. Było trzech obcych i wszystkich wykluczono ze sprawy.

– Właśnie. Miejscowi dość szybko musieli się zorientować, że to ktoś z nich. A jednocześnie... Spójrz tutaj. – Zrobiła krok w przód i dotknęła mapy. – Taka mała wieś, grupka domów, jeden przy drugim, ściśniętych wokół portu. I do tego dwa zabójstwa. Nie jedna, ale dwie młode kobiety nie żyją. Jak często coś takiego dzieje się w tym kraju? – Pokręciła głową. – Pomyśl, jak musieli się wtedy czuć. Jaki lęk i niepokój musiały wywołać takie dwa zabójstwa. Tam musiała panować zbiorowa psychoza, Mikael! Jednocześnie wszyscy dobrze się znali. Wielu pewnie było z sobą spokrewnionych. Każdy wiedział prawie wszystko o wszystkich. Idę o zakład, że z łatwością wskazali odmieńca, tego, który się wyróżniał. Z łatwością zrzucili na niego winę, aby ta mała społeczność mogła zapomnieć o sprawie i żyć dalej.

– Tak. Ze zbyt dużą łatwością. To mnie właśnie przeraża.

– Więc do czego doszedłeś? Masz coś? Jakąś konkluzję?

Wzruszyłem ramionami.

– Taką, że cała praca poszła na marne.

– To chyba nieprawda, Mikael. Musiałeś już zyskać dość dobre rozeznanie.

– Owszem, ale chodzi mi o to, że nic tutaj nie wskazuje, że Aron NIE jest mordercą. Nie ma żadnych niespójnych zeznań, przeczących temu, że zabił te dwie dziewczyny. Widziano go... tutaj... i tutaj... zarówno przed zabójstwem Siri, jak i po nim.

– A w przypadku drugiego morderstwa?

– Właściwie to pierwszego... Zabójstwa Anne. Sam mówi, że pływał wtedy łódką. Pewnie często to robił, wszędzie miał rozstawione pułapki i sprzedawał złapane kraby i homary, ale tego konkretnego dnia nikt go nie zauważył. – Wskazałem jeden punkt. – To jego łódź. Parę godzin wcześniej widziała go tam starsza kobieta, a chłopiec w wieku szkolnym zeznał, że Aron – jak sam twierdzi – płynął w stronę północnego krańca wyspy, ale chłopak nie miał pewności co do czasu obserwacji, więc można ją właściwie uznać za bezwartościową. Ponadto wiarygodny świadek zaobserwował Arona tuż koło miejsca, gdzie zabito Anne, w czasie pokrywającym się z zabójstwem.

Synne skinęła głową.

– W porządku, Mikael. Nie było podstaw, by przypuszczać, że pójdzie ci łatwo. Mimo wszystko to Aron najprawdopodobniej jest mordercą. Do skazania niewinnego nie dochodzi na szczęście zbyt często. Naprawdę myślałeś, że popracujesz parę dni, narysujesz kilka kresek na kartce i rozwiążesz sprawę?

– Nie, jasne, że nie. Miałem tylko nadzieję, że znajdę jakiś punkt zaczepienia. Jakiś zgrzyt, dwa niespójne zeznania świadków, coś w tym stylu. Ale nic nie znalazłem.

– To znaczy, że się poddajesz?

Westchnąłem.

– Nie, Synne, nie poddaję się. Skoro tyle już zrobiłem, mogę kopać dalej. Ale nie sądzę, żeby do czegoś to doprowadziło.

Skończyłem późnym popołudniem. Lekko bolała mnie głowa. Burczało mi w brzuchu i nagle się zorientowałem, że tego dnia również zapomniałem zjeść lunch, co ostatnio zdarzało mi się o wiele za często. Usiadłem na krześle, by przyjrzeć się rezultatowi wielu dni ciężkiej pracy.

Kartki na ścianie przypominały obrazek z kolorowanek dla dzieci, gdzie stronę pokrywają liczby, które trzeba połączyć, od najmniejszej do największej, aż w magiczny sposób zmienia się w sensowny rysunek. Pamiętałem, jak ciekawiło mnie, co znajdzie się na obrazku, pamiętałem też triumf, gdy spod ołówka wolno wyłaniał się zarys słonia lub samochodu. Ile satysfakcji dawało odnajdywanie sensu w chaosie! Jednak mapa na ścianie nie miała sensu, nie pozwalała nic zrozumieć. Była pełna kolorowych kresek, lecz nie wynikało z nich żadne ukryte znaczenie, nie rysował się żaden wzór. Widziałem tylko linie na kartce, nic więcej. Pasy papieru na ścianie ilustrowały najwyżej obecny stan mojego życia. Niedający się rozsypać węzeł, plątaninę skłębionych nici. Chaos.

Nagle coś we mnie pękło. Jakby kotwica nie wytrzymała i statek zaczął dryfować albo zamknięte drzwi nieoczekiwanie się otworzyły, ukazując ciemny pokój. Zerwałem kartki ze ściany. Później zrzuciłem wszystko z regałów, powyłamywałem półki i uderzałem nimi na oślep w ściany i biurko, aż leciały drzazgi. Jak przez mgłę zarejestrowałem, że otworzyły się drzwi do biura, i ledwie dostrzegłem przerażoną twarz pani Sørensen, która zaraz zniknęła. Ryczałem, ciskając przedmiotami o ściany.

Po chwili mi przeszło, tak samo niespodziewanie, jak się zaczęło. Krzesło leżało na podłodze. Postawiłem je i na powrót usiadłem przy biurku. Przyglądałem się chaosowi wokół. Po paru minutach pochyliłem się i położyłem głowę na blacie. Czułem się pusty, prawie nieważki.

– W porządku, pani Sørensen – powiedziała Synne. – To nic takiego. Ostatnio miał po prostu trochę za dużo na głowie. Zajmę się tym. Proszę iść do domu, nic się nie stało.

– Przepraszam – mruknąłem.

– Nie ma sprawy, Mikael. Mogłam się tego spodziewać. To znaczy spodziewałam się, ale powinnam była coś z tym zrobić. Znajdujesz się pod straszną presją. Prędzej czy później coś musiało puścić.

– Co mogłaś zrobić oprócz tego, co już zrobiłaś i za co jestem ci wdzięczny?

– Nie wiem. Porozmawiać z tobą porządnie o twoim samopoczuciu. Znaleźć ci psychologa. Cokolwiek.

– Nie chcę iść do psychologa.

Koło jej ust pojawił się cień.

– Jasne, że nie chcesz, Mikael. To może weź urlop.

– Nie stać mnie na urlop. I cóż to za kusząca wizja: leżeć przy basenie i nie myśleć o niczym poza swoimi problemami?

– Pojedź na Vestøy!

– Co?

– Pojedź na Vestøy, Mikael. – Wskazała ręką otaczający nas chaos. – Rozumiem, że nie wymyśliłeś nic w sprawie Arona. I nic dziwnego. Nie możesz spodziewać się, że rozwiążesz zagadkę, tylko czytając dokumenty. Pojedź tam, obejrzyj miejsca zbrodni, porozmawiaj z ludźmi. Może na coś wpadniesz. A przy okazji

wystawimy klientowi rachunek za podróż i nocleg. Pomyśl o tym w kategoriach pobytu rekreacyjnego. Wakacje połączone z badaniem terenowym.

Popatrzyłem na nią z powątpiewaniem.

– No nie wiem, Synne. Zapewne okaże się to tylko marnotrawstwem czasu i pieniędzy.

– Daj spokój, Mikael. Co masz do stracenia? Do tego naprawdę potrzebujesz zmiany otoczenia. Spójrz na ten pokój!

– Przepraszam – wymamrotałem raz jeszcze, jednak ona machnęła tylko ręką.

– To nic. Ale rozkazuję ci jechać na Vestøy.

Już w chwili, kiedy się zgodziłem, nie mogłem doczekać się wyjazdu. Wiedziałem, że to rodzaj ucieczki, ale nie miało to znaczenia. Myśl, że opuszczę swój zdewastowany gabinet, nie będę musiał spędzać kolejnych wieczorów w samotności, w moim ciemnym salonie, że znajdę się w nowym miejscu, wśród nowych ludzi, z nowym widokiem – ta myśl nagle stała się nieodparcie pociągająca.

Część II

ROZDZIAŁ 19

Fale rzucały promem. Zająłem miejsce w salonie na samym przedzie, by podziwiać widok, ale za każdym razem, gdy statek chował się w zagłębieniu fali, morską pianą przelewała się przez dziób, smagając nadbudowę i uniemożliwiając wyglądanie przez okna. Poczułem lekkie mdłości, zapowiedź choroby morskiej, więc wstałem i chwiejnie przeszedłem przez salon. Kilkoro pozostałych pasażerów czytało lub przysypiało, nie zwracając na mnie uwagi. Nikomu nic nie dolegało.

Drzwi prowadzące na mały pokład rufowy były ciężkie. Aby je otworzyć, musiałem na nie naprzeć całym ciałem. Na zewnątrz podmuch chwycił mnie wilgotnymi palcami. Ostry jak nóż wiatr przeszywał mój zimowy płaszcz, aż zacząłem się trząść, lecz chłód był lepszy od mdłości. W kącie od strony sterburty znalazłem wystarczająco dobre schronienie, by tam zostać.

Postawiłem kołnierz płaszcza, wsadziłem ręce w kieszenie i patrzyłem na spieniony kilwater. Kiedy podniosłem wzrok, brzeg skrył się w szarej mgle, ale kątem oka dostrzegłem poszarpany zarys łańcucha górskiego, odległe szczyty w odcieniach błękitu i fioletu, niemal zlewające się z niebem. Wyglądały, jakby unosiły się w powietrzu. Poczułem się zagubiony i samotny.

Nieco później zauważyłem, że statek inaczej się porusza. Nadal trochę się kołysał na lekko wzburzonym morzu, lecz przyprawiający o mdłości, korkociągowy ruch spiętrzonych fal minął. Za sterburtą migotały białe grzywy. Podeszedłem do relingu i ujrzałem, że dotarliśmy do wysepek i szkieców tworzących wychodzącą na zachód osłonę. Minęliśmy jeden ze szkieców dość blisko, tak blisko, że widziałem białe skałoczepek, które przywarły do wyslizganych głazów. Do moich nozdrzy dotarła woń

wodorostów i listownic oraz słonego, zimnego morza. Nagle przygnębienie minęło. Bez wyraźnego powodu poczułem się radosny, niemal szczęśliwy, jak gdybym stał u progu czegoś nowego i obiecującego.

Wtedy wyłoniła się sama wyspa Vestøy, pełna szarych pagórków i stromych klifów. W dających schronienie zatokach widziałem gdzieś tam jakiś krzywy, stary, drewniany pomost czy hangar na łodzie, parę domów o ciemnych oknach, pewnie opuszczonych i zrujnowanych, aż nagle ujrzałem świeżo malowaną stodołę, która świeciła wręcz szokującą czerwienią wśród szarości i brązów. Za mną trzasnęły żelazne drzwi. Odwróciłem się i zobaczyłem mężczyznę mniej więcej w moim wieku, pochylonego, na pół odwróconego, z dłońmi przy twarzy. Wyglądało to dziwnie, jakby próbował się schować, i dopiero na widok drobnych smużek dymu unoszących się spomiędzy jego dłoni i porywanych przez wiatr zrozumiałem, że usiłował zapalić papierosa. Zauważył, że szybko zerknąłem na szyld, na którym wielkimi literami wypisano: „Palenie wzbronione”.

– Wiem – powiedział. – Tylko dlaczego miałyby być wzbronione? Komu to przeszkadza tu, na pokładzie? Pływam tym promem od ponad czterdziestu lat i zawsze, gdy nie ma sztormu, palę. I mam zamiar dalej palić.

– Mnie to nie przeszkadza – zapewniłem.

– Był pan tu już?

Pokręciłem głową.

– Nie, to pierwszy raz. Pięknie tu.

– Pięknie? No cóż, latem może i tak. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Niski, krępy mężczyzna w dzinsach i tradycyjnym swetrze. – Przez pozostałą część roku jest sztorm albo silny wiatr.

Ma pan szczęście, że trafił na spokojny dzień.

Uśmiechnąłem się.

– Jak dla mnie wystarczająco wiało.

– Odwiedza pan kogoś?

– Zatrzymam się w gospodzie.

Nie odpowiedziałem na jego pytanie, a on przyjrzał mi się badawczo, ale nie pytał więcej, tylko stał przy relingu, zaciągając się resztką własnoręcznie skręconego papierosa. Miał krótki, siwy zarost i pożółkłe od nikotyny palce. Minęliśmy białą latarnię z czerwonym dachem.

– Zaraz będziemy na miejscu – oznajmił.

Statek wpłynął lekko w wąską cieśninę między wysepką a stromą górską ścianą i znaleźliśmy się na spokojnych wodach. Po prawej stronie stały szeregi niedużych hangarów na łodzie, niektóre niepomalowane i szare, inne czerwone lub białe. Zatoka rozszerzyła się, ujrzałem drewniane pomosty, parę zacumowanych kutrów, stojący przy brzegu trawler. Otaczały ją skupiska drewnianych domów, kilka dużych, starych magazynów i nowoczesne betonowe nabrzeże, na którym czekała grupka ludzi.

Obciążony bagażem, chwiejnym krokiem schodziłem po stromym trapie. Starsze małżeństwo, kilku mężczyzn, dwójka zaspanych dzieciaków i młoda kobieta z dwoma maluchami prędko zeszli na ląd i zniknęli. Mężczyzna z pokładu rufowego uniósł dwa palce do czoła.

– Może się jeszcze zobaczymy – powiedział, a ja odwzajemniłem pozdrowienie.

Na nabrzeżu stał magazyn i dwie zardzewiałe pompy paliwowe. Dalej znajdował się długi, niski budynek. Napis na dużym szyldzie informował, że mieści się tam sklep spożywczy. Nieco mniejszy

szyl d głośił też, że miejsce jest jednocześnie urzędem pocztowym. Zatrzymałem się pod niewielką tablicą wiszącą przy wejściu, gdzie przeczytałem, że komuś zaginął kot, że w środę wieczorem odbędzie się spotkanie w domu modlitwy, na które wszyscy są zaproszeni, oraz że w poniedziałek przed południem na dwie godziny zostanie wyłączona dostawa wody z powodu prac konserwacyjnych. Następnie wszedłem do środka i zapytałem, jak dojść do gospody.

– Prosto pod górę – powiedziała otyła kasjerka. – Nie da się zabłądzić. Pod górę, aż zobaczy pan dom po prawej. Pięć minut drogi.

– Dziesięć minut – poprawił ją starszy mężczyzna w zielonym kombinezonie roboczym, oparty o ladę. Spoglądał wyzywająco na kasjerkę. – Bardziej dziesięć niż pięć.

Kobieta wyglądała na zrezygnowaną, jakby była to stara dyskusja, której miała już dość.

– W każdym razie niedaleko – stwierdziła.

Podziękowałem im i ruszyłem pod górę, między drewniane domy z ogródkami otoczonymi świeżo malowanymi płotami. Wszystko było zadbane i czyste. Przez ten spokój i porządek wydawało się, że nie może się tu stać nic złego. I ta cisza. Żadnych odgłosów ruchu drogowego. Zapomniałem, że na Vestøy nie ma samochodów. Tylko kółka mojej walizki trzeszczały na szorstkim asfalcie, zakłócając spokój.

Walizka była ciężka, wypełniona dokumentami. Jakbym ciągnął kufer pełen tajemnic. Minąłem dwie rozmawiające z sobą starsze panie. Skinęły głowami i uśmiechnęły się do mnie, a ja grzecznie odwzajemniłem gest, myśląc, że te kobiety prawdopodobnie znały zarówno Arona, jak i obie zabite dziewczyny. Tak naprawdę mogły być z nimi spokrewnione. Może ich zeznania znajdowały się

w mojej walizce. Prawie wszyscy mieszkańcy wyspy złożyli wówczas zeznania na policji.

Z okna ktoś wyjrzał, może rozproszony lub zaniepokojony zgrzytem kółek, a mnie po raz pierwszy uderzyła myśl, że mogę nie być tu mile widziany. Przyjechałem, żeby grzebać w ich przeszłości, odkopywać relacje i zdarzenia, które tutejsi ludzie przez długi czas starali się zapomnieć, a moja walizka z dokumentami była puszką Pandory, pełną smutków i nieszczęść tej małej społeczności.

ROZDZIAŁ 20

Szydł z napisem „Gospoda Vestøy” był jak przyjazna latarnia w gęstniejącym mroku. W środku ładnie pachniało domowym jedzeniem, a chociaż lokal jeszcze się nie zapełnił, na wszystkich stolikach paliły się świece. Uśmiechnęła się do mnie młoda dziewczyna. Przedstawiłem się i powiedziałem, że rezerwowałem tu pokój. Na moment zniknęła na zapleczu i znów się zjawiała – z kluczem w dłoni.

– Pokażę, gdzie będzie pan mieszkał – powiedziała, po czym lekkim krokiem wbiegła po schodach. Powlokłem się za nią z bagażem.

– Nie mamy innych gości – poinformowała, otwierając drzwi. – Dlatego dostanie pan najlepszy pokój, chociaż zamówił pan jednoosobowy.

Pomieszczenie było zaskakująco duże i przestronne. Jego ściany wyłożono tapetą w drobne kwiatki, stały tam szerokie, podwójne łóżko z wielkimi poduszkami, dwa fotele po obu stronach małego okrągłego stolika i – co najlepsze – biurko pod oknem.

– Świetnie – ucieszyłem się. – Znakomicie.

– Zje pan u nas kolację?

– Tak planowałem. Jak długo macie otwarte?

– Jedzenie serwujemy do ósmej, ale mamy otwarte dłużej.

W każdym razie jeśli są goście – dodała.

– Okej. Zejdę za jakiś czas.

Kiedy poszła, wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że mam widok na port. Prawie zapadł już zmrok, ale po lewej dojrzałem nabrzeże promowe, gdzie godzinę wcześniej zszedłem na ląd. Sklep wydawał się zamknięty, nabrzeże było puste i ciemne. Na jego krańcu stały tylko dwie żółte latarnie, których blask odbijał się

w czarnej wodzie. Dalej czerwone i zielone światełka wskazywały drogę na wyspę. Niebo było ciemne i bezgwiazdne, lecz zupełnie na północy dostrzegalem pozostałości pomarańczowego pasa z lekkim odcieniem różu, ostatnie pociągnięcia pędzla zachodzącego słońca.

Gdy kolory opuściły niebo, położyłem się na łóżku. Chciałem tylko chwilę odpocząć, lecz zasnąłem. Obudziłem się zmarznięty. Gdy spojrzełem na zegarek, zorientowałem się, że zaraz kończą serwować jedzenie.

W gospodzie było więcej gości, niż się spodziewałem. Głowy odwróciły się w moją stronę, a gwar przycichł, kiedy przechodziłem przez salę do baru. Zamówiłem kotlety mielone i piwo, wziąłem gazetę i znalazłem wolny stolik w rogu, gdzie mogłem zjeść z dala od ciekawskich spojrzeń.

– Smakowało?

Podniosłem wzrok i zobaczyłem niebieskie oczy, rumiane policzki oraz burzę jasnych włosów, które kobieta bezskutecznie próbowała związać w kucyk.

– Tak, było dobre.

Podawała mi dłoń.

– Cieszę się. Jestem Magda. To mój lokal – dodała, widząc moje zdziwienie. – Rozmawialiśmy przez telefon, kiedy rezerwował pan pokój.

– Ach, Magda, oczywiście. – Wstałem. – Mikael Brenne.

– Pokój w porządku? Ma pan wszystko, czego panu trzeba?

– Pokój jest wspaniały.

– To dobrze. – Znów się uśmiechnęła, ukazując równe białe zęby i dołeczki w policzkach. – Może jeszcze jedno piwo?

– Chętnie – odparłem, po czym odprowadziłem ją wzrokiem. Była puszysta. Ktoś mógłby nawet oskarżyć ją o nadwagę, ale

poruszała się lekko i miała ładne łydki.

Skończono podawać jedzenie, lecz sprzedaż piwa wciąż szła dobrze. Magda najwyraźniej znała wszystkich. Każdy gość mógł liczyć na celną ripostę i uśmiech. Skończyłem czytać gazetę i zacząłem się przyglądać pozostałym. Nikt już na mnie nie patrzył, zainteresowanie nieznajomym zdążyło przeminąć. Dwójka młodych w kącie trzymała się za ręce. Para dorosłych piła w skupionej ciszy, inna cicho, lecz z zapałem rozmawiała. Czterech młodych mężczyzn siedziało wokół stołu, który uginał się pod ciężarem pustych butelek. Popijałem piwo, zerkając ukradkiem na Magdę. Raz odwróciła głowę i pochwyciła moje spojrzenie. Speszylem się i spuściłem wzrok, ale gdy na powrót go podniosłem, uśmiechnęła się do mnie. Zdałem sobie sprawę, ile czasu minęło, odkąd byłem z kobietą.

Lokal z wolna pustoszał. Wytrzymywali jeszcze tylko młodzi chłopcy i dwóch starszych panów. Zdecydowałem już, że pójdę się położyć, gdy do środka wszedł znajomy palacz z pokładu rufowego. Rozejrzał się, po czym ruszył w kierunku mojego stolika.

– Witam – odezwał się. – Mogę się przysiąść?

– Oczywiście.

Nazywał się Frank Lande i mieszkał na Vestøy prawie całe życie.

– Urodziłem się tutaj – powiedział – i tutaj też pewnie umrę.

– Nigdy nie chciałeś podróżować, zwiedzać świata?

Zaśmiał się.

– Zwiedzałem świat. Trzy lata nauki, a później rok pracy w stolicy w zupełności mi starczą. Jasne, że ludzie wszędzie są tacy sami, ale ja wolę być tutaj niż tam.

– Co robiłeś w Oslo?

– Ścierałem rzygi i krew. Byłem śmieciarzem. Zbierałem ludzkie odpady. – Uśmiechnął się krzywo. – Innymi słowy, byłem policjantem.

– Policjantem?

– Tak.

– I porzuciłeś zawód zaledwie po roku?

– Nie, nie porzuciłem zawodu, jedynie Oslo. Wróciłem do domu i podjąłem pracę na lokalnym posterunku.

– Nie wiedziałem, że macie posterunek w tej...

– W tej dziurze?

– Tego nie powiedziałem.

Zaśmiał się.

– Nie, ale chciałeś. Masz rację. Pracuję na stałym łądzie. – Wymienił nazwę najbliższej miejscowości. – Tam znajduje się posterunek i tam też mam małą kawalerkę. Ale gdy tylko mogę, przyjeżdżam tutaj.

Magda podeszła się przywitać. Przyniosła piwo dla Franka, chociaż o nie nie prosił.

– Dziękuję – rzekł Frank. Wstał i objął ją w pasie. – Przecudna Magda! Najpiękniejsza na całej Vestøy, Mikaelu.

Uśmiechnęła się, lecz oswobodziła się z jego uścisku.

– Nie usiądziesz z nami? – zapytał Frank.

– Mam robotę. Może później.

Wznosiliśmy toasty i piliśmy. Frank opowiadał historie z wyspy: o nielegalnych połowach, pijaństwie i trwających od pokoleń sąsiedzkich waśniach. Potrafił opowiadać i był wyczulony na ludzką głupotę, więc często się śmialiśmy. Frank przyniósł parę kolejnych piw, po czym zbył moją próbę uregulowania rachunku.

– Okej, panowie. Dziękuję na dziś. Zamykamy!

Podniosłem wzrok. To odezwała się Magda. Stała pośrodku sali, trzymając się pod boki. Zacząłem się podnosić, ale Frank położył mi dłoń na ramieniu.

– Spokojnie, Mikael. My możemy zostać.

Dwaj starsi panowie pożegnali się i powłócząc nogami, wyszli w mrok, ale młodych nie dało się tak łatwo pozbyć. Byli mocno wstawieni i nie chcieli kończyć wieczoru.

– Jeszcze tylko po piwie, Magdo – błagali. – No weź, nie bądź taka...

Ale Magda była niewzruszona.

– Wypiliście już dość, chłopaki. Jazda mi stąd.

– A dlaczego on może zostać? – Najgłośniejszy z nich, ciemnowłosey, nieco przysadzisty facet o policzkach pokrytych bliznami po trądziku, wskazał mnie kciukiem.

– On tutaj mieszka. No dalej, chłopcy.

– A Frank? Frank tu chyba, kurna, nie mieszka, co? A może mieszka u ciebie w łóżku?

Frank wolno wstał.

– Idź do domu, Gustav – powiedział dość cicho, ale wyraźnie.

– Nigdzie, kurna, nie...

– Bierz swoich kumpli i zjeżdżaj. Już!

Nastąpiła sekunda ciszy. Po twarzy Gustava widziałem, jak bardzo liczy na bójkę, ale jego koledzy zdążyli już wstać i skierować się do wyjścia. Gustav został sam, więc rzuciwszy Frankowi krzywe spojrzenie, poddał się i wyszedł za nimi w noc.

– Byli agresywni – zauważyłem, lecz Frank pokręcił głową.

– E tam. Znają mnie i wiedzą, że nie toleruję głupot. To w zasadzie porządne chłopaki. Rybacy, w dodatku kawalerzy, rozumiesz. Mają kasę, ale niewiele do roboty. Przydałyby im się

żony, które wzięłyby ich w ryzy, jednak wszystkie kobiety wyjechały do miasta do szkół.

Magda spojrzała na niego.

– Sama bym sobie poradziła, Frank.

Wzruszył ramionami.

– Jasne. Ale przy mnie okazują trochę więcej szacunku.

Przyniosła sobie kieliszek czerwonego wina i piwo dla nas. Usiadła między nami, zdjęła gumkę do włosów i rozpuściła swoje jasne loki. Jej twarz stała się dzięki temu inna. Łagodniejsza. Mniej surowa. Uśmiechnęła się do mnie.

– Przepraszam za to. Pijani rybacy nie robią najlepszego wrażenia na naszych gościach.

– Ludzie wszędzie się upijają – skomentowałem. – Nawet gdy nie są rybakami. Jestem pewien, że na Vestøy nie jest gorzej niż gdzie indziej.

– Tak. Dobrze się tu mieszka. Może nie dzieje się tutaj zbyt wiele, ale ludzie dbają o siebie nawzajem.

– Pewnie nie odwiedza was zbyt wielu obcych. Kiedy tu wszedłem, wszyscy patrzyli na mnie jak na jakieś zjawisko.

– Latem zdarzają się turyści – zapewniła. Na nosie miała piegi.

– Naprawdę?

– Tak. Nawet całkiem sporo. Trochę Norwegów, ale głównie Niemcy. Jednak o tej porze nie przyjeżdża tu prawie nikt, więc nic dziwnego, że budzisz zainteresowanie. Październik to nie pora wakacji.

– Jestem prawnikiem, nie turystą – wyjaśniłem. – I mam tu do wykonania zadanie.

Frank się zaśmiał.

– O którym nie chcesz mówić. Ale i tak się dowiemy.

Posłałem mu wymuszony uśmiech.

– Ty, jako lokalny policjant, na pewno.

– Wątpię, żeby konieczne było śledztwo. To mała społeczność.

Na Vestøy trudno o tajemnice.

– A jednak ludzie je mają?

– Wszyscy i wszędzie mają tajemnice. Ty też.

Zaśmiałem się, ale poczułem się trochę nieswojo.

– Brzmisz, jakbyś był w pracy, Frank.

– Nie na Vestøy. Tutaj mogę odpocząć. Nic się tu nie dzieje.

– To chyba nie do końca prawda – mruknąłem. – Minęło już wprawdzie wiele lat, ale zamordowano tu dwie młode dziewczyny.

Na kilka sekund zapadła między nami cisza.

– A więc pamiętasz – rzekł wreszcie Frank.

Wzruszyłem ramionami.

– Dość dużo o tym pisano. Szokująca sprawa. Zналиście je? Te zabite dziewczyny?

Znów chwila wahania.

– Wszyscy tu wszystkich znają. – Tym razem to Magda wzruszyła ramionami. – Byłam kilka lat starsza, ale znałam obie. Anne i Siri.

Spojrzałem na Franka. Zerknął na blat stołu, po czym skinął głową, niemal wbrew woli.

– Znałem je. Anne była moją kuzynką. To był bolesny okres. Ale minęło już tyle czasu...

Siedzieliśmy jeszcze chwilę, lecz rozmowa jakby straciła energię i kierunek. Nagle głośno ziewnąłem.

– Czas na odpoczynek. – Wstałem, a oni za mną. Magda dotknęła mojej ręki, lekko jak piórko.

– Do jutra – pożegnała się.

Wróciwszy do pokoju, otworzyłem okno i wychyliłem się przez nie. Zaczerpnąłem zimnego, wilgotnego powietrza, aby przewietrzyć trochę głowę. Na zewnątrz panowały egipskie ciemności, nie dało się prawie nic zobaczyć, lecz na dole dostrzegłem czerwony ognik papierosa, a po chwili byłem już całkiem przekonany, że widzę dwa cienie i słyszę dwa mrukliwe głosy. Rozżarzony koniec papierosa zakreślił łuk w mroku i zniknął, cienie zlały się w jedno, a jeden z głosów powiedział: „Nie”.

Chyba należał do Magdy, ale nie miałem pewności. Drugi głos coś odpowiedział. Nie mogłem rozróżnić słów, jednak intonacja wyrażała niezadowolenie. Doszedł mnie cichy dźwięk kroków, a później trzaśnięcie drzwi.

Upojenie dawało o sobie znać lekkim bólem głowy. Vestøy leżała w mroku i ciszy jak obcy świat, pełen obcych ludzi i nieznanych historii. Nagle cała ta podróż – ze stertą pożółkłych dokumentów jako jedyną bronią i z wiarą, że mogę odkryć tajemnice z dawnych czasów – wydała mi się beznadziejna. Cicho zamknąłem okno i poszedłem do łóżka.

W środku nocy gwałtownie się przebudziłem. Przez chwilę byłem zupełnie dezorientowany, nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem. Zapaliłem lampkę na stoliku nocnym, zobaczyłem tapetę w kwiatki i koronkowe firanki w oknach i przypomniałem sobie, że znajduję się na Vestøy. Zgasilem światło, ale leżałem, nie mogąc zasnąć. Przed oczami przesuwały mi się znajome twarze. Ulv Garmann i Hans Mikkelsen z niklowanym pistoletem w dłoni. Zjawiała się też pobita twarz Gerd Garshol, a następnie Morten Ålekjaer szybujący ku niebu. Wszyscy dopadli mnie we śnie, a teraz nie mogłem się ich pozbyć, tańczyli niczym zjawy,

zapowiadając przyszłe nieszczęścia i katastrofy. Wierciłem się pod kołdrą, próbując skupić się na czymś innym. Zmusiłem się, by myśleć o Magdzie. Przypomniałem sobie jej perlisty śmiech, piegowaty nos, pełne usta. Przypomniałem sobie też jej bujne kształty i lekki dotyk dłoni. W myślach chwyciłem ją w objęcia, pozwalając, by jej ciepłe i pełne ciało przepędziło zjawy, troski i złe wspomnienia.

ROZDZIAŁ 21

Następne przedpołudnie potwierdziło moje obawy. Miałem mapy i zdjęcia sprzed dwudziestu pięciu lat, ale od tego czasu sporo się zmieniło. Wiele z gospodarstw, które mijałem, wyglądało na opuszczone – nieduże, jałowe farmy, które nigdy nie przynosiły większych zysków, zostały wreszcie porzucone przez nowe pokolenie o zupełnie innych wymaganiach i oczekiwaniach niż jego rodzice. Pastwiska i pola z wolna zarastały. Słońce, wiatr i deszcz łuszczyły farbę z dawnych budynków gospodarskich, wszystko popadało w ruinę.

Chodziłem między opuszczonymi domami, szukając miejsca zbrodni. Miejsca, gdzie kiedyś zabito młodą dziewczynę.

Tego wieczoru, gdy zginęła Siri, para nowożeńców widziała Arona na spacerze. Zjawił się między drzewami w niewielkim zagajniku, a świadkowie opisali jego zachowanie jako dziwne. Rozglądał się wokół – zeznali – jakby stał na czatach i bał się, że ktoś go zobaczy, a gdy ich dostrzegł, schował się między drzewami i zniknął im z oczu. Ciało Siri znaleziono po drugiej stronie zagajnika. Patolodzy sądowi stwierdzili, że śmierć nastąpiła w czasie odpowiadającym obserwacji świadków.

Prawie całkiem zarośnięta żwirowa ścieżka skręcała w lewo. Zwątpiłem, zatrzymałem się i znów sprawdziłem mapę. Gdy podniosłem wzrok, wyrósł przede mną mężczyzna. Musiał się ruszać bardzo cicho, bo nie słyszałem, jak przyszedł.

– Zgubił się pan? – zapytał. – Jeśli tak, to gratuluję. Na Vestøy nie jest to proste.

Był to starszy człowiek, którego spotkałem poprzedniego dnia w sklepie. Miał na sobie ten sam zielony kombinezon i brązowe kalosze. Na głowie nosił czerwoną czapkę z daszkiem i reklamą

producenta traktorów. Pokręciłem z uśmiechem głową, a mapę złożyłem i schowałem do kieszeni.

– Nie, nie. Próbuję tylko zorientować się w terenie.

– Północ jest tam. – Wskazał palcem. – A zachód w stronę morza. Więcej nie musi pan chyba wiedzieć. – Podał mi dłoń. – Per Tveit.

– Mikael Brenne.

– A co pan tutaj robi, panie Brenne?

– Zażywam świeżego powietrza – odpowiedziałem. – Mieszkam w pensjonacie.

Zanim zdążył zadać następne pytanie, pożegnałem się, po czym zszedłem na boczną drogę. Kiedy zerknąłem przez ramię, zobaczyłem, że stoi, spoglądając w moim kierunku.

Szybko zorientowałem się, że jestem na dobrym tropie. Po dziesięciu minutach trafiłem na właściwy zagajnik. Wszedłem między pokrzywione sosny. Niełatwo było odnaleźć tam drogę, przekraczałem powalone pnie i zmurszałe gałęzie, potykałem się o kępy trawy i wdeptywałem w bulgoczące bagna, ciesząc się, że włożyłem gumki. Niezwykle gęsta roślinność utrudniała orientację. Las ciągnął się dalej, niż się spodziewałem. Zatrzymałem się w obawie, że pomyłę kierunek. Gdzieś za mną coś zaszeleściło w poszyciu. Trzasnęła gałązka. Stałem w zupełnej ciszy, czekając. Zdawało mi się, że dostrzegłem coś zielonego między żółtymi i brązowymi liśćmi, ale nie byłem pewien.

Budynek zaznaczony na mapie okazał się jedynie małą komórką, kiedyś może używaną do przechowywania narzędzi. Dwie murowane ściany nadal stały, lecz pozostała część się zapadła i zostało z niej niewiele poza zgniłymi deskami i omszałym łupkiem. Z tyłu niski kamienny murek biegł wzdłuż skraju lasu.

Właśnie tam, w kącie między komórką a murkiem, zginęła Siri.

Spojrzałem na zdjęcie, które z sobą wziąłem. Leżała na ziemi, częściowo na boku, z sukienką podwiniętą na biodra. Jasne włosy opadały jej na twarz, ale nie kryły plam krwi, przez które wydawała się brudna. Obok jej głowy leżał okrągły, nierówny kamień, trochę większy niż zaciśnięta pięść. Również on był czerwony od krwi.

Tam, gdzie kiedyś leżała, teraz rósł krzak dzikich malin o na wpół zwiędłych, smutno wyglądających listkach. Ziemię, wtedy porośniętą soczyście zieloną trawą, teraz pokrywały sztywne żółte źdźbła. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale nie poczułem wibracji z odległej przeszłości, nie usłyszałem echa tragedii, która rozegrała się przed laty. To miejsce nie miało mi nic do powiedzenia.

Zamiast wrócić tą samą drogą, poszedłem dalej skrajem lasu. Po chwili dotarłem do szutrowej drogi, która – jak sądziłem – musiała zaprowadzić mnie z powrotem do zabudowań. Zaczął wiać zachodni wiatr, który przejął mnie dreszczem, więc przyspieszyłem kroku, by nie zmarznąć. Ostre podmuchy niosły zapach deszczu.

Biały domek o oknach gęsto podzielonych szprosami stał samotnie pośrodku brunatnego krajobrazu. W przeciwieństwie do większości podwórek na Vestøy, tutaj za zielono malowanym płotem nie było krzewów ozdobnych, grządek czy mebli ogrodowych, a jedynie zwiędły trawnik i suszarka pełna prania powiewającego na wzmagającym się wietrze. Gdy mijalem bramę, ktoś zawołał mnie po imieniu. Odwróciłem się i ujrzałem wyglądającą z okna głowę Franka.

Kuchnia Franka była mała, lecz czysta i porządna. Na blacie stały brudne naczynia, dwa talerze, dwie szklanki, garnek

i filiżanka po kawie. Pod oknem znajdowały się mały, żółty stolik z laminatu, z rodzaju tych, które pamiętałem z dzieciństwa, oraz dwa krzesła z obiciami z brązowego skaju. Z wdzięcznością wziąłem w dłonie parujący kubek z kawą. Cicha muzyka country sączyła się przez na wpół otwarte drzwi do salonu.

– Miło cię znowu widzieć – powiedział Frank. – Chodziłeś po okolicy?

– Tak, ale zerwał się wiatr, a i deszcz chyba wisi w powietrzu.

– Masz rację. Wkrótce będzie padać.

Wprawnym ruchem palców skręcił sobie papierosa, zapalił go zapałką i mocno się zaciągnął. Wypuścił błękitny dym w stronę sufitu.

– Palenie kiedyś mnie zabije, ale nie umiem rzucić. Wiele razy próbowałem. Przeszkadza ci to?

Pokręciłem głową.

– Dobrze. – Ponownie się zaciągnął, po czym utkwił we mnie wzrok. – Jesteś tu z powodu tego starego morderstwa, prawda?

– Dlaczego tak sądzisz?

– Adwokat, który przyjechałby na wyspę w związku ze zwykłym zleceniem, raczej odwiedziłby klienta i zaraz wrócił do domu. Nie kręciłby się, jak ty, po polach i lasach. A teraz przyszedłeś z północy. – Wskazał kciukiem. – Są tam tylko dwa gospodarstwa. Jedno opuszczone, a przypadkowo wiem, że mieszkańcy drugiego akurat odpoczywają na Wyspach Kanaryjskich, więc na pewno nie poszedłeś tam, żeby spotkać się z klientem. – Znów zaciągnął się papierosem. – Myślę, że oglądałeś miejsce zbrodni. Miejsce, gdzie zabito Siri.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

W jego głosie pojawił się cień zniecierpliwienia.

– Mam rację, Mikael?

Westchnąłem.

– Tak, masz rację.

– Ale dlaczego? Co ciekawego może być w tej starej sprawie? – Na jego twarzy nagle pojawiło się zrozumienie. Zerwał się na równe nogi. – Aron! Do cholery, to Aron chce wszystko odgrzebać, prawda?

Skinąłem głową.

Usiadł z powrotem na krześle, potarł dłonią twarz. Słyszałem chrzęst jego krótkiego zarostu.

– Nie cieszysz się, co?

– Nie cieszę się. W ogóle się nie cieszę – rzekł. – Nie zrozumiesz tego, chyba nikt z zewnątrz nie może sobie wyobrazić, jak ta sprawa wpłynęła na tutejszych ludzi, jaki to był dla nas szok. Żyjemy tak blisko siebie, wszyscy wszystkich znają, łączą nas rozmaite więzi. Jak mówiłem, Anne była moją kuzynką. Byłem zdruzgotany, gdy zginęła, widziałem też, co jej śmierć uczyniła z pozostałymi członkami rodziny, z moim wujostwem. Po tym, co się stało, już nigdy nie byli tacy sami. Mój wujek... po prostu zniknął. Żyje, ale nic z niego nie zostało.

– Znasz też Arona?

– Jasne, że znam Arona. Albo znałem, należałoby raczej powiedzieć. Nigdy tu nie przyjeżdża.

– Nigdy? Nawet na zakupy czy na pocztę? – Byłem zdumiony.

– Nie. Nie widziałem go ani razu, odkąd go wypuszczono. Pewnie woli się tu nie pokazywać. – Frank przechylił się przez stół, gestykulował z papierosem w dłoni. – Ten człowiek jest winny, Mikael. Jak mówię, znałem go. Jest parę lat młodszy ode mnie, ale dorastaliśmy razem. On nie ma po kolei w głowie. Ani trochę.

– Jak to?

Frank wzruszył ramionami.

– Niełatwo mi to wyjaśnić, ale wszyscy wiedzieliśmy, że nie jest normalny, że byłby zdolny do... do wszystkiego.

– Do podwójnego morderstwa? Był dziwny i inny niż wszyscy, więc to znaczy, że jest podwójnym mordercą?

– On jest winny, Mikael. Nikt w to nie wątpił, ani my, mieszkańcy, ani policja, ani sąd. Boże, przecież się przyznał! Zabił je obie, Anne i Siri. Uwierz mi, to on.

– Wiem, że wtedy nikt w to nie wątpił, i właśnie to mnie martwi – podkreśliłem. – Ta zbiorowa pewność, to, że nikomu nawet nie przeszło przez myśl, że kto inny mógł być sprawcą. Przeczytałem akta śledztwa, Frank. Niezła cienizna. Poszlaki, przypuszczenia, plotki i brak innego kandydata na sprawcę przesądziły o wyroku. A samo przyznanie się do winy... – Pokręciłem głową. – To był tylko dzieciak. Kazać komuś takiemu jak Aron siedzieć dzień w dzień na długich przesłuchaniach... Sam wiesz, jak mało warte jest jego oświadczenie. W ogóle nie jestem przekonany o jego winie.

– Wolałbym, żebyś w tym nie grzebał, Mikael. Nic dobrego z tego nie wyjdzie.

Wzruszyłem ramionami.

– Najprawdopodobniej nie wyjdzie z tego zupełnie nic. Trudno jest wznowić starą sprawę, bardzo trudno. Ale przyjąłem to zlecenie, więc muszę chociaż spróbować.

Popatrzył na mnie ponuro i nie odpowiedział. Łagodna, bluesowa gitara i ciemny, charakterystyczny głos zakradły się do kuchni, wypełniając panującą między nami ciszę. *You can send me dead flowers every morning. Send me dead flowers by the mail...*

– Znam tę piosenkę – odezwałem się, chcąc poprawić nastrój. – To kawałek Stonesów, chyba z albumu *Sticky Fingers*. Kto to

śpiewa? Całkiem dobre.

– Całkiem dobre! – Głos Franka wyrażał oburzenie. – Człowieku, to Townes Van Zandt! Całkiem dobre! Nie mów, że nie wiesz, kto to Townes Van Zandt!

Pokręciłem głową.

– Niestety nie.

– Van Zandt to legenda. Facet był geniuszem, miał strasznie wysokie IQ i nikt nie pisał lepszych piosenek od niego, ale całkiem zniszczyły go heroina i alkohol.

– Myślałem, że drągi są dla rockmanów, nie dla kowboi.

Frank szczerze się obruszył.

– Gdzieś ty był całe życie, Mikael? Nie słyszałeś nigdy o Johnnym Cashu? Van Zandt zmarł, zupełnie wyniszczony, pierwszego stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku, dokładnie czterdzieści lat po innej legendzie, która też zapracowała się na śmierć: Hanku Williamsie. A, dla twojej informacji, *Dead Flowers* to tak naprawdę piosenka Van Zandta. Richards i Jagger mu ją buchnęli.

– Jesteś pewien?

– Na bank. Sam posłuchaj! Przecież słyszysz, że ten pozer Mick nigdy nie napisałby czegoś takiego. To coś prawdziwego. Prawdziwe country.

– Nie wiem, kto ją napisał, ale jest dobra. Nawet chłopak z miasta słyszy, że jest dobra.

– Cholernie dobra – podsumował Frank.

Kiedy odprowadził mnie do drzwi, a ja podziękowałem za kawę, nagle powiedział:

– Pewnie chciałbyś też zobaczyć miejsce, gdzie zabito Anne. Nie tak łatwo je znaleźć. Mogę cię tam zabrać jutro, jeżeli masz ochotę.

Popatrzyłem na niego w zdumieniu.

– Naprawdę? Myślałem, że nie podoba ci się, że...

– I tak zrobisz to, po co tu przyjechałeś. Równie dobrze mogę ci pomóc, wtedy szybciej skończysz. Zайдę po ciebie po śniadaniu.

Gdy wróciłem do siebie, od dawna padał już deszcz, więc byłem przemoczony i zziębnięty. Magda siedziała przy stoliku w gospodzie. Przed nią leżały sterty papierów wyglądających na noty księgowe i rachunki. Żuła długopis, wypisywała liczby na kartce, ale podniosła wzrok, kiedy wszedłem, i posłała mi uśmiech.

– Witaj, Mikael. Rany, wyglądasz jak zmokła kura. Aż tak źle jest na dworze?

– Tak, leje jak z cebra.

– Włóż coś suchego, bo się przeziębisz – poradziła, dotykając mojej dłoni. Był to spontaniczny, całkiem nieświadomy ruch. Poprzedniego wieczoru zauważyłem, że jest osobą, która dotyka innych. Teraz przypomniałem sobie swoje fantazje na jej temat. Może wyczytała coś w moich oczach, bo spuściła wzrok, a jej policzki nagle pokrył rumieniec.

– Do zobaczenia na kolacji – pożegnałem się.

Ale podczas kolacji jej nie zobaczyłem. Zamówienia przyjmowała starsza, niesympatyczna kobieta z kwaśną miną. Zapytałem o Magdę i usłyszałem, że wzięła wolne. Tego wieczoru lokal był prawie pusty, a nastrój kiepski. Po jedzeniu wypłem piwo, ale nikt do mnie nie zagadał. Paru obecnych gości zajmowało się własnymi sprawami.

Poszedłem do pokoju, gdzie próbowałem poczytać akta sprawy, lecz nie mogłem się skoncentrować i dokuczało mi zmęczenie. Gdzieś w głębi świadomości czekały na mnie zjawy z poprzedniej nocy. Słyszałem ich głosy jak odległe ujadanie psów, czułem, że

usiłują wydostać się na powierzchnię. Na dnie mojej torby podróżnej leżała butelka koniaku. Wziąłem szklanke i napełniłem ją do połowy. Po pierwszym łyku ciepło rozeszło się po ciele. Duchy się wycofały. Głosy umilkły. Znów napełniłem szklanke.

ROZDZIAŁ 22

Kiedy Frank przyszedł następnego ranka, zdążyłem dopiero wypić kawę.

– Może wypijesz ze mną filiżankę, zanim wyjdziemy? – zaproponowałem, a on się zgodził.

– Nie wyglądasz dobrze, Mikael. Siedziałeś wczoraj całą noc czy jak?

Pokręciłem głową, ale od razu pożałowałem.

– Nie. Nie mogłem po prostu zasnąć. Jestem zmęczony, to wszystko.

– Okej – mruknął.

Dzień był cichy, szary i wilgotny. Chmury jakby opadły na ziemię pod własnym ciężarem i spowiły wyspę niesamowitym, migotliwym, przyćmionym światłem. Ruszyliśmy na południe, lecz gdy tylko opuściliśmy zabudowania, Frank otworzył furtkę i poprowadził mnie przez pola po prawie niewidocznej ścieżce. Szedł żwawo, nie odzywając się, aż dotarliśmy na szczyt wyspy. Tam, przy na wpół zawałonym stosie kamieni, zatrzymał się.

– Ciągle chcę odbudować ten stos – rzekł, po czym kopnął kamień – ale jakoś mi nie wychodzi.

Wskazał zachód.

– Tam jest morze, Mikael. Otwarte morze.

Czułem jego zapach i chyba też słyszałem prawie niezauważalny narastający i opadający szum, lecz go nie widziałem. Wszystko kryła szarość. Frank znowu ruszył przed siebie. Szedł lekko, skakał z kępy trawy na kępę, z kamienia na kamień, chociaż teren schodził stromo w dół. Musiałem się wysilić, aby dotrzymać Frankowi kroku. Minęliśmy bagno. Następnie ścieżka wyrównała się i skręciła w lewo. Wspięliśmy się na mały

pagórek i wreszcie ujrzałem morze, ale jedynie jako spokojną, ciemną płaszczyznę zagubioną we mgle. Ścieżka prowadziła na południe, dość daleko od wody, po płaskich, kamiennych płytach. Szło się łatwo, a jednak Frank zwolnił, jakby się wahał albo żałował, że mnie z sobą wziął.

– Daleko jeszcze? – zapytałem, a on pokręcił głową.

– Nie, już niedaleko.

Doszliśmy do miejsca, gdzie skała tworzyła naturalne schody, po których zeszliśmy. Znaleźliśmy się na dużej półce, lekko pochylonej ku morzu, ale poza tym równej i gładkiej jak stół. Na końcu tego niewielkiego płaskowyzu leżały głazy, niektóre rozmiarów fotela, inne wielkie jak samochody. Frank usiadł na jednym z mniejszych i zaczął skręcać papierosa.

– To tutaj zginęła – odezwał się. – A przynajmniej tu ją znaleziono. Pośrodku płaskowyzu.

Mówił cicho, spokojnym, zwyczajnym głosem, ale widziałem, że drżą mu palce. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Musiał wyjąć więcej tytoniu, aż wreszcie zdołał zwinąć skręta, zapalił go i chciwie się zaciągnął.

– Miała na sobie tylko sukienkę. Była bez płaszcza, chociaż włożyła go, gdy wychodziła. – Znów się zaciągnął, a ognek się zażarzył. – Tylko sukienkę. Cienką letnią sukienkę w kwiatki. Możliwe, że płaszcz został zmyty do morza. W każdym razie nigdy go nie znaleziono. A Anne... mogłaby równie dobrze wpaść do morza, a wtedy pewnie nigdy nie dowiedzielibyśmy się, co się z nią stało. W sumie to niesamowite, że tutaj leżała. Tego dnia wiało, morze było wzburzone, wtedy jest tu niebezpiecznie. Wiele lat temu morze zabrało stąd czworo studentów. Poszli oglądać sztorm, ale oczywiście nie mieli pojęcia, co robią. Porwały ich fale.

Odwróciłem się i podszedłem do krawędzi półki. Strome skały piętrzyły się przy wodzie. Nie chciało mi się wierzyć, że fale mogły dotrzeć aż tutaj, lecz po co Frank miałby kłamać? Tego dnia morze było spokojne i gładkie jak lustro, a jednak żyło, unosiło się i opadało, prychało i pojękiwało. Parę metrów od brzegu fala przykryła nieduży szkielet, po czym ciężko się odsunęła i szkielet wychynął na powierzchnię niczym potwór z otchłani. Wodna mgiełka unosiła się nad morzem jak dym. Nagle się wzdrygnąłem. To miejsce sprawiało nieprzyjemne wrażenie. Wyobraziłem sobie Anne leżącą pośrodku półki skalnej, co skojarzyło mi się z dawnym zwyczajem składania ofiar, kiedy to młode kobiety darowały bezlitosnym bogom.

– Tędy można iść dalej wzdłuż morza – powiedział Frank. – Kawalek stąd znajduje się dom modlitwy. To przydatny skrót, lecz korzystają z niego głównie młodzi, nie dorośli. Łatwiej idzie się drogą, chociaż trochę dłużej. To jak, pójdziemy do domu modlitwy i wrócimy drogą?

– Możemy.

Wstał ciężko i zaczęliśmy iść.

– Tego wieczoru Anne przysłała stamtąd, z domu modlitwy – odezwał się po chwili.

– Dlaczego? – zapytałem, chociaż znałem odpowiedź z akt sprawy.

– Była u pastora.

– Salomonsena?

– Tak, Kristiana Salomonsena. Prawie wszyscy chodzili wtedy do domu modlitwy. Na wyspie trwało odrodzenie religijne, a Anne uczęszczała na zajęcia z Biblii czy coś w tym stylu, nie pamiętam dokładnie. Wieczorem miała wrócić skrótami do domu. I tutaj...

spotkała Arona.

– Możliwe – przyznałem. – W każdym razie kogoś spotkała.

– Arona. Spotkała Arona. – Jego twarz poszarzała w stłumionym świetle; wydawał się zmęczony i stary.

– Może masz rację, Frank, nie wiem. Była ci bliska, prawda?

– Tak, kochałem ją. I nigdy jej nie zapomniałem. Inni mogą zapomnieć, ale nie ja. Zasługuje na to, by ktoś ją pamiętał.

Ujrzeliśmy dom modlitwy, ciemny i cichy. Był to nieduży dwupiętrowy budynek, tak narażony na jesienne sztormy, że zabezpieczono go odciągami i stalowymi śrubami wkręconymi głęboko w skałę. Zapytałem, czy nadal z niego korzystają, i Frank skinął głową.

– Tak, wciąż odbywają się tutaj spotkania, choć już nie tak często jak kiedyś. Teraz przychodzą tu głównie starsi. Młodzież... – Machnął ręką. – Wiesz, jak jest.

– A ty?

– Czy chodzę do domu modlitwy? – Cień uśmiechu pojawił się na jego twarzy. – Nie, obawiam się, że za bardzo lubię doczesne radości i pokusy, aby przejmować się życiem wiecznym.

– Pastor Salomonsen nadal tu mieszka, prawda?

– Zgadza się, ma mieszkanie na piętrze, ale nie wydaje mi się, żeby był w domu. Salomonsen dużo wędruje. Można go spotkać w różnych zakamarkach wyspy. Mawia, że chodzi podziwiać dzieło Stwórcy. Chciałeś z nim porozmawiać?

– Mogę odwiedzić go innym razem.

Weszliśmy na drogę.

– Miło z twojej strony, że mnie tu zabrałeś – powiedziałem.

Frank wzruszył ramionami.

– Wolałbym, żebyś zostawił tę sprawę w spokoju, Mikael, ale nie

ma powodów, żebyś nie zobaczył miejsca, gdzie zginęła Anne. Nie każdy wie już, gdzie się ono znajduje. – Stał i odwrócił się do mnie. – Ale ja zupełnie nie widzę w tym sensu. Dała ci coś ta wycieczka?

– Chciałem zobaczyć to miejsce.

– Tak. Ale czy czegoś się dowiedziałeś, zobaczyłeś coś, co może ci pomóc?

Pokręciłem głową.

– Nie, chociaż...

– Tracisz czas – rzucił i znów ruszył przed siebie. – Zdziałasz tutaj jedynie tyle, że zasiejesz wśród ludzi niepokój i smutek.

ROZDZIAŁ 23

Sufit w salonie był niski, jakby niewielki domek zbudowano w czasach, kiedy ludzie byli niżsi albo częściej chodzili schyleni. W każdym razie starsza kobieta, która mi otworzyła, gdy zapukałem, garbiła się tak bardzo, że musiała przekrzywić głowę, aby spojrzeć mi w oczy.

– Pani Jensen?

Kiedy przytaknęła, powiedziałem, że jestem adwokatem, i wymamrotałem coś o starej sprawie. Wydawała się zdezorientowana, lecz gdy zapytałem, czy mogę wejść, górę wzięły rutyna i dobre maniery, od zawsze wpajane mieszkańcom wyspy. Uśmiechnęła się, kiwnęła głową i powłócząc nogami, poprowadziła mnie w ciemne pokoje.

Balansowałem na krawędzi małego fotela i czułem się za duży zarówno dla niego, jak i pokoju. Z kuchni dobiegał brzęk naczyń. Wyobraziłem sobie, jak ręce kobiety lekko drżą, gdy wyjmuje filiżanki i spodki. Kanapa, stolik kawowy i dwa fotele wypełniały cały salon. Z łatwością rozpoznałem miejsce, gdzie na ogół siedziała. Róg kanapy pod samym oknem trochę się zapadł, ponadto na podłokietniku leżał zwinięty wełniany koc. Na stoliku otwarte czasopismo, obok niego okulary. Na kanapie robótka. Naprzeciwko stał staromodny telewizor, ale z jakiegoś powodu przeczuwałem, że rzadko go używano.

Na lewo od kanapy na ścianie wisiały fotografie. Wstałem, odruchowo schyliłem głowę pod niskim stropem i podszedłem się im przyjrzeć. Wszystkie zdjęcia przedstawiały Siri. Siri jako niemowlę. Siri jako uczennica z tornistrem na plecach, może podczas pierwszego dnia w szkole. Na jednej fotografii pozowała w odświętnym stroju ludowym, na innej w kostiumie kąpielowym,

z mokrymi włosami i szerokim uśmiechem, na plaży – dziewczyna u progu kobiecości. Na większości zdjęć była sama, z wyjątkiem jednego, gdzie stała z wysokim, poważnie wyglądającym mężczyzną i kobietą, która musiała być tą urzędującą teraz w kuchni.

Całkiem zwyczajna, mała rodzina. Może szczęśliwa, w każdym razie mniej więcej szczęśliwa. Rodzice na zdjęciu wydawali się dumni. Mężczyzna trzymał rękę na ramieniu córki, matka z uśmiechem obejmowała ją w pasie. Siri wyglądała zupełnie normalnie. Przeciętna norweska nastolatka dorastająca w dobrych warunkach, z kochającą rodziną, w małej norweskiej wiosce. Prawdopodobieństwo, że spotka ją krwawa, gwałtowna śmierć, było minimalne, a jednak to właśnie się wydarzyło. Popatrzyłem na wszystkie fotografie. Na tę małą galerię w kącie, odtwarzającą jej krótkie życie, i przypomniałem sobie zdjęcie, które tam nie wisiało, lecz które z jakiegoś powodu nadal miałem przy sobie, w wewnętrznej kieszeni. Zdjęcie Siri na polu, z sukienką na biodrach i jasnymi, zlepionymi krwią włosami zasłaniającymi twarz. Ostatnie zdjęcie.

Usłyszałem za sobą skrzypnięcie drzwi, więc się odwróciłem. Z trudem szła, niosąc dużą tacę z filiżankami i ciasteczkami. Wziąłem od niej tacę, a wtedy podreptała z wdzięcznością w stronę kanapy i opadła na miejsce w rogu.

– Proszę się częstować – zaprosiła.

Kawa była cienką lurą, a wyschnięte ciasteczka nie miały smaku, lecz mimo wszystko piłem i żułem. Patrzyła na mnie z zadowoleniem, ale bez ciekawości. Teraz, gdy już się tu znalazłem, najwyraźniej zapomniała, że mnie nie zna i że nie wyjawiałem celu swojej wizyty. Wystarczyło, że dotrzymałem jej towarzystwa, piłem kawę i jadłem ciastka.

– Pycha – powiedziałem, a ona z uśmiechem skinęła głową. – Pani mąż – kontynuowałem – czy on nie żyje?

Spojrzała na mnie, jak gdyby nie zrozumiała pytania. Musiałem się zastanowić, nim przypomniałem sobie jego imię.

– Pani mąż, Peder. Czy nie żyje?

Kiwnęła głową.

– Tak, zmarł... parę lat temu.

– Przykro mi. Nie wiedziałem. Moje kondolencje.

Znowu skinęła głową, lecz się nie odezwała.

– Jednak właściwie to chciałem porozmawiać o Siri.

– Siri? – Jej oczy patrzyły na mnie bez zrozumienia, błyszczące i brązowe jak oczy zwierzęcia.

– Tak, o pani córce, Siri. Interesuje mnie...

– Ach, Siri! – Pojaśniała, ale po chwili jej twarz się wykrzywiła, usta się otworzyły i zanosła się płaczem. Był to bolesny, szczery szloch, nieskrępowany, jak u dziecka. Jej dłoń szukała czegoś po omacku między poduszkami kanapy, aż wyciągnęła fotografię. – Siri nie żyje – załkała. – Siri nie żyje. Taka ładna i dobra dziewczyna, ale nie żyje.

Wstałem i ostrożnie dotknąłem ramienia kobiety. Spojrzałem na zdjęcie spoczywające na jej kolanach. Był to portret Siri, taki, jakie profesjonalni fotografowie robią wszystkim dzieciom w wieku szkolnym. Pani Jensen ciągle gładziła kciukiem policzek dziewczynki. Zauważyłem, że zdjęcie, niegdyś połyskliwe, stało się matowe i wytarte.

Powoli się uspokajała, wreszcie wprawnym ruchem odłożyła fotografię pod poduszkę. W stłumionym świetle wypilem jeszcze trochę kawy. Potem rozmawialiśmy chwilę o pogodzie i o tym, że cieszymy się na nadejście wiosny. Ale nie mówiliśmy więcej o Siri.

Nie wiedziałem nawet, o co chciałem zapytać panią Jensen, a nawet gdybym wiedział, nie dałbym rady. Od zabójstwa minęło dwadzieścia pięć lat, lecz żal z powodu straty córki był wciąż tak samo silny, z otwartej rany wciąż tak samo sączyła się krew. Podziękowałem i wróciłem do swojego pokoju nad gospodą z nieprzyjemnym uczuciem, że dopuściłem się nadużycia.

Tego wieczoru zjadłem kolację w pokoju. Potem wyjąłem akta sprawy, lecz po raz kolejny nie potrafiłem się skupić. Słowa skakały mi przed oczami, zdania nie miały sensu. Wstałem od biurka i wyszedłem na spacer.

Nieliczne ulice były puste, a asfalt i bruk śliskie i błyszczące od deszczu. Nosilem w sobie niepokój, więc prędkim krokiem ruszyłem na południe tą samą wąską dróżką, którą szedłem rano z Frankiem. Po pięciu minutach skończyły się latarnie; poruszałem się w mroku tak gęstym, że odczuwalnym niemal jak fizyczna bariera. Instynktownie zwolniłem tempo i wyciągnąłem przed siebie ręce, jak robi się w ciemnym pokoju, aby nie wpaść na ściany czy przedmioty. Zawahałem się, rozważając, czy nie zawrócić, ale po chwili mój wzrok przyzwyczaił się do mroku, a droga zarysowała się przede mną gęstszym pasem ciemności, więc poszedłem dalej. Dopiero po jakimś kwadransie ruszyłem z powrotem.

W pokoju zobaczyłem na komórcie wiadomość od Synne. „Co u ciebie? Wszystko w porządku?”.

„Jest OK. Mam się dobrze” – odpisałem.

Na parapecie stała butelka koniaku, nadal prawie do połowy pełna. Zdecydowałem się na drinka przed snem. Tylko jednego.

ROZDZIAŁ 24

W sklepie siedziała ta sama młoda kasjerka z nadwagą. Żuła gumę, patrząc pusto przed siebie. Chwyciłem czerwony plastikowy koszyk i zagłębiłem się między półki, by kupić ciastka, owoce i wodę mineralną. Trzy starsze kobiety odpoczywały na ławce tuż przy kasie. Miałem właśnie płacić, gdy ich rozmowa ucichła i wszystkie utkwily we mnie wzrok. Jedna odezwała się do drugiej, tak cicho, że nie usłyszałem słów.

– Można u was zamówić coś z monopolowego? – zapytałem kasjerkę. – Czy muszę sam popłynąć na stały ląd?

– A co miałyby to być?

– Butelka koniaku.

– W porządku, ale przywiozą ją dopiero jutro porannym promem. Jaka marka?

Gdy zapłaciłem i skierowałem się do drzwi, jedna z kobiet zagroziła mi drogę. Pozostałe stanęły tuż za nią. Posyłały mi wrogie spojrzenia.

– To pan jest Brenne, prawda?

Skinąłem głową zaciekawiony.

– Niech pan przestanie nękać ludzi!

– Przepraszam?

– Mówię, niech pan nie nęka tu ludzi!

– Ale ja nie...

– Odwiedził pan Solveig. Biedaczka była potem całkiem roztrzęsiona. Wstydu pan nie ma? Wszyscy przecież wiedzą, że nie jest sobą od śmierci Siri. Albo myśli, że dziewczyna żyje, albo płacze. Poza tym ostatnio trochę zniedołężniała. To wstyd tak się zachowywać. – Piszcziała, a na policzkach miała wypieki.

– Skąd mogłem wiedzieć, że... – zacząłem, ale w tej samej chwili

zagłuszył mnie chór głosów.

– ...wstyd!

– ...przyjeżdżać tutaj i odkopywać stare nieszczęścia!

– ...dręczyć porządnych ludzi...

Otworzyły się drzwi i w samym środku tej awantury zjawił się wysoki, ciemnowłosy mężczyzna. Popatrzył w zdumieniu na rozzłoszczone twarze kobiet i natychmiast zapadła cisza. Zwróciłem uwagę na jego oczy, duże i brązowe, o nieco smutnym wyrazie.

– Co tu się dzieje? – zapytał cicho.

– Pastorze – zaczęła kobieta, która przewodziła pozostałym, po czym lekko dygnęła. – Ten człowiek nawiedził biedną Solveig Jensen i nękał ją, pytając o Siri, a my...

Mężczyzna uniósł dłoń.

– Wiem – powiedział. – Przychodzę prosto od Solveig. Ma się dobrze, ale chcę porozmawiać z mecenasem Brenne, jeżeli znajdzie dla mnie chwilę. Jestem pewien, że nie zamierzał nikogo urazić.

Położył mi dłoń na ramieniu, a ja chętnie dałem się odprowadzić w bezpieczne miejsce.

– Uff! – westchnąłem, kiedy zamknęły się za nami drzwi sklepu. Udałem, że ocieram pot z czoła.

Nie uśmiechnął się, lecz w jego oczach pojawił się błysk humoru.

– Tak, tym trzem furiom lepiej nie wchodzić w drogę. – Wyciągnął rękę. – Kristian Salomonsen. Pastor na Vestøy.

Mocno uścisnął mi dłoń. Zobaczyłem też, że jest potężny i dobrze zbudowany. Kiedyś musiał być przystojny – miał regularne rysy i białe, równe zęby odbijające się od ciemnej skóry – a nawet teraz, grubo po pięćdziesiątce i z włosami przyprószonymi siwizną robił dobre wrażenie.

– Proszę posłuchać, panie Salomonsen – odezwałem się. –

Przepraszam za to zajście z Solveig Jensen. Nie wiedziałem, w jakim jest stanie, ale gdy tylko się zorientowałem, skierowałem rozmowę na neutralne tematy.

– W porządku. Powiedziano mi, że jest pan adwokatem i że odgrzebuje pan tę tragedię. Musi pan jednak zrozumieć, że chodzi po cienkim lodzie. To, co przydarzyło się wtedy Anne i Siri, zostawiło nieuleczalne rany, nie tylko u ich najbliższych, lecz także w całej społeczności. Ludzi łączą tutaj silne więzi.

– Tak mi też mówiono, ale dostałem zadanie do wykonania. Będę tak ostrożny, jak to możliwe, jednak muszę skończyć to, co zacząłem.

Popatrzył na mnie uważnie.

– Postąpi pan, jak uzna za stosowne – rzekł wreszcie. – Nie wydaje się pan nieostrożny, jednak proszę pamiętać, że szkodę można wyrządzić także niechcący.

Nagle zaczęły męczyć mnie te wszystkie przestrogi, to całe wskazywanie, co powinienem, a czego nie powinienem robić, więc zamiast wrócić prosto do pensjonatu, na szczycie wzgórza skręciłem w prawo. Chwilę błądziłem w ciasnych zaułkach, lecz wkrótce znalazłem właściwą ulicę i poszedłem nią do końca, gdzie wśród bluszczu i przyciętych różanych krzewów stał kolejny biały dom. Kobieta, która mi otworzyła, nie była dużo młodsza od Solveig Jensen, lecz miała proste plecy, a spojrzenie jasne i bezpośrednie. Przedstawiłem się.

– Proszę? – zdziwiła się.

– Jestem z firmy adwokackiej. Chodzi o starą sprawę, o której chciałbym z panią porozmawiać. Jeżeli mogę wejść...

– Jaką starą sprawę?

– Chodzi o Anne.

– Anne? – Jakbym wymierzył jej policzek. Zrobiła się blada niczym kreda, a po chwili czerwona, jakby cała krew odpłynęła jej z twarzy, by zaraz zalać ją niczym fala powodziowa.

Skinąłem głową i czekałem.

– O moją zmarłą córkę Anne? – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Chce pan rozmawiać ze mną o Anne? I jest pan adwokatem, tak?

– Prawnikiem.

Męski głos krzyknął z głębi domu coś, czego nie zrozumiałem. Kobieta odwróciła głowę.

– Chwileczkę, już idę, Kjell! – odkrzyknęła, po czym znów skupiła uwagę na mnie. – To mój mąż. Ma już słabe nogi. Kogo pan reprezentuje?

– Jestem z firmy adwokackiej Bergstrøm i...

Może i pani Vestøy była stara, lecz ani trochę nie zniedołężniała. Precyzja jej pytań przypominała cięcia chirurga.

– Nie to chciałam wiedzieć. Kto jest pańskim klientem?

Odchrząknąłem.

– Reprezentuję Arona Sørvika.

– Arona?

– Tak. Mam...

– Niech pan stąd idzie.

– Pani Vestøy... – próbowałem. – Chcę tylko zadać kilka prostych pytań.

Ale na długo zanim skończyłem zdanie, drzwi zdążyły się zamknąć.

ROZDZIAŁ 25

– Tak, zgadza się – powiedział z uśmiechem. – To ja jestem Runar Wiesner.

Był mocno zbudowanym mężczyzną o rumianej twarzy i dużych, czerwonych dłoniach, które wytarł w biały kitel, zanim się ze mną przywitał. Odczułem ulgę, że ktoś okazuje mi coś innego niż agresję.

– Mikael Brenne.

Rozejrzałem się z zaciekawieniem. Punkt skupu ryb położony był w odosobnieniu, nad zatoczką na południe od wsi. Składał się z dość dużego nabrzeża z zardzewiałym dźwigiem, dużego murowanego budynku o dwóch kondygnacjach i ze stojącej trochę dalej krzywej, starej pakowni.

– To miejsce należy do pana, prawda?

– Tak. Wiesnerowie od kilkuset lat prowadzą w tym miejscu skup. Morze jest tu bogate w ryby i to jedyny powód, dla którego istnieje ta społeczność. – Powiedział to z przekonaniem i dumą, jak gdyby od jego łaski zależał los całej Vestøy.

Na kei panował porządek. Otwarta brama magazynu prowadziła do przetwórnicy. Wzdłuż ściany ciągnęły się sterty białych styropianowych skrzynek, a pośrodku stał pomarańczowy wózek paletowy, ale nic się tam nie działo.

– Trochę tu spokojnie...

– Owszem. Ryby przestały być dochodowym interesem. Dorsz prawie zniknął z Morza Północnego, a zresztą ceny są tak niskie, że ledwo udaje się nam coś zarobić.

– Więc przetwórnica już nie działa?

– Działa, ale na małą skalę, a i to głównie z sentymentu. Jak mówiłem, jesteśmy tu od pokoleń, poza tym na wyspie zostały

jeszcze trzy czy cztery kutry. Gdyby nie my, rybacy nie mieliby gdzie oddawać połowu.

– A wy sprzedajecie towar do sklepów?

– Kładziemy ryby na lód i wysyłamy je do Hanstholm w Danii, gdzie sprzedaje się je na aukcjach. Ale ceny są niestabilne i niskie. Zdarza się, że na tym tracimy.

– Więc z czego żyjecie?

Uśmiechnął się i wskazał palcem.

– Zaraz za tym cyplem mamy fermę rybną, a drugą dalej, na południu wyspy. Hodowla łososia to branża, w której idzie raz lepiej, raz gorzej, ale firma Wiesner AS ma wystarczające zaplecze finansowe, żeby radzić sobie w trudniejszych okresach. W tej chwili hodowla to prawdziwa żyła złota. Mamy też inne plany. Tam, przy brzegu, będę budować apartamenty wakacyjne, w rybackim stylu, przede wszystkim dla Niemców. Poza tym prowadzimy jeszcze inne interesy na stałym lądzie. Dobrze sobie radzimy.

– Na to wygląda – przyznałem. Mały kuter minął cypel i ruszył w naszym kierunku. Nad wodą roznosił się wolny klekot silnika diesla.

– Ale pana chyba bardziej interesuje przeszłość, Brenne.

– Wie pan, dlaczego tu jestem?

Uśmiechnął się.

– Tak, wiem.

– Plotki bardzo szybko się tutaj rozchodzą.

– Nie uwierzy pan, jak szybko... Właściwie to prawie się pana spodziewałem.

– Ach tak? Dlaczego?

– W tamtych czasach dużo się tutaj działo, dorywcze zajęcie czekało prawie na każdego, kto chciał popracować i zarobić parę

dotychczasowych koron. Anne i Siri dorabiały u nas od czasu do czasu, więc pomyślałem, że pewnie się pan zjawi.

– Aron też tu pracował, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Czasami, o ile pamiętam, ale głównie przez naszą wielkoduszność. Aron różnił się od innych. Był miły, lecz nierozgarnięty. Łatwo się rozpraszał.

– A jak się odnosił do Anne i Siri? Zauważył pan coś szczególnego?

– Trudno powiedzieć. Wie pan, nie miałem najlepszego kontaktu z młodzieżą. Zatrudnialiśmy wtedy kilka osób, a ja większość czasu spędzałem w biurze. W każdym razie nic specjalnego nie rzuciło mi się w oczy.

– A dziewczyny?

– Co dziewczyny?

– Co mógłby pan o nich powiedzieć?

– Dwie zupełnie zwyczajne nastolatki. – Rozłożył ręce. – O ile pamiętam, nie wyróżniały się w żaden sposób, ale minęło już tyle lat... Anne była chyba energiczna, Siri spokojniejsza.

– Więc nie miał pan z nimi do czynienia?

– Nie, dlaczego miałbym mieć? Były jednymi z wielu dorabiających tu osób.

Mały kuter wolno podpłynął do kei. Runar Wiesner chwycił rzuconą na brzeg cumę.

– Cześć, Gustav – przywitał się. – Co dziś dla mnie masz?

Zerknąłem do łodzi i rozpoznałem ciemne włosy oraz pełne blizn policzki ostatniego z młodych mężczyzn, którzy nie chcieli opuścić gospody, gdy zamykano.

– Dzień dobry. – Skinąłem głową, lecz posłał mi obojętne

spojrzenie i zamiast odpowiedzieć, odwrócił się, by splunąć do morza brązową śliną. Runar Wiesner był zajęty cumowaniem, więc nic nie zauważył. Teraz zwrócił się do mnie.

– Muszę wracać do pracy. Może chciałby pan przyjść jutro na kolację, to dłużej porozmawiamy? Nie sędzę, żebym mógł pomóc panu w śledztwie, ale żyjemy tu w izolacji. Miło czasem zobaczyć nową twarz.

Za barem stała ta sama sympatyczna młoda dziewczyna, która pokazała mi pokój po przybyciu na Vestøy. Zamówiłem kolację; dziewczyna spuściła wzrok i nie odwzajemniła mojego uśmiechu. Jadłem befszytk z cebulą, popijając go czerwonym winem. Żując nieco zbyt suche i żylaste mięso, rozglądałem się wokół. Nastął czwartkowy wieczór, zbliżał się weekend, więc w lokalu było znacznie więcej ludzi, niż widziałem wcześniej. W oczy spojrzał mi jedynie rybak Gustav. Siedział przy tym samym okrągłym stole co ostatnio, z tymi samymi hałaśliwymi kolegami i tą samą liczbą butelek po piwie przed sobą. Gdy mnie zauważył, wbił we mnie twarde, wyzywające spojrzenie. Odwróciłem się.

Z czasem nabrałem nieprzyjemnego przekonania, że wszyscy w lokalu mówią o mnie. Zacząłem spostrzegać ukradkowe zerknięcia w swoją stronę i nabrałem pewności, że znajduję się w centrum zainteresowania, choć ludzie zachowywali się, jakbym w ogóle nie istniał. Zdawałem sobie sprawę, że mogę to sobie wmawiać, rozumiałem, że to paranoja, jednak wcale mi to nie pomagało. Uczucie było wyraźne i silne.

Później zjawiała się Magda. Wyglądała na wyczerpaną, miała lekko podkrążone oczy, a wokół ust zmarszczki zdradzające zmęczenie. Wydawała się przez to wrażliwa, lecz nie mniej atrakcyjna. Uśmiechnąłem się. Ona też się uśmiechnęła, ale blado,

i szybko odwróciła wzrok. Zamówiłem więcej wina z nadzieją, że pomoże mi zasnąć.

Po jedenastej gospoda zaczęła pustoszeć. Zdecydowałem się zaczerpnąć świeżego powietrza przed snem. Na zewnątrz było ciemno i zimno. Moje kroki rozbrzmiewały echem w ciasnych uliczkach, poza tym panowała cisza. Szybko wspinałem się na wzniesienie, aż skończyły się zabudowania, a droga zmieniła się w plac manewrowy. Podeszedłem do krawędzi, gdzie oparłem się o barierkę. Poda mną rozciągała się cała miejscowość, miniaturowe miasteczko pełne starych drewnianych domów i wąskich uliczek.

Nie miałem na sobie kurtki. Nie przeszkadzało mi to, dopóki się ruszałem, lecz teraz zacząłem marznąć. Mimo to stałem dalej. Oderwałem wzrok od świateł i zabudowań, by zobaczyć, że otacza mnie potężna, nieprzenikniona ciemność. Zakreśliło mi się w głowie. Zrozumiałem, że jestem trochę wstawiony.

Nie zwróciłem uwagi na odgłos kroków. W ogóle nic nie słyszałem. Dotarła do mnie dopiero stłumiona, okropna eksplozja, gdy coś walnęło mnie w głowę. Miałem wrażenie, że dźwięk pochodzi z wnętrza czaszki, a nie z zewnątrz.

Później, kiedy leżałem na ziemi, patrząc na napastnika, widocznego jedynie jako ciemny zarys na tle jeszcze ciemniejszego nocnego nieba, również nic nie słyszałem. Jakbym ogłuchł i prawie oślepl. Dostrzegłem jedynie zbliżający się w moją stronę but, prędko i bezgłośnie jak cień polującej sowy. Po chwili wszystko spowilało w czerni.

Dzwonek wybrzmiał chyba po raz setny i wreszcie zapukałem do drzwi, aż zadrżała szyba. Otarłem krew z prawego oka, trzęsąc się z zimna i szoku. Zastanawiałem się, czy nie stłuc szyby. Wreszcie zobaczyłem zapalające się w środku światło, dostrzegłem

cień wewnątrz i w drzwiach pojawiła się zaspana, rozdrażniona twarz Magdy.

– Boże – powiedziała, niemal komicznym ruchem zasłaniając usta dłonią.

– Przepraszam. Nie chciałem cię budzić, ale zapomniałem klucza.

– Potrzebujesz lekarza – powtórzyła po raz kolejny. – Przecież możesz mieć pękniętą czaszkę. Łódź pogotowia dotrze tu w niecałą godzinę.

– Nie, nie trzeba. – Przycisnąłem szmatkę do prawego łuku brwiowego. – Mocno krwawi, ale to tylko zadrapanie. – Drugą ręką dotknąłem potylicy i ostrożnie wymacałem guza wielkości kurzego jajka. Bolał, ale raczej nie był groźny. Nie miałem mdłości ani zawrotów głowy.

Popatrzyła na mnie z rezygnacją.

– Dlaczego mężczyźni zawsze muszą zgrywać twardzieli?

Było to pytanie retoryczne, więc nie odpowiedziałem. Gdy minął pierwszy szok, Magda wykazała się praktycznym podejściem i zdecydowaniem w działaniu. Zabrała mnie do swojego mieszkania i umieściła na taborecie w łazience, gdzie zostałem rozebrany od pasa w górę z zakrwawionych ubrań. Teraz stanęła przede mną.

– Odchyl głowę – poleciła. – Zobaczymy, czy uda się zatamować krwawienie.

Zrobiłem, jak kazała, a ona pochyliła się nade mną. Widziałem, jak w skupieniu wysuwa czubek języka za wargi. Miała na sobie jasnozielony szlafrok. Moja głowa pulsowała ciepło i rytmicznie.

– Au! – syknąłem, gdy dotknęła rany.

– Siedź spokojnie. Zobaczymy... jeśli tylko... O, tak, ścisnęłam ranę i przykleiłam plaster. Miejmy nadzieję, że to wystarczy.

Jeszcze cię trochę obmyję, bo nie wyglądasz najlepiej.

Zamknąłem oczy. Usłyszałem płynącą wodę. Poczułem na twarzy wilgotną szmatkę, ciepłą i przyjemną. Opuszki palców jej drugiej dłoni lekko muskały mój policzek. Otworzyłem oczy. Szlafrok rozchylił się nieco, gdy pracowała. Górna część jej ciężkiego biustu znajdowała się dziesięć centymetrów od moich oczu. Zobaczyłem, że tam też ma piegi. Bez zastanowienia uniosłem dłoń i położyłem na jej policzku. Szybko wciągnęła powietrze, po czym zastygła w bezruchu. Tylko puls uderzał na szyi. Jej wzrok napotkał mój i poczułem zapach Magdy – ciepły, nieco słodkawy aromat, który przywołał skojarzenia z ciepłym morzem i tropikalnymi nocami. Zagryzła wargę, jakby musiała podjąć trudną decyzję, a następnie zrobiła krok w tył i odłożyła szmatkę na krawędź umywalki.

Otworzyłem usta, lecz zanim zdążyłem się odezwać, położyła dłonie płasko na mojej piersi. Były ciepłe.

– Taki jesteś szczupły – powiedziała cicho. – Za bardzo. Musisz więcej jeść. – Po czym pochyliła się i mnie pocałowała.

ROZDZIAŁ 26

– Gdzie Magda? – zapytał Frank, rozglądając się. – Zawsze jest tutaj podczas śniadania.

– Nie wiem – odparłem. – Pewnie śpi.

Nie skomentowałem tego.

– Powiedz mi jeszcze raz, co się stało wczoraj wieczorem, ale teraz bardziej szczegółowo.

Opowiadałem, a Frank zapisywał pilnie w notesiku. Raz po raz unosił rękę, żebym poczekał, aż skończy notować, dwukrotnie zadał też pytanie. Następnie zamknął notes i siedział chwilę bez słowa, pocierając zarośnięty podbródek.

– I co o tym sądzisz? – odezwałem się wreszcie. – Może to był napad?

– Napad? – Prychnął z pogardą. – Coś ci skradziono?

– Nie miałem przy sobie pieniędzy. To mogła być próba napadu.

– Idiotyczny pomysł. Na Vestøy nie ma napadów.

– Czemu jesteś taki nieprzyjemny, Frank? To nie ja zrobiłem coś złego. Jestem ofiarą, a nie przestępcą.

Westchnął.

– Tak, ale...

– Ale co?

– Wiesz równie dobrze jak ja, co kryje się za tym atakiem, Mikael. Łowisz ryby w mętnej wodzie, wypytujesz krewnych, rozdrapujesz stare rany. Wczoraj wieczorem ktoś wyraźnie dał ci do zrozumienia, co sądzi o tobie i twoim zachowaniu.

– Może. Albo ktoś boi się, że prawda ujrzy światło dzienne.

Popatrzył na mnie z rezygnacją.

– A dowiedziałeś się czegokolwiek? Masz jakiś trop lub przynajmniej teorię na temat tego, kto jest winny?

– Nie.

– Więc dlaczego ktoś miałby tak bardzo bać się twojego śledztwa, aby cię pobić?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Ale chyba zrobił to Gustav.

– Gustav? Rybak?

– Tak.

– Dlaczego tak sądzisz? Myślałem, że nie potrafisz zidentyfikować sprawcy.

Powiedziałem mu o spotkaniu z Gustavem w skupie ryb i o tym, jak poprzedniego wieczoru gapił się na mnie w restauracji.

– Nie wita się z tobą. A wieczorem wyzywająco i groźnie na ciebie patrzy. Na tej podstawie twierdzisz, że cię pobił? – Frank pokręcił głową. – To nie są niezbite dowody. Ale w porządku, popytam ludzi i pogadam z Gustavem. – Wstał, zawahał się, po czym rzekł: – Wolałbym, żebyś stąd wyjechał, Mikael. Lubię cię i nie chciałbym, żeby coś ci się stało.

Później poszedłem po gazety. Zrobiło się przyjemniej, a zza chmur czasem wyglądało słońce. Na ławce pod sklepem siedział Per Tveit, wciąż w tym samym zielonym kombinezonie i brązowych kaloszach. Zaśmiał się głośno na mój widok.

– Niezłe limo! Krążą plotki, że wczoraj ktoś spuścił panu łomot, Brenne, i widzę, że to chyba prawda. O ile ten drugi facet nie wygląda gorzej!

Znów się zaśmiał. Uśmiechnąłem się słabo.

– Obawiam się, że ten drugi facet wygląda jak zawsze.

Tęga kasjerka nie skomentowała mojego wyglądu, chociaż wyjątkowo uważnie mi się przypatrywała.

– Proszę – powiedziała tylko. – Przywieźli pański koniak. –

Podawała mi zamówioną butelkę, zapakowaną w brązową papierową torbę.

– Zapomniałem o nim – przyznałem, na co ona wywróciła oczami.

Gdy wyszedłem, Per pomachał do mnie i pokazał, żebym usiadł. Ciężko opadłem na ławkę obok niego.

– Skoro słyszał pan o pobiciu, to może słyszał pan też, kto to zrobił? – zapytałem.

Znów zaczął się śmiać. Miał brązowe, krzywe zęby i brakowało mu jednego kła.

– I myśli pan, że powiem, kto to? Że wydam ziomka z Vestøy, żeby pomóc obcemu?

– To wie pan, kto to był?

Pokręcił głową.

– Nie, nie wiem. Na ten temat plotki milczą. Ale jeżeli obiłoby mi się to o uszy, to Frankowi z pewnością też, a wtedy rozpętałoby się piekło. Zbir dostałby porządny łomot.

– Łomot? Chyba zostałby aresztowany?

– Lubimy tutaj załatwiać sprawy między sobą. Jeżeli nie musimy, nie mieszamy w nie osób postronnych.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Myślałem o tym, co powiedział. Klienci mijali nas w drodze do sklepu. Witali się z Perem i bez słowa, z ciekawością na mnie zerkali.

– To co pan teraz zrobi? – zainteresował się Per. – Wróci pan do miasta?

– Nie. Najpierw muszę skończyć swoje śledztwo.

– Myśli pan, że coś wskóra? – Ton jego głosu trochę mnie irytował; mówił tak, jakby potajemnie bawił się moim kosztem.

– Zobaczymy. Idę dzisiaj na kolację do Runara Wiesnera.

– Tego się pan w każdym razie dowiedział.

Już otworzyłem usta, by zapytać, o czym mówi, ale po chwili je zamknąłem i kiwnąłem tylko głową.

– Tak, Runar Wiesner uwielbiał te dziewczuszki, to pewne – ciągnął Per. – Wszyscy faceci lubią podlotki, to jasne, ale Wiesner przepadał za nimi trochę za bardzo. Vigdis nie zawsze miała łatwo.

Rozboliła mnie głowa, więc oprócz gazet kupiłem też tabletki przeciwbólowe. Po powrocie do pensjonatu wziąłem dwie i się położyłem. Zanim się zbudziłem, nastał już zmierzch. Zdałem sobie sprawę, że cały dzień nie widziałem Magdy. Ubrałem się i zszedłem na dół, ale w gospodzie też jej nie było. Odwróciłem się i wróciłem schodami na górę.

Stojąc pod jej drzwiami, lekko się zawahałem, lecz zaraz ostrożnie zastukałem. Po chwili otworzyła.

– Cześć – odezwałem się i zamilkłem.

– Cześć. Wychodzisz?

– Tak. Idę na kolację do Runara Wiesnera, ale nie znam drogi.

– Musisz iść na południe w stronę domu modlitwy, tam skręcisz jak do skupu ryb, ale zanim dojdiesz do morza, odbijesz w prawo. Od razu zobaczysz. Dom dwa razy większy od czegokolwiek innego na Vestøy.

– Okej. Dziękuję. – Przełknąłem ślinę. – Może... zobaczymy się później?

Zagryzła wargę, co widziałem już u niej wcześniej.

– Nie chcę się narzucać – dodałem. – Nie szkodzi, jeśli nie chcesz.

Zaczerwieniła się. Rumieniec wystąpił aż na szyję.

– Nie, zobaczę się z tobą – powiedziała odrobinę zachrypniętym głosem. – Chętnie.

Delikatnie dotknęła mojej dłoni, a ja poczułem się jak rażony prądem.

ROZDZIAŁ 27

– Wszystko wskazuje na to, że na Vestøy osadnictwo istniało od niepamiętnych czasów, może nawet w starszej epoce kamienia.

– Ale Wiesnerowie nie żyją tu od tak dawna – odpowiedziałem, siląc się na żart.

– Nie, ale prawie.

– Macie dzieci, które przejmą firmę? – zapytałem, lecz od razu pożałowałem swoich słów. Pani Wiesner drgnęła, jakby wymierzono jej policzek, a jej mąż spuścił wzrok.

– Nie mamy – powiedział cicho. Nastąpiła kilkusekundowa krępująca cisza, ale po chwili Wiesner otrząsnął się po moim pytaniu. – W siedemnastym wieku działalność na wybrzeżu podupadła – kontynuował – lecz w osiemnastym nastąpiły lepsze czasy dla rybołówstwa, a stare wioski rybackie przeżywały kolejny okres świetności. Mój przodek, Gerhard Wiesner, który z niewiadomych przyczyn wyemigrował z niemieckiego Pomorza, otrzymał od króla pozwolenie na prowadzenie w tym miejscu wyszynku. Dzięki temu prędko stał się kluczową postacią w handlu, zarówno tym lokalnym, jak i z Bergen.

– Był zatem kimś w stylu króla osady? – podsunąłem.

Runar Wiesner pochylił się i bez pytania dolał mi wina do kieliszka.

– Nie, nie do końca. Ten system funkcjonował w północnej Norwegii i powstał, ponieważ król przyznawał niektórym właścicielom osad rybackich status uprzywilejowanych kupców. Tacy królowie osad mieli monopol na prowadzenie handlu, co w praktyce dawało im całkowitą kontrolę nad lokalnymi społecznościami. Tutaj, na zachodzie, sytuacja nie wyglądała tak źle. Ale już na wybrzeżu w rejonie Møre istniał tak zwany przymus

ziemi: rybacy wypływający z określonej osady byli zmuszeni sprzedawać połów jej właścicielowi, który mógł sam ustalić cenę towaru. Tutaj nie mieliśmy takich przypadków.

– Okej – odparłem. – Ale mimo wszystko Wiesnerowie posiadali władzę.

– Tak, mieliśmy władzę, nie będę tego ukrywał. Dużą władzę. To było jednak dawno. Teraz czasy się zmieniły.

– Jeśli dobrze pamiętam, mówił pan, że rybacy nie mają gdzie oddawać połowu, z wyjątkiem pańskiego skupu. To chyba daje panu pewną przewagę?

Wzruszył ramionami. Jego pełna twarz poczerwieniała od dobrego jedzenia i wina.

– Chyba można tak powiedzieć, ale to samo dotyczy przecież masy pracodawców. Poza tym nie zostało tu tak wielu rybaków. Może jeszcze pan coś zje, Brenne?

– Dziękuję, najadłem się – odpowiedziałem, po czym zwróciłem się do Vigdis Wiesner. – Bardzo dziękuję za kolację. Była pyszna. Miła odmiana od posiłków, które jadam w gospodzie.

Lekko kiwnęła głową, ale nic nie powiedziała. Pani Wiesner była drobną, niewysoką kobietą o wyprostowanych plecach i włosach upiętych tak ciasno, że ani jeden kosmyk nie wystawał z fryzury. Podczas kolacji prawie się nie odzywała.

– Widzę, że macie dużo pięknych starych mebli i antyków – zagailem z nadzieją, że zaangażuję ją w rozmowę, ale tylko zacisnęła usta i pokręciła głową, jakbym powiedział coś niewłaściwego.

– Większość dostaliśmy od moich rodziców – wyjaśnił Runar Wiesner. – Moja matka lubiła sztukę, ładne meble i tak dalej. Vigdis nie interesują dobra doczesne.

– Sprzątnę ze stołu – odezwała się pani Wiesner, wstając. Ja też się podniosłem, aby jej pomóc.

– Nie, nie, proszę to zostawić, panie Brenne. Vigdis to zrobi. Musimy napić się kawy... i może po małym koniaczku?

Dałem się zaprowadzić do salonu. Wiesner nalał trunku do kieliszków. Z kuchni dobiegał szum wody i brzęk naczyń, co nagle przywołało wspomnienie mojej matki. Pamiętałem, jak odgłosy zmywania nasilały się po jej kłótniach z ojcem. Trzaskała wtedy talerzami, jakby miała ochotę je wszystkie potłuc. Był to złowróbnny dźwięk z czasów mojego dzieciństwa, lecz później wyjechała i odtąd za zmywanie odpowiadałem sam z ojcem.

– Przepraszam, co pan powiedział? – zapytałem. – Proszę wybaczyć, zamyśliłem się.

– Zastanawiam się, jak idzie pańskie śledztwo. Czy coś pan wskórał?

– Nie, tego nie mogę powiedzieć. Ale cały czas działam.

– Widzę – rzekł, wskazując głową moje spuchnięte, podbite oko.

– Słyszałem o tym ataku i wcale mnie to nie zdziwiło. Wie pan, co tak naprawdę znaczy słowo *fiskevaer*, czyli osada rybacka?

Popatrzyłem na niego pytająco.

– Cóż, jest wiele teorii. *Vaer* może oznaczać miejsce połowu, ale możliwe też, że wyraz pochodzi od staronordyjskiego *varar*, co znaczy „przysięga” lub „obietnica”. Ponoć w dawnych czasach rybacy składali przysięgę, że razem będą bronić swojej wioski przed najazdem z zewnątrz. A Vestøy nadal jest społecznością silnie związanych z sobą ludzi.

– Rozumiem. Uważa pan, że nie mam szans zbyt wiele wskórać. Że i tak nikt mi nic nie powie.

Wzruszył ramionami.

– Coś w tym guście. Ale czy mimo wszystko Aron nie wydaje się panu winny? Przecież go skazano.

– Owszem – przyznałem. – To oczywiście prawda. Ja chcę się tylko upewnić, czy nie popełniono wówczas błędu. – Wstałem, podszedłem do okna. Próbowałem dojrzeć morze, które musiało tam być, ale widziałem jedynie własne odbicie. Odwróciłem się do Wiesnera. – Mówił pan, że nie znał za dobrze ofiar.

– Zgadza się.

– Doprawdy? Co innego słyszałem. Ludzie mówią, że miał pan słabość do młodych dziewczyn.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

Nie odpowiedziałem, ponieważ nie miałem w zanadru nic konkretniejszego. Wstał z krzesła i stanął obok mnie, bardziej czerwony na twarzy niż kiedykolwiek wcześniej.

– To przekłete, złośliwe kłamstwo!

Moje milczenie tylko jeszcze bardziej go wzburzyło.

– Złośliwe kłamstwo i wstrętne pogłoski. Nigdy nie dobieierałem się do żadnej młodej dziewczyny, ale już trzydzieści lat muszę żyć z tymi plotkami. To ten przeklęty pastor je rozsiewa.

– Pastor Salomonsen? – zdziwiłem się. – Dlaczego miałby rozsiewać plotki?

– Ten człowiek ma nie po kolei w głowie! To fanatyk. Przed jego przyjściem to była normalna społeczność, ale kiedy zjawił się Kristian Salomonsen, nie wystarczyło już wierzyć w Pana Boga i jeździć w święta do kościoła. Zaczął się ruch odnowy, płacz, mówienie językami i odpuszczanie grzechów. Ten człowiek ma obsesję na punkcie grzechu!

– Nadal nie rozumiem...

– Proszę posłuchać, Brenne. Zatrudniałem młodych ludzi, to

fakt. Podobało im się u mnie, bo była to jedna z nielicznych możliwości, aby zarobić parę koron, ale także ponieważ przetwórnia stała się ich azylem. Zostawali tam wieczorami po pracy, siedzieli na kei, flirtowali, puszczała muzykę, jak to młodzi. Czasami tańczyli i nie zaprzeczę, że zdarzyło im się wypić parę piw. Patrzyłem na to przez palce, dopóki nie robili nic gorszego. Boże drogi, przecież dzieciaki potrzebują czasem trochę wolności, bez ciągłej kontroli nauczycieli, rodziców czy duchownych. Moim zdaniem wyświadczyłem społeczeństwu przysługę. Ale dla Salomonsena przetwórnia była siedliskiem grzechu. Prowadził przeciw mnie regularną kampanię nienawiści! Nie do wiary. To moja wyspa!

– O kim mówicie?

Drgnął. Żaden z nas nie słyszał, jak do pokoju weszła Vigdis. Runar Wiesner nie odpowiedział, więc zapytała raz jeszcze, niespodziewanie ostrym tonem.

– Mówimy o pastorze Salomonsenie – odezwał się. – O ile rozumiem, pani mąż niespecjalnie go lubi.

– Kristian Salomonsen jest wspaniałym człowiekiem – oświadczyła Vigdis Wiesner. – Uchronił od potępienia wiele dusz.

Mówiąc to, nie spoglądała wcale na mnie, lecz wpatrywała się uporczywie w swojego męża, oczami czarnymi i błyszczącymi jak szklane paciorki.

Gdy miałem już iść, Runar Wiesner odprowadził mnie na schody. Nadal był uprzejmy, ale zniknęła jego serdeczność.

– Nie przejmowałbym się tymi plotkami – powiedział. – To fałszywy trop.

– Dziękuję za ten wieczór – odparłem.

– Proszę uważać w drodze powrotnej. Jest ciemno.

Było ciemno, tak ciemno, że czasami nie widziałem wyciągniętej przed siebie ręki. Ból głowy, który w ogóle nie dokuczał mi podczas kolacji, teraz wrócił, a po zdarzeniu z poprzedniego wieczoru miałem nerwy napięte do granic. Każdy gęstszy cień, każda gałąź kiwająca się na wietrze sprawiały, że zasychało mi w ustach, a puls nabierał szalonego tempa. Moje myśli zajmował Runar Wiesner. Człowiek, który zaprzeczał temu, że ma władzę, a jednak decydował o losie rybaków z Vestøy. Gustav był rybakiem, a więc człowiekiem Wiesnera. Powinienem się nad tym zastanowić. Myślałem też o tym, jak zacięcie Runar Wiesner zaprzeczył plotkom o swojej słabości do młodych dziewcząt, a także o Vigdis. Miałem ją za bojaźliwą, zastraszoną istotę, lecz przypomniałem sobie jej wzrok utkwiony w mężu. Runarowi Wiesnerowi niełatwo musiało się żyć z osobą o spojrzeniu tak bezlitosnym i pozbawionym chrześcijańskiej łaski.

Z ulgą przywitałem czerwony szyld z napisem „Gospoda Vestøy”. W oknach było ciemno, a drzwi zamknięto, jednak tym razem pamiętałem o kluczu. Schody skrzypiały, gdy wspinałem się na piętro. Wszedłem do pokoju i odwiesiłem płaszcz. Butelka koniaku stała na stoliku nocnym, migocąc złotawym brązem, ale tym razem odwróciłem się do niej plecami, by cicho przejść przez ciemne korytarze.

ROZDZIAŁ 28

Po wszystkim była zupełnie rozluźniona. Leżała spocona w pościeli i przeciągała się bezwstydnie jak wielki kot. Później przekręciła się na bok, podparła głowę na łokciu i patrzyła na mnie. Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, ale na tęczęwkach miała plamki zieleni.

– Jesteś zmęczony, Mikael?

– Nie, po prostu myślę. Przez ostatnie dni krążyłem po wiosce, zadając pytania, ale nikt nie chce mi nic powiedzieć. – Usiadłem na łóżku i podparłem plecy poduszką. – Znałaś przecież Siri i Anne. Nie mogłabyś mi o nich opowiedzieć?

– Naprawdę nie wiem nic, co może mieć znaczenie.

– Nie szkodzi. Powiedz mi tylko, jakie były, co lubiły, a czego nie, jak radziły sobie w szkole, tego rodzaju rzeczy.

– I to ci pomoże?

Westchnąłem.

– Nie wiem, Magdo, ale obraz tych dziewczyn jest bardzo niewyraźny. W śledztwie nie popełniono żadnych błędów, do niczego nie mogę się przyczepić, poza tym, że objęte nim osoby jakoś nie stają mi przed oczami. Stale o nich czytam, ale pozostają papierowe. A zbrodnie... – Poruszyłem się niespokojnie, szukając słów, które opisałyby, co czuję. – Wiesz, że czasami, aby opisać najbardziej oburzające zbrodnie, używamy słowa „niehumanitarne”? Mówimy, że jakiś czyn albo przestępca był niehumanitarny.

– Tak?

– Cóż, nie zawsze to prawda. Właściwie jest wręcz przeciwnie. Nic nie jest bardziej ludzkie od zbrodni. Mogą być oburzające, szokujące, mogą wręcz przyprawiać o mdłości, ale zawsze są głęboko ludzkie. Ludzie potrafią dopuścić się wszelkich czynów,

wszelkiej perwersji. Powstrzymuje nas jedynie kultura czy też cywilizacja.

– Czy to nie strasznie cyniczny pogląd?

– Nie sędzę, po prostu realistyczny. Wydaje mi się też, że ludzie, nawet ci najgorsi, są równocześnie zdolni do bezinteresowności i szlachetności, więc to równowazy obraz.

– Ale co to ma wspólnego z Anne i Siri?

– To, że zbrodnie rzadko dzieją się w próżni. Mają swoją motywację, swoją logikę, rodzaj perwersyjnej racjonalności. Są sprawcy i ofiary, a między nimi istnieje pewna społeczna dynamika. Dlatego chciałbym lepiej poznać ofiary tej tragedii.

Magda się zastanowiła.

– Okej, już rozumiem. Ale to było tak dawno. Nie wiem już, co pamiętam. Mogę zapalić?

– Nie wiedziałem, że palisz.

– Tylko czasami. Przy specjalnych okazjach.

Przeszła przez pokój naga, po czym przyniosła papierosy i popielniczkę.

– Opowiedz mi o nich – powtórzyłem.

Zaciągnęła się i posłała w stronę sufitu smuzkę błękitnego dymu.

– Najlepiej pamiętam to, jak bardzo się różniły.

– Słucham?

– Anne była ładna w dość wyzywający sposób, jeśli wiesz, co mam na myśli. Wcześniej się rozwinęła. Siri była bardziej zwyczajna. Słodka, ale naiwna i niewinna. Podczas gdy Siri przykładała się do nauki i była obowiązkowa, Anne o nic nie dbała. Chyba nie była głupia, tylko w ogóle nie interesowała się szkołą, nie miała też za grosz szacunku dla autorytetów. Niczego ani

nikogo się nie bała. Siri z kolei wydawała się bardzo strachliwa.

– Czy w ogóle coś je łączyło? Nie odniosłem wrażenia, że się przyjaźniły.

– Ludzie żyją tu blisko siebie, więc każdy styka się z każdym, ale jak na rówieśniczki miały chyba z sobą niewielki kontakt. Nie wiem, co myślała sama Siri, ale jej matka raczej nie byłaby zachwycona, gdyby trzymały się razem.

– Tak? Dlaczego?

Popatrzyła na mnie trochę zdziwiona.

– Czy to nie oczywiste? Przecież poznałeś panią Jensen. Jest wcieleniem przyzwoitości. A Anne była w końcu rasową ladacnicą.

Teraz to ja się zdziwiłem.

– Ladacnicą? Serio?

– A jak myślisz? Ladacnicą, puszczałką, nastoletnią cichodajką. Niewielu było wtedy dojrzałych płciowo chłopców czy młodych mężczyzn, którzy nie zaglądali jej pod spódnicę. Czemu tak się dziwisz, Mikael? Dziewczyny są różne, prawie wszędzie znajdzie się co najmniej jedna taka, nad wiek rozwinięta, ciekawa seksu, żadna uwagi. Ostatecznie takie też wychodzą na ludzi.

– Tak, jasne. Tylko że... w aktach nie było nic na ten temat.

Wzruszyła ramionami.

– Właściwie to nic w tym dziwnego. Nie żyła, więc pewnie nikt nie chciał źle mówić o zmarłej. I dlaczego miałyby to być ważne?

– Nie wiem, ale w każdym razie potwierdza to moje przecucie, że dokumenty nie ukazują całej prawdy. Mówisz, że sypiała ze wszystkimi, ale może z kimś częściej? Miała jakiegoś chłopaka czy stałego kochanka? Kogoś, kto mógłby być zazdrosny o innych?

Na jej twarzy pojawiło się jakieś nieokreślone, niezdefiniowane uczucie. Magda coś przemilczała. Czegoś mi nie powiedziała.

Zagryzła wargę.

– Spróbuj porozmawiać ze Stiną – zaproponowała. – Stina była chyba najlepszą przyjaciółką Anne.

– Chyba?

Wzruszyła ramionami.

– Stina podziwiała Anne. Ciągle się jej trzymała, próbowała ją naśladować, stać się taka jak ona. Ale w ich związku brakowało równowagi. Stina jest trochę ograniczona.

– Gdzie ją znajdę?

– W domu za sklepem. Poznasz go od razu, bo nie jest w najlepszym stanie. – Ziewnęła i przeciągnęła się. – Muszę już iść spać. Wstaję wcześnie, żeby przygotować śniadanie.

– Tak, oczywiście – odparłem. – Wrócę do siebie.

– Tak będzie najlepiej, Mikael. Wiesz, jak szybko rozchodzą się plotki. Może sądzisz, że to staromodne, ale ja nie mam potrzeby, aby cała wioska uczestniczyła w moim życiu uczuciowym.

ROZDZIAŁ 29

Dom za sklepem był naprawdę w kiepskim stanie. Wielkie płyty farby odchodziły z północnej ściany, ogród porastały chwasty, a zawiasy otwartej furtki kompletnie zardzewiały. Z przeciekającej rynny kapiała woda. Wcisnąłem dzwonek, ale nie rozległ się żaden dźwięk, więc byłem prawie pewien, że nie działa. Spróbowałem zapukać, lecz nikt mi nie odpowiedział. Gdy nacisnąłem klamkę, drzwi się otworzyły. Zrobiłem krok w głąb ciemnego, zagraconego korytarzyka, zostawiłem ślady deszczówki na podłodze i niemal potknąłem się o parę dziecięcych butów.

– Dzień dobry! – zawołałem. – Dzień dobry, jest tu kto?!

W drzwiach ukazała się zasnana twarz, wyrażająca najpierw zdziwienie, a po chwili lekki strach.

– Przepraszam, jeśli panią obudziłem. Nazywam się Mikael Brenne. Chciałbym z panią porozmawiać, ale jeśli pani nie pasuje, to...

– Nie, nie, tylko się zdrzemnęłam. Syn jest w przedszkolu. Niech pan wejdzie.

Zaprowadziła mnie do salonu, do pełnej popielniczki, brudnych kubków po kawie i kołdry zwiniętej na kanapie. Na całej podłodze leżały zabawki. Usiadła na kanapie, owinęła się kołdrą i przeczesała dłonią zmierzwione włosy. Była chudą kobietą o zapadniętych policzkach. Z powodu małego, zadartego nosa i niedużego podbródka wyglądała, jakby ciągle się dziwiła.

– Czego pan chce? – Mówiła lekko nosowym, niskim głosem.

– Jak powiedziałem, nazywam się Mikael Brenne i jestem prawnikiem.

– Adwokat z miasta, no tak. Wiem, kim pan jest. To pan próbuje pomóc Aronowi.

– Zgadza się.

Popatrzyła na mnie wyzywająco.

– Nigdy się to panu nie uda. Arona powinni byli posadzić na tym takim krześle za to, co zrobił wtedy Anne i Siri.

– Krześle? – Przez chwilę nie wiedziałem, o co jej chodzi, lecz nagle skojarzyłem. – Krześle elektrycznym? Sądzi pani, że powinien zostać stracony? Nie mamy w Norwegii kary śmierci.

Wzruszyła ramionami.

– Ten skurwiel na to zasłużył.

– Uważa pani, że jest winny?

– No pewnie, że jest. Skazali go przecież i w ogóle. I sam powiedział, że to zrobił.

– A co jeśli to nieprawda? Co jeśli jest niewinny, a jakiś inny zabójca chodzi wolno po Vestøy? Myślała pani o tym?

Posłała mi przerażone spojrzenie i rozejrzała się bezwiednie, jakby moje słowa mogły wywołać morderców ze ścian. Po chwili pokręciła jednak głową.

– Nie, nie wydaje mi się. To był Aron. – Pochyliła się i dramatycznie ściszyła głos. – On świrował na punkcie dziewczyn. Wie pan, ile razy mnie macał, próbował wsadzić mi rękę pod sweter i w spodnie? Nigdy nie dawał za wygraną i był też silny.

– Anne i Siri też macał?

– Wszystkie macał. Był chory na głowę.

– Ale chyba nie tylko on tak robił, co, Stino?

– Jak to?

– No wiesz, chłopcy w pewnym wieku myślą wyłącznie o jednym. – Skinęła głową i uśmiechnęła się. – Chyba nie tylko Aron was macał, co?

– No nie.

– A Anne? Ona sama lubiła chłopców, prawda?

Zawahała się.

– Była ładna. Podobała się chłopcom.

– A chłopcy jej. – To nie było pytanie, ale stwierdzenie faktu.

Stina patrzyła na mnie niepewnie, wierciła się niespokojnie, nie wiedząc, do czego zmierzam. Pozwoliłem, by zapadła między nami cisza. Spuściła wzrok i zaczęła obgryzać paznokiec.

– Opowiedz mi o Anne i jej stosunku do chłopców. Była popularna?

– Bardzo. Przecież mówiłam.

– Miała jakiegoś chłopaka?

– Pewnie, że tak. Wielu.

– Naraz?

Roześmiała się.

– Nie, jasne, że nie. Albo... może czasami.

Pochyliłem się ku niej.

– A czy był ktoś szczególny? Kto różnił się od pozostałych?

– To znaczy jak?

– Nie wiem. To ty ją znałaś. Może kogoś z jakiegoś powodu ukrywała. Albo ktoś nie chciał jej puścić, bo był zazdrosny. Ktokolwiek, kto wyróżniał się z tłumu zakochanych.

Znów zaczęła się wiercić.

– Nie wiem.

– Proszę, Stino, zastanów się. To może być ważne.

– Czasami...

– Tak?

– Czasami coś mówiła. Mówiła, że chłopcy nigdy się nie zmieniają. Że chcą tylko... no wie pan... cipki... Tego słowa użyła. Że nie ma znaczenia, ile mają lat, bo i tak chodzi im tylko o jedno,

dlatego sprytna dziewczyna może zawsze osiągnąć to, czego chce, o ile nie jest zbyt pruderyjna.

– Tak?

– Tak, no i dlatego podejrzewam, że musiała być z kimś, kto był dość stary. Skoro coś takiego mówiła.

– Dobra myśl – stwierdziłem. Chyba jednak nie była aż tak ograniczona, jak mówiły plotki i jak sugerował jej prosty wygląd. – A wiesz, kto to mógł być?

Pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia.

Wstałem.

– Dziękuję, Stino. Bardzo mi pomogłeś.

Uśmiechnęła się. Zapomniała o swojej wcześniejszej niechęci i zwyczajnie cieszyła się z pochwały.

– Przychodzi ci do głowy coś jeszcze? Inni chłopcy, którzy jakoś się wyróżniali? W końcu to ty znałaś ją najlepiej. Jeśli komuś się zwierzała, to tylko tobie.

– Nie, nie wydaje mi się. Jedyne... jedynie ten kuzyn. Szalał za nią. Anne mówiła, że wszędzie za nią chodzi, ciągle pisał listy miłosne i dawał jej drobne prezenty. – Zachichotała. – Ja uważałam, że to romantyczne, ale Anne chyba była innego zdania. Strasznie ją to irytowało.

– Kuzyn? Jaki kuzyn?

– Miała tylko jednego. Franka, ma się rozumieć.

– Frank się w niej kochał? W aktach policyjnych nie było o tym ani słowa.

Wzruszyła ramionami, jakby nic ważnego nie mogło znajdować się w oficjalnych dokumentach, i może miała rację.

– Niewiele osób o tym wiedziało. W każdym razie to chyba bez

znaczenia. Frank ją kochał, nigdy nie skrzywdziłby Anne –
zapewniła.

Ale ja wiedziałem, że nie zawsze tak jest. Krzywdzimy ludzi,
których kochamy, i to dużo częściej niż obcych.

ROZDZIAŁ 30

Wieczorem poszedłem do domu modlitwy. Już wcześniej widziałem plakaty – rozwieszone na latarniach i w sklepie – informujące o spotkaniu poświęconym modlitwie i lekturze Biblii. O zmierzchu po raz kolejny przespacerowałem się wąską, krętą drogą na południe, lecz tym razem nie byłem sam. Inni podążali w tym samym kierunku. Widziałem ich przed sobą, szli pojedynczo lub dwójkami między skałami i wrzosowiskami, trochę pochyleni z powodu mokrych podmuchów wiatru od morza.

Kiedy dotarłem na miejsce, większość ludzi weszła już do środka i zasiadła w ławkach. Drzwi były uchylone, aleostałem przez chwilę na zewnątrz, rozglądając się wokół. W zapadającym mroku dostrzegałem sylwetki klifów. Morze jawiło się jedynie jako ciemność, ale wiedziałem, że tam jest, słyszałem też stłumiony ryk fal. Drgnąłem, gdy ktoś dotknął mojego ramienia. Odwróciłem się i zobaczyłem Kristiana Salomonsena.

– Brenne – powiedział. – Spodziewałem się, że pan tu zajrzy, ale nie sądziłem, że zobaczę pana na spotkaniu. Bo chyba pan dziś do nas dołączy?

– Właściwie to nie jestem religijny.

Na jego ustach pojawił się słaby uśmiech.

– Dla każdego znajdzie się miejsce. Bóg znajdzie miejsce dla każdego. Wchodzi pan? Zaraz zaczynamy.

– Tak, przepraszam. Oczywiście, że wchodzę. Patrzyłem tylko na... – Wskazałem ręką horyzont.

– Tak, to wspaniałe, czyż nie? Niczym oblicze Boga, piękne, a zarazem straszne w swym majestacie. To dlatego zbudowałem dom tu, na skraju, żeby pamiętać o wielkości stworzenia bożego, lecz także o tym, że ani życie, ani śmierć, ani Bóg żywy nie są

pozbawione zagrożeń. Teraz musimy już jednak iść. Czuję, że spływa na mnie Duch – rzekł, jakby była to najoczywistsza rzecz w świecie.

Usiadłem w ostatnim rzędzie. Nie wiem, czego się spodziewałem. Może czegoś przygnębiającego i ponurego, co pasowałoby do zapachu mokrej wełny, który poczułem, wchodząc do środka, i do tego skromnego pomieszczenia, niemal pozbawionego ozdób. Drewniane ławy były twarde, a zgarbieni ludzie, w większości niebędący już w kwiecie wieku, siedzieli w nich niczym czarne ptaki. W każdym razie nie spodziewałem się tego, co zobaczyłem. Kristian Salomonsen okazał się rzadkim przypadkiem człowieka, który potrafi stanąć na czele zgromadzenia i od pierwszej chwili całkowicie nad nim zapanować. Miał wrodzony talent. Mógł zostać kimkolwiek: politykiem, gwiazdą telewizji czy wybitnym adwokatem.

Przekroczywszy próg, pomaszerował prosto na mównicę, odwrócił się do ludzi i przez dłuższą chwilę stał ze spuszczoną głową. Panowała całkowita cisza. Następnie uniósł głowę, otworzył oczy, a ja w niewyjaśniony sposób poczułem się jak rażony prądem, jak gdyby Salomonsen emanował energią, która przeszła mnie i przykuła do ławki.

– Żyjemy na tym świecie – odezwał się cicho. – Nawet my, stado bożych wybrańców, strzegących się grzechu i spragnionych bożego nektaru, pijących ze źródeł łaski, nawet my żyjemy na tym świecie.

Wśród zgromadzonych przebiegło westchnienie, prawie niesłyszalny zbiorowy wydech wyrażający smutek.

– Czasami nocą wyczuwamy ostrożne tchnienie Boga na swoich ustach, miękkie i lekkie jak oddech dziecka. Kiedy indziej Duch Święty napęlnia nas do granic jaśniejącym płomieniem, przez co

nie potrafimy usiedzieć w miejscu czy milczeć, musimy śpiewać hymny pochwalne i się radować...

– Alleluja! – W sali rozległy się głośne krzyki, aż podskoczyłem w ławce, bo tak niespodzianie zabrzmiały z ust tych rzetelnych, małowównych, ciężko pracujących ludzi.

– ...lecz nawet wtedy stanowimy część tego świata.

Kolejne westchnienie, tym razem podobne do podmuchu wiatru, zaszumiało w pomieszczeniu.

– Bo chociaż nasze twarze skąpane są w świetle łaski, obunóż stoimy pogrążeni w grzechu. W labiryntach, zakamarkach naszych dusz kiełkują mroczne kwiaty grzechu, żywione nie jasnym światłem dnia, ale cuchnącymi wyziewami otchłani. Możemy prosić, płakać i błagać Pana o łaskę, lecz nie zostaniemy wysłuchani. Bo Pan nie da nam uniknąć prób, na które nas wystawia. To dlatego wszystko stworzył, także mrok ludzkiego serca.

Nagle strasznie posmutniał, jakby miał się już poddać, jakby brakło mu sił. Tym razem jęki rozległy się głośniejsz, wyraźniej.

– Olaboga! – zawołał ktoś stłumionym głosem.

Wzrok Salomonsena spoczął na mnie, a w każdym razie takie odniosłem wrażenie, i nagle pomyślałem, że to o mnie mówi, że to ja jestem próbą, na którą, chcąc nie chcąc, zostali wystawieni ci ludzie, próbą, która przypomniała im o żalu i tęsknocie. Mikael Brenne, wysłaniec boży, krzyż wierzących z Vestøy. Chciałem uśmiechnąć się pod nosem, ale nie zdołałem.

Dalej mówił w podobnym tonie. Kristian Salomonsen przemawiał prawie dwie godziny w swoim dziwnym, specyficznym stylu, pełnym obrazów i metafor, nie tylko biblijnych, lecz także literackich i poetyckich. Szeptał, krzyczał, prawie płakał, radował

się i cały czas miał zgromadzonych w garści. Podążali za nim, biadolili, wzdychali, płakali i zgrzytali zębami. Widziałem łzy płynące jak pustynne rzeki po pooranych zmarszczkami policzkach bardzo starej kobiety, widziałem też dorosłego mężczyznę, który wstał i chwalił Pana z twarzą tak zachwyconą, że niemal pozbawioną ludzkiego wyrazu. Nagle ujrzałem Vigdis Wiesner. Jej napięta, zdradzająca niechęć twarz tak bardzo się zmieniła, tak pojaśniała, targana na zmianę radością, smutkiem i ekstazą, że prawie jej nie poznałem.

Ja zaś, cynik, adwokat, zagorzały niewierzący, siedziałem przykuty do ławki. Nie zostałem nawrócony, chyba nie napełnił mnie Duch Święty, ale w jakiś sposób przyłączyłem się do tej wspólnej elektrowni, doznałem uczuć zebranych wokół mnie ludzi, a uczucia te pochodziły prosto ze źródła, do którego dotąd nie miałem dostępu. Nie było to nadprzyrodzone czy boskie źródło, tylko coś fundamentalnie, pierwotnie i głęboko ludzkiego, co zostawiło mnie wycieńczonego i wstrząśniętego.

W środku było ciepło. Po wyjściu nocny wiatr kłuł spoconą skórę jak nóż. Nadal nie opuszczał mnie dziwny nastrój, jednocześnie podniosły i ponury. Dwie z kobiet, które wyzwały mnie w sklepie, pozdrowiły mnie bez słów. Ich oczy lśniły. Zobaczyłem, że na schody wyszła Vigdis Wiesner, i już chciałem do niej podejść, ale się wstrzymałem. Wiedziałem, że powinienem z nią porozmawiać, ale nie był to dobry moment. Poczekalem na wyjście Kristiana Salomonsena.

– Może chce pan ze mną pomówić o dawnych sprawach, Brenne? Przypuszczam, że to dlatego pan tu przyszedł, choć mam nadzieję, że mimo wszystko coś pan wyniósł z tego spotkania.

Skinąłem głową.

– Tak.

– Innym razem. Po kazaniu jestem całkiem wycieńczony. – Potarł skroń z krzywym uśmiechem. Ujrzałem na jego twarzy lekki grymas, jakby dokuczał mu silny ból głowy. – Łaska boska ma cenę, która rośnie z każdym rokiem. Ale zapraszam, kiedy pan zechce, byle nie dzisiaj.

– Wrócę kiedy indziej. Zastanawia mnie tylko jedno. Widziałem tu dziś panią Wiesner, jednak z tego, co rozumiem, pański stosunek do Runara Wiesnera nie jest zbyt przychylny. Zgadza się?

– Runar Wiesner to zły człowiek. Teraz jednak proszę mi już wybaczyć.

Reszta wiernych poszła już do domu. Gdy Salomonsen odszedł, zostałem sam. Panowały egipskie ciemności, lecz nocne niebo się przejaśniło i zobaczyłem kilka gwiazd. Wiatr się wzmógł, a szum fal przybrał na sile, ale oprócz tego słyszałem też inny dźwięk – buczący bas, którego z początku nie potrafiłem zidentyfikować. Później zdałem sobie jednak sprawę, że dźwięk dobiega z odciągów, które miały zapobiec zdmuchnięciu domu modlitwy podczas sztormu. Dotknąłem jednego z drutów i poczułem rozchodzące się po moim ciele wibracje.

„Boża linia wysokiego napięcia” – pomyślałem, niepewny, co miałyby to oznaczać.

ROZDZIAŁ 31

Zadzwoiła Synne.

– Mikael, co u ciebie? – zapytała.

Ucieszyłem się na dźwięk jej głosu.

– Cześć, Synne – powiedziałem. – Dobrze cię słyszeć.

– Jak ci idzie ze sprawą?

– Stale pojawia się coś, czego nie ma w aktach. Drobne tajemnice, które ludzie zachowali dla siebie. Może to coś oznacza, a może nie. Ale jeśli pytasz mnie, czy dowiedziałem się czegoś, co doprowadziłoby do wznowienia sprawy, to moja odpowiedź brzmi „nie”.

– A czego dowiedziałeś się od matki Arona?

– Nie rozmawiałem z nią.

– Dlaczego?

– Bo jeszcze ich nie odwiedziłem. Pewnie już dawno powinienem był to zrobić, ale miałem nadzieję, że zdołam przywieźć im dobre wieści, coś podnoszącego na duchu. Wkrótce się tam wybiorę.

Chwilę gadaliśmy o tym i o owym, po czym powiedziała:

– Spotkałam dziś w sądzie Runego Seima.

– Ach tak?

– Prosił, żebyś się z nim skontaktował. – Zawahała się. – Wydaje mi się, że wyznaczono termin twojego procesu.

– Okej. Zadzwoię do niego. – W brzuchu poczułem ścisk niepokoju, ale mówiłem dalej lekko i bez wysiłku. – Co poza tym?

– Niewiele. Zadzwoił jeden z twoich dawnych klientów. Dowiedział się, że pracujesz teraz ze mną, a szykuje mu się nowa sprawa. Możemy się temu przyjrzeć po twoim powrocie.

– Świetnie. To dobre wieści.

Przez telefon usłyszałem trzask drzwi, a następnie muzykę

i męski głos, który powiedział coś niezrozumiałego.

– Gdzie jesteś, Synne? Myślałem, że w biurze.

– Nie, jestem w domu.

– To kto mówił tam w tle?

– Svein.

– Svein? Ten opalony makler giełdowy?

– Nie jest maklerem giełdowym. Pracuje w oddziale walutowym banku.

– Ach, przepraszam, przecież to zupełnie co innego.

– Nie zapomnij zadzwonić do Runego – przypomniała Synne.

Zadzwoń. Mój proces zaczynał się za cztery tygodnie.

– Musisz niedługo wrócić, Mikaelu – nalegał Rune Seim. –
Mamy coraz mniej czasu.

– Niedługo wrócę.

Na kolację był tego dnia łosoś z sałatką z ogórków i śmietaną. W normalnych okolicznościach zjadłbym go z przyjemnością, ale tym razem bez apetytu dłubałem w jedzeniu. Zamówiłem pół butelki dobrego białego wina. Smakowało jak woda. Niepokój ciągle dawał o sobie znać. Wystarczył jeden telefon z domu, by dopadła mnie rzeczywistość. Już od kilku dni biegałem, bawiąc się w detektywa, do czego nie miałem kwalifikacji. Wieczorem i w nocy tonąłem, najpierw w koniaku, później w objęciach Magdy. Pomyślałem, że jedno i drugie było sposobem ucieczki od codzienności, w zasadzie bezsensowną rozrywką, niemającą na celu niczego innego poza uniknięciem konfrontacji z prawdziwymi problemami. Rozwazałem, czy nie wrócić do pokoju, ale czekały mnie tam jedynie czarna depresja i brunatny alkohol. Zamówiłem więcej białego wina i zostałem na dole.

Magda pracowała. Czasami posyłała mi spojrzenie, raz

podeszła. Jej głos i słowa były neutralne, ale na chwilę dotknęła mnie biodrem, pochylając się nad stołem, żeby sprzątnąć mój talerz. Uśmiechnęła się, a ja odwzajemniłem uśmiech, jednak wydał mi się on sztywny i sztuczny.

Nieco później w drzwiach zjawił się Frank. Przeszedł przez lokal i bez pytania ciężko usiadł przy moim stoliku.

– Kieliszek wina? – zaproponowałem, unosząc butelkę, ale pokręcił głową.

– Nie, dziękuję – odparł. – Nie znoszę białego wina. W sumie to czerwonego też nie.

Zamówił duże piwo, wypił je jednym haustem, po czym pomachał ręką na znak, że prosi o kolejne. Zdałem sobie sprawę, że już wcześniej pił. Miał lekko błędny wzrok i nieskoordynowane gesty, poza tym lekko bełkotał.

– Co tam, Mikael? – rzucił. – Znalazłeś mordercę?

Mówił zbyt głośno. Goście siedzący przy najbliższych stolikach odwrócili się w naszą stronę.

– Nie. Wcale nie szukam mordercy. Nie jestem prywatnym detektywem. Sprawdzam jedynie dowody, upewniam się, czy są wystarczające, czy może popełniono błąd.

– Na przykład jaki? Czego ty właściwie szukasz?

– Czegokolwiek.

– Nie no, naprawdę, Mikael... – Pochylił się ku mnie nad stołem z natarczywością typową dla pijanych. Jego oddech pachniał piwem i nikotyną. – No naprawdę, nie wciskaj mi tu kitu. Pamiętaj, że jestem policjantem. Czego szukasz? Jaką masz hipotezę? Nie mów mi, że błądzisz po omacku!

Zawahałem się.

– Pomogłoby mi, gdybym znalazł kogoś, kto mógł mieć motyw.

Na przykład kogoś, kto napastował dziewczęta albo był zazdrosny.
Klasyczne motywy zabójstwa.

Wykrzywił usta w lekkim grymasie.

– Więc jednak szukasz mordercy.

Wzruszyłem ramionami.

– Szukam luźnych wątków.

– Zabito dwie dziewczyny, Mikael, nie jedną. Jak to się ma do twojej teorii? Zabójca był zazdrosny o obie? – Mówił z pogardą w głosie, a ja znowu wzruszyłem ramionami.

– Może jedna z nich coś powiedziała albo coś wiedziała.

– To znaczy?

Pomyślałem o tym, co Stina zdradziła mi na temat desperackiej miłości Franka do własnej kuzynki, i o tym, że sam mi o tym nie wspomniał.

– To znaczy, że motyw obu zabójstw nie musiał być taki sam, chociaż na to wygląda. Anne zginęła pierwsza, prawda? Siri mogła coś zobaczyć albo wiedzieć coś, co zagrażało zabójcy.

Gapił się na mnie.

– To czyste spekulacje.

Ja też wbiłem w niego wzrok.

– A co z napadem na mnie? Zrobiłeś cokolwiek w tej sprawie czy sądzisz, że dostałem za swoje?

Trochę później Magda usiadła z nami, tak samo jak pierwszego wieczoru. Frank był dość mocno pijany, a ja też zdawałem sobie sprawę, że jestem wstawiony. Obaj nie odzywaliśmy się za wiele, przez co Magda mówiła więcej niż zwykle. Frank odpowiadał niechętnie, więc po jakimś czasie zaczęła zwracać się tylko do mnie. Śmiała się głośno, w nieco wymuszony sposób. Frank coraz bardziej pochmurniał.

– Posłuchaj – powiedziałem, próbując poprawić atmosferę. – Potrzebuję podwózki.

– Dokąd? – zapytała Magda.

– Muszę odwiedzić Arona. On nie lubi tutaj przyjeżdżać, więc ktoś musi mnie tam podrzucić łodzią. Znacie kogoś takiego?

– Mogę cię tam zabrać – oznajmił Frank, a ja popatrzyłem na niego trochę zdziwiony.

– Ty? Nie sądziłem, że chcesz oglądać jego gębę.

– Nie muszę przecież schodzić na ląd i się z nim witać, prawda? Za to mogę cię przewieźć, o ile ci się nie spieszy. Mam żaglówkę, więc nie pójdzie zbyt szybko.

– To daleko?

– Zejdzie nam pewnie z półtorej godziny.

– Okej. Może być jutro?

– Umowa stoi – odparł Frank, po czym wstał, zachwiał się i przytrzymał oparcia krzesła. – A teraz już chyba pójdę do domu.

Życzył nam dobrej nocy i chwiejnie skierował się do drzwi.

– O co się kłóciliście? – zapytała Magda.

– Kłóciliśmy?

– Panowała tu dziwna atmosfera, kiedy do was podeszłam. Myślałam...

– Był po prostu w kiepskim nastroju. Wiesz, co Frank sądzi o tym, co robię.

– Ty też nie masz najlepszego humoru – stwierdziła Magda. Nagle wydała mi się wykończona; chwyciła kieliszek i szybko go opróżniła. – Jestem zmęczona, Mikael. Zdecydowanie za mało spałam w nocy. Idę się położyć.

ROZDZIAŁ 32

– Fjellbergøy. – Frank wskazał wyspę palcem.

Było to jedno z nielicznych słów, jakie wypowiedział przez całą drogę, z wyjątkiem kilku komend. Po wczorajszym wieczorze nie wyglądał najlepiej, był blady i miał podkrążone oczy. Kilka razy złapałem go na tym, jak badawczo na mnie zerkał z wyrazem twarzy, którego nie potrafiłem rozszyfrować.

Z daleka Fjellbergøy wyglądała jak kapelusz. Czarna góra wyrastała pośrodku wyspy, a płaski teren rozciągał się zielonym pasem między nią a brzegiem. Frank obrał kurs na szeroką, otwartą zatokę po wschodniej stronie, z kredowobiałą plażą, która zasłużyła na to, by znajdować się w innej, cieplejszej szerokości geograficznej. Na środku zatoki wodę przecinało kamienne nabrzeże w kształcie litery L, do którego stała przycumowana motorówka.

– Tutaj jest płycizna – oznajmił Frank. – Ale mogę przybić od zewnętrznej strony. Powinno być w porządku, o ile wiatr się nie zmieni. – Zerknął w górę, by przyjrzeć się chmurom, płynącym szybko po niebie. – Pogoda jest trochę niepewna. Użyję syreny mgłowej, jeśli zerwie się wiatr. Wtedy będziemy musieli wracać.

Przeszedłem przez nabrzeże i pola w stronę białego, dwukondygnacyjnego domu o oknach gęsto poprzecinanych szprosami. Stał w cieniu góry, która chroniła go przed zachodnim wiatrem. Wraz z pomalowaną na czerwono stodołą i dwoma niskimi budynkami gospodarskimi tworzył przyjemne podwórko. Nikogo nie było widać, ale z komina unosił się dym. Na łące pasło się stadko owiec. Gdy się zbliżyłem, uniosły głowy i zerknęły na mnie, po czym odbiegły spiesznie, jakby nie przywykły do widoku ludzi. Ich dzwonki intensywnie brzęczały. Chwilę później na

schodach stanął Aron. Pomachał i wyszedł mi na spotkanie. Wydawał się ochoczy i pełen nadziei.

– Witam, witam – powiedział. – Nie słyszałem, jak pan przyплыął. – Rzucił baczne i trochę niespokojne spojrzenie w stronę wody. – Żaglówka, co? Chyba nie przyплыął pan sam? Kto pana podrzucił?

– Frank.

– Policjant?

– Tak. – Skinąłem głową. – Nie przyjdzie tu. Poczekaj w łodzi, aż skończymy.

To go uspokoiło. Czarny pies w białe łaty zjawił się znikąd i szczekał zażarcie, tańcząc wokół mnie. Ujadanie wywołało na schody kobietę. Wydała komendę ostrym głosem i pies padł, jakby go ktoś postrzelił.

– Moja matka – wyjaśnił Aron.

Matka – niezgrabna i koścista, o wielkich dłoniach i siwych włosach mocno związanych na karku – przewyższała go wzrostem. Ubrana w robiony na drutach, rozpinany sweter i długą wełnianą spódnice wyglądała, jakby pochodziła z innej epoki, jakby była jedną z tych wymęczonych kobiet spoglądających ze starych rodzinnych fotografii, nieprzystępnych niewiast o twarzach bez wyrazu. Niewiele mówiła, ale zaparzyła nam kawę i podała świeżo upieczone ciastka. Już miałem unieść filiżankę do ust, kiedy zauważyłem przestraszoną minę Arona i surowe spojrzenie jego matki. Odstawiłem filiżankę, a pani Sørvik pochyliła głowę, by odmówić modlitwę przed posiłkiem.

Wypytałem ich o gospodarstwo, o to, czy nie czują się samotni, mieszkając we dwójkę na tym odludziu. Pani Sørvik odpowiadała półsłówkami i rzadko patrzyła mi w oczy, natomiast Aron gadał jak

najęty, ochoczo i trochę bez składu. Raz po raz siorbał kawę i skwapliwie zajadał ciastka. Gdy na talerzu zostało już tylko jedno, Aron bez zastanowienia wyciągnął po nie rękę. Głos matki trafił go niczym smagnięcie biczem.

– Aron! – wykrzyknęła. – Bóg na ciebie patrzy!

Zerknął z przerażeniem w górę i na pół zasłonił ręką głowę, jakby chciał się obronić przed karą boską.

– Mamy gościa, Aronie. Nie możesz wziąć ostatniego ciastka.

– W porządku – zapewniłem. – Najadłem się. Były pyszne.

Przesunęła po mnie wzrokiem, jakbym powiedział coś nieistotnego.

– Takie tu panują zasady – wyjaśniła, po czym wstała, mówiąc, że musi iść do stodoły, a my na pewno mamy o czym rozmawiać.

– Tak – odparłem. – Mamy. Ale później chciałbym też chwilę porozmawiać z panią, jeśli pani pozwoli.

Skinęła głową z wyrazem twarzy bliskim rezygnacji.

– No to porozmawiamy.

– Czego się pan dowiedział? – zapytał Aron. Zdawał się pełen napięcia i oczekiwania niczym mały chłopiec w Wigilię. Pokręciłem głową.

– To nie tak, Aron. Nie zdobyłem żadnych fantastycznych, rewolucyjnych informacji. Jestem tu, aby zapytać cię o kilka rzeczy.

– Ach! Okej.

– Ale musisz być ze mną szczery, dobrze? Nawet jeśli uznasz pytania za nieprzyjemne lub osobiste, musisz być szczery.

Skinął z powagą głową.

– Okej – powtórzył.

– Świetnie. Powiedz mi o Anne i Siri. O tym, jakie były, co o nich myślałeś. Jakie miałeś z nimi relacje. Czy miałeś z nimi

jakiegokolwiek kontakty seksualne. – Aron robił wrażenie zbitego z tropu. – No wiesz, czy się z nimi całowałeś, dotykałeś ich albo kazałeś sobie dotykać. Takie rzeczy – dodałem.

Zaczerwienił się i uciekł wzrokiem.

– Ja... obieca pan, że nie powie nic mamie?

– Oczywiście. To pozostanie między nami.

– Byłem chłopakiem Siri.

– Naprawdę? Nie wspomniałeś o tym policji.

– Nie. Bo to była tajemnica. Siri nie chciała, żeby ktoś wiedział.

My... się całowaliśmy.

– Ach tak – mruknąłem. – A tego dnia, kiedy została zabita? Też się wtedy całowaliście?

Skinął głową.

– Tak. Spotkałem się z nią, gadaliśmy i tak dalej, i potem się całowaliśmy. Później sobie poszedłem. Szedłem pierwszy, żeby nikt nie zobaczył nas razem.

– Robiliście coś więcej? Coś poza całowaniem?

Znow się zaczerwienił.

– Nie. No może trochę, ale Siri nie chciała więcej. Była porządną dziewczyną.

– A Anne, jaka ona była?

Pochylił głowę i oblał się jeszcze ciemniejszym rumieńcem.

– Ktoś mi powiedział, że ją macałeś.

– To nieprawda! – wykrzyknął. – To była dziwka! Ladacznicą! Wie pan, co ona zrobiła? Obnażyła się przede mną! Podciągnęła spódnicę, nie miała nic pod spodem, a kiedy chciałem... tylko mnie wyśmiała.

Twarz miał całą pąsową. Przeczesał dłonią włosy, które sterczały mu na wszystkie strony. Zawahałem się.

– Jesteś pewien, że ich nie zabiłeś, Aron? Bo jeśli to zrobiłeś, to tracimy tylko czas, zarówno twój, jak i mój. Mimo wszystko odsiedziałeś wyrok za te zabójstwa. A ja nie jestem też wcale pewien, czy będziesz mógł przeprowadzić się z powrotem na Vestøy, nawet jeśli uda mi się wznowić sprawę. Większość ludzi jest tam przekonana o twojej winie.

Popatrzył na mnie z mieszanką przekory i rozpacz.

– Zawsze mnie nienawidzili. Ale ja tego nie zrobiłem. Nie tknąłem tych dziewczyn. Ale nigdzie nie mogę wyjechać, nie mogę nawet porozmawiać z żadną dziewczyną, bo wszystkie się mnie boją. Widzą we mnie potwora, mordercę, poznają to po ich oczach. Chcę mieć tylko zwyczajne życie. Chyba o niewiele proszę, prawda? O zwyczajne życie. Pracę. Chcę poznać miłą dziewczynę. Ta wyspa to więzienie. Nie, gorzej niż więzienie. Nic tu nie ma. Nic. Tylko owce... wiatr i deszcz.

Po raz pierwszy wzbudził we mnie coś więcej niż zawodowe zainteresowanie. Niechętnie zgodziłem się przyjąć tę sprawę, zajmowałem się nią z braku innych zleceń, a mój wkład w nią spowodowany był bardziej pragnieniem, by zapomnieć o własnych kłopotach, niż żeby pomóc Aronowi w rozwiązaniu jego problemu. Nagle jednak dostrzegłem jego ból i poczułem przez krótką chwilę, czym stało się jego życie i przez co przeszedł.

– Spróbuję ci pomóc, Aronie – obiecałem. – Jeszcze się nie poddałem.

Siedziała na krawędzi krzesła, jakby była gościem we własnym domu, z wyprostowanymi plecami i dłońmi splecionymi na kolanach. Przez jej niewzruszone milczenie za dużo mówiłem. Opowiedziałem o sprawie, o tym, co zrobiłem i co moim zdaniem mogłem jeszcze zrobić, aby pomóc Aronowi, a im więcej mówiłem

i gestykulowałem, tym bardziej ona milczała. Próbowałem wypytać ją o syna, lecz jej odpowiedzi były krótkie i wymijające. Z czasem pauzy stawały się coraz dłuższe.

– Proszę posłuchać, pani Sørvik – powiedziałem. – Czytając dokumenty, zwróciłem uwagę, że nie złożyła pani zeznań na policji ani podczas procesu.

– Powiedzieli mi, że nie muszę, jeżeli nie chcę.

– Zgadza się. Pomyślałem tylko, że zrobiłaby to pani, gdyby chciała pani pomóc Aronowi.

Zapadła długa cisza. Gdy milczała już tak długo, że uznałem, że nie odpowie, kobieta nagle popatrzyła prosto na mnie.

– Mecenasiu Brenne, nie jest pan religijny, prawda?

– Chyba wierzę w istnienie pewnej formy...

Posłała mi bezlitosne spojrzenie.

– Ale nie wierzy pan w Boga. Nie wierzy pan we wszechmogącego Boga, bez którego wiedzy żaden wróbel nie spadnie na ziemię i który przyjdzie sądzić żywych i umarłych.

– Nie.

– A ja wierzę. Wierzę w sprawiedliwego Boga. Wiem, że jego dłoń chroni mnie i moich bliskich i że nic nie dzieje się bez jego woli, chociaż może nie zawsze dostrzegamy sens tego, co nas spotyka.

Zbiła mnie z tropu.

– Tak, rozumiem... Ale nie wiem, jaki ma to związek ze sprawą.

Zacisnęła wąskie wargi; zmarszczki wyglądały jak wyryte na jej twarzy. Z wolna zdałem sobie sprawę, co ma na myśli.

– Uważa pani, że on to zrobił? To próbuje mi pani powiedzieć? Wierzy pani, że Aron zabił te dwie dziewczyny! – Byłem do cna wstrząśnięty. – Myśli pani, że to Bóg... że to, co się wydarzyło, było

wynikiem jego planu albo że miało jakiś głębszy sens?

Mój głos ucichł. Coś straszego było w tak niezachwianej wierze, w nieugiętym przekonaniu, że wszystko, co się dzieje, stanowi część bożego planu. Taka wiara nie zostawiała miejsca na humanizm, miłość lub łaskę.

– Żaden wróbel nie spadnie na ziemię bez wiedzy Boga – powtórzyła pani Sørvik. – A Aron nosi w sobie grzech. Od zawsze. Nie wiem, dlaczego pan myśli, że może zmienić to, co jest teraz i co się stało.

Siedzieliśmy tak, patrząc na siebie. Pomyślałem, że oboje widzimy obcego, osobę o postrzeganiu świata tak różnym od naszego, że porozumienie jest prawie niemożliwe.

– Lepiej, że mieszkamy tutaj – dodała. – Lepiej dla mnie i Arona, bo w ten sposób nie... Tak jest lepiej dla wszystkich.

Panująca między nami cisza przeciągała się, zmieniała w kleistą maź. Poczulem ulgę na dźwięk zawodzenia syreny mgłowej, które narastało i cichło, aż wreszcie umilkło z żalnym westchnięciem.

ROZDZIAŁ 33

Gdy tylko wypłynęliśmy na otwarte wody, zauważyłem zmianę. Wiatr przechylał łódź, wył w takielunku, wprawiał w drgania sztagi. Frank polecił mi włożyć strój żeglarski i kamizelkę ratunkową. Gdy się przebrałem, podał mi linę zakończoną karabińczykami.

– Lina bezpieczeństwa – wyjaśnił, po czym pokazał, jak przymocować jeden koniec do kamizelki ratunkowej, a drugi do mocnego haka przykręconego do kokpitu. Morze zaczęło się burzyć. Nagłe fale rzucały łodzią. W podmuchach kładła się tak bardzo na bok, że woda przelewała się przez burtę. Z ręką zahaczoną o ciągnący się za mną reling wpatrywałem się w czarną, spienioną otchłań za burtą.

Nad nami zapadał zmrok. Chmury w kolorze koksu nadciągnęły znad otwartego morza i rozprzestrzeniły się prędko po całym niebie. Tylko na samej północy widać jeszcze było odrobinę światła, pas błękitu, który jednak wkrótce zniknął. Wycie wiatru się zmieniło, weszło na wyższy ton i przerodziło się w denerwujący skowyt. Frank walczył z rumplem. Za każdym razem, gdy wzmagał się wichur, zapierał się o kokpit i przechylał w tył, aby utrzymać łódź na właściwym kursie.

– W porządku?! – zawołałem. Odpowiedział przelotnym uśmiechem i skinieniem głowy, jednak wcale się nie uspokoiłem. Uśmiech był wymuszony, a w oczach Franka tlił się dziwny żar, jak podczas gorączki. Skupiłem się na trzymaniu relingu.

Wypłynęliśmy na pełne morze. Przed dziobem widziałem nadciągające od horyzontu nieprzerwane rzędy grzywaczy. Ruchy łodzi się zmieniły. Skończyły się nagłe, ostre uderzenia w burtę. To było prawdziwe morze, ocean, potężny i poważny, na którym dziób

unosił się w zasysającym, korkociągowym ruchu, coraz wyżej, aż ujrzałem przed sobą jedynie niebo. Wtedy, gdy już myślałem, że zaraz się przewrócimy, Frank odsunął od siebie rumpel i pokonaliśmy grzbiet, by runąć w kolejną dolinę fali, w spieniony, rozbryzgujący się chaos. Przyłgnałem do kokpitu. Wypuszczałem powietrze za każdym razem, gdy wpływaliśmy na rosnącą falę, zaciskałem zęby tak mocno, aż chrupały mi szczęki, i czekałem na kolejną. Po jakimś czasie zorientowałem się, że fale nie są tak regularne, jak myślałem. Tworzyły nierówny, wzburzony, ruchliwy krajobraz, pełen szczytów i wierzchołków, lecz także długich, spokojniejszych dolin między nimi; zacząłem też widzieć, jak Frank wypatruje dolin i próbuje unikać miejsc, gdzie morze rozpryskiwało się bielą – podążał niekończącym się, zygzakowatym kursem po linii najmniejszego oporu.

Z wolna coraz bardziej czułem, że Frank wie, co robi, że kontroluje sytuację. Prawie zacząłem się rozluźniać. Odwróciłem się do niego, otworzyłem usta, by coś krzyknąć, powiedzieć, że dobrze idzie. Właśnie wtedy trzasnęło.

Dźwięczny trzask przeszył jęk wiatru niczym strzał z pistoletu lub uderzenie bicia. Nie miałem pojęcia, co to było, ale wiedziałem, że coś pękło, że coś ustąpiło pod naporem potężnych sił sztormu. Wiedziałem też, że nie wróży to dobrze. Niemal natychmiast po trzasku nastąpiły okropny hałas i ostre wibracje, jakby łódź miała się rozpaść na kawałki. Straciliśmy moc i rozpęd, a gdy nadeszła następna fala, Frank nie zdołał ustawić dziobu pod wiatr. Kątem oka dostrzegłem nad swoim ramieniem ścianę wody.

– Trzymaj się! – wrzasnął Frank.

Przywarłem do relingu, kiedy żaglówka przewróciła się na bok. Fala rozprysła się i uderzyła mnie tona lodowatej wody. Gdy

wyprostowałem plecy i rozejrzałem się wokół, byłem zdezorientowany i miałem lekkie zawroty głowy, jakbym właśnie wziął udział w wypadku.

– Poszedł fał genui! – krzyknął mi Frank prosto do ucha, a kiedy spojrzałem na niego bez zrozumienia, wskazał palcem dziób. – Lina trzymająca w górze przedni żagiel. Musimy uratować żagiel i przymocować go wzdłuż burty, zanim zniszczy cały takielunek.

Zerknąłem przed siebie i zobaczyłem, że przedni żagiel, który wcześniej stał napięty niczym skrzydło mewy, teraz opadł i zwisa z dziobu jak pusta torba. Za każdym razem, gdy schodziliśmy w dolinę fali, nabierał wody. Czułem wstrząsy kadłuba, kiedy łódź próbowała pozbyć się ton balastu ciągnącego dziób w dół.

– Poluzujesz szot, żeby zmniejszyć ciśnienie napierające na żagiel! – zawołał Frank, wskazał palcem i wyjaśnił: – Potem wyjdiesz na pokład zamocować żagiel, bo inaczej może zahaczyć o ster i go zniszczyć.

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem.

– Na pokład? Mówisz poważnie?

– A wolisz trzymać ster?

Poluzowałem linę bezpieczeństwa i poczołgałem się przed siebie na czworakach. Ostatnie metry otwartego pokładu dziobowego były najgorsze. Oczekałem, oszacowałem odległość i rzuciłem się do dziobu w kilkusekundowym momencie względnego spokoju między dwiema falami. Moje dłonie odszukały metalowy reling, do którego się przyczepiłem, a dziób jak szalony poszybował w górę, by po chwili zanurkować w następnej fali. Zamknąłem oczy i trzymałem się ile sił, kiedy targnęła mną masa wody. W kolejnej dolinie udało mi się wreszcie zaczepić linę bezpieczeństwa. Poczułem się nieco

pewniej, odwróciłem się plecami do grzywaczy i zacząłem pracować.

Było to strasznie męczące. Nie tylko dlatego, że podnoszenie żagla i mocowanie go do burty samo w sobie jest ciężkim zadaniem, lecz także dlatego, że większość sił zużywałem na to, by utrzymać się na pokładzie. Czułem się, jakbym ujeżdżał dzikiego konia, który skacząc jak szalony i desperacko wierzgając, robił wszystko, by się mnie pozbyć. Do tego mnie zemdliło. Choroba morska nie dokuczała mi, dopóki siedziałem spokojnie i mogłem obserwować morze, lecz gdy tylko pochyliłem głowę i skupiłem się na pracy, dała o sobie znać. Pracowałem, pociłem się, marzłem i wymiotowałem. Płótno żagla było sztywne, śliskie i nieposłuszne, łopotało i rzucało się dziko na wietrze. Palce mi zdrętwiały, stały się tak niezdarne, że całą wieczność wiązałem prosty węzeł. Nie miałem pojęcia, ile czasu to zajęło.

Gdy żagiel leżał wreszcie bezpiecznie zwinięty wzdłuż burty, usiadłem na dziobie, opierając się plecami o reling, zahaczyłem ręce o okrągłe metalowe profile i zwiesiłem głowę, tak wycieńczony, że nie mogłem nawet znieść myśli o ruchu. Słyszałem krzyk Franka, ale nie rozróżniałem słów. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, jak macha, bym wrócił do kokpitu. Skinąłem głową, ale uniosłem dłoń, by pokazać mu wszystkie palce.

– Pięć minut! – zawołałem, wyraźnie poruszając ustami, a on kiwnął głową.

Po chwili poczułem się lepiej, więc ostrożnie podniosłem się na kolana. Poluzowałem linę bezpieczeństwa i schowałem jedną nogę pod siebie, gotowy do przemierzenia kilku metrów po mokrym i śliskim pokładzie. Ruchy łodzi trochę się uspokoily po umocowaniu przedniego żagla. Frank unióś rękę, pokazując mi, żebym poczekał. Lepiej niż ja orientował się w sytuacji. Przesuwał

spojrzeniem po wzburzonych wodach. Nadal trzymał dłoń w górze, przyglądał się morzu, drugą ręką automatycznie regulując rumpel. Ciągle czekałem. Wzrok utkwilem w maszcie. Miałem do niego trzy metry.

Dłoń kiwnęła, a usta się poruszyły, Frank coś krzyknął.

– Teraz, teraz! – wrzasnął chyba. Rzuciłem się naprzód, zgarbiony jak sprinter, który wybiega z bloków startowych. Zrobiłem jeden krok i kolejny, i prawie znalazłem się w bezpiecznym miejscu. Wyciągnąłem rękę, by chwycić maszt. Zostało mi do niego dwadzieścia centymetrów, kiedy pokład uciekł mi spod nóg. Nagle poszybowałem nieważko w powietrzu. I zanim zdołałem zrozumieć lub zarejestrować, co się dzieje, zanim w ogóle zdążyłem się wystraszyć, nakryła mnie ciemna woda.

Byłem sam na morzu. Czasami jakaś fala rozbijała mi się nad głową, ale nie działo się to często. Dzięki kamizelce ratunkowej unosiłem się na powierzchni jak kaczką. Przez kilka minut widziałem maszt, lecz wkrótce straciłem go z oczu. Za każdym razem, gdy wpływałem na grzbiet fali, wyciągałem szyję, chcąc wypatrzyć łódź albo biały rozbryzg fal uderzających o szkieł lub wysepkę. Otaczały mnie jednak tylko wzburzony ocean i wyjący wiatr, który przepędzał długie pasy piany po szarym jak ołów morzu.

Z wolna zdałem sobie sprawę, że nie grozi mi utonięcie. Dużo szybciej mogłem zamarznąć na śmierć. Na początku zimno odczuwałem tylko jako fizyczny ból. Pierwszy szok odebrał mi dech, prawie mnie sparaliżował. Później poczułem na skórze palący płomień, który przenikał coraz głębiej, aż wreszcie miałem wrażenie, jakby mój szpik kostny stanął w ogniu. Po jakimś czasie jednak ból stopniowo zelżał. Uzasadniłem to przywyknięciem do

chłodu, ale później uznałem to wytłumaczenie za błędne. Zimna woda niezauważenie odbierała mi życie. Gdy zdałem sobie z tego sprawę, dopadł mnie lęk, który jednak prędko minął, zastąpiony swego rodzaju odrętwiałą obojętnością.

– Ruszaj się – powiedziałem do siebie. – Musisz płynąć. Ruszać się. Słyszysz, Mikael? Płyn, bo inaczej zginiesz.

Próbowałem. Odwróciłem się plecami do fal, odbiłem się nogami i wyprostowałem ręce. Jedno odepchnięcie, i kolejne. Jakbym w ogóle się nie poruszał. Wmówiłem sobie, że to bez znaczenia, że muszę dalej próbować, ciągle od nowa.

Ale wydawało mi się, jakbym był dwiema osobami naraz. Jedna zaciskała zęby i walczyła o życie, a druga stała z boku, przyglądając się. Ten drugi Mikael Brenne uśmiechał się krzywo, z wyższością, obserwując całą tę mękę, i wmawiał sobie, że może to wszystko jedno. Może ulżyłoby mu, gdyby zostawił za sobą problemy, uniknął poniżenia podczas procesu oraz głębokiego, nieodwracalnego upadku, przemiany z rozchwytywanego adwokata w więźnia.

Moje wymachy stawały się coraz słabsze i nieefektywne. Opadałem z sił, aż zaprzestałem wszelkiego ruchu. Ręce i nogi kołysały się na wzburzonym morzu, a moje wychłodzone serce biło tak wolno, że każde uderzenie przyjmowałem z zaskoczeniem.

ROZDZIAŁ 34

Obudziłem się w półmroku, słysząc równy dźwięk diesla i nie wiedząc, gdzie jestem. Leżałem pod stertą koców, lecz mimo to szczękałem zębami, cały się trząsałem, przemarznięty aż do szpiku kości. Chłód oceanu tkwił we mnie i nie chciał odpuścić.

Nieco później pochylił się nade mną Frank. Twarz miał bezbarwną w słabym świetle. Jeszcze bardziej opatulił kocami moje nagie ciało.

– Zaraz będziemy na miejscu, Mikael – powiedział.

Pragnąłem zapytać, jak mnie znalazł i dokąd płyniemy, ale zanim wydobyłem z siebie słowo, jego twarz zniknęła i zostałem sam. Nie chciałem być sam. Dryfowałem po morzu jak zagubiona dusza wśród górujących nade mną fal. Było to najsamotniejsze miejsce na ziemi. Próbowałem zawołać Franka, ale bez skutku. Przestraszyłem się.

Potem znów odpłynąłem w ciemność, która wymazała wszystko – zarówno strach, jak i chłód.

Po przebudzeniu ujrzałem nową twarz. Twarz Magdy. Pod obolałą skórą wyczuwałem miękką pościel. Ostre światło świeciło mi w oczy, a nieznany głęboki głos mówił coś powoli. Jakaś dłoń uniosła moją głowę i poczułem gorzki smak tabletki na języku. Do ust przytknięto mi szklanekę wody, która strumykiem pociekła z kącika i zmoczyła mi pierś jak niemowlęciu albo starcowi.

Chłód i ciepło. Drżałem i pociłem się, stukałem zębami i parowałem od gorąca. Walczyłem o oddech. Klatka piersiowa stała się ciasna i ciężka, jakby coś mnie przygniatało. Za każdym razem, gdy się budziłem, była przy mnie Magda. Czytała przy moim łóżku, słyszałem szelest przekładanych stron. Pachniała wanilią i kwiatami.

Kiedy otworzyłem oczy, zniknęła, a zamiast niej siedział tam Frank. Wyczułem jego obecność, jeszcze zanim go zobaczyłem – otaczała go woń dymu papierosowego, potu i alkoholu. Wbił wzrok w moją twarz, jakby próbował coś z niej wyczytać, lecz gdy popatrzyłem mu w oczy, uciekł spojrzeniem.

– Mikael – odezwał się. – Jak się czujesz?

– Już lepiej – szepnąłem. – Mogę dostać trochę wody?

Zerwał się na równe nogi i zaczął się krzątać; przyniósł wodę, wyjął tabletki, poprawił mi kołdrę i poduszkę.

– Znalazłeś mnie. Myślałem... myślałem, że to koniec.

– Ja też. Morze było wzburzone. To prawie niemożliwe, by znaleźć człowieka dryfującego wśród fal. Nie wierzyłem, że cię znajdę, pływałem jedynie tam i z powrotem, bo nie chciałem się poddać, ale tak naprawdę nie miałem nadziei. A gdy cię dostrzegłem, wypłynąłeś na powierzchnię całkiem bez życia. Twarz miałeś białą jak kreda. Byłem zupełnie pewien, że nie żyjesz.

Miał nieobecne spojrzenie, jakby znów znalazł się na morzu podczas sztormu. Jego palce drżały, ale ja nie słuchałem zbyt uważnie. Myślałem o czymś innym. Bo dokładnie w tamtej chwili, kiedy straciłem grunt pod nogami, patrzyłem prosto na Franka. Widziałem grymas na jego twarzy, widziałem, jak nagłym ruchem przyciągnął do siebie rumpel, a także coś w jego spojrzeniu – wściekłość, desperację, coś mrocznego, co podpowiadało mi, że nie wypadłem za burtę przypadkiem. Że Frank tak naprawdę próbował mnie zabić. A gdy leżałem w lodowatej wodzie, czekając na koniec, wiedziałem, że dokonał zbrodni doskonałej, która nigdy nie zostanie wykryta.

Zamknąłem oczy.

– Muszę się przespać – powiedziałem.

Gdy się zbudziłem, byłem sam. W pokoju panowała ciemność i znów się bałem.

Następnego dnia wstałem na kilka godzin, a jeszcze kolejnego wyszedłem na krótki spacer. Powietrze było rześkie, barwy ostre i czyste, ale wiał zimny wiatr z północy. Marzłem, chociaż włożyłem na siebie wszystkie ciepłe ubrania. Przechadzałem się wolno między domkami, słaby i rozedrgany, lecz mimo to pobyt na dworze podziałał na mnie ożywczo.

Znalazłem osłoniętą od wiatru ławkę, na której usiadłem. Gdy zwróciłem twarz ku słońcu, na skórze poczułem ciepło. Przechodnie pozdrawiali mnie i kiwali mi głowami. Zniknęła cała ich wrogość i podejrzliwość. Najpierw mnie to dziwiło, ale później odgadłem, że to z powodu mojej niedoszłej śmierci na morzu. Ci ludzie znali ocean, wiedzieli, jak jest kapryśny i nieprzewidywalny, jak prędko spokojne wody mogą zmienić się w piekielną otchłań i jak niewiele trzeba, by doszło do wypadku. Ludzie tracili na morzu synów, mężów i braci, odkąd tylko zamieszkali na Vestøy. Wiedzieli też, że to cud, gdy ocean wypuści kogoś, w kim zatopił swe pazury, dlatego się do mnie uśmiechali. Ja kiwałem głową i uśmiechałem się w odpowiedzi.

Per Tveit usiadł ciężko obok mnie.

– Słyszałem o pańskiej zimnej kąpeli. I jak? Marznie pan?

Popatrzyłem na niego z lekkim zaskoczeniem.

– Czy marznę? Owszem. Nie mogę się ogrzać.

Zaśmiał się z mojego zdziwionego tonu.

– Dwa razy wpadłem do morza – wyjaśnił. – Byłem rybakiem, tak samo jak mój ojciec, dziad i jego ojciec. Pierwszy raz zamarzliśmy na wybrzeżu w rejonie Finnmarku. Czasami, przy odpowiednich warunkach, znad tamtejszego płaskowyżu nadciąga

chłód. Powietrze spływa w dolinę Alty jak ciekły tlen, a później rozchodzi się nad fiordem. Nie uwierzy pan, jak wtedy było zimno. Rozbryzg wody nad burtą zamarzał w kilka sekund. Po kilku minutach mieliśmy na pokładzie parę ton lodu, aż straciliśmy równowagę i przewróciliśmy się do góry dnem. Wcześniej pojęliśmy jednak, jak to się może skończyć, więc wysłaliśmy komunikat „mayday” na kanale szesnastym i po dziesięciu minutach nas wyłowiono. – Popatrzył na mnie w zamyśleniu. – Ale to było dziesięć zimnych minut. Naprawdę zimnych. Całe lata czułem ten chłód w kościach.

– A drugi raz?

– Drugi raz miał miejsce niedaleko stąd. – Wskazał kciukiem przez ramię, na zachód, w stronę morza. – Była noc i sztorm, naprawdę szalona noc. Porwała mnie fala. W tamtej chwili wiedziałem, że to koniec. Nikt nie mógł mnie znaleźć w tych warunkach.

– I co się stało?

– Następną falą uniosła mnie, zakręciła mną, aż nie wiedziałem, gdzie jest góra, a gdzie dół, i pięknie odstawiała mnie na pokład, z którego wypadłem. – Zaśmiał się. – Miałem więcej szczęścia niż rozumu. W tamtej chwili zdecydowałem, że już dość. Zszedłem na ląd i kupiłem sklep.

– Sklep należy do pana? – Spotykałem go za każdym razem, gdy tam zachodziłem, ale nigdy nie widziałem, żeby pracował. Kłócił się jedynie z klientami.

– Myślał pan, że tak tam tylko stoję i gadam głupoty? Nie, sklep jest mój. Ale teraz prowadzi go synowa, ja jedynie doglądam interesu. – Podniósł się sztywno. – Morze jest wiecznie głodne. Dobrze, że niektórym udaje się mu uciec.

Nie zobaczyłem więcej Franka, ale Magda cały czas była przy mnie. Przynosiła mi jedzenie do pokoju, dbała, abym dostawał czystą pościel oraz ubrania i abym przyjmował leki. Zajmowała się mną jak małym dzieckiem albo jakbyśmy byli małżeństwem, a kiedy nabrałem sił, przyszła do mnie w nocy. Opuszki jej palców wprawiły moją skórę w drżenie. Dosiadła mnie, a wtedy po raz pierwszy, odkąd mnie uratowano, chłód i mrok odpuściły i naprawdę się rozgrzałem.

Drzemałem w łóżku, podczas gdy jej palce rysowały wzory na mojej piersi i ramieniu.

– Mógłbym tak leżeć cały czas – mruknąłem. – Może powinienem rzucić praktykę i się tu przeprowadzić. Co sądzisz?

Palce się zatrzymały. Otworzyłem oczy, a na jej czole ujrzałem zmarszczkę.

– Miałam kiedyś męża, wiesz?

– Nie.

– Miałam tylko dwadzieścia lat. Byłam młoda i głupia. On był...

– Jak miał na imię?

– Thomas. Thomas był przystojny. Miał czarne włosy i oczy, jak wielu ludzi z wybrzeża. Portugalscy i hiszpańscy marynarze z rozbitych statków zostawili tu swoje geny. Nie mogłam się nim nacieszyć. Pobraliśmy się w maju, chcieliśmy cały czas być razem. To w ten sposób zaczęłam zajmować się gospodą i pensjonatem. Należały do niego. Odziedziczył je po rodzicach.

– I co się stało?

Zacisnęła usta.

– Jak mówiłam, był przystojny i czarujący, ale też całkiem bezużyteczny. Nie potrafił robić wszystkich tych niezbędnych, lecz nudnych rzeczy. Prowadzenie gospody oznaczało dla niego jedynie

tyle, że mógł siedzieć cały wieczór, pić za darmo i bawić się z przyjaciółmi. A ja, głupia, myślałam, że wszystko jest w porządku. Pewnego dnia zaś zniknął.

Podniosłem się lekko na łóżku.

– Żartujesz!

– Nie, to prawda, po prostu przepadł. Z początku myślałam, że nie żyje, że miał wypadek, ale okazało się, że ktoś go widział, najpierw na promie, a później w autobusie jadącym na południe. Z czasem musiałam pogodzić się z tym, że zwyczajnie mnie zostawił. W każdym razie i tak nie miałam za dużo okazji, by rozmyślać o tym, co się stało. Zaledwie kilka tygodni po jego zniknięciu przyszedł tu kierownik banku. Usiadł ze mną i wyjaśnił, jak się sprawy mają. Wielki dług, przekroczony debet na koncie, zbyt niskie wpływy. Uważał, że to beznadziejny projekt, radził, żebym się poddała, ale ja... Nie zostało mi nic innego, więc ciągnęłam ten interes. Na szczęście byłam prezesem zarządu spółki. Zostałam nim jedynie *pro forma*, lecz dzięki temu mogłam kontynuować działalność. Z czasem nauczyłam się fachu. Teraz idzie już dobrze.

– A Thomas? – zapytałem.

– Znalazłam go po prawie roku. Przeniósł się do miasta, w którym mieszkasz. – Zaśmiała się. – Szkoda, że nie widziałeś jego miny, kiedy zobaczył mnie w drzwiach. Najpierw nie miał ochoty mnie wpuścić. Mieszkał z taką małą brunetką, która nie chciała mnie widzieć. Ostatecznie poszliśmy do kawiarni, a brunetka wrzeszczała i wygrażała nam obojgu.

– I co powiedział?

Zaniosła się ponurym, gorzkim śmiechem.

– Że życie męża i właściciela gospody nie jest dla niego.

Zapytałam go, czy wróci, a on stwierdził, że nie zamierza więcej oglądać Vestøya na oczy. Wydawał się zmęczony i znękany, przez te pół godziny zdążył wypić trzy piwa. Od tamtej pory go nie widziałam.

– Kiedy to było?

– Wyjechał dwadzieścia pięć lat temu.

Jej palce znowu zaczęły pieścić moje ramię.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Żebyś rozumiał. Daję sobie radę sama. Nie wiedziałam, że tak będzie, że poradzę sobie z czymś takim, ale tak jest. I lubię decydować o swoim życiu. Nie chcę mieć chłopaka, partnera ani, broń Boże, nowego męża. Czasem miewam kochanków i to mi wystarczy. Tak musi zostać.

– Myślałem tylko...

– Nieważne, co myślałeś. Lubię cię, Mikael, i jest nam razem cudownie, ale nigdy nie będzie z tego nic więcej. Chcę, żebyś to wiedział.

Zapewniłem ją, że wszystko w porządku, i w gruncie rzeczy tak właśnie było. Nie mówiłem serio, proponując, że przeniosę się na Vestøya, snułem tylko cudowne marzenia, lecz mimo to moja duma została nieco urażona. Wolałbym, gdyby Magda potrzebowała mnie bardziej niż ja jej.

– Muszę niedługo wracać do domu – powiedziałem. – Czeka na mnie parę spraw.

ROZDZIAŁ 35

Padało, kiedy wróciłem do domu modlitwy. Drzwi zastałem otwarte, ale w sali zgromadzeń panowały mrok i chłód. Przez chwilę rozglądałem się wokół. Samo pomieszczenie było nijakie i prawie puste. W oknach wisiały tiulowe firanki, niegdyś białe, a teraz szare ze starości. Na parapetach leżały martwe muchy. Wolno przeszedłem przez salę, wszedłem na niewielkie podwyższenie pod ścianą i odwróciłem się, jak Salomonsen tamtego wieczoru.

W mdłym świetle, które ledwie przedostawało się przez okna, wszystkie kolory zmieniały się w szarość, a kontury się rozmywały. Pustka okazała się przytłaczająca, z trudem przywołałem wspomnienia energii, żaru i intensywności uczuć, które niczym kręgi na wodzie rozchodziły się kiedyś po tej sali. Zacząłem nawet wątpić w to przeżycie, ponieważ nie udało mi się wpasować go w rzeczywistość, do której przywykłem. A jednak wiedziałem, że Kristian Salomonsen stał dokładnie tam, gdzie ja teraz stałem. Patrzył na salę, tak jak ja teraz, i nie widział pustki i rozkładu, ale coś zupełnie innego. Coś się wtedy uwolniło. Coś nieokreślonego, czego nie potrafiłem opisać słowami, wypełniło Kristiana Salomonsena.

Wzdrygnąłem się. W pomieszczeniu panował przenikliwy chłód.

Wszedłem na zewnątrz i obszedłem dom dookoła. Wszystkie okna były ciemne, ale z komina unosił się dym, czasem ledwie widoczny, zanim porwał go tutejszy niezmienny wiatr. Z tyłu znajdowały się jeszcze jedne drzwi, które musiały prowadzić do prywatnego mieszkania Salomonsena, ale były zamknięte na klucz i nikt nie zareagował na moje pukanie. Nie wiedząc, co robić, rozejrzałem się po okolicy. Dzień był szary i nawet widok

poszarpanej linii brzegowej wydawał się bardziej melancholijny niż dramatyczny.

Ujrzałem go dokładnie w chwili, gdy straciłem już nadzieję. Szedł z północy, wzdłuż klifów, tą samą drogą, którą pokonałem z Frankiem za pierwszym razem. Z daleka wyglądał jak trzepoczący skrzydłami burzyk, kiedy tak skakał z kamienia na kamień, łopocząc połami płaszcza, zaskakująco żwawy i lekki jak na swój wiek. Zobaczył mnie i zamachał. Uniosłem rękę i odwzajemniłem gest.

– Sam nie wiem, czemu zamykam – powiedział, po czym wydobyl klucz spod wycieraczki i otworzył drzwi. – Wszyscy wiedzą, gdzie jest klucz. Zapraszam.

Zdjął płaszcz przeciwdeszczowy i zydwestkę, które odwiesił w korytarzu. Następnie poszedł przodem do całkiem przytulnego salonu. Pokój był niewysoki, ani trochę luksusowy, ale za to od sufitu do podłogi wypełniony książkami, nieliczne meble wyglądały zaś na często używane i wygodne.

– Może kakao? – zaproponował, a ja skinąłem głową.

Gdy siedzieliśmy już każdy ze swoim parującym kubkiem, popatrzył na mnie z ciekawością.

– Czekałem na pana, Brenne. Zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle pan przyjdzie.

– Jutro wyjeżdżam.

– A to... śledztwo? Do czegoś pan doszedł?

Już dawno przyzwyczailem się, że wszyscy wiedzą, czym się zajmuję.

– Właściwie to nie. Pewne aspekty sprawy nie wyszły wtedy na jaw i dają powody do namysłu, ale tak naprawdę to nie odkryłem niczego istotnego.

– Aspekty sprawy? – Uśmiechnął się lekko, jakby spodobały mu się moje słowa. – To tak mówią adwokaci?

Poruszyłem się niespokojnie.

– Chodziło mi tylko...

– Pewnie myśli pan o Anne. O tym, kim i jaka była. Że nie żyła zgodnie ze Słowem Bożym.

– Zgodnie ze Słowem Bożym? Pewnie tak też można to ująć, nie będąc adwokatem – powiedziałem i zainkasowałem ostre, pełne dezaprobaty spojrzenie. – Ale zgadza się, wiem, że dość lekko traktowała moralność seksualną. Pomyślałem, że...

– Tak?

– Znał pan tych ludzi. Odniosłem wrażenie, że wszyscy byli członkami pańskiej wspólnoty.

– Bożej wspólnoty, nie mojej.

Machnąłem ręką.

– Tak, tak. Zastanawia mnie tylko... sądzi pan, że ktoś mógł ją wykorzystać?

– Anne? – Był zszokowany. – Co też każe panu tak myśleć?

– Dość często zdarza się, że dziewczęta pozbawione zahamowań seksualnych są wcześniej wykorzystywane. Poza tym ktoś powiedział coś, co poddało mi tę myśl.

– Anne? Wykorzystywana? Nie, nie wydaje mi się. – Wstał, wyraźnie wzburzony. – Dobrze ją znałem. Anne była rozbestwiona od maleńkości. Nie dało się jej upilnować. Mogę panu przysiąc, że próbowała jej matka, jej ojciec i ja też. Wielokrotnie z nią rozmawiałem, ale ona... nie miała Boga w sercu.

Taki był ostateczny wyrok na Anne. Nie miała Boga w sercu.

– A jej rodzice?

– To dobrzy ludzie. Dobrzy chrześcijanie.

– Wiedzieliby o ewentualnym molestowaniu Anne?

– Nic mi o tym w każdym razie nie mówili. – Spojrzał mi prosto w oczy. – Ale jaki jest sens to drażnić? Chce pan pytać Kjella? Jeździ na wózku i ma alzheimera. A matka przeżyła już dość, nie sądzi pan? Nie ma jak się teraz tego dowiedzieć. Może pan jedynie zasiać rozpacz i żal. – Był mocno zdenerwowany.

Po kilku sekundach zapytałem:

– Więc myśli pan, że Aron jest winny? Że to on je zabił?

Westchnął.

– Nie mogłem w to uwierzyć. Kochałem Arona. To prosta dusza, ale o silnej, jasnej wierze. Cieszył się łaską.

– To pańskie zeznanie doprowadziło do jego skazania.

– Nie, nie.

– Tak. Zeznał pan, że widział, jak szedł tędy pół godziny przed śmiercią Anne. W ten sposób umiejscowił go pan na miejscu zbrodni.

– A co miałem zrobić? Okłamać policję i sąd? Dobrze bym wtedy postąpił, mecenasie Brenne? Miałem skłamać, żeby uratować chłopca, którego kochałem? To chce pan powiedzieć?

– Nie, oczywiście, że nie. Przepraszam, frustruje mnie ta sprawa. Ale sądzi pan, że on to zrobił? Mógł zabić te dwie dziewczyny?

– Nie wiem. – W oczach Salomonsena dostrzegłem rozpacz. – Nie wiem, czy mógł. Ludzie są w stanie dopuścić się wielu rzeczy. Grzech to rzeczywistość tego świata. Często mówimy o grzechu, jakby chodziło o jakieś teoretyczne ćwiczenie, ale wcale tak nie jest. Grzech... zło... jest konkretne i namacalne. Ma kolor, kształt i jest wszędzie. Więc tak – rzekł wreszcie cicho. – Mógł to zrobić. On... i wszyscy inni.

– Wiem.

Nagle my – adwokat i pastor – przestaliśmy się tak bardzo różnić. Choć nie używaliśmy tych samych słów i metafor, łączyła nas wiedza na temat ludzi.

– Odwiedziłem Arona i jego matkę – odezwałem się po chwili. – Zaniepokoiło mnie to spotkanie. Długo o nim myślałem.

– Tak? – Popatrzył na mnie przyjaznym, pytającym wzrokiem.

– Chodzi o coś, co powiedziała pani Sørvik. Czy zdaje pan sobie sprawę, że ona wierzy w winę Arona? Własnego syna?

– Owszem.

– I uzasadnia to... teologicznie. Zrozumiałem to tak, że jej zdaniem Bóg nigdy nie dopuściłby do skazania Arona, gdyby on nie był winny, że Bóg wie wszystko i wszystkim kieruje, czy coś w tym stylu. – Poruszyłem się niespokojnie. – Ja nawet nie wierzę w Boga, więc nie wiem, dlaczego mnie to martwi, ale jest w tym toku myślenia jakaś surowość i brak tolerancji.

– Rozumiem, jednak obawiam się, że nie mogę pana pocieszyć. Bóg widzi wszystko, wszystkim kieruje i nie toleruje występku. – Uśmiechnął się, dzięki czemu jego surowa twarz pojaśniała. – Lecz to nie oznacza, że możemy Go zrozumieć albo że wszystko, co się dzieje, jest nieuniknione. Taka wiara także jest grzechem. Niezbadane są wyroki boskie.

– Więc pani Sørvik się myli?

Wzruszył ramionami.

– Oczywiście zna swojego syna, lecz nie zna woli bożej, podobnie jak pan czy ja.

ROZDZIAŁ 36

Zamiast wrócić tą samą drogą, wybrałem trasę wzdłuż wybrzeża. Skały były mokre, śliskie. Padał deszcz i wiał ostry wiatr od morza, więc po chwili musiałem włożyć kaptur kurtki. Daleko na zachodzie szara toń zlewała się z niebem. Gdy dotarłem do półki skalnej, na której znaleziono Anne, zatrzymałem się i rozejrzałem wokół. Coś przykuło moją uwagę. Pośrodku, mniej więcej w miejscu, gdzie odkryto jej ciało, dojrzałem coś małego i ciemnego. Nie widziałem, co to. „Coś wyrzuconego przez morze” – uznałem. Zbliżyłem się i pochyliłem, aby się przyjrzeć. Leżał tam bukiet róż. Były mokre i zwiędnięte, o czarnych łodygach. Prawie przekwitłe płatki miały ciemnoczerwony kolor, który kojarzył mi się z zakrzepłą krwią.

Zostawiłem bukiet i poszedłem dalej z pochyloną głową, kryjąc się przed zacinającym deszczem. W moich myślach stale rozbrzmiewał refren. *You can send me dead flowers every morning. Send me dead flowers by the mail. Send me dead flowers to my wedding and I won't forget to put roses on your grave* – śpiewał Townes Van Zandt.

Vigdis Wiesner otworzyła drzwi i nawet nie mrugnęła okiem, gdy powiedziałem, że miło ją znów widzieć.

– Runar jest w przetwórni – poinformowała.

– To z panią chciałem porozmawiać – odparłem. – Mogę wejść?

Jej mina nie zdradzała, że chce mnie wpuścić.

– O czym chce pan rozmawiać?

– O dawnych czasach. Wie pani, dlaczego jestem na Vestøy, prawda? Z powodu Anne i Siri.

– Zdążyłam się zorientować.

– Znała je pani?

- Wiedziałam, kim są.
- Ale pracowały w skupie, więc musiała pani chyba...
- Wszystkim zajmował się Runar. Rzadko tam zaglądałam.
- Więc on znał je lepiej niż pani?
- Tak.
- Jak dobrze?

Na chwilę zamilkła.

- Proszę?
- Słyszałem różne plotki w okolicy.
- Nie powinien pan słuchać plotek.
- Myślę, że pani męża mogło coś łączyć z tymi dziewczynami.

Minęły trzy sekundy. Nie dostrzegłem cienia reakcji poza tym, że trochę zbladła.

– Myli się pan. Mój mąż nie mógłby mieć nic wspólnego z takimi latawicami – powiedziała wreszcie.

- Myślałem, że ich pani nie znała.
- Nie znałam, ale wiedziałam, co się o nich mówiło.
- Była pani zazdrosna?

– Chyba nie muszę na to odpowiadać – burknęła Vigdis Wiesner. Kliknięcie zamka definitywnie zakończyło rozmowę.

Stina miała twarz niepokorną jak małe dziecko. W ciasnym korytarzu za nią siedział na podłodze nadąsany chłopiec, nadal ubrany w kombinezon i kalosze.

– Właśnie wróciliśmy z przedszkola – wyjaśniła. – Muszę zrobić obiad.

- Może byłoby lepiej, gdybym wrócił, kiedy mały pójdzie spać?
- Nie mam panu nic więcej do powiedzenia.
- Chciałem tylko zapytać o coś, co powiedziała pani ostatnio.
- O co?

– Wspomniała pani, że Anne mogła być w związku ze starszym mężczyzną, więc zastanawiam się, czy...

– Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam.

– Ależ tak, ponoć Anne mówiła, że wszystkim mężczyznom chodzi tylko o...

– Proszę już iść – zażądała Stina.

Zaczęło mnie trochę męczyć, że ludzie zamykają mi drzwi przed nosem.

Tego wieczoru Magda zaprosiła mnie do swojego mieszkania na kolację.

– Nie umiem się rozluźnić, kiedy jem na dole – wyjaśniła. – Czuję wtedy, że powinnam pracować.

– Zastanawiałem się nad tym, co mówiłaś o swoim małżeństwie – odezwałem się znad kawy. – Jesteś rozwiedziona, jak przypuszczam?

– Chcesz mi się oświadczyć, Mikael? Nie, właściwie to nie jestem. Jakoś nigdy się tym nie zajęłam.

– Nie podzieliliście też majątku? A co z gospodą? Kto jest jej właścicielem?

– Formalnie Thomas.

– Rozumiesz więc chyba, że w każdej chwili może się zjawić i zażądać połowy majątku? Albo i całego, skoro to on wniósł go do małżeństwa.

Pokręciła głową.

– Kiedy się z nim spotkałam, powiedział, że mogę zatrzymać cały ten bajzel, bo on nie jest nim ani trochę zainteresowany.

– Dostałaś to na piśmie?

Pokręciła głową i popatrzyła na mnie z powątpiewaniem.

– Stawia cię to w dość ryzykownym położeniu, Magdo. Może

spróbuję to dla ciebie załatwić?

– Chciałbyś?

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Dziękuję, Mikaelu. Może teraz porozmawiamy o czymś przyjemniejszym?

– Tak. Możesz mi powiedzieć, jak to było się tutaj wychowywać. Jestem chłopakiem z miasta i trudno jest mi to sobie wyobrazić.

I Magda opowiedziała o skrzypieniu wiosła w dulkach, o jasnych letnich dniach, miłostkach i szczęśliwych chwilach, o radości z przylotu ostrygojadów, który zapowiadał koniec zimy, o kwiatach rosnących wiosną w skalnych szczelinach, o dniach, gdy wokół łodzi roiło się od czarniaków, a żyłkę cudownie ciężko wciągało się przez burzę.

– Coś wspaniałego – stwierdziłem.

Uśmiechnęła się.

– Oczywiście nie zawsze tak było. Ale czasami. I wszystko wydawało się wtedy proste.

– Tak. Dobrze, że nigdy nie wiemy, co szykuje nam życie.

Zagryzła wargi, nagle zaniepokojona.

– Wiem o twojej sprawie. Że byłeś aresztowany, straciłeś licencję i tak dalej.

– Naprawdę?

Skinęła głową.

– Tak, czytałam o tym w gazecie i rozpoznałam twoje nazwisko, ale wolałam nic ci nie mówić.

– Więc dlaczego teraz o tym wspominasz? – zapytałem i usłyszałem, że mój głos zabrzmiał bardziej opryskliwie, niż chciałem.

– Ach, Mikael, nie przejmuj się tak. Nie wierzę, że zrobiłeś coś

złego, zastanawiam się tylko... boję się, co się z tobą stanie. To dlatego musisz wracać, prawda?

– Między innymi. Poza tym chyba nic już tutaj nie zdołałam.

– Ale co się z tobą stanie? – powtórzyła, a ja westchnąłem.

– Nie mam pojęcia.

Gdy wstałem, coś niewyraźnie wymamrotała. Pochyliłem się i ją pocałowałem. Już spała, przez co poczułem się samotny. Zrobiło się późno, ale nie byłem zmęczony, więc zamiast położyć się we własnym łóżku, ubrałem się i wyszedłem cicho w noc.

Rozmowa o tym, co czeka mnie po powrocie, wzbudziła we mnie niepokój, o którym zdążyłem prawie zapomnieć, mrowiący strach przed przyszłością, który sprawił, że pochyliłem głowę i przyspieszyłem kroku. Szedłem prędko, na chybił trafił wybierając drogę między cichymi, ciemnymi domami. Kot wychynął zza rogu jak bezgłośny cień, poza tym nie spotkałem żywego ducha. Po dotarciu do portu skręciłem w lewo i pomaszerowałem dalej wzdłuż brzegu. Przeszedłem przez nabrzeże promowe, przez plamy żółtego światła dwóch samotnych lamp nad wodą, a następnie podążyłem ścieżką wijącą się między szeregami starych hangarów na łódzie, aż ona również zniknęła w mroku i w zaroślach. Dopiero wtedy zawróciłem.

W drodze do domu minąłem tył sklepu. Pomyślałem, że to może być skrót, lecz prędko okazało się, że się pomyliłem. Wąska ścieżka prowadziła między jakąś starą szopę i żywopłot. Po kilku metrach skręciła trochę w prawo, a ja się zatrzymałem. Nie w tę stronę chciałem iść. Nagle usłyszałem powolne skrzypnięcie otwieranych drzwi, a następnie ciche głosy. Ostrożnie wyjrzałem przez żywopłot.

W drzwiach całowało się dwoje ludzi. Widziałem szerokie plecy dość potężnie zbudowanego mężczyzny, obejmującego kobietę.

Ostrożnie oswobodził się z uścisku, wycofał się na krok i wymamrotał parę słów. Rozpoznałem wątlą postać Stiny i zdałem sobie sprawę, że to musiał być jej ogród. Chwyła mężczyznę, przyciągnęła do siebie i znów się pocałowali. Wtedy on się odwrócił i przez chwilę wyraźnie widziałem jego twarz. Przeciął mały trawnik, by zniknąć za furtką, której nie zauważyłem w ciemności. To był Runar Wiesner.

ROZDZIAŁ 37

W drodze na stały ląd stałem na pokładzie rufowym, dopóki płynęliśmy wzdłuż brzegu, lecz gdy minęliśmy ostatni szkieł na północnym wschodzie, a ciężkie, szare fale pochwyciły prom i zaczęły nim kołysać, wzdrygnąłem się, po czym wszedłem do środka. Przez pozostałą część przeprawy myślałem.

Myślałem o Runarze Wiesnerze.

Mężczyźnie, który lubił młode dziewczyny. Stina już do nich nie należała, lecz była dużo młodsza od niego, a on chyba nie mógł już tak przebierać. Zastanawiałem się, jak długo trwał ich związek. Niewykluczone, że długo. Nagle przypomniałem sobie reakcję Wiesnerów, gdy zapytałem, czy mają dzieci.

W każdym razie byłem pewien, że ktoś przestrzegł Stinę przed kontaktem ze mną. Po pierwszej rozmowie rozstaliśmy się w zgodzie. Mówiła z zapalem, a nawet cieszyła się, że może pomóc. Następnym razem odwróciła się ode mnie, stała się zupełnie nieprzystępna. Przypuszczałem teraz, że to Wiesner ją zaalarmował.

Później myślałem o Franku.

Nigdy nie da się tego dowieść, lecz nadal sądziłem, że próbował mnie zabić. A jedynym powodem, dla którego mógłby chcieć to zrobić, była – o ile rozumiałem – moja celna, choć nieostrożnie przedstawiona teoria o zazdrości jako motywie zabójstw. Frank kochał się w swojej kuzynce tak desperacko i rozpaczliwie, jak tylko młody mężczyzna potrafi. Ubóstwiał ją i czcił, jednak Anne była niestety flirtiarą, wiejską ladacznicą, która podnosiła spódnicę, przed kim tylko się dało. Ale nie przed Frankiem. On doświadczył z jej strony jedynie odtrącenia i pogardy. Każdemu mogłoby przez to odbić.

Westchnąłem, świadomy, że to jedynie przypuszczenie. Może Frank w ogóle nie próbował mnie zabić. Mogłem to wszystko źle odczytać. W końcu wrócił i mnie uratował. Niewykluczone jednak, że pływał tu i tam wyłącznie po to, żeby wyglądało, jakby mnie szukał, i tylko przypadkiem dostrzegł moje nieruchome ciało. Może nagle poczuł wyrzuty sumienia. A może myślał, że już umarłem. Tego nie wiedziałem.

Zwlokłem się po trapie na ląd z takim samym chaosem w głowie jak trzy tygodnie temu, gdy płynąłem w przeciwnym kierunku, wcale nie bliższy rozwiązania sprawy. Miałem jedynie luźne teorie bez śladu namacalnych dowodów. Moje auto nadal stało w porcie; szyby poszarzały od kurzu i brudu. Wrzuciłem walizki do bagażnika i już chciałem usiąść za kierownicą, kiedy usłyszałem, że jakiś głos woła moje imię. Odwróciłem się, by zobaczyć Franka idącego spiesznie przez nabrzeże.

– Cześć – przywitał się. – Słyszałem, że masz dzisiaj wracać, i pomyślałem, że się pożegnam.

W portowej kafejce kupiliśmy kawę w tekturowych kubeczkach i usiedliśmy na ławce tuż obok. Wpatrywaliśmy się w morze. Vestøy była cieniem na zamglonym horyzoncie.

– Dowiedziałeś się czegoś przez te tygodnie?

– Chodzi ci o sprawę?

– Tak. Jesteś bliżej dowiedzenia niewinności Arona?

Czarna, trochę wilgotna grzywka zasłaniała mu czoło. Wydawał się zmęczony.

– Nie. Właściwie to nie. – Zastanawiałem się, czy w jego oczach dostrzegłem ulgę. – Pewnie cieszysz się, że się mnie pozbędziesz – dodałem, na co wzruszył ramionami.

– Było też przyjemnie.

Odprowadził mnie do samochodu, wyciągnął rękę.

– Może powinieneś po prostu zaakceptować to, że Aron to zrobił, tak jak cały czas ci mówiłem.

– Może – zgodziłem się uprzejmie, a on się lekko zaśmiał.

– Jesteś tak uparty, że, kurde, nie wiem. Nigdy tego nie zaakceptujesz, co? Ale bądźmy realistami, Mikael. W czasie gdy popełniono zabójstwa, na Vestøy przebywało pięcioro obcych i zupełnie wykluczono ich ze sprawy. I obojętnie, co byś uważał czy sobie wmawiał, Aron był dziwakiem. Ze wszystkich na wyspie tylko on pasuje mi na zabójcę.

– Może masz rację – powiedziałem bez przekonania. – Dziękuję, Frank.

Dopiero kiedy znalazłem się w samochodzie i wreszcie, po trzech próbach, uruchomiłem silnik, mój umysł zarejestrował drobny szczegół, który mi się nie zgadzał. Który przeczył faktom. Był to niewiele znaczący szczegółik, ledwie przeoczenie, które nie mogło mieć znaczenia, a jednak wyłączyłem silnik i wysiadłem z auta. Ujrzałem, jak plecy Franka znikają za rogiem jednego z pozbawionych wyrazu bloków, które tworzyły centrum tej niewielkiej miejscowości, i zawołałem jego imię. Obejrzał się, po czym przystanął, gdy zorientował się, że za nim idę. Zerknął na mnie zdziwiony, kiedy go dogoniłem.

– Co jest?

– Co takiego przed chwilą powiedziałeś? – zapytałem.

– Jak to?

– Coś właśnie powiedziałeś. Coś o liczbie przyjezdnych wykluczonych ze sprawy. Powiedziałeś, że ilu ich było?

– Pięcioro. A czemu?

Pokręciłem głową.

– Nie zgadza się. Było ich trzech.

Teraz to on poruszył głową z boku na bok.

– Nie, mylisz się. Znam tę sprawę, Mikael. Wpłynęła na moje życie, a gdy miałem okazję, dokładnie przeanalizowałem dokumenty. W dniu zabójstwa na Vestøy przebywało pięcioro przyjezdnych, pięć osób spoza wioski. Pięcioro obcych.

– Więc dlaczego w aktach, które ja czytałem, wspomina się tylko o trzech? Możesz mi to wytłumaczyć? Gdzie się podziała pozostała dwójka?

– To znaczy?

– Gdzie się podziało dwoje pozostałych obcych?

ROZDZIAŁ 38

Synne popatrzyła na mnie zamyślona.

– Dwoje obcych, których nie ma w aktach sprawy? Ciekawe. O ile nie jest to nieporozumienie.

– Nieporozumienie?

Machnęła ręką.

– Wiesz, co mam na myśli. Błędne wspomnienie. Albo kwestia definicji. Może na przykład chodzi o dwie osoby, które kiedyś mieszkały na Vestøy i przyjechały tylko w odwiedziny. Trudno stwierdzić, czy to obcy, prawda?

– Tak. Jasne, że tak może być – powiedziałem z wahaniem. – Ale nie wydaje mi się. Frank był bardzo pewien swego. W każdym razie od nowa przeanalizowałem sprawę i znalazłem jedynie trzy osoby odwiedzające w tych dniach Vestøy. Było to dwóch hydraulików pracujących na budowie i jeden obwoźny handlarz. Wszyscy mieszkali w gospodzie i mieli alibi na czas obu zabójstw.

– A ci pozostali, których nie ma w dokumentach? Kim byli zdaniem twojego kolegi, komendanta posterunku?

– Nie pamiętał nazwisk ani szczegółów, ale zdecydowanie twierdził, że to turyści.

– Tylko tyle pamiętał?

– Obawiam się, że tak. Ale ktoś chyba musi pamiętać, kim byli.

– Może. – Synne lekko pokręciła głową. – Jednak dziwnie to brzmi. Świadcowie nie znikają ze sprawy karnej, Mikael. Protokół z przesłuchania mógł zostać przeniesiony albo w inny sposób zniknąć, ale przecież pozostałby po nim ślad w wykazie dokumentów. Sprawdziłeś to?

– Za kogo mnie masz? Według spisu treści nie brakuje żadnego protokołu.

– Zastanawiam się też nad czymś jeszcze. O ile dobrze cię rozumiem, to myślisz, że ten Frank może być mordercą?

Skinąłem głową.

– Ponieważ próbował cię zabić, prawda?

– I ponieważ miał motyw. Zazdrość. Był bez pamięci zakochany w kuzynce.

– Ale jesteś pewien, że usiłował cię zabić?

– Nie. Mogę się mylić. – Potarłem czoło. – Istnieje mnóstwo innych, całkiem wiarygodnych wyjaśnień wszystkiego, co się stało. Jeśli jednak pytasz o moje przeczucia...

– To myślisz, że to zrobił.

– Tak myślę.

– Okej. Ale skoro to on jest mordercą, Mikael, to dlaczego mielibyśmy wierzyć w to, co powiedział o tej dwójce obcych? Prawdopodobnie próbuje tylko odsunąć od siebie podejrzenia, żeby wysłać cię na bezcelowe poszukiwanie duchów.

– Tak, jeżeli jest mordercą. Ale tego nie wiemy.

Podrapała się w zamyśleniu w nos.

– Więc co chcesz zrobić?

– Upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Odnaleźć zaginionych świadków, o ile w ogóle istnieją, a jednocześnie trochę uważniej przyjrzeć się Frankowi.

– A Wiesnerowie?

– Nie wiem. Mogłabyś zamówić z rejestru przedsiębiorstw dane rachunkowe firmy Wiesner Fisk AS?

– Jakie to ma znaczenie?

Wzruszyłem ramionami.

– Bóg jeden wie. Ale Rune Wiesner skłamał już tyle razy, że chciałbym wiedzieć, czy jego sytuacja jest tak dobra, jak sam

twierdzi. A co z tobą, Synne, jak się czułaś beze mnie? Samotna i smutna, dręczona tęsknotą?

– Tak, Mikael. Nic, tylko płacz i długie, nieprzespane noce.

– Co się stało z twoimi włosami? Ściąłaś je?

Odruchowo uniosła dłoń, aby ich dotknąć.

– Imponujące. Zauważyłeś. Co myślisz?

– Są... dlaczego tak krzywo?

Synne westchnęła.

– Tak ma być. Nie mogłeś po prostu powiedzieć, że ładnie?

– Wcześniej bardziej mi się podobałaś.

Gabinet był jeszcze mniejszy i bardziej klaustrofobiczny, niż pamiętałem, a pani Sørensen jeszcze bardziej troskliwa. Wcisnęła się między biurko a ścianę, postawiła przede mną filizankę świeżo zaparzonej kawy i popatrzyła na mnie badawczo.

– Synne powiedziała, że wpadł pan do wody – zagaiła, po czym się wzdrygnęła. – Ale dobrze pan wygląda. W zasadzie to lepiej niż przed wyjazdem.

– A pani wygląda tak samo cudownie jak zawsze, pani Sørensen – oświadczyłem, na co zaniosała się serdecznym, perlistym śmiechem. – Co się dzieje z Synne? – zapytałem.

– Myśli pan o tym młodym mężczyźnie, Sveinie Jensenie?

– Sądzi pani, że to coś poważnego?

Radość z możliwości plotkowania o życiu miłosnym szefowej rozjaśniła jej twarz.

– Może tym razem tak. W każdym razie z tym jest dłużej niż z poprzednimi.

– Ach! Wielu było tych młodych mężczyzn?

– Całkiem sporo, ale z żadnym nie trwało to aż tyle tygodni. Za to tym razem... Cały czas rozmawiają z sobą przez telefon i zdaje

mi się, że dostrzegam w jej twarzy nowy żar. Powiem panu, że dobrze by jej to zrobiło. Za dużo pracuje i jest zbyt chuda.

Może i była chuda, lecz kiedy kilka dni później stanęła w drzwiach, zauważyłem jedynie smukłe, idealne linie.

– Musisz zadzwonić do Runego.

Nie odezwałem się.

– Mikael, on zaczyna już być zdesperowany. Mówi, że nie odpowiadasz na telefony.

Gdy nadal nic nie powiedziałem, westchnęła, weszła w głąb ciasnego pokoiku i wcisnęła się na krzesło stojące między ścianą a biurkiem.

– Kurde, ale tu ciasno – mruknęła. Rzadko przeklinała. Chciałem ją wyprosić, ale nie zdołałem. Pomagała mi jak nikt inny, przejmowała się mną i nie mogłem pozwolić sobie na to, by raz jeszcze ją stracić.

– Ja... – Zamilkłem. – Strasznie się boję – wydusiłem z siebie w końcu. – Zostały trzy tygodnie do procesu i wiem, że zostanę skazany.

– To nieprzesądzone! Może się okazać, że...

– Nie wygram, Synne. Nie ma się co oszukiwać. Zostanę skazany, dostanę długi wyrok. Założę się, że już dawno spytałaś Runego o stan sprawy, więc wiesz, że mam rację.

– Rozmawialiśmy o tym – przyznała Synne. – Ale nie można się poddawać. Sprawa nie jest przegrana, dopóki nie zapadnie wyrok. A jeśli pójdzie tak źle i cię skażą, to jeszcze nie koniec świata. Życie toczy się dalej.

Pokręciłem głową.

– To będzie koniec świata.

Już miała zaprotestować, ale nie dopuściłem jej do głosu.

– Synne, jestem adwokatem. Tylko do tego mam kwalifikacje. Właściwie to nigdy nie robiłem nic innego. Obracam się wśród adwokatów i prawników, przyjaźnię się z nimi. Nie mam rodziny, dzieci, rodzeństwa ani żony. Mam tylko ojca, o ile w ogóle jeszcze można tak powiedzieć. A nawet nie wspomniałem o finansach. Dom pójdzie z dymem. To jakbym usłyszał diagnozę śmiertelnej choroby. Myśląc o przyszłości, nie potrafię wybiec dalej niż trzy tygodnie w przód. Potem wszystko jest jedną czarną dziurą.

Synne siedziała chwilę bez słowa.

– Pewnie masz rację – rzekła wreszcie. – I może powinnam się zamknąć. Chyba nie potrafię sobie w pełni wyobrazić, jak się czujesz. Ale moim zdaniem do wyboru masz właściwie dwie możliwości. Możesz się poddać albo walczyć dalej. A zawsze walczyłeś, bez względu na przeciwności. To jedna z cech, które w tobie podziwiam. Że nigdy nie dajesz za wygraną.

Bez ostrzeżenia poczułem narastającą wściekłość. Miałem ochotę ryknąć, że nie ma prawa nic ode mnie wymagać, że może spadać z tą swoją rzeczowością, że nie wie, jak to jest być mną, ale zamiast tego wstałem.

– Muszę iść – oświadczyłem.

– Dokąd?

– Do ojca. Nie widziałem go całą wieczność.

– Skontaktuj się z Runem! – zawołała za mną. – Nie ma sensu tego odkładać. Twoje problemy same nie znikną.

Ociec siedział w świetlicy, wyprostowany w fotelu, w kręgu innych starych kobiet i mężczyzn. Telewizor był włączony i większość się w niego wpatrywała, ojciec również, lecz jego oczy i twarz wydawały się bez życia, jak gdyby jaskrawe kolory i migoczące ruchy na ekranie tworzyły jedynie abstrakcyjne,

nierozpoznawalne i pozbawione znaczenia wzory.

– Tato – odezwałem się, pochylając się nad nim.

Odwrócił się, oczy mu pojaśniały. Jego radość na mój widok była szczerą, niezafałszowana.

– To ty – odezwał się, lecz równie prędko jego oczy przygasły, zaciął się, a ja wiedziałem, że albo nie pamięta mojego imienia, albo łączącej nas relacji.

– Dobrze cię widzieć, tato – powiedziałem, z naciskiem na ostatnie słowo. – Jestem Mikael. Twój syn, Mikael.

Wolno skinął głową, jakby potwierdziły się jego podejrzenia.

– Tak, to ty. Mikael. Dobrze wyglądasz.

– Ty też, tato.

– Długo cię nie widziałem.

– Tak, tato. Bardzo długo. Pójdziemy do twojego pokoju? Możemy obejrzyć stare zdjęcia.

Ucieszył się.

– Z chęcią.

Czułem się, jakbym puszczał starą płytę gramofonową. Wiele razy odbywaliśmy już tę rozmowę, zawsze przebiegała niemal identycznie. Pomogłem mu wstać, a on trzymał mnie za ramię, gdy wolno szliśmy korytarzem. Przyglądał się każdym mijanym drzwiom. Jego usta poruszały się bezdźwięcznie i wiedziałem, że czyta tabliczki z nazwiskami, bo nie jest pewien, gdzie znajduje się jego pokój. Codziennie chodził tym samym korytarzem, pokonywał trasę między pokojem a świetlicą, tam i z powrotem, tam i z powrotem, ale nie wiedział, gdzie mieszka.

Po raz pierwszy pomyślałem, że całkiem go straciłem. Proces ten postępował tak powoli, że nie zauważyłem, kiedy dokładnie się to stało. Ta chwila musiała nadejść, lecz ja byłem zbyt

zapracowany, zbyt zajęty własnymi sprawami, aby zwrócić na nią uwagę. Nie towarzyszyła jej też żadna uroczystość, żadne spotkanie, które przyniosłoby mi pociechę, żaden rytuał, który pomógłby mi pogodzić się ze stratą i pozwolił iść dalej przez życie.

Została jedynie ta sama, wiecznie powtarzana rozmowa, te same słowa, prawie pozbawione sensu, i ten niekończący się korytarz, z drzwiami po obu stronach, a na nich obce nazwiska, oraz krótkie, powłóczące kroki mojego ojca w drodze przez nieznaną teren.

ROZDZIAŁ 39

– Zawsze narzekałeś na to, że jestem adwokatem – powiedziałem. – Za każdym razem, gdy prosiłem cię o pomoc, argumentowałeś, że jestem obrońcą, że stoimy po dwóch stronach barykady. Ty po stronie aniołów, a ja po stronie diabła.

– Zgadza się. Obrońcy to rodzone dzieci diabła.

– Ale teraz – ciągnąłem, nie zważając na jego wtrącenie – kiedy nie jestem już adwokatem, nadal nie chcesz mi pomóc. Nigdy nie da ci się dogodzić?

Król Słońce był śledczym w wydziale do spraw narkotyków i znaleźliśmy się od lat. Chociaż bardzo staraliśmy się to ukryć, łączyła nas swego rodzaju przyjaźń. Teraz posłał mi długie, pozbawione wyrazu spojrzenie, po czym uniósł szklankę do ust i opróżnił ją jednym haustem. Później beknął i wytarł wargi wierzchem dłoni.

– Dalej jesteś adwokatem, tylko teraz jeździsz bez tablic. A to chyba jeszcze gorsze. Jesteś aż tak niemoralny, że nie wolno ci wykonywać nawet najbardziej niemoralnego zawodu na świecie.

– Zabawne – mruknąłem. – Bardzo zabawne. Więc mi nie pomożesz?

– Dlaczego ciągle mnie zdręczasz tymi swoimi beznadziejnymi pytaniami? Nie znasz w policji nikogo innego, kto chciałby złamać dla ciebie prawo?

– Nie.

– Postawisz mi jeszcze jedno, Mikael?

Tak uczyniłem. Wziąłem za dobrą monetę to, że jeszcze nie wstał i nie wyszedł.

– Nikt ci nie powiedział, że policjanci są wobec siebie lojalni? – zapytał, gdy wróciłem do stolika. – Że chronimy się nawzajem,

a w razie potrzeby kryjemy jeden drugiego? Gdzieś o tym w każdym razie czytałem. A ty chcesz, żebym doniósł na kolegę?

– Nie musisz na nikogo donosić, Karl Petter – zaprotestowałem. Tak miał na imię. Przydomek „Król Słońce” zyskał z powodu swojej imponującej czupryny, burzy rudych kędziorków otaczających jego głowę niczym korona. Przez to i – jak czasami myślałem – przez swoją arogancję godną jednowładcy. – Proszę tylko, żebyś się nim trochę zainteresował. Dowiedział się, jaką ma opinię, czy był w coś zamieszany, wiesz, o co mi chodzi. Poza tym to żaden twój kolega, tylko nędzny komendant wiejskiego posterunku.

Chrząknął.

– Zabawne, Mikael. Jak się nazywa ta kanalia? Frank Lande, tak?

Skinąłem głową, a on pilnie zapisał nazwisko w notesiku, który prawie ginął w jego ogromnej dłoni.

– A jak tam twoja własna sprawa? – zapytał, kiedy staliśmy już na chodniku i mieliśmy się rozejść.

– Cóż... A co mówią plotki na komendzie? Zwykle jesteście dobrze poinformowani.

– Plotki mówią, że masz mniejsze szanse niż zakonnica w męskim klasztorze. Że prokurator tak przetrzepie ci dupsko, że nie dasz rady usiąść przez miesiąc. Że skazą cię na sto lat ciężkich robót.

– Muszą się tam na Allehelgensgate cieszyć jak dzieci na Wigilię.

Wzruszył ramionami.

– Cóż, zdania są podzielone. Wiesz, narobiłeś sobie przez te lata wrogów, a obrońcy z założenia nie są przecież popularni, i słusznie. Poza tym dochodzi do tego zwyczajna radość z patrzenia, jak bogaci

i potężni zostają zrzućeni z piedestału. Ale niektórzy z nas sądzą, że nie jesteś aż taki zły, Mikael. W sumie to jest nas zaskakująco wielu. Ja sam jestem całkiem pewien, że wyciągniesz jakiegoś asa z rękawa i pogonisz tego przemądrzałego, zadufanego w sobie prokuratora, aż ucieknie z podkulonym ogonem.

Nie mogłem się nie uśmiechnąć.

– Zrobię, co w mojej mocy – zapewniłem, lecz uśmiech prędko zniknął z mojej twarzy. Była to piękna myśl, a zaufanie Króla Słońce poprawiło mi humor, lecz tak naprawdę policyjne plotki mówiły prawdę. Prokurator przetrzepie mi dupsko, a ja nie zdołam mu się przeciwstawić.

– Dlaczego pan pyta? – Głos po drugiej stronie linii był bardzo podejrzliwy.

Cierpliwie wyjaśniłem raz jeszcze, że pracuję nad potencjalnym wznowieniem starej sprawy i dlatego chciałbym rozmawiać z którymś z zajmujących się nią wtedy śledczych.

– A skąd pan wie, że te nazwiska, które mi pan podał, należą do śledczych badających sprawę? – Głos nadal zdradzał nieufność.

– Bo mam przed sobą jej akta. Te nazwiska figurują w dokumentach.

– Nie przekazujemy prywatnych adresów i telefonów pracowników policji – oświadczył głos.

– Proszę posłuchać, jak wspomniałem, dzwonię z kancelarii adwokackiej, chodzi o sprawę karną. Otrzymałem od was akta na mocy kodeksu postępowania karnego i wytycznych do postępowania karnego i chyba mogę uzyskać pomoc w...

– Przepraszam, nie da rady.

– O ile mi wiadomo, to ci śledczy nawet nie pracują już w policji. Większość z nich na pewno od dawna jest na emeryturze, ale chyba

można...

– Przepraszam – powtórzył głos, a jego właściciel odłożył słuchawkę.

Zakląłem, po czym zacząłem szukać w internecie.

Moja lista obejmowała siedem nazwisk, które, jak wynikało z uważnej lektury akt, wielokrotnie pojawiały się w różnych dokumentach, założyłem więc, że właśnie te osoby przez dłuższy czas prowadziły śledztwo w sprawie Anne i Siri. Siedem zwyczajnych norweskich nazwisk. Od procesu minęło dwadzieścia pięć lat, a nic w papierach nie sugerowało wieku tych osób. Mogły już nie żyć. Mogły wyprowadzić się z miasta. Mogły być wszędzie. Pierwszą osobą, którą wpisałem w wyszukiwarce, był Edvard Karlsen. Otrzymałem dwadzieścia dziewięć wyników. Tylko trzy z mojego rejonu, reszta w pozostałej części kraju. Ciężko westchnąłem i zacząłem dzwonić.

Pod koniec dnia pracy byłem smutny, zrezygowany i sfrustrowany. Synne zadrzała do mnie i po wyrazie mojej twarzy poznała, jak się sprawy mają.

– Nie dotarłeś do nikogo?

– Nie, skąd, dotarłem nawet do dwóch. Jeden pracuje w policji w Bodø, a drugi jest na rencie po urazie pleców w wyniku batalii stoczonej dziesięć lat temu z jakimś psychopata. Poznałem wszystkie szczegóły.

– A jakieś szczegóły na temat naszej sprawy?

– Nie. – Nic nie powiedziała, tylko uniosła brew, więc kontynuowałem. – Niczego się nie dowiedziałem, bo żaden z nich nic nie pamięta.

– Muszą przecież pamiętać... To była wielka sprawa.

– Jasne. Dobrze pamiętają sprawę. Ale żaden nie pamięta, ilu

obcych przebywało wtedy na Vestøy, żaden nie przypomina sobie, aby rozmawiał czy słyszał o dwójce turystów. Minęło po prostu dostatecznie dużo czasu, żeby detale się zatarły.

Synne westchnęła.

– W sumie można było się tego spodziewać. A pozostałych pięciu śledczych?

– Może nie ma ich w książce telefonicznej. Może nie żyją, skąd mam wiedzieć?

– A zapytałeś tych, z którymi rozmawiałeś, gdzie teraz pracują ich dawni koledzy?

– Jak to?

– Policjanci często śledzą dalszy przebieg kariery byłych kolegów, prawda? A jeśli nie, to w każdym razie łatwo mogą się dowiedzieć. No wiesz, wystarczy telefon do starego kumpla i pytanie, gdzie podział się ten czy ten.

– Nie pomyślałem o tym.

Rozpromieniła się.

– Mikael, i co ty byś beze mnie zrobił?

Ten od pleców nazywał się Nils Skaare. Był bardziej uprzejmy, więc to do niego najpierw zadzwoniłem i wyłuszczyłem swój problem.

– Proszę podać te nazwiska – powiedział.

Przeczytałem je.

– Ostatniej osoby w ogóle nie pamiętam. To znaczy pamiętam nazwisko, ale nie kojarzę twarzy. Szaleństwo, co nie? Dawny kolega, a zupełnie wyparował mi z pamięci.

Zgodziłem się.

– A pozostali?

– Pamiętam ich. Wiem nawet, gdzie pracują.

- Mógłby pan załatwić...
- Ale pan musi porozmawiać z Gunnarem Skeiem. To on kierował śledztwem, a do tego ma legendarną pamięć. Jeśli ktoś mógłby panu pomóc, to tylko on.
- Gdzie go znajdę?
- Nie jestem pewien. Możliwe, że przeszedł na emeryturę. Tak, chyba musiał przejść. Ale załatwię panu numer.
- Fantastycznie.
- Proszę mi podać numer komórki, a ja zrobię, co w mojej mocy.

ROZDZIAŁ 40

Gunnar Skeie mieszkał w jednej z podmiejskich gmin, w jednej z tych niewielkich, spokojnych społeczności wiejskich, gdzie niegdyś wszyscy albo byli rodziną, albo znali się nawzajem. Później jednak zjawily się drogi i promy, a po nich mosty, i w ciągu kilku lat wyspy otaczające miasto przekształciły się z tradycyjnych lokalnych wspólnot w sypialnie z centrami handlowymi i nowymi budynkami gminnymi, klubami młodzieżowymi i domami starców, a wioski straciły swą duszę. Na osiedlu Gunnara Skeiego wszystkie domy były różne, a jednak zupełnie podobne.

Przyjemna pulchna kobieta po sześćdziesiątce otworzyła mi drzwi i pokręciła głową, gdy zapytałem o jej męża.

– Nie, nie ma go tutaj. Poszedł na plac zabaw z Terjem. Terje to nasz wnuk. Opiekujemy się nim dzisiaj. To tu, na tej ulicy.

Plac zabaw był tak samo ponury jak całe to miejsce. Szary i zakurzony – sprawiał wrażenie wysłużonego, choć musiał być stosunkowo nowy. Mały chłopiec siedział sam w piaskownicy, a pośrodku placu stał szczupły mężczyzna o wyprostowanych plecach i dłoniach ukrytych głęboko w kieszeniach skórzanej kurtki.

Odwrócił się do mnie, gdy zawiasy furtki zaskrzypiały smętnie.

– Gunnar Skeie? Mikael Brenne. Pańska żona powiedziała, że tu pana znajde.

Miał krótkie siwe włosy, pełną zmarszczek twarz i mocny uścisk dłoni. Z jakiegoś powodu przypominał amerykańskiego pilota. Chłopiec w piaskownicy podniósł wzrok na dźwięk naszych głosów. Przywitałem się z nim i uśmiechnąłem, ale tylko popatrzył na mnie z powagą, po czym pochylił głowę i wrócił do kopania.

– Rozumie pan chyba, że nawet na emeryturze nie mogę

wyjawić informacji objętych tajemnicą – powiedział Gunnar Skeie.

– Tak, ale myślę, że nie powinno z tym być problemu.

– O jaką sprawę chodzi?

– Arona Sørvika. Zabójstwo dwóch dziewczyn.

– Anne i Siri. Pamiętam. Niecodziennie trafia się podwójne morderstwo. – Odchrząknął. – I co pana trapi?

– Reprezentuję Arona Sørvika, tak dla informacji. Mam za zadanie zbadać, czy istnieją podstawy, by wznowić proces.

– Tak, zauważyłem, że to stało się popularne – skomentował sucho.

– Chyba nie twierdzi pan, że nigdy nie popełnia się błędów w...

Machnął ręką, trochę zniecierpliwiony i poirytowany.

– Nie, nie. Wszyscy popełniają błędy, my też. Policja też. Ale zdecydowana większość osób skazywanych przez norweskie sądy za poważne przestępstwa jest winna, choć czytając gazety, odnosi się czasem wrażenie, że jest odwrotnie.

– Wiem – przyznałem. – I zgadzam się z panem. Ale to nie znaczy, że...

– Niech pan spojrzy na to opuszczone przez Boga miejsce – prychnął, wskazując roztaczający się przed nami widok: niskie, targane wiatrem krzewy schowane za pagórkami, żółtą trawę i rdzawy wrzos, wszystko obramowane szarym niebem i szarym morzem. – Zimne, wietrzne, cholerne miejsce. Przeprowadziliśmy się tutaj, żeby być bliżej dzieci. Wie pan, wnuki... Tanie działki, własny dom. Zawsze mieszkaliśmy w mieście, a żona uznała, że miło będzie zajmować się ogródkiem. Ale w tym przeklętym wietrze nic nie rośnie.

Odczekałem chwilę, jednak nic więcej nie powiedział.

– Aron Sørvik był... – znowu zacząłem, lecz Skeie raz jeszcze mi

przerwał.

– Aron Sørvik był cholernie dziwnym typem.

– To nie musi oznaczać, że jest winny.

– Nie. Ale on jest winny.

– Jak może pan być pewien?

Gunnar Skeie uniósł palec wskazujący i dotknął nim nosa.

– Prowadziłem setki, nie, tysiące spraw kryminalnych, Brenne, i przesłuchiwałem więcej przestępców, niż zdołam sobie przypomnieć. To mnie czegoś nauczyło. Aron Sørvik jest winny. Poza tym się przyznał.

Nie chciało mi się już o tym słuchać.

– Był tylko zdezorientowanym młodym chłopcem – przypomniałem. – Jak trudno byłoby wydusić z niego przyznanie się do winy?

Popatrzył na mnie w milczeniu.

– Może ma pan rację – dodałem po kilku sekundach. – Może Aron naprawdę jest winny, nie wiem. Ale i tak muszę przeanalizować tę sprawę, to moja praca.

Wyjaśniłem mu, jakich wiadomości poszukuję.

– Pięcioro obcych na Vestøy? – Zmrużył oczy, rozejrzał się po okolicy.

– Tak. Trzech z nich odnalazłem w dokumentach. Dwóch rzemieślników i jeden komiwojażer.

– A pozostałej dwójki tam nie ma?

– Nie.

– Więc dlaczego myśli pan, że ci ludzie istnieli?

– Wiem to z pewnego źródła. Z wiarygodnego źródła. Mój informator twierdzi, że były jeszcze dwie osoby. Dwoje turystów, prawdopodobnie małżeństwo.

Nadal na mnie nie patrzył. Utkwił wzrok w punkcie, gdzie niebo i morze zlewały się w jedno na mglistym, rozmytym horyzoncie.

– Dziadku, zmarłem! – zawołał chłopiec nadąsanym głosem. Siedział w piasku z wyciągniętymi przed siebie dłońmi, czerwonymi z zimna. Pod jego nosem wisiała strużka zielonych smarków.

Gunnar Skeie kucnął i ujął dłonie dziecka w swoje.

– Pójdziemy do babci i napijemy się kakao – powiedział, a następnie odwrócił się do mnie. – Przepraszam, Brenne, nie mogę panu pomóc.

– Co to znaczy? Że nie pamięta pan tej dwójki turystów?

– Gdyby istnieli, znalazłby pan ich w dokumentach. Świadkowie nie znikają bez śladu.

– Słyszałem, że ma pan świetną pamięć – stwierdziłem trochę zgryźliwie, ale Skeie wzruszył ramionami.

– Wszyscy się starzejemy. Przepraszam, że musiał pan tak daleko jechać na próżno.

– W porządku – odparłem i wziąłem się w garść. – Dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać.

Ostatni raz mignęli mi we wstecznym lusterku – wyprostowany starszy mężczyzna i mały chłopiec, trzymający się za ręce w drodze do domu na kakao. Wydawali się tak mali, jakby mieli zniknąć w opustoszałym krajobrazie. Ogarnął mnie lekki niepokój, czułem, że coś się nie zgadza, ale nie potrafiłem ustalić co, więc odsunąłem od siebie tę myśl.

ROZDZIAŁ 41

– Więc nikt nie słyszał o turystach, których szukasz? – zapytała Synne.

– Nie. Co prawda nie dotarłem do kilku śledczych, ale...

– Rozmawiałaś z tym głównym, prawda?

– Z Gunnarem Skeiem. Zgadza się.

– I on powiedział, że nie istnieją?

– Tak jakby.

– Tak jakby? Co to ma znaczyć?

– Powiedział, że gdyby istnieli, znalazłbym ich w dokumentach.

– A nie mówiłam? Mikael, ja myślę, że tych ludzi nie ma. Frank zmyślił to, żeby odwrócić twoją uwagę.

– Może masz rację.

Było późne popołudnie. Pani Sørensen już dawno poszła do domu. Synne siedziała wygodnie oparta na krześle, w dżinsach i kozaczkach, z nogami na rogu biurka. Była nieumalowana, a włosy spięła w napuszony kucyk. Pomyślałem, że nie miała dziś w planach posiedzenia w sądzie, ważnych klientów ani spotkania z chłopakiem. Głośno ziewnęła i się wyprostowała.

– Właśnie, dostałam dzisiaj wyciąg z rachunków i rocznych sprawozdań finansowych Wiesner Fisk AS – powiedziała.

– Świetnie. Poproszę o skróconą wersję.

– Przez ostatnie lata zarabiali krocie, głównie na hodowli łososia. Dobre wyniki, solidny kapitał zakładowy. Krótko mówiąc, wszystko w porządku.

– Więc przynajmniej pod tym względem fasada zgadza się z rzeczywistością. Runar Wiesner to zamożny człowiek.

– Tak – przyznała Synne i znowu ziewnęła. – Chociaż właściwie to ona jest zamożna. Runar Wiesner nie ma ani grosza.

– Słucham?

– To Vigdis Wiesner jest właścicielką wszystkich akcji spółki, nie on. Na nią jest też zapisany ich dom. Sprawdziłam dla pewności.

– A niech mnie diabli! Ale to przecież od jego rodziny pochodzi cały kapitał! Dlaczego Vigdis miałaby...

Synne wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, ale przypuszczam, że w którymś momencie miał problemy finansowe, więc przepisał wszystko na żonę, żeby ochronić majątek przed wierzycielami.

– No tak. Oczywiście masz rację. Więc to dlatego są razem...

– Jak to?

– Nie lubią się, a on znalazł sobie kochankę, z którą chyba ma dziecko, ale nie może odejść od żony. Inaczej wszystko straci.

– A ona? Dlaczego to ona nie odejdzie od niego, skoro tak bardzo go nie lubi?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem... Bo musiałyby przyznać się do porażki? Albo żeby go ukarać, małżeństwo może być czymś całkiem perwersyjnym. Poza tym jest religijna. Może rozwód kłóci się z jej przekonaniem.

– A ma to dla nas jakieś znaczenie?

– Dobre pytanie, Synne. Zastanawiałem się, czy Runar Wiesner mógł wykorzystać jedną z tych dziewczyn lub obie i zabić je, żeby to ukryć. Ale teraz zaczynam rozważać, czy Vigdis nie miała również dobrego motywu.

– Myślisz, że byłaby w stanie zabić?

Przypomniałem sobie, jak patrzyła na męża, zimno i bez współczucia, ale też jak jej twarz promieniała w religijnej ekstazie. Niebezpieczne połączenie.

– Byłaby w stanie – oznajmiłem. – Jestem tego pewien.

Synne znów ziewnęła. Wyprostowała się na krześle i z łomotem opuściła nogi na podłogę.

– Muszę iść do domu, bo zasnę.

– Ja też zaraz kończę.

– Okej. – Włożyła płaszcz, a szyję owinęła wielobarwnym, robionym na drutach szalem. – Zadzwoiłeś już do Runego Seima?

– Zadzwonię.

Ale zadzwoniłem nie do Runego Seima, tylko do Magdy. Nie minęło zbyt wiele dni, odkąd ostatnio z nią rozmawiałem, a jednak jej głos brzmiał inaczej. Rozmowa niezbyt się kleiła i była nieco sztuczna, jakbyśmy już stali się sobie obcy.

– Mikael, jak się miewasz?

– W porządku. Posłuchaj, zastanawiam się, czy nie mogłabyś wyświadczyć mi przysługi. – Wyjaśniłem, co miałyby zrobić.

– Dwójka turystów sprzed dwudziestu pięciu lat? Żartujesz? Przecież nikt nie będzie ich pamiętał.

– Normalnie nie, ale tutaj jest mowa o tygodniu, gdy popełniono dwa zabójstwa. Te dni musiały wyraźnie się zapisać w pamięci wielu osób. Poza tym Frank twierdził, że wielokrotnie odwiedzali Vestøy. Warto to sprawdzić.

– Nie byłoby naturalniej zostawić to Frankowi?

Nie chciałem zdradzić, że mu nie ufam, więc puściłem pytanie mimo uszu.

– Proszę, Magdo. Mogłabyś trochę popytać?

– Okej. Dowiedziałaś się czegoś o Thomasie? Czy nadal tam mieszka?

Przez chwilę bezmyślnie gapiłem się w przestrzeń, ale zaraz oprzytomniałem. Thomas, jej mąż. Zupełnie zapomniałem, że

obiecałem jej pomóc uporządkować tę sprawę.

– Nie miałem jeszcze czasu – skłamałem. – Jutro się tym zajmę.

Nie padało, kiedy wychodziłem z biura, ale nie minęło też dużo czasu od poprzedniego oberwania chmury, a kolejne mogło nadejść lada chwila. Na twarzy czułem zimne i wilgotne wieczorne powietrze, które pachniało zbutwiałymi liśćmi i słonym morzem. To był zapach mojego miasta. Miasta, gdzie jesień trwa przez dziewięć z dwunastu miesięcy w roku, gdzie latarnie i neonowe reklamy zawsze odbijają się w mokrym asfalcie, bruk jest wiecznie śliski i świeżo wymyty, a ciemne chmury mogą zalegać na niebie całymi miesiącami, niczym permanentna depresja między górami.

Chciałem wracać do domu, lecz nogi zaprowadziły mnie do mrocznego pubu w ciemnej tylnej uliczce, w miejsce tak nijakie i liche, że nie zapuszczali się tam nawet moi klienci. Było to miejsce dla tych, którzy nie mieli już sił na popełnianie przestępstw. Mogli jedynie pić piwo, co mi odpowiadało, bo ja też nagle nie dałbym rady zrobić nic więcej.

Pomyślałem o ojcu. O wszystkich niedomówieniach między nami. Rozumiałem, że już za późno, że pewnych spraw nigdy sobie nie wyjaśnimy. Moja matka opuściła nas, gdy byłem mały. Nigdy później jej nie widziałem, nie wiedziałem, gdzie mieszka i czy w ogóle żyje. Po tym, jak wyjechała, pytałem go, kiedy wróci. Pytałem codziennie, rano, podczas obiadu i wieczorem w łóżku. Robiłem tak całymi tygodniami, aż któregoś dnia coś w nim pękło. Nie ruszył mnie, nie podniósł na mnie ręki, a jedynie – jak pamiętam – całkiem spokojnym głosem powiedział, że ona nie wróci, że już jej nie zobaczymy i że się nami nie przejmuje, nie kocha nas, on zaś nigdy, przenigdy nie chce słyszeć o niej w swoim domu.

Najgorsze nie były słowa, które tylko potwierdziły wszystkie moje okropne podejrzenia i niczym echo zawtórowały myślom, przez które co wieczór bezgłośnie płakałem w poduszkę. Tak naprawdę przeraziło mnie spojrzenie ojca. Wyrażało desperacki smutek na granicy szaleństwa. Gruba żyła pulsowała mu intensywnie na skroni. Niczym fizyczny cios odczułem lęk, że mogę stracić również jego, więc nigdy więcej nie wspomniałem o matce w jego obecności.

Zamówiłem kolejne piwo i pomyślałem o Synne. O tym, jak tego popołudnia wyglądała w biurze, jak swobodnie, prawie niechlujnie się ubrała i upięła włosy w nastroszoną kitę, i jak to podkreślało jej młodość. Wyglądała niczym wyrośnięta nastolatka, która korzysta z gabinetu tatusia. W lustrze nad barem przelotnie ujrzałem własną twarz. Całkiem siwe włosy, już nie dystygowane szpakowate skronie. Głębokie zmarszczki wokół ust. Podkrążone oczy. Wzrok tak cyniczny i zmęczony życiem, że pospiesznie zamówiłem jeszcze jeden kufel.

W głębi mojej świadomości proces wisiał jak burzowa chmura, czarna i groźna, z każdym dniem bliższa. Czułem jej ciśnienie, wyczuwałem, jak ładuje atmosferę napięciem elektrycznym. Nie chciałem o niej myśleć, więc poprosiłem o akevitt i piwo do popicia wódki. Wzniosłem toast do własnego lustrzanego odbicia. Mikael Brenne, były adwokat. Samotny jeździec. Przestraszony.

I, dzięki Bogu, już prawie pijany.

Zamówiłem kolejny akevitt, później jeszcze jeden. Echo z Vestøy dotarło do mnie przez gęstniejącą mentalną mgłę. „Możemy prosić, płakać i błagać Pana o łaskę, lecz nie zostaniemy wysłuchani. Bo Pan nie da nam uniknąć prób, na które nas wystawia. To dlatego wszystko stworzył, także mrok ludzkiego serca”.

To słowa Kristiana Salomonsena z domu modlitwy. Miałem wrażenie, że słyszę jego głos, odległy, dochodzący z daleka, ale coś było z nim nie w porządku. Nie brzmiał do końca tak, jak go zapamiętałem. Nagle zdałem sobie sprawę, że to ja wypowiedziałem te słowa, wymamrotałem je zeszywniałymi wargami. Barman zerknął na mnie.

– Jeszcze jeden, kolego? – zapytał. – Chyba tego ci trzeba.

ROZDZIAŁ 42

– Co z tobą? – Król Słońce popatrzył na mnie ze zdumieniem, ale po chwili wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nie, zapomnij o tym pytaniu. Woda sodowa, zapaszek z ust, drżenie rąk i przekrwione oczy. Wszystkie oznaki ekscytującego wieczoru. Ale... – rzucił okiem na zegarek – ...jest już popołudnie, w sumie prawie wieczór, a ty wyglądasz, jakbyś dopiero się obudził. Nie chcę myśleć, jak czułeś się rano.

– Ja też nie.

Znów się uśmiechnął i wypił łyk piwa. Na sam widok lekko mnie zemdliło.

– Co dla mnie masz? – zapytałem.

– Zobaczmy. – Rozłożył kartkę i wyjął okulary, które umieścił na nosie. – Frank Lande, komendant posterunku. Po szkole policyjnej pracował rok w Oslo, wiedziałeś o tym?

– Tak.

– Okej. Później wrócił do domu i już został na lokalnym posterunku. Niezbyt ambitny, zdaniem moich źródeł. Zdolny policjant, ale niezainteresowany awansem. Nie lubi pracy papierkowej ani odpowiedzialności za pracowników... hm... chyba napisałem tu, że nie lubi żadnej odpowiedzialności. Raczej typ operatywny. Człowiek czynu, bystry, kontaktowy, zdecydowany, naturalny autorytet. – Zerknął na mnie znad okularów. – Prawie jakbym słyszał opis samego siebie.

– Skąd masz te wszystkie informacje?

– *Friends in low places* – odparł Król Słońce. – Znam wielu ludzi w policji.

– Nie wątpię. To wszystko, co masz? Nic negatywnego?

– Cóż, cieszy się opinią gliniarza o dość ciężkiej ręce.

- Co przez to rozumiesz?
- Ma nieco zbyt dużą skłonność do szorstkiego traktowania klienteli. Dostał kilka upomnień.
- Ale nie wytoczono mu żadnych spraw? Nikt niczego nie zgłosił, nie oskarżył go?
- Nie, poza jedną sprawą sprzed wielu lat, z której nic nie wyszło.

Podniosłem wzrok.

- Tak? O co chodziło?
- Jakaś kobieta oskarżyła go o usiłowanie zabójstwa.
- Rany! Takie rzeczy nie zdarzają się codziennie.
- Nie, to prawda, ale potem historia się rozmyła. Kobieta wycofała oskarżenie. Według mojego źródła sprawę mimo wszystko zbadano, ale konkluzja brzmiała: spór w związku, zazdrość, która wymknęła się spod kontroli. No i o wszystkim zapomniano.
- To kobieta była zazdrosna i dlatego złożyła fałszywe zeznania, czy to on był zazdrosny i stracił panowanie nad sobą?
- Nie wiem. Mogę tylko zacytować moje źródło.
- Okej. Ale to dwie całkiem różne sytuacje, prawda? Mogłeś dopytać.

Król Słońce się zirytował.

- Boże, Mikael, wyświadczyłem ci przysługę! Przecież nie prowadzę śledztwa! Co właściwie jest nie tak z tym facetem? Czemu się nim interesujesz?

Wzruszyłem ramionami.

- Chodzi o starą sprawę, którą próbuję wznowić. A komendant Frank Lande jest moim jedynym podejrzanym.
- Podejrzanym o co? Co twoim zdaniem mógł zrobić?
- Myślę, że mógł zabić dwie młode dziewczyny.

Gapił się na mnie.

– Serio? O jakim... o jakiego typu zabójstwie mowa?

– Jeżeli mam rację, to mowa o zabójstwie z zazdrości.

Król Słońce potarł podbródek.

– Jeśli chcesz, mogę zadzwonić w jeszcze jedno miejsce.

– Byłoby miło.

– Naprawdę myślisz, że policjant...?

– Nie wiem, Karl Petter. Ale nawet jeśli człowiek pracuje w policji, nie jest to chyba niemożliwe, co?

Ta myśl najwyraźniej go przygnębiła.

– Nie, to nie jest niemożliwe. Nie ma rzeczy niemożliwych.

Przykryłem się już kołdrą i zgasilem światło, gdy rozległ się telefon. Dzwoniła Magda. Leżałem po ciemku, jej miękki głos sączył się do mojego ucha i nagle za nią zatęskniłem, zatęskniłem za towarzystwem, ciepłem ciała i kimś, kto mógłby mnie trochę pocieszyć. Nie powiedziałem jej tego, tylko zapytałem, czy czegoś się dowiedziała.

– Tak – odparła, a ja aż usiadłem na łóżku.

– Słucham.

– Wiele starszych osób ich pamięta. Najwidoczniej przyjeżdżali tutaj co roku przez wiele lat.

– Mieszkali w pensjonacie?

– Nie. W namiocie. Mówimy tutaj o starszym małżeństwie, które lubiło oglądać ptaki, to byli ci... jak to się mówi, Mikael?

– Ornitologdy?

– Właśnie, ornitologdy-amatorzy. Tygodniami mieszkali w namiocie w małej zatoczce na samej północy wyspy.

– Okej. Jak się nazywali?

– Cóż, w tej kwestii zeznania są rozbieżne. Mieliśmy całe

zgromadzenie w sklepie, toczyła się głośna dyskusja. Wreszcie jakaś starsza kobieta stwierdziła, że nazywali się Sørensen, co spotkało się z ogólną aprobatą. Pewne jest to, że mężczyzna na imię miał Harald.

Wstałem i zrobiłem kilka kroków po zimnej podłodze.

– Poczekaj, Magdo, tylko to zapiszę.

W szlafroku i powłócząc nogami, zszedłem po schodach do gabinetu, znalazłem kartkę i działający długopis.

– Okej. Harald Sørensen – powiedziałem. – A imię żony?

– Nie mam pojęcia, Mikael. Nikt go nie zapamiętał.

– W porządku. Ale ta dwójka przebywała na Vestøy, kiedy zabito Anne i Siri, prawda?

Krótką pauza, choć jak dla mnie trochę zbyt długa.

– Chyba.

– Co to ma znaczyć?

– To, co mówię. Niektórzy nie mieli pewności, ale w każdym razie dwie starsze panie twierdzą, że pamiętają ich z tego okresu.

– Twierdzą, że pamiętają – powtórzyłem. – To nie wystarczy.

– Cóż, tylko tyle się dowiedziałam.

Westchnąłem.

– Rozumiem. A, właśnie, nie porozmawiałem jeszcze z twoim byłym, ale znalazłem jego adres. Nadal mieszka w mieście. Odwiedzę go, gdy tylko nadarzy się okazja.

– Nie przejmuj się tym. Radzę sobie już ponad dwadzieścia lat.

– Obiecałem, że to załatwię. I tak też zrobię. Zasługujesz na to, no i chcę ci podziękować za pomoc.

ROZDZIAŁ 43

– Masz spotkanie jutro o dziewiątej rano – brzmiały pierwsze słowa Synne, kiedy wszedłem do kancelarii.

– Nowy klient?

– Nie, to ty jesteś klientem. Umówiłam się w twoim imieniu z Runem Seimem.

Westchnąłem.

– Dzwonił?

– Nie, Mikaelu, to ja do niego zadzwoniłam. Nie ma sensu chować głowy w piasek i udawać, że...

Reszta zdania została ucięta, kiedy zamknąłem za sobą drzwi.

Ludzie o nazwisku Sørensen mogliby utworzyć spore miasto, lecz tylko trzech z nich mieli na imię Harald. Pierwszy brzmiał młodo i radośnie, jakby życie było zabawą, a telefon od upadłego adwokata o zachrypłym o poranku głosie był właśnie tym, na co czekał. Gdy powiedziałem, że poszukuję osoby, która przebywała dwadzieścia pięć lat temu na Vestøy, głośno i jowialnie się zaśmiał.

– Mogłem tam być – rzekł. – Ale jeśli już, to w brzuchu matki. Mam tylko dwadzieścia cztery lata.

– Okej. Przepraszam, że przeszkodziłem.

– W porządku.

– A... jak nazywa się pański ojciec?

– Mój ojciec? – Znowu śmiech. – Nie ma na imię Harald, jeśli to ma pan na myśli. Nazywa się Edvin Dahl.

Zacząłem sprawdzać resztę listy. Niektórzy byli mili, inni nieprzyjemni, większość zachowywała po prostu neutralność, jednak łączyło ich to, że wszyscy przeczyli, jakoby dwadzieścia pięć lat temu przebywali na Vestøy. Żadna z osób nie miała też członków rodziny pasujących do mojego opisu. Jedna kobieta

zapytała, czy jestem „tym Mikaelem Brenne”. Gdy chciałem wiedzieć, co ma na myśli, odparła:

– Tym adwokatem oskarżonym o napaść czy coś takiego.

– Tak – odpowiedziałem. – Nie o napaść, ale o...

– Myślałam, że siedzi pan w więzieniu. Wolno panu tak wydzwaniać do ludzi?

– Owszem.

– Niesamowite. Cóż, w każdym razie nigdy nie byłam na Vestøy. Nie wiem nawet, gdzie to jest. – I odłożyła słuchawkę.

Twarz Runego Seima była poważna i tak zatroskana, jak u mojego ojca, kiedy w młodości zmartwiłem go lub zawiodłem. Przez pewien okres w życiu dość często widziałem tę minę. Rune pokręcił głową.

– Jak mam wykonywać swoją pracę, Mikaelu, jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać? Kto jak kto, ale ty powinienesz zdawać sobie z tego sprawę.

Znowu poczułem się jak nastolatek, tak samo zbuntowany i pełen wyrzutów sumienia. Wzruszyłem ramionami.

– I tak niewiele możesz zrobić.

– Zawsze można coś zrobić, wiesz o tym. Czy naprawdę kiedyś zdarzyło ci się pomyśleć, że nie masz nic do zrobienia w jakiejś sprawie? Że równie dobrze mógłbyś nie iść do sądu, że nie masz tam nic do roboty, więc nie musisz się angażować ani przygotowywać klienta?

Zastanowiłem się.

– Nie, może i nie. Ale miewałem sprawy, właściwie całkiem sporo, w których z góry wiedziałem, że nic nie da się ugrać w sądzie.

– No dobrze. Są takie sprawy, wiedzą to wszyscy obrońcy. Ale

powiedz mi, czy nigdy się nie pomyliłeś, również w takich sprawach? Czy nigdy nie doszło do uniewinnienia, którego wcale się nie spodziewałeś?

Wzruszyłem ramionami.

– Nieczęsto się to zdarza.

– Nie, ale zdarza się. A wiesz dlaczego? – Nie czekał, aż odpowiem, tylko kontynuował. – Dzieje się tak, ponieważ procesy sądowe na szczęście żyją własnym życiem. Nikt nie może na sto procent przewidzieć przebiegu obrad, jedynie przeczytawszy dokumenty. Dlatego zawsze jestem tak samo zrezygnowany, gdy jakiś profesor karnista twierdzi na łamach gazety, że ten i ten wyrok jest błędny, że dowody nie były wystarczająco mocne, chociaż nawet nie zjawił się w sali rozpraw. Sprawa karna nie jest sumą dowodów przedstawionych na papierze. Gdyby tak było, moglibyśmy wydawać wyroki z za własnego biurka. Nie, sprawa karna to żywy, pulsujący i całkiem nieprzewidywalny twór. – Pochylił się nad stołem, bardziej przejęty niż kiedykolwiek wcześniej. – Jedynym, co na pewno wiemy z góry, Mikaelu, jest to, że nie wiadomo, jak potoczy się proces. Zawsze zdarza się to coś niespodziewanego. Ale możemy mieć pewność, że jeśli już przytrafi się to coś, jeśli nagle coś się pojawi, na przykład świadek, który rzuci nowe światło na wydarzenia, wówczas tylko ten obrońca i ten klient, którzy odrobili lekcje, zdołają chwycić nadarzącą się okazję. Wszyscy pozostali, leniwi, aroganccy, zarozumiali, sobie nie poradzą. Nawet nie zauważą tej okazji.

Popatrzyłem na niego trochę zdziwiony, ale byłem też pod wrażeniem. Widziałem przed sobą innego Runego Seima niż ten, którego – jak mi się zdawało – znałem, mężczyznę bardziej zaangażowanego i o większej woli walki, niż się spodziewałem.

– Niezła mowa, Rune – pochwaliłem, a on nagle trochę się spieszył.

– Och, no wiesz... Nie jestem gwiazdą sali sądowej. Nie mam wrodzonego talentu, jak ty. Dlatego muszę nadrabiać ciężką pracą. Można powiedzieć, że to stało się moim znakiem rozpoznawczym.

Teraz to ja się spieszyłem.

– Obawiam się, że mój wrodzony talent tym razem za bardzo nam nie pomoże.

– No nie. Więc może wypróbujemy moją metodę i zaczniemy pracować?

Było to dziwne przeżycie. Często zapominałem, że gra toczy się o mój los, o moją przyszłość. Zielone okładki, systematyczne badanie faktów, trochę nieskładny i nاپuszczony język typowy dla policyjnych dokumentów – wszystko było mi tak dobrze znane i w zasadzie tak codzienne, że automatycznie wszedłem w tryb pracy adwokata. Czytałem, zapamiętywałem, notowałem i rozważałem. Jednak raz po raz coś sprawiało, że wracałem do rzeczywistości. Mogło to być moje nazwisko, które gdzieś się pojawiło, numer mojego telefonu lub konta, cokolwiek, ale za każdym razem przeżywałem szok, który był niczym krótkie spięcie obwodów nerwowych, niczym zimna kąpiel, przez którą nie mogłem złapać oddechu. Przechodzenie od profesjonalnej koncentracji do ciągłych krótkich napadów paniki męczyło mnie i drażniło. Po kilku godzinach odsunąłem stos dokumentów, mówiąc, że nie dam już rady.

– Rozumiem, Mikaelu – powiedział Rune. – Rozumiem, że to męczące, ale do końca zostało nam jeszcze dużo. Proszę, nie uciekaj mi znowu. Musisz stawić czoła tej sprawie. Ona nie zniknie.

– Wiem.

Wykonał gest dłonią nad biurkiem.

– Dowiedziałeś się czegoś?

– Nie. Oprócz tego, że jestem beznadziejnie pogrążony.

– Żadnych pomysłów, nieścisłości, kawałków niepasujących do układanki?

– Anomalii?

– Właśnie.

– Nie. Przez ostatnie godziny analizowałem wyciągi z konta Mortena Ålekjaera i mogę jedynie stwierdzić, że bardzo kiepsko mu się wiodło. Niskie wpłaty, niskie wypłaty. Ale wygląda na to, że regulował swoje rachunki, choć był wyjętym spod prawa motocyklistą. – Ziewnąłem. – W każdym razie pilnował tego bardziej niż ja.

Rune Seim lekko się zaśmiał.

– Możemy kontynuować pojutrze o tej samej porze?

– Okej.

– Na pewno? Nie znikniesz?

– Przyjdę.

ROZDZIAŁ 44

Zostało mi już niewiele osób o nazwisku Sørensen. Sprawdziłem te mieszkające w mieście, a potem rozszerzyłem poszukiwania na pobliskie gminy. Niczym doświadczony telemarketer niemal bezmyślnie deklamowałem wyuczoną kwestię, przekazywałem dość informacji o dawnych zbrodniach, aby rozniecić ciekawość ludzi, jednocześnie wysławiając się w taki sposób, aby nie wzbudzić w nich niepokoju, że mogą wziąć udział w czymś nieprzyjemnym. Balansowałem na niewyraźnej granicy, jednak szybko nauczyłem się rozróżniać strachliwych od żądnych sensacji; jednym i drugim próbowałem dać to, czego chcieli.

Nauczyłem się nie podkreślać swojego nazwiska. Zbyt wielu pamiętało adwokata Mikaela Brennego i zbyt wielu wiedziało, że wpadłem w tarapaty. Nie miałem ochoty za każdym razem wyjaśniać swojej sytuacji ani tracić czasu i energii na uspokajanie co podejrzliwszych.

– Dzwonię z kancelarii mecenas Bergstrøm – mówiłem, co większości wystarczało. Ukrywanie własnej tożsamości było dla mnie zdecydowanie nowym doświadczeniem.

Żadna z długiej listy osób, z którymi rozmawiałem, a które łączyło jedynie nazwisko, nie okazała się tą, której szukałem. Nieznani świadkowie z Vestøy pozostawali tak samo nieznani, a ja zaczynałem coraz bardziej wątpić, czy naprawdę istnieli, czy może sklepowemu zbiorowisku pamięć kolektywnie spletała figła. Wiedziałem, że mogło się to zdarzyć, że ludzie w grupie potrafią w najbardziej absurdalny sposób wpływać na siebie nawzajem, aż niemal wytwarzają wspomnienia mające niewiele lub nic wspólnego z rzeczywistością.

Poddałem się i wracałem właśnie do domu, kiedy zadzwonił mój

telefon. Po chwili wahania go odebrałem.

– Brenne.

– Cześć, Mikael, tu Finn. Rozmawiałeś z Peterem? Dzwonił do ciebie? – Jak zwykle przeszedł prosto do sedna.

– Czy Peter do mnie dzwonił? Nie. Właściwie nie jesteśmy...

Cicho zaklął, co było tak nietypowe, że zamilkłem.

– Jest w złym stanie. Bardzo złym. I wiem, że chciałby z tobą porozmawiać. Powiedział, że zadzwoni, ale pewnie zabrakło mu odwagi. Albo sił.

– Sił? W sumie to jak bardzo źle z nim, Finn?

– Źle. Skontaktuj się z nim, Mikael. Bez względu na to, jak jesteś urażony czy zły.

– No nie wiem...

– Decyzja należy do ciebie. Ale będziesz żałował, jeśli tego nie zrobisz.

To Unn otworzyła mi drzwi i przez krótką chwilę stała, patrząc na mnie bez zrozumienia, jakby nie mogła uwierzyć, że mnie widzi.

– Cześć, Unn – powiedziałem. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Mikael... – szepnęła, otwierając drzwi na oścież. – Nie, nie przeszkadzasz, skądże. – Wciągnęła mnie do środka, objęła i długo nie puszczała. Była żoną Petera, niemal odkąd go poznałem.

– Jak z nim? – zapytałem, odwiesiwszy płaszcz.

– Nie najlepiej.

– Ale może przyjmować gości?

– Jasne, że może.

Przełknąłem ślinę.

– Głupio zrobiłem, przychodząc? Może nie chciałby mnie oglądać?

Unn wolno pokręciła głową.

– Nie, Mikael, nie zrobiłeś głupio. To... – Przerwała. – Boże, jesteście dorosłymi mężczyznami, a nie chłopcami, chociaż czasami się tak zachowujecie. Sami możecie o tym porozmawiać.

Zmusiłem się do uśmiechu.

– Oszalałaś, Unn? Jesteśmy mężczyznami, jak sama mówisz. Będziemy rozmawiać o piłce nożnej, muzyce waltorniowej i tym podobnych, a nie o śliskich sprawach, takich jak przyjaźń czy uczucia.

– Pewnie – skomentowała sucho. – W końcu obaj tak lubicie muzykę waltorniową! Usiądź w salonie, Mikael, to powiem mu, że przyszedłeś. Teraz trochę odpoczywa.

Myślałem, że jestem gotowy, ale nie byłem. Może nie da się przygotować na to, że człowiek, którego dobrze się zna i kocha, który stanowił dużą część naszego życia, nagle znika. Bo to właśnie pomyślałem na jego widok – że prawie nas już opuścił.

Nie chodziło o wiszące na nim ubrania ani o szyję wystającą znad kołnierzyka koszuli niczym krucha łodyga kwiatu, ani o to, że jego białe, wąskie przeguby wyglądały, jakby należały do dziecka, a nie dorosłego mężczyzny. Nic z tych rzeczy. Chodziło o wyraz oczu. Wydawały się nieobecne, a łagodność ich spojrzenia w ogóle nie przypominała normalnej, niemal przesadnej energii, którą zwykle promieniały. Zmiana prawie odebrała mi mowę.

– Cieszę się, że przyszedłeś, Mikael – powiedział. – Gdybyś tego nie zrobił, musiałbym do ciebie zadzwonić.

Odzyskałem głos.

– Zadzwoniłbyś?

– Tak – odparł. – Minał czas, gdy przejmowałem się takimi drobnostkami jak duma. Jasne, że bym zadzwonił. Tęskniłem za

tobą.

Nagle ścisnęło mnie w gardle, więc parę sekund potrwało, nim znów się odezwałem.

– Jak się właściwie czujesz?

– Umieram – oznajmił Peter. – Zostało mi parę tygodni, może miesięcy. Z lekarzy nie da się wyciągnąć nic dokładniejszego. Są gorsi od prawników, z tymi swoimi zastrzeżeniami i gdybaniem. Może zresztą naprawdę nie wiedzą. W każdym razie mam przed sobą maksymalnie kilka miesięcy. – Pogładził się po błyszczącym czubku głowy. – Może to i dobrze. Leczenie jest strasznie męczące.

– Cuda się zdarzają.

– Nie, Mikael. Cuda się nie zdarzają. Przeżyłem już godziny płaczu i lęku, przeklinania Boga i diabła, i niesprawiedliwości tego świata. Ale my, adwokaci, lepiej niż inni wiemy, że sprawiedliwość istnieje jedynie w ludzkim umyśle. Natura nie zna sprawiedliwości. A ja pogodziłem się już z rzeczywistością. Nie chcę... jak szedł ten wiersz, Mikael?

– Jaki wiersz?

– To ty mnie go kiedyś nauczyłeś. Dylan Thomas, czyż nie?

– *Do not go gentle into that good night – powiedziałem powoli. – Old age should burn and rage at close of day; rage, rage against the dying of the light.*

– Właśnie. Zawsze mi się podobał ten wiersz. Zawsze sądziłem, że chodzi w nim o to, aby nie godzić się z losem, aby walczyć do samego końca, o przeciwieństwo chrześcijańskiej pokory, której nigdy nie zdołałem w sobie do końca odnaleźć. Ale nadchodzi moment, gdy trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, a ja nie chcę tracić ostatnich dni na narzekanie i wściekłość w obliczu nieuniknionego. Chcę dobrze wykorzystać ten czas, być z ludźmi, których kocham,

rozmawiać z Unn i dziećmi, i... przyjaciółmi. Mówić to, co ważne, albo po prostu być razem. Dobrze, że przyszedłeś.

Dopiero teraz pojąłem powagę sytuacji. Tak naprawdę. Jego słowa były twarde i jasne jak diamenty, nie dało się ich źle zrozumieć ani od nich uciec – i chociaż próbowałem, to jednak nie zdołałem powstrzymać łez.

– Nie przyszedłem tutaj, żebyś mnie pocieszał – powiedziałem później. – Właściwie to powinno być na odwrót.

– Nie – rzekł Peter. – Chyba nie potrzebuję pocieszenia. Potrzebuję za to odwagi. Śmierć to straszna rzecz.

– Nie wiem, czy mam aż tyle odwagi.

– Masz. Jesteś jedną z najodważniejszych osób, jakie znam.

Popatrzyłem na niego w zdumieniu.

– Nazywaj mnie, jak chcesz, ale nie mów, że jestem odważny.

– A właśnie, że tak. Nigdy się nie poddajesz. Obojętnie, jak jest źle, jak kiepskie są szanse, jak beznadziejna wydaje się sytuacja czy sprawa, ty nigdy nie dajesz za wygraną, tylko idziesz dalej z podniesioną głową.

– Ktoś mógłby to nazwać głupotą.

Jego śmiech był wyzwalająco czysty i wyraźny.

– Bo to też głupota, Mikael. To też głupota.

Rozmawialiśmy o zwyczajnych rzeczach. O branży, kolegach, wygranych i przegranych sprawach. Potem ogarnęła nas nostalgia, wspominaliśmy dawne, studenckie czasy, przyjaciół, którzy wyjechali lub zmarli. Unn przyniosła herbatę, a my zażartowaliśmy, że parę lat temu byłoby to piwo albo whisky.

– Tak – zgodziła się Unn. – A Mikael nocowałby w pokoju gościnnym i żadnego z was nie dałoby się następnego dnia dobudzić, więc musiałabym zadzwonić do kancelarii i poprosić, aby

na gwałt przełożono spotkania, za co dostałabym ochrzan od wszystkich sekretarek. Stare, dobre czasy.

– Tak – westchnął Peter. – To były dobre czasy. Byliśmy tylko zbyt zajęci, żeby to dostrzec.

Nagle spostrzegłem, jaki jest zmęczony. Zobaczyłem jego poszarzałą skórę i zmarszczkę wokół ust, która zdradzała ból. Wstałem i wyjaśniłem, że muszę iść.

– Nie porozmawialiśmy o tobie, Mikael. Jak sobie radzisz? Jak wygląda twoja sprawa?

– W porządku. Mam wszystko pod kontrolą. Przyjdę jeszcze, Peter. Teraz odpocznij.

– Jeżeli chcesz go jeszcze odwiedzić, nie zwlekaj z tym za bardzo – powiedziała Unn, kiedy zegnałem się na schodach.

Nie mogła powstrzymać łez.

– Tak szybko...?

– On niknie w oczach, Mikael. I bez względu na to, co mówi, boi się i cię potrzebuje. Proszę, wróć, gdy tylko będziesz mógł. To był dobry wieczór.

Zrobiło się późno. Nocna mgła tworzyła wokół latarni tajemniczą poświatę. Byłem sam na autostradzie. Opony szeptały na mokrym asfalcie. Lśniące światełka odblaskowe na poboczu drogi wyłaniały się z mgły niczym migoczący jasny pas, by zaraz równie szybko zniknąć. Nagle ogarnęło mnie dziwne uczucie, że stoję w miejscu, że to nie ja się ruszam, lecz wszystko wokół. Że mój samochód jest jedynym stałym punktem w ciągle zmieniającym się świecie. Moja matka, ojciec, a teraz Peter – wszyscy mijali mnie ze wściekłą prędkością, coraz szybciej, by po chwili zgasnąć jak świetlik w ciemności.

ROZDZIAŁ 45

Twarz osoby, która otworzyła drzwi, natychmiast przypomniała mi o Peterze, gdyż była niemal tak samo wychudzona i zapadnięta, o skórze równie mocno naciągniętej na czaszkę. Jednak tej twarzy nie wyniszczyła choroba, tylko życie, i nie miała ona w sobie łagodnego spokoju, lecz nosiła piętno niemal prymitywnej brutalności, typowej dla wielu alkoholików.

– Tak? – zapytał facet ochryłym, cichym głosem. – Czego pan chce? – Jego oddech cuchnął papierosami i zepsutymi zębami.

– Pan Thomas Jaeger? Nazywam się Mikael Brenne, z firmy adwokackiej Bergstrøm. Przychodzę w imieniu pańskiej żony, Magdy Jaeger.

– Mojej żony? – Zaśmiał się głośno. – Mojej żony Magdy? To niech pan wejdzie.

Mieszkanie było ciasne i ciemne. Thomas Jaeger poprosił, abym spoczął na kanapie. Wziął drewniane krzesło, usiadł na nim okrakiem i pochylił się nad oparciem. Był chudy, lecz jego ramiona wydawały się silne, żylaste i pełne mięśni splecionych jak liny. Miał czarne, zaczesane do tyłu włosy i głębokie zakola. Zdaniem Magdy kiedyś był przystojnym mężczyzną, atrakcyjnym dla kobiet i z błyskiem w oku.

– No? – zagadnął. – To jak ona się miewa?

– Magda? W porządku.

– Ma nowego faceta?

– O ile mi wiadomo, to nie. Nie wydaje mi się.

– Szkoda. Niezła była z niej babka, kiedy wreszcie wyluzowała. Na początku, gdy się zesłiśmy, była trochę speszona, ale za to pojętna. – Wyszczrzył w uśmiechu swoje brązowe, zepsute zęby. – Szkoda, że nikt inny się tym nie cieszy.

Powstrzymałem się od reakcji.

– Nadal jesteście małżeństwem.

– Pewnie tak. – Kolejny uśmiech. – Może powinienem tam pojechać i dopomnieć się o swoje.

– Jesteście małżeństwem w teorii, ale nie w praktyce. Mam tutaj dokumenty separacyjne.

– Okej. – Patrzył na mnie z wyczekiwaniem.

– Do tego dochodzi pytanie o podział majątku. Magda przejęła gospodę wraz z całym dobrodziejstwem inwentarza, prowadzi ją sama od ponad dwudziestu lat. Jej zdaniem tak się umówiliście. Ponoć powiedział pan, że może „zatrzymać ten bajzel”. – Zawahałem się. – Jeżeli nie dotrzyma pan tej umowy, będę musiał wystąpić na drogę sądową. Ona pół życia zajmuje się tym biznesem. Gdy ją pan opuścił, była na skraju bankructwa.

Jego wzrok nie zdradzał żadnej myśli.

– Rozumiem zatem, że interes idzie dobrze?

– Nie najgorzej. Miejsce daje znośny przychód, ale to żadna kopalnia złota. Może pan sam zobaczyć. Przyniosłem wyciągi rachunkowe z ostatnich pięciu lat. I szkic umowy podziału majątku wraz z oświadczeniem przeniesienia akcji spółki.

Podąłem mu stos papierów. Wziął go i przekartkował pobieżnie.

– Innymi słowy, wszystko przyklepane. Ja mam tylko podpisać i nie dostać ani korony. Nie powinienem czegoś z tego mieć?

– Moim zdaniem nie.

– Czemu sama ze mną nie porozmawia, zamiast wysłać cholernego adwokata?

Wzruszyłem ramionami.

– Byłem na wyspie w związku z inną sprawą i wtedy ją poznałem. To ja zaoferowałem pomoc.

– Ach tak? Jaka inną sprawą?

– Przypuszczam, że pamięta pan Anne i Siri? Prowadziłem drobne śledztwo w nadziei, że uda mi się wznowić proces Arona.

– I coś pan wskórał?

– Zobaczymy. Jeszcze nie skończyłem.

Jego ciemne oczy przyglądały mi się badawczo.

– Lubię Magdę – oświadczył nagle. – Zawsze lubiłem. W przeciwieństwie do mnie ta kobieta ma łeb na karku. A ja przyrzekłem, że dopóki żyję, nie postawię nogi na Vestøy. Ma pan coś do pisania?

Podąłem mu tani długopis. Przerzucił kartki i szybko nagryzmolił nieczytelny podpis na formularzach i umowach.

– Dziękuję – powiedziałem, wstając.

– Proszę ją pozdrowić i życzyć jej powodzenia.

Przestępując próg, odwróciłem się.

– Kiedy dokładnie opuścił pan Vestøy, panie Jaeger?

Chwilę spoglądał na mnie w milczeniu, a jego twarz stała się – o ile to możliwe – jeszcze bardziej kamienna.

– Nie pamiętam – odparł.

Po powrocie do biura zadzwoniłem do Magdy.

– Od razu wszystko podpisał. Jutro wyślę ci dokumenty.

– Thomas? Naprawdę? Oddał też akcje?

– Tak. Przez chwilę myślałem, że będzie chciał negocjować, ale jednak nie.

– Znakomicie.

– Chyba był pod wpływem alkoholu. Trochę się dziwię, że nie próbował wyciągnąć od ciebie pieniędzy. – Na moment zamilkłem.

– Magdo, ile czasu minęło od zabójstw do jego wyjazdu?

W słuchawce zapadła przeciągająca się cisza.

– Zapomnij, Mikael. Nie sądzisz chyba, że Thomas miał coś wspólnego z zabójstwami Anne i Siri? To absurdalna myśl. Zapomnij o tym. On nie był taki, ani trochę.

– Okej, spokojnie, tylko spytałem. To ty go znasz.

– Owszem. Thomas nie jest mordercą, gwarantuję. Nie miałam z niego żadnego pożytku, ale nie był zły.

– W porządku. Mimo to powiedz, kiedy cię zostawił. Jak długo po zabójstwach?

– Dwa miesiące. Ale to czysty przypadek.

Gdy Synne wróciła tego popołudnia z sądu, siedziałem w jej gabinecie z nogami na biurku i żułem w zamyśleniu długopis. Spojrzała na mnie, unosząc brwi.

– Odbiłeś mi pokój? Znowu zostałam zdegradowana do roli aplikantki?

– Bywają dni, kiedy dostaję szału w tej mojej klitce. Poza tym nie było cię. Ale nie krępuj się, siadaj. Nie przeszkadzasz mi.

– Dziękuję, mój ty łaskawco.

Opadła na fotel dla klientów i zrzuciła buty. Opowiedziałem jej o wizycie u Thomasa Jaegera i o rozmowie z Magdą.

– Uciekł z wyspy tuż po zabójstwach, co?

– Mhm. I błyskawicznie wszystko podpisał, gdy wyjaśniłem, że pracuję nad tą starą sprawą.

– Cóż, Mikael, trochę dziwne, ale to żaden namacalny dowód.

– Zgadza się. Potem jednak zadzwoniłem do Króla Słońce i wierciłem mu dziurę w brzuchu, dopóki nie sprawdził dla mnie szybko Thomasa Jaegera.

– I...?

– Siedział. Dostał długi wyrok, wyszedł parę lat temu. Zgadnij, za co go zamknęli?

– No, mów.

– Gwałt z napaścią. Bardzo brzydki, dużo przemocy. Prawie pobił kobietę na śmierć, zanim ją zgwałcił.

– A niech mnie... – Zmarszczyła czoło. – I nikt z policji nie zauważył możliwego związku?

– Nie, a niby dlaczego? Gdy doszło do gwałtu, mieszkał tutaj, a nie na Vestøy. Poza tym tamte zabójstwa już dawno rozwiązano, morderca siedział za kratkami.

Popatrzyliśmy po sobie.

– A niech mnie – powtórzyła cicho.

ROZDZIAŁ 46

– Halo?

– Tak, halo! Czy to pan Brenne?!

– Mikael Brenne, słucham.

– Tutaj Per! – Kimkolwiek był, krzyczał do telefonu. Słuchawkę trzymałem centymetr od ucha.

– Per? Jaki Per?

– Per z Vestøy. Ze sklepu. – Słowa wypowiedziano wolno i takim tonem, jakby rozmawiał z nierozgarniętym. A może tak właśnie było, bo przez chwilę miałem zupełną pustkę w głowie.

– Halo?! Jest tam pan?! Pamięta mnie pan?!

Wreszcie sobie przypomniałem. Starszy pan w zielonym kombinezonie. Właściciel sklepu.

– Jasne, że pamiętam.

– Słyszałem, że szuka pan informacji o turystach, którzy przebywali tu, kiedy w Arona wstąpił szal.

– Zgadza się. Magda zadzwoniła i powiedziała, że...

– Tylko że to się nie zgadza.

– Słucham? To nie byli turyści? Ale Magda powiedziała, że wszyscy w sklepie...

Usłyszałem wyraźne prychnięcie.

– Wszyscy w sklepie?! To stado gdaczących kwok, gromada starych bab, które oczywiście nic nie pamiętają!

– Więc dlaczego ich pan nie poprawił?

– Byłem chory.

Wyprostowałem się na krześle, przycisnąłem słuchawkę ramieniem i sięgnąłem po długopis.

– Okej. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Żyję. Ale niech pan posłucha, jak naprawdę było. Ci dwoje

z namiotu to nie byli turyści, jak już mówiłem. Przyjeżdżali tutaj co roku jesienią, bo on był ornitologiem. Pracował na uniwersytecie, zajmował się liczeniem i rejestrowaniem bielików. Był badaczem, a nie turystą.

– Jest pan tego pewien?

Kolejne prychnięcie.

– Jasne, że jestem. Dobrze ich znałem. To ja podwoziłem ich swoją łodzią na północ wyspy i to ja kilka razy w tygodniu dostarczałem im prowiant.

– Ale dzwoniłem już do wszystkich osób o nazwisku Sørensen w naszym okręgu i żadna z nich nie jest ornitologiem ani nie ma ornitologa w rodzinie.

– To dlatego, że oni nie nazywają się Sørensen.

– Co? Ale Magda powiedziała przecież, że...

– Nazywają się Wiig-Sørensen. Mówiłem panu, że to stado kwok. Wszystko przekręcają. Harald i Inger Wiig-Sørensen. Mili ludzie.

– Okej. Jak się to pisze?

Przeliterował.

– Bardzo panu dziękuję, Per. Mam nadzieję, że znajdę ich w książce telefonicznej. A jeśli nie, może na uniwersytecie wskażą mi, gdzie ich szukać.

– Jasne! Ale może też pan ode mnie dostać ich stary numer. Nie wiadomo przecież, czy go zmienili.

Nie zmienili. Pani Inger Wiig-Sørensen miała przyjemny głos, zdradzający wykształcenie i ogładę. Już chciałem wyrzucić z siebie pytania, lecz powstrzymałem się i zapytałem, czy mogę wpaść.

– A o co chodzi? – odparła, trochę zdziwiona.

– O starą sprawę z Vestøy – wyjaśniłem. – Powiedziano mi, że

jeździła tam pani z mężem.

– Tak, zgadza się.

– Świetnie. Chciałbym sprawdzić pewne informacje, które uzyskałem, i myślę, że mogą mi państwo w tym pomóc.

Zawahała się tylko sekundę.

– Oczywiście. Pasuje panu dziś po południu? Na przykład o szóstej?

Wiig-Sørensenowie mieszkali wysoko na zboczu góry z widokiem na miasto i fiord. Poszedłem tam prosto z biura, po stromiznach i ciasnych uliczkach między rzędami małych drewnianych domków, chylących się jeden do drugiego. Po chwili wspinaczki poczułem pieczenie w płucach i ból ud, lecz wcale mi to nie przeszkadzało; dobrze było znowu wprawić ciało w ruch. Stara drewniana zabudowa skończyła się, ale ja szedłem dalej, aż do wskazanego adresu. Tam stanąłem i patrzyłem na miasto, dopóki nie odzyskałem oddechu.

Spodziewałem się pereł, trwałej i kawy podanej w kruchych porcelanowych filiżankach. Dostałem za to dziwną herbatę z przyprawami, podaną w ceramicznym kubku przez niewysoką kobietę w znoszonych dżinsach. Miała kredowobiałe, krótko ostrzyżone włosy oraz smagłą, pełną zmarszczek twarz.

– Dobra na trawienie – wyjaśniła.

– Pani męża nie ma w domu?

– Och, mój drogi... Myślałam, że pan wie. On nie żyje.

– Przepraszam.

Lekceważąco machnęła ręką.

– Minęło jedenaście lat. Nauczyłam się już żyć sama. Czyli tak właściwie chciał pan rozmawiać z Haraldem?

– Niekoniecznie. Oboje byliście na Vestøy, prawda?

– Zgadza się. Jeździliśmy tam przez wiele lat jesienią, na tydzień lub dwa.

– Żeby badać ptaki?

– Bieliki. Wie pan coś o bielikach, panie Brenne?

– W sumie to nie.

– Cudowne ptaki. W latach sześćdziesiątych były zagrożone wyginięciem, bo są bardzo wrażliwe na zanieczyszczenia środowiska i kontrolowaną redukcję populacji, ale w sześćdziesiątym ósmym objęto je ochroną, więc teraz występują powszechnie wzdłuż całego wybrzeża, od Finnmarku po Vest-Agder. Mój mąż jeździł po wybrzeżu, żeby liczyć i rejestrować bieliki.

– Dobrze, że są takie sukcesy. Wydaje mi się, że ciągle słyszymy o ginących gatunkach.

– To prawda, ale proszę nie sądzić, że bielik jest bezpieczny. Teraz chcą budować wzdłuż całego wybrzeża elektrownie wiatrowe, a to katastrofa. Wiatraki zabijają ptaki. – Miała w oczach iskry, nadal była zaangażowaną, pełną wigoru kobietą. – Ale dość o tym. Muszę przyznać, że zaciekawiał mnie pański telefon. W czym mogę panu pomóc?

– Dwadzieścia pięć lat temu na Vestøy popełniono dwa zabójstwa.

Skinęła głową.

– Tak, dobrze to pamiętam. Anne i... Siri, tak chyba miały na imię te dwie dziewczyny, które zginęły.

– Zgadza się. Mam jedno proste pytanie: czy była pani z mężem na Vestøy, gdy doszło do zabójstw?

Popatrzyła na mnie badawczo.

– Dlaczego pan o to pyta?

– Zostałem wynajęty przez Arona Sørvika, którego skazano za te morderstwa. Moim zadaniem jest sprawdzić, czy da się wznowić sprawę.

– Rozumiem.

– Byli tam państwo wtedy?

– Oczywiście. Byliśmy tam, ale mieszkaliśmy w zupełnej izolacji na północnym krańcu wyspy. Dowiedzieliśmy się o wszystkim dopiero po kilku dniach. Ale było to... no, może pan sobie wyobrazić. Cała wyspa była wzburzona.

Przełknąłem ślinę. Byli tam. Naprawdę istnieli, Frank nie wymyślił ich, aby odwrócić moją uwagę.

– Tak, wyobrażam sobie.

– Ale nie do końca rozumiem. Skoro zajmuje się pan tą sprawą, chyba musi pan wiedzieć, że tam byliśmy?

– Co pani ma na myśli? Dlaczego?

– Musi pan chyba mieć dostęp do dokumentów ze śledztwa? Bez tego przecież nie da się nic zrobić, jak mi się zdaje. A w takim razie chyba musi pan wiedzieć, że tam byliśmy.

Inger Wiig-Sørensen nie była głupia.

– Mówi więc pani, że przesłuchiwała państwa policja?

– Oczywiście.

– Problem w tym, że w aktach sprawy nie ma protokołu z tego przesłuchania.

– Czy tego rodzaju dokumenty mogą tak po prostu zaginać?

– Zazwyczaj nie. – Wzruszyłem ramionami. – Nie wiem, co się stało, ale sprawa się zestarzała. – Wstałem. Czułem napięcie w ciele, zrobiłem kilka kroków w przód i w tył. – Czy może mi pani powiedzieć, co wtedy zeznaliście? Rozumiem, że było to dawno, ale może pani spróbuje?

Z okna w salonie rozciągał się fantastyczny widok. W dole widziałem całe miasto.

– Tak... – Zawahała się. – Chyba mogę spróbować. Ale nie mieliśmy za dużo do powiedzenia. Przecież nic nie wiedzieliśmy. Nie znaleźliśmy zamieszanych w sprawę osób, nic nie widzieliśmy, nic nie słyszeliśmy. Cały czas siedzieliśmy w namiocie. Oczywiście nie mogliśmy tego udowodnić inaczej, niż dając sobie nawzajem alibi, ale policja chyba rozumiała, że para naukowców nie nadaje się na podwójnych morderców. W zasadzie nie mieliśmy do powiedzenia nic znaczącego.

W sumie nawet nie byłem rozczarowany. Wydawało się nieprawdopodobne, że coś z tego wyjdzie, i właściwie cały czas o tym wiedziałem. Chodziło raczej o skrupulatność, o sprawdzenie wszelkich, nawet słabo rokujących ewentualności, aby móc z czystym sumieniem powiedzieć Aronowi, że mi się nie udało. Jedynym, co budziło we mnie zapał łowcy, było owo niewyjaśnione zniknięcie zeznania świadków, lecz najwyraźniej nie miało ono żadnego znaczenia.

Spytałem o kilka dodatkowych rzeczy. Interesowały mnie szczegóły, drobiazgi, które mogli zauważyć, nie rozumiejąc ich sensu, ale nic nie wskórałem. Jeszcze przed zadaniem pytań wiedziałem, że tak będzie. Dopilem swoją gorzką herbatę, ostatni raz rzuciłem okiem na fantastyczny widok i podziękowałem gospodyni za pomoc.

Skierowałem się z powrotem do miasta. Próbowałem właśnie ułożyć plan dalszego śledztwa, skoncentrowany wokół Thomasa Jaegera, Franka, a może także Wiesnerów, gdy zadzwoniła moja komórka.

– Mówi Wiig-Sørensen. Coś mi się przypomniało – powiedziała.

– To pewnie nieistotne, ale...

– Tak?

– Mieliśmy zdjęcia.

– Zdjęcia?

– Tak. Policja zabrała kilka fotografii.

Znów stałem w jej przedpokoju, spocony i bez tchu.

– Co to za fotografie?

– Proszę przejść ze mną do pracowni. Do pracowni Haralda.

Był to dość duży pokój. Na wszystkich ścianach ciągnęły się półki pełne książek, czasopism, teczek, puszek i pudełek. Jedyne wolne miejsce zajmowało duże, kolorowe zdjęcie bielika, ewidentnie zrobione tuż przed rzuceniem się ptaka na zdobycz. Zdjęcie wydało mi się wyjątkowo ostre. Spiczaste szpony, biały ogon, każde brązowe pióro rozłożonych skrzydeł było doskonale widoczne. Oko miało barwę bursztynu.

– Co za zdjęcie! – zawołałem.

– *Haliaeetus albicilla* w całej swej majestatycznej okazałości – wyjaśniła. – Metr długości. Rozpiętość skrzydeł: prawie dwa i pół metra. Największy ptak drapieżny północnej Europy. – Mówiąc, wyciągnęła mały taboret, na który weszła, aby dosięgnąć najwyższej półki. – Proszę to wziąć – powiedziała, podając mi kilka małych, szarych puszek. – Proszę postawić je na biurku.

Każdą puszkę opatrzone naklejką z napisem „1984”, a także czymś, co wyglądało na kod zapisany cyframi rzymskimi. Z innej półki Inger Wiig-Sørensen zdjęła teczkę oznaczoną tym samym rokiem.

– Wie pan, katalogowaliśmy zdjęcia. Fotografie stanowiły nieocenioną pomoc, zwłaszcza że Harald interesował się zajmowaniem przez bieliki nowych terenów, ich przywiązaniem do

miejsca, takimi kwestiami. Musieliśmy przez to opracować system, żeby wiedzieć, gdzie i kiedy zrobiliśmy dane zdjęcie. Kiedy doszło do zabójstw?

Podaliśmy jej daty. Sprawdziła w teczce, a następnie wyjęła z puszek trzy małe koperty.

– To negatywy. O ile pamiętam, zabrali wszystkie zdjęcia zrobione w czasie, gdy doszło do zabójstw. Nigdy nie dostaliśmy ich z powrotem.

– Ale dlaczego? Czego szukali?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Chyba niczego szczególnego, poza tym, że może chcieli sprawdzić nasze alibi. Raczej nie znaleźli na nich nic ciekawego. W każdym razie więcej się nie odezwali. Sądzę, że próbowali tylko skrupulatnie wykonywać swoją pracę, sprawdzić wszystko, co ewentualnie by się przydało.

Tak mogło być w istocie. Śledztwa dotyczące zabójstw są zawsze prowadzone starannie, a zdecydowana większość zdobytych informacji nie ma żadnego znaczenia dla sprawy.

– Mogę je wziąć?

– Tak, proszę. Ale chciałabym dostać je z powrotem. To coś na kształt dzieła życia Haralda i...

Włożyłem koperty do kieszeni i obiecałem oddać negatywy.

ROZDZIAŁ 47

Øyvind Jordan chodził ze mną do klasy przez całą szkołę podstawową i gimnazjum, z wyjątkiem jednego roku, kiedy wyjechał z ojcem na Svalbard. Gdy wrócił, był jedynym chłopakiem, któremu wyrosły włosy na siusiaku, przez co stał się sławny i podziwiany w całej szkole. Pamiętam swoją zazdrość, lecz kiedy raz przypomniałem mu tę historię po paru piwach, pociemniał na twarzy.

– To było piekło – wyznał. – Płakałem co wieczór przed lekcją WF-u. Nie miałem w życiu gorszego okresu.

Teraz prawie wyłysiał, a ja zastanawiałem się, czy też go to trapi.

– Mikael – odezwał się zdziwiony, gdy ujrzał mnie na schodach. Nie widzieliśmy się od trzech lat.

– Potrzebuję przysługi – odparłem. – Chyba nadal masz ciemnię?

– Ciemnię? Wszystko jest teraz cyfrowe, Mikael. Zdjęcia do gazety wysyłam przez internet. Po co, kurde, mi ciemnia?

– Myślałem...

Rozpromienił się nagle.

– No dobra, mam ją, z sentymentu, ale nikomu nie mów. Wejdiesz?

Gdy czekaliśmy, wyjął parę puszek piwa. Nasza rozmowa była urywana, przeskakiwaliśmy z tematu na temat. Øyvind mówił o swoim rozwodzie, a ja odpowiadałem z roztargnieniem, zerkając co chwila na zegarek. Wreszcie westchnął i wstał.

– Zarąbiście się z tobą gada, Mikael. Nie widziałem cię trzy lata, a ty tylko patrzysz w ścianę i przytakujesz. Co takiego jest na tych zdjęciach, że są aż tak cholernie ważne?

– Ptaki.

– Co? Ptaki?

– Tak, w zasadzie tak. I może coś więcej. Chodźmy zobaczyć.

W zasadzie były tam tylko ptaki. Bieliki szybujące w powietrzu, bieliki na ziemi pochylone nad padliną, bieliki łowiące ryby. Na każdym zdjęciu, z wyjątkiem jednego, które przedstawiało golusieńką Inger Wiig-Sørensen. Na fotografii była szczupłą, opaloną kobietą w kwiecie wieku, uśmiechającą się do obiektywu z takim wyrazem twarzy, że zacząłem zazdrościć zmarłemu Haraldowi.

– Apetyczna babka – stwierdził Øyvind. – To jej szukasz?

– Nie, szukam tego – powiedziałem, unosząc jedną z fotografii. – Możesz to powiększyć? Nie bielika, mam w dupie bielika. Interesuje mnie tło.

– Jak bardzo powiększyć?

– Na ile możesz, żeby szczegóły pozostały wyraźne.

– Spróbuję.

Chwilę to trwało. Czekając cierpliwie w kuchni, wypłem jeszcze jedno piwo, przejrzałem gazetę. Usiłowałem trzymać myśli na wodzy, nie zastanawiać się z wyprzedzeniem nad tym, co – jak mi się zdawało – zobaczyłem na zdjęciu, lecz słowa czytanych artykułów zlewały się z sobą, a tętno pulsowało w skroni, jakby odliczając sekundy. Gdy Øyvind wreszcie się pojawił, popatrzyłem na niego pytająco.

– Nie najgorzej – stwierdził z zadowoleniem i podał mi nadal mokrą odbitkę. Przy lewej krawędzi zdjęcia obraz był zamazany. – Załapał się kawałek ptasiego skrzydła – wyjaśnił Øyvind. – Ale reszta chyba w porządku, co?

To było dobre zdjęcie. Przyjrzałem się widocznej na nim łodzi

wiosłowej. Wyglądała, jakby przecinała fale. Wiosła zanurzono w wodzie, widziałem wir otaczający jedno z nich. Mężczyznę obiektyw uchwycił dokładnie w momencie, kiedy pochylił się i już miał się odepchnąć. Widziałem, jak całym ciałem napierał, aby przesunąć wiosła w wodzie, wydawało mi się nawet, że dostrzegam mięśnie ramienia wybrzuszone pod szorstką wełnianą koszulką. Twarz mężczyzny widziałem w każdym razie dość wyraźnie. Zdjęcie zrobiono dwadzieścia pięć lat temu, lecz mimo to go rozpoznałem.

Raz jeszcze zerknąłem na powiększenie, a następnie na oryginalną fotografię. Bielik szybujący po szarym niebie był tak młody, że nie miał jeszcze jasnego ogona. W tle znajdowały się małe wysepki i szkiery, a łódź płynęła przez osłonięte wody między nimi. Ponownie sprawdziłem datę wykonania zdjęcia. Później dla pewności jeszcze godzinę.

– A niech mnie diabli – powiedziałem.

Część III

ROZDZIAŁ 48

– Frank Lande? Nie, niestety ma dzisiaj wolne. Wróci do pracy dopiero w weekend – poinformował mnie przyjazny kobiecy głos z posterunku policji. – Może chciałby pan zostawić wiadomość? Albo może inny pracownik mógłby panu pomóc?

Siedziałem w samochodzie, jadąc na północ, przez jesienny, całkiem obumarły krajobraz. Tęskniłem za porządną warstwą śniegu, która ukryłaby wszystkie te przemoczone odcienie brązu, szarości i chorobliwej żółci.

– Nie – odpowiedziałem. – Nikt inny nie może mi pomóc. Muszę porozmawiać z Frankiem Landem. To ważne. Gdzie mogę go znaleźć?

Zawahała się.

– Jestem adwokatem – powiedziałem. – Chodzi o sprawę, którą się zajmuję. Mam nowe, decydujące informacje.

Dostałem od niej dwa numery telefonu.

Domowego nikt nie odebrał. Komórki też nie, dzwoniła tak długo, aż włączyła się poczta głosowa. Dość długo się zastanawiałem, zanim raz jeszcze zadzwoniłem i zostawiłem wiadomość.

– Cześć, mówi Mikael Brenne. Jestem w drodze na Vestøy i mam nowe informacje. Możesz się ze mną spotkać?

Podaliśmy czas i miejsce spotkania, po czym dodałem, że to ważne. Bo było ważne. Miałem się spotkać z mordercą.

Jechałem szybko, chcąc dotrzeć na miejsce przed zmrokiem. Dzięki odrobinie wysiłku i paru telefonom znalazłem wreszcie faceta, który zechciał za opłatą podrzucić mnie na Vestøy. Jego łódź stała przy nabrzeżu. Zaczekał, aż zaparkuję przy stanowisku promu. Chwyciłem torbę, która stanowiła cały mój bagaż,

i wsiadłem do solidnej motorówki.

– Konrad Seglem. – Podał mi dłoń. – Ostatnio mieliśmy tu sztorm. Ostrzegam, że będzie trochę bujało.

Gdy wypłynęliśmy za molo i pierwsze fale uniosły dziób łodzi, poczułem cień paniki. Miałem złe wspomnienia z tych wód. Seglem musiał zobaczyć, jak pobiełały moje palce zaciśnięte wokół uchwytu z drzewa tekowego, może wyczytał też coś z mojej twarzy.

– Wszystko będzie w porządku – uspokoił mnie i przesunął w przód obie dźwignie gazu, na co silniki wydały stłumiony ryk, a motorówka rzuciła się prosto w fale. – Takie morze jak teraz to kaszka z mleczkiem. Żaden problem.

Było nieprzyjemnie, ale wkrótce przekonałem się, że Konrad Seglem miał rację. Łódź dobrze sobie radziła, w przeciwieństwie do mnie. Po kilku minutach odezwała się choroba morska, a niedługo później wymiotowałem już co chwila do foliowej torby.

– Zaraz będziemy na miejscu! – zawołał Seglem.

Skinąłem głową. Miałem wrażenie, jakbyśmy płynęli całą wieczność.

– Dobrze – odparłem. – Nie chcę wpływać do portu. Może mnie pan wysadzić przy starym skupie ryb?

Cudownie było czuć stały ląd pod stopami. Usiadłem na starych skrzyniach na ryby i chwilę odpoczywałem, dopóki nie poczułem się lepiej. Rozejrzałem się wokół. W przetwórni panowała całkowita cisza, chociaż nie wybiła jeszcze czwarta. Drzwi prowadzące do hali produkcyjnej były zamknięte, nie widziałem żywego ducha. Frank nadal nie odbierał telefonu. Wysłałem mu SMS-a, po czym ruszyłem w górę stromego wzgórza.

Nagle pożałowałem całej tej wyprawy. Wiedziałem, że nie muszę tego robić, że może postąpiłbym rozsądniej, gdybym dał

sobie spokój. Ale nie byłem stuprocentowo pewien swoich wniosków, dlatego sądziłem, że warto samodzielnie dokonać konfrontacji, że w ten sposób poznam prawdę. Nagle straciłem jednak przekonanie, że to takie mądre. Przypomniałem sobie zdecydowaną reakcję Franka, kiedy pierwszego wieczoru na Vestøy zanosilo się na awanturę, i szacunek, z jakim się spotkał. Był silnym fizycznie mężczyzną. Przemknęło mi przez głowę, że może nie przyjdzie, lecz w głębi ducha czułem, że nie zdoła oprzeć się pokusie. O ile dostał moją wiadomość.

Na szczycie wzgórza zatrzymałem się, zgrzany, bez tchu. Dom Wiesnerów był ledwo widoczny między pniami drzew po lewej stronie. Z komina unosił się dym. Wyobraziłem sobie Runara i Vigdis: dwoje ludzi mieszkających pod tym samym dachem, lecz niemających już sobie nic do powiedzenia. Powietrze wokół nich wypełniały niedopowiedziane oskarżenia i dawna uraza. Poszedłem dalej pod szarym niebem, sprawdzając regularnie komórkę.

Żadnych wiadomości.

Żadnych połączeń.

Po chwili usłyszałem morze. Wiatr ucichł. Po sztormie zostały jedynie sporadyczne podmuchy, które raz po raz ostrożnie próbowały się rozhulać, aby natychmiast zniknąć. Morze było jednak nadal wzburzone, a dźwięk grzywaczy przypominał odległy grzmot.

Dom modlitwy stał ciemny i cichy. Na parterze zamknięto okiennice. Obszedłem go dookoła, a następnie sprawdziłem drzwi prowadzące do sali zgromadzeń. Były otwarte, więc wszedłem, lecz w środku panowała niemal całkowita ciemność i pustka.

– Do diabła z tobą, Frank – wymamrotałem pod nosem. – Gdzie jesteś?

Nie wiem, skąd się wziął. Kiedy wyszedłem na zewnątrz, po prostu tam stał, tuż obok mnie, tak blisko i niespodziewanie, że serce podskoczyło mi do gardła.

– Dzień dobry, Mikaelu – przywitał się Kristian Salomonsen. – Myślałem, że już pana nie zobaczymy.

– Jestem... z kimś umówiony – powiedziałem. – Widział pan kogoś?

Pokręcił głową.

– Nie, jestem tu sam. W nocy był sztorm. Pomyślałem, że zdejmę okiennice, nie lubię, gdy zasłaniają okna, kiedy nie trzeba. Budynek wygląda wtedy na zamknięty i smutny.

Pomogłem mu. Gdy skończyliśmy, skinął z zadowoleniem głową.

– Przygotuję tylko salę – rzekł. – Mamy dziś wieczorem spotkanie. Nie zajmie to dużo czasu. Później mogę poczęstować pana kawą, jeśli pan chce.

Wszedłem za nim do pomieszczenia i usiadłem w ławce prawie na samym przedzie.

– Z kim miał się pan spotkać? – zapytał.

Nie odpowiedziałem. Dłoń zacisnąłem na metalowym przedmiocie, który wyjąłem z torby i położyłem obok na ławce. Salomonsen krzątał się tu i tam, przynosił dodatkowe krzesła z zaplecza za podium, wsadzał nowe świece do świeczników. Widziałem, jak pewne i oszczędne są jego ruchy. Setki razy przygotowywał się do zebrania parafian, urządzał wszystko na ich przyjęcie, na ich spotkanie z sobą i Bogiem. Raz jeszcze uderzyło mnie, że jest przystojnym mężczyzną. Miał silną, spokojną twarz, zwawe ciało; jedynie lekkie zgarbienie pleców zdradzało jego wiek. Poświęcił życie, by głosić słowo w tym miejscu, na skraju wieczności; dosłownie się tu zakotwiczył. Wykonywał zadanie

swego życia, przez co trudno było nie czuć pewnego podziwu. Nigdy nie przestaje mnie dziwić, jak złożonymi i nieprzewidywalnymi istotami są ludzie. Jak trudno zmierzyć ich głębię.

Ujął kolejne krzesło i zaniósł pod ścianę. Na pół odwróciłem się w ławce, aby podążać za nim wzrokiem.

– Nie rozumiem – odezwałem się.

– Czego pan nie rozumie?

– Dlaczego pan je zabił. To dla mnie zupełnie niepojęte. Czemu pan to zrobił?

ROZDZIAŁ 49

– Co? Co pan powiedział?

A jednak wiedziałem, że mnie usłyszał. Zatrzymał się w połowie ruchu, zastygł w czasie i przestrzeni, trzymając krzesło dwadzieścia centymetrów nad ziemią.

– Pytałem, dlaczego zabił pan Anne i Siri.

Ostrożnie odstawił krzesło na podłogę, a następnie równie ostrożnie na nim usiadł. Nagle jego ruchy stały się niepewne, pełne wahania.

– Jak... jak może pan mówić coś tak okropnego?! – wykrzyknął. Jego głos był jednak pozbawiony mocy, a oburzenie udawane.

– Znalazłem zdjęcie. Z tego dnia, gdy zamordowano Anne Vestøy, wykonane przez ornitologa, Haralda Wiig-Sørensen. Na szczęście zrobił je naukowiec, w celach zawodowych, bo to oznacza, że doskonale wiadomo, gdzie je zrobiono, a co nie mniej istotne – kiedy, ponieważ obie informacje są ważne. – Wyjąłem fotografię z torby. – Czas wykonania to późne popołudnie czy też wczesny wieczór, pięć po wpół do siódmej. Mniej więcej o tej porze zginęła Anne. Miejsce, w którym zrobiono zdjęcie, to mała zatoczka na samej północy Vestøy, ściślej mówiąc, na północnym zachodzie. Fotografia przedstawia młodego bielika rzucającego się na rybę, ale w tle widać mężczyznę w łodzi wiosłowej. Dla pewności kazałem ją powiększyć, więc nie ma wątpliwości, kto to. Wie pan, kim jest mężczyzna na zdjęciu?

– Nie. – Pokręcił głową. Wydawał się zrezygnowany i smutny.

– To Aron Sørvik. Jest w łodzi sam. W części rufowej leżą pułapki na kraby. Proszę, niech pan sam zobaczy. Jestem pewien, że go pan rozpozna.

Wziął zdjęcie i skierował na nie wzrok, ale coś w jego spojrzeniu

zdradzało, że mózg nie rejestruje nic z tego, na co patrzą oczy.

– Zerknąłem na mapę i dokonałem szybkich obliczeń. Jeżeli Aron o osiemnastej trzydzieści pięć znajdował się na północnym krańcu Vestøy, w żaden sposób nie mógł zabić Anne w czasie, który patolodzy sądowi uznali za prawdopodobny. Jest to po prostu niewykonalne. Rozumie pan, Salomonsen?

– Co? Tak. Tak, tak.

– Jak pan na pewno pojmuję, najpierw się ucieszyłem. To zdjęcie stanowi dowód oczyszczający Arona z winy, a nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażałem sobie, że coś takiego znajdę. Kiedy jednak pierwsza radość minęła, zacząłem się zastanawiać. Myślałem, dlaczego w ogóle skazano Arona. Oczywiście czynników było kilka, chociażby długa lista poszlak, jednak centralnym elementem łańcucha dowodowego, na podstawie którego go skazano, było zeznanie świadka, który zaobserwował Arona w tej okolicy mniej więcej w czasie śmierci Anne. A świadkiem, który niechętnie zeznał policji, że widział chłopaka, był pan.

Nie miałem pewności, czy mnie słucha, lecz mimo to kontynuowałem.

– To zdjęcie dowodzi nie tylko tego, że Aron nie zabił Anne, lecz także tego, że okłamał pan policję. To kłamstwo posłało niewinnego, choć trochę prostego i dziwnego chłopaka, na dwadzieścia lat za kratki. Musiałem zapytać samego siebie, co mogło skłonić człowieka do tak decydującego kłamstwa. Jediną sensowną odpowiedzią jest, że to pan ją zabił. Że pan jest mordercą.

Dobyl się z niego cichy dźwięk. Brzmiał jak westchnienie.

– W każdym razie to pan ostatni widział ją żywą i chociażby z tego powodu powinien pan być naturalnym podejrzanym. Myślę,

że jedynym powodem, dla którego się panu bliżej nie przyjrano, było skupienie całej uwagi na Aronie, od samego początku. Przypuszczam, że prędko pojął pan, jak się sprawy mają, a uczynienie z niego kozła ofiarnego musiało być czymś najprostszym w świecie. Kiedy się przyznał, był pan *de facto* bezpieczny.

Przestałem mówić. Kristian Salomonsen też się nie odzywał. Cisza narastała między nami, stawała się potężna i ciężka, nabierała niemal fizycznych rozmiarów, lecz jemu najwyraźniej to nie przeszkadzało. Siedział wpatrzony pusto w przestrzeń, aż wreszcie to ja przerwałem milczenie.

– Usilnie próbowałem wymyślić jakąś przyczynę. Jedynym sensownym motywem jest to, że je pan wykorzystywał.

– Nie!

Wstał, a na jego twarzy malowało się przerażenie.

– Nie, nie, to nie było tak. Nigdy bym nie zrobił czegoś takiego. Nigdy! To nie dlatego.

– W takim razie nie rozumiem dlaczego.

Znowu ciężko usiadł na krześle, a ja przez chwilę myślałem, że raz jeszcze zapadnie milczenie, lecz wreszcie zaczął mówić. Zwyczajnym, niemal codziennym tonem, lecz czysto i wyraźnie. Kristian Salomonsen miał donośny głos.

– Chciałem ich uratować – powiedział.

– Co? Uratować? Przecież je pan zabił. Jak może pan...

– Nie. Uratować pozostałych.

– Jak to?

– Musiałem uratować ich od grzechu. – Patrzył na mnie prawie błagalnie. – Musi pan zrozumieć... Wtedy wszyscy mieszkańcy wyspy należeli do tej parafii. Starzy i młodzi, dzieci i dorośli,

wszyscy tu przychodzili i wszyscy dążyli do zbawienia. W tym rejonie doszło wówczas do wielkiego przebudzenia, to była ostatnia wielka fala przebudzenia. Nie było jak teraz. Teraz wszystko stało się brudne i podłe. – W jego głosie dosłyszałem ton rozgoryczenia i wściekłości. – Przychodzili tu i byli moi, a ja wszystkich kochałem, zwłaszcza młodzież. Nie tak, jak pan sugeruje, w żaden nieczysty sposób, kochałem ich, bo byli moją trzodą, a ja byłem ich pasterzem, jeżeli mogę użyć biblijnego wyrażenia. Wyobrażałem sobie... miałem nadzieję, że w tym smaganym wiatrem miejscu, na skraju świata, naprawdę uda nam się urzeczywistnić Królestwo Boże na ziemi. Marzyłem o tym, że będziemy żyć zgodnie z Pismem, skąpani w bożej miłości, pełni łaski. Bez grzechu. – W jego twarzy dostrzegłem blady poblask żaru, który potrafił z siebie wykrzesać. – Miałem tak wielkie nadzieje. Może to był mój grzech, że miałem zbyt duże nadzieje, zbyt duże marzenia. Może popadłem w pychę.

– Ale co z...?

– Ona wszystko niszczyła. Zarażała ludzi swą nieczystością. Była jak zaraza, jak plaga.

– Anne Vestøy?

– Tak, Anne Vestøy. – Prawie wypłuł jej nazwisko. – Długo jej się przyglądałem. Badałem ją, widziałem, jak się stopniowo zmieniała i rozwijała, jak otaczali ją chłopcy. Widziałem tę jej beczelną twarz, ten świadomy uśmiech, spojrzenie dojrzałe niż ona sama.

– Była tylko zwykłą dziewczyną – zaprotestowałem. – Może trochę wyzywającą, ale...

Zdecydowanie pokręcił głową i mi przerwał.

– Nie. Była czymś więcej. Wkrótce zaczęli do mnie przychodzić

chłopcy. Niektórzy płakali, inni słusznie obawiali się o zbawienie swej duszy. Anne Vestøy ich dręczyła, kusiała, powodowała ich upadek. Oddawała się każdemu. Nawet Aron, to niewinne dziecko, zupełnie się przez nią załamał i żył w strachu. Nigdy nie sądziłem, że nastolatka może być tak... opętana przez diabła.

W pomieszczeniu było zimno, tak bardzo, że nasze oddechy unosiły się przed nami w postaci białego dymu, lecz twarz Kristiana Salomonsena lśniła od potu. Ujrzałem za nim cień, padający po skosie do wewnątrz, i zrozumiałem, że ktoś stoi na ganku, tuż przy drzwiach wejściowych, i słucha.

– Więc co pan zrobił? – dociekałem, trochę zaskoczony własnym spokojem.

– Poprosiłem ją, żeby tu przyszła – odparł. – Chciałem z nią porozmawiać, pomodlić się z nią. Miałem nadzieję, że z bożą pomocą uda mi się wyplenić z niej zło. W tej sali padłem przed nią na kolana i modliłem się. Modliłem się o łaskę i światło dla niej, ale tylko mnie wyśmiała i zapytała, dlaczego tak bardzo boję się dzieła stworzenia.

– Dzieła stworzenia?

– Tak. Siedziała na ławce przede mną i nagle zdjęła płaszcz, położyła go ładnie obok siebie. Odchyliła się lekko w tył, podciągnęła sukienkę i zapytała, czy to tego się boję, a ja zobaczyłem, że nie ma nic pod spodem, że jest całkiem... I wtedy wiedziałem...

– Co pan wiedział?

– Że jest stracona.

– Więc zabił ją pan?

Popatrzył na mnie bezradnie.

– Co innego mogłem zrobić?

Ta odpowiedź na chwilę odebrała mi mowę.

– Zabił ją pan tutaj?

– Nie. Uciekła. Ale ja byłem szybszy i dogoniłem ją przy morzu. Później modliłem się o jej duszę. Codziennie od tamtej pory się o nią modlę. Codziennie.

– Chciał pan ocalić pozostałych. Ale ostatecznie zniszczył pan też życie Arona.

– Wiem – przyznał po kilku sekundach. – Nie chciałem tego. Nie chciałem...

– Ale to pan zrobił. O jego duszę też się pan modli? Albo o swoją własną? Nigdy nie uda się panu naprawić tego, co zrobił pan Aronowi.

Zawahał się, lecz nagle spojrzał prosto na mnie.

– Owszem – rzekł. – Uda mi się.

Poddałem się. Czułem lekkie mdłości, nagle miałem ochotę zakończyć tę rozmowę.

– A co z Siri? Dlaczego ona musiała umrzeć? Chyba nie była...

– Siri? Mała, skromna Siri? – Jego krótki, ostry śmiech rozległ się zupełnie niespodziewanie. – Ha! Daleko jej było do niewinności, którą udawała. Niech pan tylko zapyta Arona... Wabiła go wzrokiem i ciałem, całą sobą. Zabiłem ją ze względu na Arona, by uratować jego duszę, nim jego też dopadłby grzech.

Później siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Wyłączyłem dyktafon, który leżał koło mnie na ławce i migotał zielonym oczkiem, po czym włożyłem go do kieszeni. Cień przy drzwiach zniknął. Czułem sztywność pleców i ramion. W lewej skroni rodził się ból głowy. Wstałem.

– Wyjdźmy, Salomonsen – zaproponowałem. – Potrzebuję powietrza.

Na zewnątrz czekał Frank Lande.

ROZDZIAŁ 50

Zdziwiłem się, widząc słońce. Chmury nadal szczelnie otulały Vestøy, lecz na zachodzie, gdzie zaczynało się otwarte morze, niebo pojaśniało i przeczyściło się, a słońce wisiało na nim nisko. Światło miało czerwonawy, niemal pomarańczowy odcień, jak w ciepły dzień, jednak było to tylko złudzenie, gdyż popołudniowe powietrze kłuło chłodem i pachniało wodorostami oraz słoną wodą.

Frank stał zwrócony do nas plecami, paląc papierosa. Kristian Salomonsen zeszywniał na jego widok.

– Frank – odezwałem się. – Zauważyłem czyjś cień i pomyślałem, że to na pewno ty. Spóźniłeś się.

Jedynie wzruszył ramionami.

– Słyszałeś naszą rozmowę? – zapytałem, a on skinął głową.

– Tak. Nie chciałem przerywać i ryzykować, że przerwiecie, więc zostałem na ganku. Ale usłyszałem to, co najważniejsze.

– Dobrze. Mam też nagranie, dla pewności.

Frank nawet nie spojrział na Kristiana Salomonsena, jakby go tam nie było, co sprawiało dziwne wrażenie. Pastor chyba się zaniepokoił; chwiał się lekko, prawie przebierał nogami w miejscu. W końcu Frank popatrzył na niego wzrokiem beznamiętnym i twardym jak kamień.

– Jesteś aresztowany – powiedział. – Jesteś aresztowany za dwa zabójstwa.

Otworzyłem usta, by się odezwać, lecz Salomonsen mnie uprzedził.

– Frank – zaczął. – Przepraszam... Przykro mi, że...

– Zamknij się – rozkazał Frank. – Po prostu się zamknij.

Ale kaznodzieja tego nie zrobił. Nie dostrzegając oznak zagrożenia albo może wolał je zignorować. W każdym razie zbliżył się na kilka

kroków do Franka i pokręcił głową.

– Kochałeś ją, co? Wiem, że tak było, Frank. Ale to nie mogło się dobrze skończyć. Ciebie też by pograżyła, wciągnęłaby cię w to samo bagno, w którym się taplała. Uwierz mi, że...

Więcej nie zdążył powiedzieć, bo potężne dłonie Franka chwyciły jego marynarkę i uniosły go tak, że czubki palców u stóp prawie oderwały się od ziemi.

– Zamknij się – powtórzył Frank. – Jeszcze jedno słowo, a cię zabiję.

Nie wiem, co sobie pomyślał Salomonsen. Może się wystraszył. Może słowa Franka wyzwoliły ukrytą pod powierzchnią agresję. A może po prostu przekroczył już granicę, za którą człowiek przestaje zważać na to, co się z nim stanie. W każdym razie uderzył Franka. Zrobił to dość niezdarnie, a ponieważ niemal wisiał w powietrzu, nie włożył w uderzenie zbyt dużo siły, jednak nadeszło całkiem niespodziewanie i trafiło Franka prawie idealnie w podbródek. Frank puścił pastora, zataczając się, zrobił kilka kroków w tył i usiadł na tyłku z lekko stropionym wyrazem twarzy.

Kristian Salomonsen odwrócił się i puścił się biegiem.

Frank wstał, przeklinając, i ruszył za nim, lecz był zbyt rozgorączkowany. Utkwił wzrok w plecach postaci, która długimi susami pokonywała już ścieżkę prowadzącą w stronę klifów, przez co nie zauważył stalowego drutu mocującego dom modlitwy do skały. Wbiegł prosto na niego, runął na ziemię, jakby go postrzelono, przeturlał się i wrzasnął, trzymając się za kolano.

– Frank! – krzyknąłem i pochyliłem się nad nim. – Wszystko w porządku?

Twarz miał pobielającą z bólu, ale wstał z zaciśniętymi zębami.

– Nie możesz... Posłuchaj, Frank, jest za późno, nie ma powodu

do... – perswadowałem mu, lecz odgonił mnie jak marudzące dziecko i ruszył w ślad za Salomonsenem. Zakląłem i pobiegłem za nim.

Kristian Salomonsen wysforował się przede mnie na sto metrów. Spędził tu prawie całe życie i każdego dnia, bez względu na pogodę, odbywał długie piesze wędrówki po Vestøy. Dlatego był w dobrej formie, znał ścieżkę jak własną kieszeń i przywykł do trudnego terenu. Z tej odległości nie wyglądał na starszego pana. Lekkim krokiem pokonywał pagórki, przeskakiwał z kamienia na kamień jak młodzieniaszek. Wkrótce znalazł się na skraju klifów, gdzie na chwilę przystanął. Morze nadal było wzburzone po sztormie i ujrzałem jego profil na tle grzywaczy, które tworzyły za nim białą ścianę za każdym razem, gdy rozbijały się o ląd. Zaraz potem odwrócił się ku północy i dalej ruszył prędko ścieżką.

Daleko za nim kuśtykał Frank. Czasami prawie przystawał i chwycił się za kolano. Ewidentnie odczuwał ból, więc wykonywał dziwne podskoki, lekko powłócząc jedną nogą. Ale mimo to widziałem, jaki jest zacięty i wściekły, i wiedziałem, że nie zatrzyma się, dopóki nie zostanie do tego zmuszony. Biegłem po nierównej ścieżce najszybciej, jak się odważyłem, ale nie mogłem ich dogonić. Czasem wołałem do Franka, lecz nie zwalniał tempa ani nie odwracał głowy. Może nie słyszał mnie przez huk fal.

Dotarłem do skraju klifów i skręciłem w prawo. Niesamowite skały ciągnęły się przede mną aż do brzegu niczym przewrócone kostki domina. Po płaskich, szerokich kamiennych półkach szło się dużo łatwiej. Po prawej stronie, od strony lądu, wznosił się niewielki, lecz stromy klif.

Frank znajdował się tuż przede mną, dzieliło nas nie więcej niż trzydzieści metrów. Zwolnił tempo. Nie próbował już biec, tylko

szedł. Najpierw myślałem, że to przez ból albo że ogromne ilości wypalanych papierosów odebrały mu oddech. Ja sam oddychałem dość ciężko. Po chwili jednak zrozumiałem, dlaczego się nie spieszy. Pięćdziesiąt metrów dalej dostrzegłem Kristiana Salomonsena, który też już nie biegł. Stał nieruchomo w miejscu, gdzie zabił Anne.

Ale to nie dlatego się zatrzymał. Zatrzymał się, bo nie miał już dokąd biec. Nie mógł skierować się w głąb wyspy, gdyż drogę tarasowała mu wysoka na dziesięć metrów skalna ściana, którą mógłby pokonać jedynie zawodowy wspinacz. Nie mógł też iść dalej, bo po drugiej stronie półki skalnej teren się obniżał i fale zalewały kamienie, roztrzaskując się u podnóża klifu. Te kilka metrów różnicy wysokości zmieniało ścieżkę na północ w kipiący, śmiertelny wir.

Pięć naturalnych stopni prowadziło do miejsca, gdzie znajdował się Kristian Salomonsen. Dotarłem do Franka w momencie, gdy właśnie zaczynał tam schodzić.

– Frank, poczekaj – odezwałem się, kładąc mu dłoń na ramieniu. Próbował się oswobodzić, ale tym razem trzymałem go mocno. – On nigdzie nie pójdzie. Skup się i posłuchaj, co chcę powiedzieć.

Zrozumiał, że mam rację, i się zatrzymał. Salomonsen stał wyprostowany i czekał. Ręce miał luźno opuszczone, wyglądał, jakby się poddał.

– O co chodzi? – zapytał Frank.

– Spóźniłeś się. Nie możesz go aresztować.

– Jak to?

– Minęło dwadzieścia pięć lat i trzy miesiące, odkąd je zabił.

– No i?

– Zabójstwa są przedawnione.

– Przedawnione? – Jego twarz była pusta. Patrzył na mnie bez zrozumienia.

– Tak. Od trzech miesięcy.

Długo milczał.

– Więc... ujdzie mu to na sucho? Zabił Anne. Moją Anne. I mam mu to puścić płazem?

Spodziewałem się wściekłości, zaprzeczenia, lecz w głosie Franka usłyszałem jedynie zdumienie. Zdumienie i odrobinę smutku.

– Tak – odparłem. – Tak właśnie. Jedynie Pan Bóg może go teraz osądzić.

Staliśmy obok siebie w milczeniu. Krajobraz był dziki, piękny i straszny. Szare skały, brązowy wrzos wyrastający ze szczelin i pęknięć, pożółkłe źdźbła trawy kurczowo trzymające się nielicznych skrawków ziemi – wszystko to złościło się w zachodzącym słońcu. Po ciężkim morzu od horyzontu toczyły się nieskończone szeregi fal o jasnych, turkusowych, niemal szmaragdowych grzywach. Zbliżając się do brzegu, rosły, zyskiwały grzbiety, po czym rzucały się na skały i ginęły.

Kristian Salomonsen był potężnym mężczyzną, ale na tle wzburzonego morza wydawał się niewielki. Stał z plecami zwróconymi do wody, wpatrzony w nas, jak gdyby czekał na ostateczny wyrok. Uniosłem dłoń, by przywołać go gestem.

– Poczekaj – powiedział Frank głosem, w którym brzmiała dziwna nuta. – Poczekaj, Mikael.

Popatrzyłem na niego. Poszedłem za jego spojrzeniem i zobaczyłem to samo, co on.

W oddali zjawił się ciąg fal. Trzy, jedna za drugą. Wielkie fale,

dużo wyższe od innych. Z początku zdawało się, jakby stały spokojnie tuż pod horyzontem, zastygłe w morskiej kipieli, lecz nagle przesunęły się dużo bliżej. Otworzyłem usta, by krzyknąć. Ale się zawahałem.

Kristian Salomonsen nadal czekał.

Frank był blady i zmęczony, miał przeszywający wzrok. Już raz go takiego widziałem.

Znowu spojrzałem na Salomonsena. Ciągłe stał zwrócony ku nam, lecz teraz zamknął oczy. Może wyczytał w naszych twarzach, co się dzieje, albo usłyszał szybko narastający huk. Nemezis. Dostrzegłem ruch jego warg i wiedziałem, że się modli.

Pierwsza fala uderzyła o krawędź półki skalnej, a ja instynktownie zasłoniłem się rękoma. Salomonsen zniknął na chwilę w białej pianie i tryskającej wodzie. Gdy fala się wycofała, ku swojemu zdumieniu ujrzałem, że mężczyzna nadal tam stoi.

Następna fala spotkała się z pozostałością poprzedniej i zginęła w zawirowaniu, zanim jeszcze dotarła do brzegu.

A potem nadeszła trzecia. Uniosła się z pogardą dla siły ciężenia, narastała, aż słońce zamigotało zielenią na rozbijającej się grzywie. Wtoczyła się na kamienie i półkę skalną z łomotem pociągu towarowego. Rozbryzg piany zasłonił nam oczy. Kiedy ponownie zobaczyliśmy niewielki płaskowyż, Kristian Salomonsen zniknął.

ROZDZIAŁ 51

Byliśmy jak dwaj ranni żołnierze, zmęczeni, mokrzy i zziębnięci. Frank utykał i opierał się o moje ramię. Gdy dotarliśmy do domu modlitwy, przystanęliśmy. Drzwi kołysały się na niknącym wieczornym wietrze. Zamknąłem je na klucz. Podszedłem do Franka i włożyłem klucz do jego dłoni. Popatrzył na mnie, a ja wzruszyłem ramionami.

– No nie wiem – powiedziałem. – To chyba miejsce zbrodni.

Na horyzoncie czerwone, nabrzmiałe słońce dotknęło linii łączącej niebo z morzem. Tam zatrzymało się na krótką chwilę, jakby do czegoś przywarło, lecz zaraz prędko zaszło. Gdy szliśmy do domu, gęstniała między nami ciemność.

Po wejściu na żwirową ścieżkę szło się lżej, więc po chwili Frank puścił moje ramię. Gdy zbliżyliśmy się do zabudowań, spotkaliśmy pierwszych ludzi idących w przeciwnym kierunku. Było to starsze małżeństwo, które wyszło wcześniej, bo żona miała problemy z chodzeniem. Przypomniałem sobie, że w domu modlitwy zaplanowane było spotkanie, i powiedziałem to Frankowi. Zatrzymał ich, by wyjaśnić, że spotkanie zostało odwołane. Gdy zapytali o powód, odparł jedynie, że doszło do wypadku, że Kristiana Salomonsena porwała fala. Zbledli, kobieta zaczęła płakać. Mężczyzna obiecał, że tam zostanie i powiadomi pozostałych parafian, gdy tylko nadejdą. Poszliśmy więc dalej. Mijaliśmy innych ludzi w drodze na spotkanie, wszystkich w dość zaawansowanym wieku. Kiwali nam głowami i witali się. Odwzajemnialiśmy pozdrowienie, lecz nie rozmawialiśmy z nimi.

Po przejściu kilkuset metrów odwróciłem się. Parafianie stali skupieni w małą grupkę. W ginącym świetle dnia wydawali się mali i niewyraźni, jakby mieli zaraz zniknąć w cieniu. Pomyślałem,

że może tak właśnie się stanie. Dom modlitwy przez lata stanowił ważną część ich życia i oto nadszedł koniec. Nikt nie będzie tam już klęczał, nikt nie będzie tam chodził wąską, krętą ścieżką, aby modlić się i chwalić Pana. Dom popadnie w ruinę. Za kilka lat farba na ścianach zacznie się łuszczyć. Zimowe sztormy stłuką okna, łupkowe dachówki zdmuchnie wiatr. Wreszcie stalowe liny utrzymujące w miejscu walące się pozostałości pękną, przerdzewiałe od wilgotnego morskiego powietrza, i dom modlitwy pofrunie jak zwiedły liść jesienią, prosto w morze i wieczność.

Gospoda była prawie pusta. Tylko przy jednym stoliku jadł jakiś starszy facet, który nawet nie podniósł wzroku, kiedy weszliśmy. Ale Magda nas zobaczyła i szybko wybiegła nam na spotkanie.

– Mikael? – zdziwiła się. – Co tutaj robisz? I co z twoją stopą, Frank? Co się stało?

– Spokojnie, wszystko w porządku – powiedziałem jak idiota. – Nic się nie stało.

Posłała mi surowe, niedowierzające spojrzenie.

– Obaj jesteście przemoczeni.

Zabrała nas do swojego mieszkania, wyjęła dwa szlafroki, a gdy się przebieraliśmy, przyniosła jedzenie z kuchni. Szlafrok Franka pasował idealnie. Mój był o wiele za mały.

Przyszła z dwiema dużymi porcjami kotletów mielonych. Rzuciłem się na nie, wręcz pochłaniałem jedzenie; nagle poczułem rozpaczliwy głód. Frank dłubał w swojej porcji, zjadł kilka kęsów, a resztę przesuwiał widelcem po talerzu.

– Nie jestem głodny – mruknął.

Kiedy skończyłem jeść, skończyła się też cierpliwość Magdy. Aby nie musieć nic wyjaśniać, wyjąłem dyktafon i odtworzyłem nagranie. Jakość nie była powalająca. Magda siedziała pochylona

nad urządzeniem, słuchając w skupieniu. Mnie dobiegały jedynie urwane słowa i zwroty. Rozpoznałem głos Salomonsena.

– Królestwo Boże na ziemi... – mówił. – Grzech... kochałem ich... pasterzem... zaraza.

Czułem się, jakbym słuchał rozmowy duchów, krótkich wiadomości z zaświatów, bez treści i związku z sobą. Wtedy jednak zabrzmiało całe zdanie, wypowiedziane z bólem i zdumieniem.

– Co innego mogłem zrobić?

Pomyślałem, że cała tragedia polegała na tym, że Kristian Salomonsen naprawdę nie widział innych ewentualności poza morderstwem.

Magda siedziała później blada i milcząca.

– Gdzie jest Salomonsen? – zapytała, a ja odparłem bez wchodzenia w szczegóły:

– Zabrało go morze.

Frank nie odezwał się ani słowem.

Nieco później Magda zeszła na dół, do pracy. Frank mógł wrócić do domu, lecz tego nie zrobił. Siedział w milczeniu, wpatrzony w kominek. Tylko raz podniósł głowę i się odezwał, ale na mnie nie spojrzał.

– Ona nie była taka, jak mówią – szepnął. – Nie była dziwką, nie była kretynką bez zasad.

Wiedziałem, że mówi o Anne.

– Tęsknię za nią. Czasami chodzę na klify i kładę tam kwiaty. Nie chcę o niej zapomnieć. Była... Tak naprawdę była twardą, silną dziewczyną. Anne była buntowniczką, która robiła, co chciała, nie przejmując się tym, co wypada, ani starymi, niewzruszonymi normami moralnymi. Była wolnym duchem i właśnie to ją zabiło.

– Wiem – powiedziałem. Nie dlatego, że była to prawda, ale

ponieważ Frank potrzebował takiego zapewnienia.

Magda wróciła na górę. Poszła do swojej kuchni przygotować kolację. Po kilku sekundach Frank wstał, żeby jej pomóc. Widziałem ich przez otwarte drzwi. Kroili chleb, wyjmowali sztućce i talerze. Frank roztrzepywał jajka na omlet. Uderzyło mnie, jak swobodnie się czuje. Łatwo można poznać obcego w kuchni, gdy na chybił trafił otwiera szafki i szuflady, dopóki nie znajdzie tego, czego szuka. Ale Frank już tu kiedyś był.

Coś do niej powiedział. Nie dosłyszałem słów, lecz Magda odwróciła się, położyła mu dłoń na rękę, uśmiechnęła się i zgodziła z nim. Coś w jej uśmiechu i sposobie, w jaki niemal niezauważenie się do niego zbliżyła, zdradziło mi, że byli kochankami, a może nadal nimi są. Nagle nabrałem co do tego pewności.

„Czasem miewam kochanków i to mi wystarczy” – powiedziała kiedyś Magda. Może powinienem zauważyć to wcześniej, odczytać widoczne znaki, ale miałem co innego na głowie, byłem zbyt zajęty sobą. Teraz jednak wszystko zrozumiałem, a obraz, który wcześniej wydawał mi się rozmyty, nagle nabrał wyjątkowej ostrości.

Bo gdy staliśmy ramię w ramię, patrząc na fale, które zbliżały się, by porwać Kristiana Salomonsena, zobaczyłem wyraz twarzy Franka i przypomniałem sobie, kiedy go takiego widziałem. Tak właśnie wyglądał na pokładzie Zorzy Polarnej i wiedziałem, że słusznie go podejrzewałem. Frank celowo strącił mnie do morza. Próbował mnie zabić, ale nie po to, by zatrzeć ślady dwóch zabójstw, jak początkowo sądziłem. Motyw Franka okazał się dużo prostszy i banalniejszy. Bał się, że straci Magdę. Był zazdrosny.

Po jedzeniu Magda poszła przygotować dla mnie pokój, więc zostałem z Frankiem sam.

– Wiesz, że byłeś moim głównym podejrzanym? – zapytałem.

Obruszył się.

– Zgłupiałeś? Nigdy nie mógłbym zrobić czegoś takiego. Nie jestem mordercą.

– Nie, pewnie nie. Ale myślę, że wszyscy potrafilibyśmy zabić w odpowiednich okolicznościach. Czasami od morderstwa dzieli nas tylko krok.

– Kristian Salomonsen mógł się uratować – odparł po chwili wahania. – Może wolał śmierć w morzu od hańby i upokorzenia, nawet jeśli nie zostałby ukarany.

– Nie o nim myślałem – rzekłem.

Na moment nasze spojrzenia się skrzyżowały, po czym Frank znów skupił się na płomieniach, lecz tyle wystarczyło. W tej krótkiej chwili byłem przekonany, że obaj wróciliśmy na szare, targane wiatrem morze, że obaj widzieliśmy czerwoną kamizelkę ratunkową, unoszącą się w oddali, małą, prawie niewidoczną w głębokich dolinach fal. Myślę, że mogliśmy też mieć to samo poczucie, jak kruche i zależne od przypadku bywa czasami życie.

ROZDZIAŁ 52

– Sprawa? Stara sprawa morderstwa? O czym ty myślisz, Mikaelu? Nie jesteś już adwokatem i nigdy nim nie będziesz, jeśli nadal będziesz się tak zachowywał! Jedyna sprawa, o której masz myśleć, to twoja własna! – Zazwyczaj przyjazna twarz Runego Seima poczerwieniała, a głos zadrżał od irytacji.

– Tak, Rune.

– Mieliśmy umowę, prawda? Przyrzekłeś na wszystkie świętości, że się zjawisz. Przyrzekłeś! A mimo to nie przyszedłeś.

– Tak, Rune, ale... – Poddałem się. Nie chciałem słuchać o Aronie Sørviku, Kristianie Salomonsenie i wyjaśnianiu dawnych zabójstw. Próbowałem, lecz nie był zainteresowany. Rune Seim stał się człowiekiem skupionym tylko na jednym, miał w życiu tylko jedno zadanie.

– Twoja sprawa, Mikaelu, twoja sprawa! Skoncentruj się na niej i tylko na niej! – Powtarzał to w kółko niczym mantrę, a ja kiwałem głową, przytakując, chociaż już dawno przestałem wierzyć, że droga do zbawienia prowadzi przez policyjne akta.

Popracowałem chwilę i wstałem z ziewnięciem.

– Przepraszam, ale tak się nie da. Wiem, że musimy pracować, ale nie dzisiaj.

Popatrzył na mnie z ustami otwartymi ze zdziwienia, nie wierząc własnym uszom.

– Żartujesz?!

Kolejne ziewnięcie.

– Nie spałem od prawie dwóch dni, Rune. Tyle się działo... Najpierw Salomonsen, później wielogodzinne zeznania na policji. Potem jechałem aż stamtąd do domu. Jestem wykończony, mentalnie i fizycznie. Zobaczymy się jutro.

– Wycofuję się ze sprawy! – zawołał za mną. – W takich warunkach nie mogę, do cholery, być twoim obrońcą!

Nie uwierzyłem mu, ale w tamtym momencie i tak miałem to gdzieś. Wystarczyło, że musiałem mieć otwarte oczy podczas krótkiej drogi samochodem do domu.

Obudziłem się we własnym łóżku, całkowicie ubrany i zupełnie dezorientowany, z pełnym pęcherzem, pustym brzuchem i silnym bólem głowy. W zimnym, nieprzyjemnym blasku świetlówek w łazience wyglądałem na chorego; moja skóra miała wstrętny, siny odcień. Oczy były przekrwione i podpuchnięte, a włoski zarostu siwe i czarne. Bóg wie, po raz który obiecałem sobie wymienić oświetlenie w łazience.

Powlokłem się pod prysznic i stałem tam, aż woda zaczęła robić się letnia. Później się wytarłem, włożyłem czyste ubrania i zastanowiłem się, czy jest noc, czy dzień, wieczór czy rano.

Okazało się, że bardzo wczesny rano. Był kwadrans po piątej, a ja przespałem jednym ciągiem piętnaście godzin. Piętka w chlebaku stwardniała na kamień, ale miałem też chrupkie pieczywo i ser, sok, którego daty ważności celowo nie sprawdziłem, oraz – co nie mniej ważne – kawę. Po dwóch filiżankach poczułem się znów jak człowiek, lecz mimo to inaczej niż zwykle. Jakby coś stało się ze mną w czasie snu. Byłem podenerwowany i niespokojny, a jednocześnie miałem też w sobie uczucie pustki. Wypiłem jeszcze jedną filiżankę kawy i pomyślałem, że to reakcja na wszystko, co się wydarzyło. Kristian Salomonsen zginął na moich oczach. Nadal przypominałem sobie potęgę, bezwzględną, straszliwą siłę fali, która go porwała.

W głębi ducha wiedziałem jednak, że nie tylko to mnie trapi. Sprawa Arona i przeżycia z Vestøy nadawały sens moim ostatnim

dniom. Pozwoliły mi wyprzeć własne kłopoty, zapomnieć o sobie i zagłębić się w życiu i śmierci innych. Teraz jednak sprawa się skończyła, więc nic nie dzieliło mnie od rzeczywistości. Za siedem dni miałem stanąć w sądzie jako oskarżony. A gdy zapadnie wyrok, moje życie w dotychczasowej postaci najprawdopodobniej dobiegnie końca. Ta świadomość napełniała mnie przerażeniem, jak gdybym stał przed ciemnym wlotem tunelu.

Wstałem od stołu kuchennego i poszedłem po pocztę i gazety. Dzisiejsze wydanie jeszcze nie doszło, więc zagłębiłem się we wczorajszych wiadomościach. Czytałem o braku miejsc w domach opieki, wysokich cenach prądu i dobrych czasach dla hodowców łososia, co przypomniało mi o Runarze Wiesnerze. To wystarczyło, by odwrócić moją uwagę, w każdym razie dopóki nie dotarłem do strony siódmej, gdzie zaatakowało mnie duże zdjęcie portretowe prokuratora Ulva Garmanna.

„W drodze na szczyt” – głosił nagłówek. Garmann ubiegał się o posadę prokuratora generalnego i zdaniem dziennikarza był jednym z faworytów. Artykuł podsumowywał jego najważniejsze osiągnięcia prawnicze. Dostrzegłem w tym wszystkim ironię. Wkrótce mieliśmy spotkać się w sądzie i nasze drogi kariery się krzyżowały – z tym że jego pięła się gwałtownie, a moja prowadziła w dół. Wywołało to krzywy uśmiech na moich ustach.

Komórka leżała na kuchennym blacie, gdzie zostawiłem ją poprzedniego dnia. Mrugała niebiesko na znak, że ktoś dzwonił lub wysłał mi wiadomość. Popatrzyłem osłupiały na wyświetlacz, który twierdził, że mam czterdzieści siedem nieodebranych połączeń.

Coś musiało być nie tak. Najpierw pomyślałem o ojcu, a później, z zimnym dreszczem na plecach, o Peterze. Obiecałem przecież go odwiedzić. Drżącymi palcami zacząłem klikać, by zobaczyć numery.

Dzwoniła Synne, ale żadnego z pozostałych numerów nie znałem. Wysyłałem wiadomości do informacji, aby sprawdzić każdy z nich, jeden po drugim. Telefon piszczał jak szalony, odbierając SMS-y z odpowiedziami. Dzwoniono do mnie z dzienników. Z „BA”, „VG”, „BT”, „Dagbladet”, a także z radia, kanałów telewizyjnych, wszelkich możliwych mediów. Zdałem sobie sprawę, że ktoś z policji musiał dać cynk mediom o sprawie z Vestøy.

Moje pięć minut najwidoczniej jeszcze się nie skończyło.

– Mikael! – krzyknęła Synne, po czym mocno mnie uścisnęła. – Udało ci się! Udało ci się!

Zaciągnęła mnie do swojego biura i kazała opowiadać. Poprzedniego dnia miałem jedynie siłę na krótką rozmowę telefoniczną, w której przekazałem jej najważniejsze fakty. Teraz chciała szczegółów. Kiedy skończyłem, pokręciła głową, siląc się na surowy wyraz twarzy.

– Zawsze niepotrzebnie ryzykujesz, Mikael. Masz szczęście, że nie wpadłeś do morza.

Wzruszyłem ramionami.

– Już wczoraj zaczęli dzwonić z prasy – mruknąłem. – Ktoś dał im cynk.

Rozpromieniła się w szczerym uśmiechu.

– Wiem, tutaj też dzwoniли.

– Rozmawiałaś z nimi?

– Jasne, że rozmawiałam! Przecież to znakomita reklama dla firmy adwokackiej Bergstrøm. Problem w tym, że nie miałam im zbyt wiele do powiedzenia. Możesz się nimi zająć dzisiaj.

– Mogę im poświęcić kilka godzin, nie więcej.

– Dlaczego nie...

– Muszę się przygotować do procesu.

Jej uśmiech zniknął.

– Tak, oczywiście. Nie pomyślałam.

Najbardziej zdziwiła mnie ich złośliwość. Przywykłem do kontaktów z mediami i zazwyczaj dobrze sobie z nimi radzę. Dziennikarze dobrze mnie znają, a ja wiem, na czym im zależy, więc próbuję dawać im to, czego potrzebują, nie łamiąc przy tym zbyt wielu pisanych i niepisanych zasad. Przez wiele lat zdawało to egzamin, ale nie teraz.

– Ach, Mikael Brenne – powiedział pierwszy, do którego zadzwoniłem. – Dobrze, że pan oddzwonił, próbowałem się z panem skontaktować. Chodzi o tę sprawę z Vestøy.

– Rozumiem.

– Tak. Zdemaskował pan mordercę i w ten sposób uniewinnił Arona Sørvika, skazanego za zabójstwo. A właściwie to dwa zabójstwa.

– Nie został jeszcze uniewinniony. Sprawa musi najpierw trafić do komisji do spraw wznowień, a później...

– Tak, tak, ale zostanie uniewinniony, to chyba dość jasne.

– Chyba tak.

– Jakie to uczucie uniewinnić człowieka skazanego za dwa zabójstwa, kiedy sam jest pan o krok od uwięzienia?

– Przepraszam?

– Powiedziałem: jakie to uczucie uniewinnić Arona...

– Usłyszałem za pierwszym razem. Takie jest pana spojrzenie na tę sprawę?

– Tak – odparł. – A nie widzi pan w tym ironii? Słynny adwokat może wkrótce zostać skazany, a jego ostatnie dokonanie to uratowanie innego skazańca? Przecież to...

Odłożyłem słuchawkę, ale następna rozmowa była podobna do

pierwszej, tak jak i kolejna. Odrobiną oryginalności wykazała się jedynie reporterka „Dagbladet”. Zapytała mnie wprost, czy nie czuję, że doprowadziłem do śmierci Kristiana Salomonsena, co nie było dużo lepsze.

ROZDZIAŁ 53

– Przynajmniej przyszedłeś na czas.

Nie odpowiedziałem, a Rune Seim popatrzył na mnie nieco zmęczonym i zrezygnowanym wzrokiem.

– Może usiądziesz, Mikaelu? Nic ci nie da chodzenie cały czas tam i z powrotem.

– Co mam według ciebie robić, Rune?

– Zachowywać się profesjonalnie.

– Czyli? Jestem oskarżonym w tej sprawie, nie adwokatem! Jak mam, kurde, zachować profesjonalizm w tej sytuacji?

– Nie to miałem na myśli, Mikaelu. Chodziło mi tylko o to, że...
Opadłem na krzesło.

– Wiem, Rune, wiem. Po prostu cholernie frustruje mnie to wszystko. Myśli ciągle krążą w kółko. Tysiące razy przeanalizowałem tę sprawę w głowie i ani trochę to nie pomogło. Chce mi się... chce mi się krzyczeć.

Wstał z krzesła.

– Chodź – powiedział. – Ubierz się.

– Dokąd idziemy?

– Przejdziemy się po Fjellveien. Może przyjdzie nam coś do głowy. W każdym razie przyda mi się świeże powietrze.

Powietrze było tam świeże, a w każdym razie świeższe niż w śródmieściu. Z naszego miejsca widzieliśmy fiord i wyspy w oddali, lecz tuż pod nami centrum prawie chowało się w dymie z kominów i rur wydechowych. Rune szedł z rękoma w kieszeniach, pulchny, szczelnie owinięty płaszczem i szalem. Na głowie miał czerwoną, robioną na drutach czapkę. Przyniosła mu ją sekretarka, gdy usłyszała, że idziemy na spacer. Wyglądał przez tę czapkę trochę śmiesznie, ale gdy po chwili zmarzły mi uszy,

pozazdrościłem mu nakrycia głowy. Tego zimnego, nieprzyjemnego dnia nie spotkaliśmy prawie żadnych innych spacerowiczów.

– Zrób krok w tył, Mikaelu – rzekł Rune. – Zapomnij na chwilę, że chodzi o ciebie.

Krótko się zaśmiałem.

– Łatwo powiedzieć. Próbowałem...

Pokręcił głową.

– Wcale nie. Kręciłeś się tylko w kółko, zrezygnowany i zrozpaczony. Wydaje się niemal, jakbyś wyparł całą tę sprawę ze świadomości. Rozumiem cię, ale to nam nie pomoże. Musisz się bardziej postarać. Każdą sprawę da się wygrać. Albo odwrócić ją, spojrzeć na nią z perspektywy prokuratora, Ulva Garmanna. Nie ma spraw idealnych. Jakie słabe punkty ma ta sprawa dla niego?

Szliśmy dalej. Żwir chrząścił nam pod podszwami. Zauważyłem, że stawiam dłuższe kroki niż Rune Seim, że nie idziemy równo.

– Morten Ålekjaer – mruknąłem. – Ålekjaer jest słabym punktem.

– Jak to?

– To recydywista. Bandyta z pełną kartoteką, o ile pamiętam. Ile miał tych wyroków?

Jakbym nacisnął guzik. Rune Seim bez zająknięcia wyrecytował karierę przestępczą Mortena Ålekjaera. Przyłożył się do swojej pracy. Była to długa, przygnębiająca lista, obejmująca narkotyki, przemoc i zakłócanie porządku – z powodu wszystkich tych przestępstw i wykroczeń Morten Ålekjaer od dość młodego wieku trafiał do więzienia. Lista ciągnęła się aż do ostatniego wyroku pozbawienia wolności na kilka miesięcy z roku 2004.

– Mniej więcej tak, jak myślałem – stwierdziłem. – Właściwie

jak wiarygodny jest taki człowiek?

– W zasadzie to mało lub wcale. Problem w tym, że mamy rozmowę telefoniczną i pozostałe drobiazgi, które pomagają potwierdzić jego wiarygodność, i...

Przerwałem mu.

– Wiem, ale jak mówisz, to tylko dowody pomocnicze. Wszystko opiera się na samym Mortenie. To on oskarżył mnie o to, że byłem zleceniodawcą. Jego zeznanie jest tutaj kluczowe.

– Tak, Mikaelu, zgadzam się. Jednak dokąd nas to prowadzi? Co z tym zrobimy?

– Możemy zrobić tylko dwie rzeczy. Albo zmiażdżymy jego wiarygodność, albo znajdziemy prawdziwego zleceniodawcę.

– Sęk w tym, kurczę, że facet nie żyje – powiedział Rune. – Jak zniszczyć wiarygodność nieboszczyka?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Szliśmy dalej w milczeniu. Po kilku minutach zawróciliśmy i udaliśmy się z powrotem tą samą drogą. Poczulem mrowienie w korze mózgowej. Był to jedynie krótki moment; jakiś nieistotny fakt nie do końca się zgadzał. Skręciliśmy w prawo i ruszyliśmy w dół wzgórza do miasta.

– Nie byłem tutaj od lat – zauważył Rune. – Ładnie tu. Za każdym razem, gdy jestem na spacerze, zachodzę w głowę, dlaczego tyle czasu minęło od poprzedniego.

To było to!

– Dlaczego tyle czasu minęło od ostatniego wyroku Ålekjaera?

– Co?

– Powiedziałeś, że ostatni wyrok zapadł w dwa tysiące czwartym, prawda?

– Tak. Sześć miesięcy za stosowanie przemocy. Chyba chodziło o egzekucję długu.

– Mhm. Dawno temu.

– Nie aż tak bardzo.

– Dla Mortena Ålekjaera sześć lat to dużo. Nigdy wcześniej nie minęło tyle czasu między jego wyrokami. Ciekawe dlaczego. Uspokoił się, zmadrzał albo stał się ostrożniejszy?

– Ma to jakieś znaczenie?

– Może nie. Ale tylko to... zgrzyta.

Król Słońce długo patrzył na mnie bez słowa. Zadzwoiłem do niego, a kilka godzin później spotkaliśmy się w tym samym pubie, co zwykle, gdzie kupiłem nam po tym samym, co zwykle, piwie.

– Morten Ålekjaer, co? – wymamrotał wreszcie.

Skinąłem głową.

– Zgadza się.

– Wiem, kim jest. To znaczy, kim był. – Później nastąpiła kolejna długa przerwa.

– No i?

– Jeżeli pomyślisz o wcześniejszych sytuacjach, kiedy ci pomagałem, Mikael, zauważysz, że mieliśmy w tym jak gdyby wspólny interes. Ty byłeś na tropie albo przynajmniej myślałeś, że jesteś na tropie czynu karalnego, więc korzystałeś ze mnie, aby obalić lub potwierdzić swoje podejrzenia. Jak na przykład w przypadku tego policjanta, którego podejrzewałeś.

– Franka Landego? Był niewinny.

– Tak, ale nie o to chodzi. – Spojrzał na mnie nieco zasmucony.

– Chodzi o to, że teraz to co innego. Nie jesteś już adwokatem, tylko oskarżonym. Ja jestem policjantem, Mikael. Nie mogę pomagać przestępcom. To nie tak ma działać.

Zerknąłem w swoją szklankę z piwem. Patrzyłem na migotliwy, złoty płyn, na chwilę uniosłem szklankę do światła, po czym

odstawiłem ją, choć nie wypilem ani kropli.

– Jak długo się znamy, Karl Petter?

– Cholera wie. Wiele lat.

– Tak, wiele. Na pewno z piętnaście. I chociaż stoimy po przeciwnych stronach barykady, chociaż nigdy nie wahałeś się wyrażać swojej opinii o adwokatach, to z czasem... Próbuję jedynie powiedzieć, że traktuję cię jak przyjaciela.

Zaczął się wiercić na krześle. Nie cierpiał takich sytuacji.

– Jestem w potrzasku. Jeśli w najbliższych dniach czegoś nie wymyślę, wszystko pójdzie się chrzanić. Zniknę bez śladu. Naprawdę potrzebuję pomocy. Ale jeśli sądzisz, że jestem winny, to...

Teraz to on zerknął w szklanę.

– Okej, Mikael, okej. Sprawdzę to.

ROZDZIAŁ 54

Gdy przyszedłem, Peter leżał w łóżku. Unn powiedziała, że przez ostatnie dni nie miał siły wstawać i cierpiał, ale przyszedłem w dobrym momencie, bo właśnie dostał dawkę środka przeciwbólowego. Próbowła się do mnie uśmiechnąć, lecz zdołała jedynie wykrzywić usta w smutnym grymasie.

Od mojej ostatniej wizyty choroba wyżarła resztki jego ciała. Cienka, podobna do pergaminu skóra ciasno przylegała do kości policzkowych, a na rękach i dłoniach zauważyłem gęstą sieć niebieskich żył.

– Jak się masz? – zapytałem, a on się roześmiał.

– Co za pytanie, Mikael! Popatrz na mnie!

Ja też ostrożnie się zaśmiałem.

Nie chciał mówić o sobie.

– Opowiedz o sprawie z Vestøy. Czytałem o niej w gazecie. Powiedz mi, co się stało.

Tak uczyniłem, a on słuchał – jego twarz zdradzała żywe zaciekawienie. Na kilka chwil zapomniałem o chorobie. Zadawał mądre pytania, po sposobie, w jaki mówiłem o Magdzie, poznał, że coś między nami było, i śmiał się, gdy bez entuzjazmu zaprzeczałem, ale pod koniec historii zaczął tracić skupienie.

– Dobrze – powiedział, kiedy zamilkłem. – Typowa robota w stylu Mikaela Brennego. Klasyczna mieszanka fuksa, przypadku i wytrwałości.

– Zapomniałeś o inteligencji – dodałem, lecz jego uśmiech był blady.

– A twoja sprawa, Mikael?

– W porządku.

– Wiem, że nie jest w porządku. Nadal rozmawiam z ludźmi. Ale

obiecaj mi, że się nie poddasz. – Zakaszłał, lekko machnął ręką. – Trochę myślałem. Musisz zacząć od tego, co wiesz.

– To znaczy?

– Nie ma sensu spekulować, kto za tym stoi. Do niczego cię to nie doprowadzi, w zasadzie to może być każdy. Dlatego musisz zacząć od Mortena Ålekjaera. Nie miałeś z nim chyba żadnych osobistych porachunków?

Pokręciłem głową.

– Nie, nic z tych rzeczy.

– Pozostaje zatem pytanie, dlaczego to ciebie wskazał jako zleceniodawcę.

– Bo ktoś mu kazał.

Popatrzył na mnie niecierpliwie.

– Nie dostrzegasz głębszego sensu tego pytania. Jasne, że ktoś mu kazał, ale dlaczego to zrobił?

– Bo Morten Ålekjaer był zawodowym wymuszaczem. Bił ludzi za pieniądze. Zrzucenie na mnie winy, gdyby go złapano, stanowiło pewnie część zlecenia.

– Więc chodziło o kasę?

– Tak przypuszczam – powiedziałem w zamyśleniu. – Ale te pieniądze nie trafiły na jego konto.

– To nie ma znaczenia. Mógł je dostać gotówką albo mieć inne konta. Ale jeśli nie chodzi o pieniądze, to ktoś miał na niego haka. Nie widzę innych możliwości poza tymi dwiema. Musisz dalej szukać, Mikael. Po przestępstwach zawsze zostają ślady. – Ziewnął. – Chyba muszę teraz trochę odpocząć.

Znowu ziewnął i zamknął oczy. Kilka minut później już spał. Siedziałem, patrząc na niego. Twarz Petera była mi dobrze znana, musiałem widzieć ją wcześniej tysiące razy, ale chyba nigdy nie

widziałem go śpiącego. Sen go zmienił, sprawił, że wyglądał spokojnie, lecz także nieprzystępnie i tajemniczo. Widziałem gałki oczne szybko poruszające się pod cienkimi powiekami, kilka razy wydobył też z siebie cichy jęk. Zastanawiałem się, czy odczuwa ból. Odchyliłem się w tył na swoim fotelu, ułożyłem głowę na oparciu i po chwili także zasnąłem.

Gdy się zbudziłem, czułem suchość w ustach, a pokój był pełen cieni.

– Chrapałeś – powiedział Peter. Ledwie widziałem jego twarz – jasny owal w ciemności.

– Przepraszam.

Prawie niezauważalnie potrząsnął głową.

– Jesteś na mnie zły, Mikael?

– Zły na ciebie?

– Za to, co zrobiłem... że się za tobą nie wstawiłem, że byłem tak słaby i dałem się przekonać do wyrzucenia cię z firmy.

– Byłem zły. Ale to nie ma znaczenia, Peter. Już nie.

– Może nie. Ale nie powinienem był tego robić.

Długo milczał. Tak długo, że sądziłem, że znowu zasnął. Wtedy nagle przemówił.

– Były też dobre chwile, co?

– Dużo razem przeżyliśmy, Peter. W większości były to dobre rzeczy.

W ciemności szukał po omacku mojej dłoni, niczym dziecko, które potrzebuje poczucia bezpieczeństwa. Nieco później usnął, jego dłoń się rozluźniła. Czasami szarpało nim lekkie drganie i Peter ścisnął moją rękę. Nie mocno. Tylko na tyle, bym wiedział, że żyje.

ROZDZIAŁ 55

Bezwiednie ścisnąłem mocniej kierownicę i nieświadomie zdjąłem nogę z gazu, mijając miejsce, gdzie Morten Ålekjaer poszybował w górę na kilka sekund przed końcem swego krótkiego, brutalnego i stosunkowo bezsensownego życia. Miałem wrażenie, że od tego czasu minęła wieczność, lecz w rzeczywistości były to niecałe dwa miesiące.

Dwa miesiące, w ciągu których nie zbliżyłem się nawet o krok do rozwiązania zagadki tego, kto chciał się na mnie zemścić. Sądziłem, że odpowiedź przepadła wraz z Mortenem Ålekjaerem, lecz może wniosek był zbyt pochopny. „Po przestępstwach zawsze zostają ślady” – powiedział Peter. Wiedziałem, że miał rację. Niewiele czynności, a zwłaszcza wykroczeń, odbywa się bez zostawienia po sobie jakiegoś znaku. To może być fizyczna poszlaka: dokumenty albo pieniądze. Albo może istnieć świadek, który coś widział, ale nie pojmuje znaczenia swojej obserwacji.

Morten Ålekjaer nie żył sam. Miał partnerkę. Nie uważałem za prawdopodobne, że dziewczyna coś wie, a w każdym razie nie liczyłem na to, że będzie chciała ze mną rozmawiać. Ostatnim razem, gdy mnie widziała, właśnie kopnąłem jej faceta w krocze, więc nie zdziwiłbym się, gdyby to mnie obwiniła za jego śmierć. Ale nie miałem gdzie szukać ani kogo pytać i kończył mi się czas.

Gospodarstwo wyglądało mniej więcej tak, jak zapamiętałem, lecz inaczej niż ostatnim razem – niebo było ciężkie od deszczowych chmur, które wkrótce miały zacząć przeciekać, a stłumione, słabe światło sprawiało, że budynki, poprzednio jaśniejące ostrymi barwami, wydawały się wyblakłe, zniszczone i stare. Tym razem nie zatrzymałem się na skraju lasu, ale zjechałem po wzgórzu na podwórko. Stał tam ten sam biały opel; ślady kół zdradzały, że jest

regularnie używany.

Wysoka trawa była mokra, a cisza całkowita. Przekrzywiłem głowę, lecz nie usłyszałem głosów ludzi ani zwierząt. Zajrzałem do stodoły przez uchylone drzwi; miałem irracjonalne przeczucie, że ujrzę harleya, ale oczywiście w środku panowała pustka. Znów obszedłem podwórko. Moje dżinsy pociemniały u dołu od wilgoci. Z komina nie unosił się dym. Nie widać było pręgowanego kota.

– Halo! – zawołałem, lecz mój głos wyrażał wahanie i brak przekonania, jakbym właściwie bał się zdradzać swoją obecność, więc wziąłem się w garść i zawołałem raz jeszcze, głośno i wyraźnie, jednak nikt nie odpowiedział.

Zapukałem do drzwi domu, odczekałem chwilę, po czym nacisnąłem klamkę. Z wahaniem wszedłem w ciemny korytarz. Wąskie schody prowadziły na piętro, zamknięte drzwi oddzielały mnie od reszty domu. Poszedłem tam.

W salonie zasunięto zasłony i nie zapalono świateł, lecz w półmroku widziałem na tyle dobrze, by zauważyć walające się wszędzie przedmioty. Papiery i poduszki leżały na podłodze. Przewrócona lampa. Krzesło wyglądało, jakby je rozdarto, wypełnienie wystawało z siedzenia. Ktoś był tu przede mną, ktoś czegoś szukał i nie przejmował się, w jakim stanie zostawi to miejsce. Nic nie wskazywało na obecność przyjaciółki Mortena Ålekjaera.

Drzwi kuchenne stały otworem. Gdy zajrzałem do środka, również ujrzałem zniszczenia. Po lewej znajdowała się sypialnia. Przypomniałem sobie, jak zerknąłem przez okno i zobaczyłem tam Ålekjaera kochającego się z dziewczyną. Położyłem dłoń na klamce i ogarnęły mnie złe przeczucia na temat tego, co czeka w środku. Zmusiłem się do naciśnięcia klamki, otworzenia drzwi i wejścia do

pograżonego w półmroku pokoju. Zobaczyłem zasłonięte okno, krzesło, łóżko przykryte dwiema kołdrami. Pod jedną z nich rysowało się ciało. Zauważyłem kosmyk blond włosów. Wydało mi się, że wyczuwam słabą woń krwi i śmierci. Wziąłem głęboki wdech, po czym prędkim ruchem odsunąłem kołdrę na bok.

Prawie dostałem zawału, kiedy naga kobieta nagle usiadła z krzykiem na łóżku.

Zanim wreszcie przyszła do salonu, kawa wystygła na tyle, by dało się ją pić. Chwilę zajęło mi uspokajanie dziewczyny, lecz gdy w końcu zrozumiała, że nie chcę jej zgwałcić, kazała mi zaparzyć kawę, a sama poszła do łazienki. Włożyła znoszony szlafrok, który może był kiedyś różowy. Trochę się też umalowała, lecz to nie wystarczyło, by ukryć ślady alkoholu, długich nocy i brutalnych mężczyzn, które przez lata wyryły się na jej twarzy. Zapaliła papierosa i po raz pierwszy tego dnia głęboko się zaciągnęła. Odkaslnęła, wypila łyk kawy i pokręciła głową.

– Przeraził mnie pan na śmierć.

– Przepraszam – powtórzyłem. – Pukałem i wołałem, ale nikt nie odpowiadał.

– Jest wcześniej rano – mruknęła. – Nigdy nie wstaję przed dwunastą.

– Nie pomyślałem. Wszedłem po prostu do środka, a gdy zobaczyłem, jak tu wygląda, przestraszyłem się, że coś się pani stało, że ktoś panią skrzywdził.

Jej twarz zdradzała brak zrozumienia, a ja zdałem sobie sprawę, że dom zawsze tak wygląda. Nikt nie przeszukiwał tych pokoi.

– Dlaczego ktoś miałby mnie skrzywdzić? – zdziwiła się.

– Bo... – Przerwałem. – Nie znam nawet pani imienia. Jak się

pani nazywa?

– Randi.

– Okej. Ja jestem Mikael. Mikael Brenne.

– Wiem, kim pan jest, czytałam o panu. Poza tym już się spotkaliśmy. – Przekrzywiła lekko głowę i wypuściła długą smugę błękitnego dymu. – Zglądał pan przez okno, kiedy Morten mnie pieprzył.

– Nie chciałem. Nie wiedziałem przecież...

– Ale chwilę pan tam stał. – Oparła się na sofie. Speszyłem się i odwróciłem wzrok.

– Przepraszam – powtórzyłem, a ona uśmiechnęła się, jakby знаła wszystkie moje tajemnice. – Ale skoro pani o mnie czytała, to wie pani pewnie, dlaczego tu jestem – ciągnąłem.

– Wiem, że oskarżyli pana za to, że zlecił pan Mortenowi ten łomot.

– Tak to się nazywa? Nie wiedziałem. Ale zgadza się, policja twierdzi, że dałem mu to zlecenie.

– Ale pan tego nie zrobił?

Pokręciłem głową.

– Nie. Nic mu nie zlecałem, jednak nie da się tego tak łatwo udowodnić. Ten, kto dał Mortenowi zlecenie, musiał kazać mu zrzucić winę na mnie. Morten na pewno sam tego nie wymyślił. Nie mieliśmy żadnych porachunków. Więc... pomyślałem, że może pani coś na ten temat wie.

Zapaliła następnego papierosa. Kolejna smuga błękitnego dymu wydostała się spomiędzy czerwonych warg.

– Dlaczego miałabym panu pomóc, Mikaelu Brenne? Odebrał mi pan mężczyznę.

– Wcale nie. To był wypadek. Jechał jak szalony i miał pecha, to

wszystko.

– To by się nie stało, gdyby pan tu nie przyszedł i nie urządził awantury.

– Owszem. Może nie dokładnie wtedy albo nie w taki sposób, lecz prędzej czy później Morten Ålekjaer z piskiem opon wypadłby z drogi lub ktoś dźgnąłby go nożem. On zginął tak samo, jak żył, Randi. A poza tym... to on rzucał oskarżenia, kłamstwa, które niszczą moje życie. Czego, do cholery, się spodziewał, robiąc coś takiego? Miałem do niego nie przychodzić w obawie, że to niestosowne?

Dość długo milczała, po czym nagle wstała, mówiąc, że chce więcej kawy.

– Przez pierwsze tygodnie okropnie za nim tęskniłam – powiedziała z kuchni. – Nie mogłam spać, co noc płakałam, byłam roztrzęsiona. Dziwne, jak szybko to mija. Teraz przywykłam już, że jestem tu sama. A z Mortenem nie zawsze łatwo się żyło.

– To pani gospodarstwo?

– Nie, należało do Mortena, odziedziczył je po rodzicach. Ale jego brat na razie pozwolił mi tu mieszkać. Zobaczmy, jak to się potoczy. – Wróciła do salonu i usiadła. Lekko ściągnęła szlafrok na piersi. – W każdym razie nie pomogę panu, bo naprawdę nic nie wiem. Morten nigdy nie mówił mi o swoich zajęciach, a ja nie pytałam. Nie sądziłam, że muszę.

– Tak, rozumiem. Ale może mimo wszystko coś pani wie, chociaż może nie zdaje sobie pani sprawy, że ma to jakieś znaczenie.

Popatrzyła na mnie z powątpiewaniem.

– Na przykład co?

– Może wie pani coś o pieniądzach. Ktoś musiał Mortenowi

zapłacić za to zlecenie, za pobicie tej kobiety i zrzucenie winy na mnie. A pieniądze da się wytropić.

Po raz pierwszy się zaśmiała, zadziwiająco jasnym, perlistym śmiechem, jakby gdzieś w głębi kryła w sobie małą dziewczynkę.

– O pieniądzech? Myśli pan, że po Mortenie zostały jakieś pieniądze? Że miał majątek schowany na strychu albo na tajnym koncie? Niech pan się rozejrzy!

Znów się zaśmiała, a ja zrobiłem, jak kazała – rozejrzałem się wokół. Żadnego sprzętu grającego, tylko tandetny boombox z lat osiemdziesiątych. Mały telewizor, bynajmniej nie LCD. Żadnego komputera. Nic, co wyglądałoby na wartościowe, wyłącznie śmieci, bałagan i na pół zniszczone krzesła o wypalonych obiciach oraz stolik pełen blizn po tysiącach rozżarzonych papierosów.

– Może ukrył je przed policją i zmarł, zanim zdążył...

Pokręciła głową.

– Nie znał pan Mortena. Był na swój sposób dzieckiem. Wiedziałabym, gdyby miał pieniądze. Przyszedłby wtedy do domu obładowany prochami, drogim alkoholem i nowymi gadżetami do motoru.

– A nie prezentami dla pani?

Znów posłała mi zmęczony uśmiech, jakby już wykorzystwała swą dzienną porcję szczerzej rozrywki.

– W porządku –ciągnąłem. – Wierzę pani. Nie miał pieniędzy. – Pomyślałem o słowach Petera. Albo pieniądze, albo ktoś miał na niego haka. Nie było innych możliwości. – W takim razie dlaczego pobił Gerd Garshol, skoro mu za to nie zapłacono? Był komuś winny przysługę, ktoś miał na niego haka?

– W tym środowisku zawsze ktoś jest coś komuś winien.

– Ale nie zwróciła pani na nikogo uwagi?

– Ludzie przychodzili i odchodzili, stale te same stare gęby.

– Nikogo nowego ani nieznanego?

Zawahała się.

– Był jeden facet... Pewnego dnia, gdy wróciłam do domu, wyjeżdżało stąd auto. Pamiętam, bo musiałam strasznie cofnąć, żeby mógł mnie minąć.

– Jakie auto?

Wzruszyła ramionami.

– A cholera wie. Nie znam się na samochodach. Zwyczajne takie, ciemne.

– Dlaczego go pani zapamiętała?

– Bo był inny. Ładnie ubrany, porządny, rozumie pan. Ciemny. Miał swoje lata. Nie najgorzej wyglądał. Nie mam nic przeciwko starszym facetom, ale ten był trochę... nie wiem... chyba mocniej zbudowany od pana. Miał okrągłą twarz. – Uśmiechnęła się, poruszyła, a szlafrok w magiczny sposób się rozchylił. – Wolę szczupłych mężczyzn. Takich jak pan – dodała dla pewności, na wypadek gdybym ciężko kapował.

Zignorowałem to zaproszenie, zlekceważyłem rowek między piersiami i krągłość uda, próbujące ściągnąć mój wzrok w cień.

– A co robił u Mortena?

– Załatwiał jakieś interesy.

– Dlaczego tak pani myśli?

– Bo zapytałam, a Morten powiedział tylko, że to biznes. Wiedziałam wtedy, że nic mi do tego.

– To oznaczało coś nielegalnego?

– Przypuszczalnie.

– Kiedy to było?

– Wiosną albo wczesnym latem. Może w czerwcu.

Zrobiłem głęboki wdech, po czym zadałem najważniejsze pytanie.

– Rozpoznałaby go pani?

– Chyba tak. Jego auto przejechało dwadzieścia centymetrów od mojego, kiwnął mi głową i unióśł rękę, jakby w podziękowaniu, że cofnęłam.

Z wewnętrznej kieszeni wyjąłem fotografię, którą położyłem na stoliku. Grek wyglądał na tym zdjęciu trochę głupkowato. Znalazłem je tego ranka w archiwum lokalnej gazety. Wydawał się rozdrażniony i groził fotografowi palcem, ale nie było wątpliwości, że to on.

– Proszę spojrzeć na to zdjęcie. To tego mężczyznę pani widziała? Niech się pani przyjrzy.

Długo przyglądała się Grekowi, po czym pokręciła głową.

– Nie wiem. Może.

– Powiedziała pani, że go rozpozna.

– Tak myślałam, ale... – Popatrzyła na mnie bezradnie. – Po prostu nie jestem pewna.

ROZDZIAŁ 56

W następnych dniach jak zwykle chodziłem do kancelarii, ale nic nie udało mi się zrobić. Nawet kilka wątplych prób napisania wniosku o wznowienie sprawy Arona spełzło na niczym. Nadchodząca rozprawa całkowicie zawładnęła moim życiem. Wypełniła je po horyzont, wyparła wszystko i wszystkich, aż nie potrafiłem już myśleć o niczym innym. Ale bez względu na to, ile myślałem, nie posuwałem się naprzód. Wszystko dokładnie sprawdziłem, podążyłem każdym tropem, lecz nadal nie miałem nic. Wykorzystałem dobre pomysły. Zostały mi tylko te złe.

Czwartego dnia zadzwoniłem do starego klienta. W milczeniu wysłuchał mojego pytania, podał czas i miejsce i odłożył słuchawkę.

Spotkaliśmy się o zmierzchu pod budką z hot dogami. Kupił hot dog, a następnie wsiedliśmy do jego samochodu. Kiedy przeżuł parówkę i starł keczup z podbródka, poprosił mnie o otwarcie schowka. Zrobiłem, jak kazał. Leżał tam pistolet, zawinięty w stary ręcznik. Ciężko spoczywał mi w dłoni, czarna powierzchnia była matowa i wytarta.

– Stary, ale całkiem sprawny. Jest tam też pełen magazynek – wyjaśnił. – Wiesz, jak go obsługiwać?

Powiedziałem, że wiem.

– Okej. Masz go na trzy dni. Poproszę trzy kawałki.

Wręczyłem mu trzy banknoty tysiąckoronowe.

– Tylko nie zrób nic głupiego, Brenne – ostrzegł. – I nie oddawaj, jeśli go użyjesz. Wtedy będziesz mi winny dziesięć tysięcy. Umowa stoi?

– Stoi – odparłem. – Ale nie użyję go.

Gdy wracałem do własnego auta, pistolet ciążył mi w kieszeni kurtki jak ołów.

Zaparkowałem w cieniu między dwiema latarniami. Po drugiej stronie ulicy paliły się światła w dwóch oknach domu Hansa Mikkelsena alias Greka. Raz dostrzegłem cień ruszający się za firankami. Była jedenasta wieczorem, miałem zgagę i zero pojęcia, co robić. Nie ułożyłem sobie żadnego planu, w głowie kołatał mi się tylko niejasny pomysł, żeby zmusić go do wyjawienia prawdy. Obojętnie, jak bardzo wysilałem szare komórki, zawsze wracałem do Greka. Tylko on, nikt inny, potrzebował milczenia Gustava Niemanna. To on musiał stać za napaścią na Gerd Garshol, a jednocześnie także za znową przeciwko mnie. Pamiętałem jednak jego mały, niklowany pistolet i pewność w głosie, gdy mówił, że zastrzeli mnie, jeśli wrócę, dlatego pomyślałem, że też potrzebuję broni. Wtedy wydawało mi się to rozsądne, lecz teraz nie byłem już taki pewien.

W piersi paliło mnie od frustracji, strachu i kwasów żołądkowych.

Pistolet leżał na siedzeniu obok mnie. Podniosłem go, a gdy poczułem metal w dłoni, przyływ adrenaliny tylko się wzmógł. W ustach nagle strasznie mi zaschło. Dłoń powędrowała do drzwi. Nagle kątem oka dostrzegłem wąski pas światła, którego nie było tam wcześniej, więc zamarłem w pół ruchu.

Brama do garażu Greka miała zaraz się otworzyć. W szczelinie na samym dole widziałem blask lamp samochodowych. Gdy brama stopniowo się unosiła, przednie światła omiatały coraz większą część podjazdu, dotarły do chodnika, a później na drogę. Rzuciłem się na siedzenie pasażera w ostatniej chwili przed oświetleniem wnętrza samochodu równie ostrym, demaskującym blaskiem, jak w słoneczny letni dzień. Usłyszałem chrzęst żwiru pod oponami, po czym znów nastał mrok.

Odczekałem kilka sekund, nim się podniosłem. Na szczęście auto było skierowane we właściwą stronę. Miałem dość przytomności umysłu, by wyłączyć automatyczne światła drogowe, zanim przekręciłem kluczyk w stacyjce, a następnie wolno potoczyłem się za czerwonymi tylnymi reflektorami. Sześćdziesiąt metrów dalej prawy kierunkowskaz zaświecił jasną żółcią, po czym Hans Mikkelsen skręcił czarnym SUV-em za róg i zniknął mi z oczu. Włączyłem przednie światła i dodałem gazu. Gdy znów go zobaczyłem, jechał spokojnie na północ.

Na głównej drodze śledziłem go już bez problemu. Nie spuszczałem wzroku z jego tylnych świateł, a jednocześnie napięcie ruchu pozwalało mi jechać dwa lub trzy samochody za nim. Gdy skręcił z głównej drogi i wjechaliśmy na mniej ruchliwe ulice, musiałem być ostrożniejszy. Trzymałem się tak daleko, jak mogłem, nie tracąc go jednocześnie z oczu. Za każdym razem, gdy znikał za zakrętem, dodawałem gazu, a jednak tylko fuksem udało mi się na ułamek sekundy zobaczyć czerwone reflektory, zanim zniknęły w bocznej drodze po lewej.

Skręciłem za nim. Zniknął mi już z oczu. Wąskie dróżki wiły się między spowitymi ciemnością domami jednorodzinnymi. Mogłem jedynie jechać prosto w nadziei, że nigdzie nie skręcił. Raz się zatrzymałem, otworzyłem okno i wyłączyłem silnik, ale nic nie było słychać, więc po kilku sekundach ruszyłem dalej. Zjechałem po stromym wzgórzu. Na dole w blasku lamp ujrzałem migocącą wodę. Po prawej stał dość duży betonowy budynek. Włączyłem przednie światła i zaparkowałem w cieniu pod krótszą ścianą budynku. Po chwili wahania chwyciłem pistolet i wsadziłem go do kieszeni kurtki, po czym dalej poszedłem pieszo.

Przed sobą ujrzałem pół tuzina masztów na tle nocnego nieba,

a także czarne sylwetki kilku dużych jachtów. Drobne fale bijące o keje lekko pluskały, a światło paru rozproszonych latarni migotało na ciemnej wodzie. Czarny SUV stał zaparkowany wraz z dwoma innymi autami tuż przy wejściu na przystań. Podeszedłem do niego i położyłem dłoń na masce. Była jeszcze ciepła.

Wąski trap prowadził z kei do pływających pomostów, do których przycumowano łodzie. Pośrodku trapu znajdowała się zamknięta na klucz furtka. Jej obramowanie ciągnęło się na metr w każdym kierunku i kończyło drutem kolczastym. Nie było jak jej minąć. Przyglądałem się pograżonej w ciemności przystani. Nigdzie nie widziałem najmniejszego ruchu, lecz w sterówce jednego z zacumowanych na skraju jachtów unosiła się słaba poświata. Ktoś siedział na dole w kabinie i albo zapomniał porządnie zamknąć drzwi do sterówki, albo się tym nie przejmował.

Zawróciłem i ruszyłem z powrotem po kejach. Po pięćdziesięciu metrach ujrzałem małą czerwoną łódkę. Wskoczyłem do niej i przemoczyłem nogi w dziesięciocentymetrowej warstwie wody na dnie. Łódka zachwiała się groźnie na fali. Cumę stanowił cienki łańcuch, który ginął w cieniu pod keją. Po omacku dotykałem ogniwa po ogniwie, lecz natrafiłem jedynie na zimną kłódkę. Cicho zakląłem pod nosem i już chwyciłem brzeg kei, by wydostać się na ląd, gdy moją uwagę przykuł ruch na przystani. Znow skryłem się w cieniu.

Ktoś szedł samotnie po trapie. Furtkę dało się najwyraźniej otworzyć od środka. Skierował się do samochodów zaparkowanych na nabrzeżu, a ja ujrzałem żółty błysk dobywający się z najmniejszego z nich, czerwonego peugeota, kiedy mężczyzna otworzył drzwi pilotem. Ta nieco przygarbiona postać wyglądała znajomo, choć nie potrafiłem z pewnością stwierdzić, gdzie ją już

widziałem. Jednak kiedy peugeot przejeżdżał obok miejsca, w którym się chowałem, światło latarni wpadło do wnętrza auta i zobaczyłem, kim był ten człowiek.

W chwili gdy jego tylne światła zniknęły na wzgórzu, wypadłem na nabrzeże i pobiegłem do własnego samochodu. Hans Mikkelsen, a może i ktoś jeszcze, nadal znajdował się na przystani, ale nie zastanawiałem się, kogo ścigać. Mężczyzna, który mnie minął, nie powinien tutaj w ogóle być. Nie miał po co spotykać się z Grekiem, wręcz przeciwnie. Jego obecność wywracała wszystko do góry nogami.

Jechałem szybko pod górę, a później krętymi drózkami. Zbliżając się do głównej drogi, ujrzałem dwa tylne reflektory. Zostałem paręset metrów z tyłu, bo niemal na pewno wiedziałem, dokąd jedziemy. Nie byłem tam nigdy, lecz z jakiegoś powodu pamiętałem adres.

Kiedy samochód przede mną wjechał na podjazd, wyminąłem go i skręciłem za róg. Na szczęście prawie od razu znalazłem wolne miejsce parkingowe. Spokojnie wróciłem więc tam, gdzie stało czerwone auto. W momencie gdy skręcałem, by wejść przez furtkę do ogrodu, w jednym z okien na parterze zapaliło się światło. Sprawdziłem drzwi. Były zamknięte, więc użyłem dzwonka. Gdy mi otworzył, wycelowałem pistolet prosto w jego twarz. Wycofał się do przedpokoju, a ja za nim.

Patrzyłem w przerażone, szeroko otwarte oczy Gustava Niemanna, byłego księgowego gangstera Hansa Mikkelsena, a obecnie koronnego świadka policji.

– Witaj, Gustavie – powiedziałem. – Co tu się, kurde, dzieje?

ROZDZIAŁ 57

Ulv Garmann długo milczał, rozglądając się po sali. Eva Granheim pół życia była sędzią sądu rejonowego. Słyszała już takie pauzy, więc spoglądała na niego ze zwykłym profesjonalnym zainteresowaniem, lecz sędziowie niezawodowi, starszy mężczyzna i młoda kobieta, wpatrywali się w Garmanna pełni napięcia i oczekiwania na ciąg dalszy.

Naprzeciwko siedział Rune Seim, który wyglądał, jakby się nudził. Ja zajmowałem miejsce po jego lewej stronie, pozornie niewzruszony i zimny. W końcu sali tłoczyła się publiczność, głównie dziennikarze, lecz również sporo zwyczajnych widzów. Wiedziałem, dlaczego zjawilo się tylu gapiów. Wszyscy chcieli zobaczyć mój upadek. Byłem osobą publiczną, odniosłem sukces, może też czasem byłem wystarczająco pyskаты, aby upadek okazał się niski, a lądowanie trudne i bolesne. Ten sam mechanizm sprawia, że ludzie zbierają się przy wypadku. Sytuację, kiedy ciekawscy otaczają nieruchome ciało, australijscy ratownicy nazywają kręgiem śmierci. Na twarzach gapiów – czy to stojących na ciepłym piasku, czy przejeżdżających wolno koło powyginanego wraku na drodze, czy zebranych na twardych ławkach sądu rejonowego, aby doświadczyć upadku Mikaela Brennego – wypisane jest zawsze to samo. Fascynacja, radość zmieszana ze strachem i ulga, że tym razem to nie na nich padło.

– Nasz wymiar sprawiedliwości nie jest idealny – powiedział Ulv Garmann. – Zdarzają się błędy, niestety niektórzy czują się czasem pokrzywdzeni. Mimo to system jest dobry. Wiele reguł zapewnia równowagę między oskarżonymi a prokuraturą. Z jednej strony chcemy zaspokoić społeczną potrzebę bezpieczeństwa i dbać o ofiary narażone na przestępstwa i łamanie prawa. Z drugiej

strony mamy chronić niewinnych. Nikt nie powinien zostać niesłusznie skazany. Nasz wymiar sprawiedliwości musi uwzględnić obie te kwestie.

Na chwilę pochylił głowę, jakby zapraszając do filozoficznej refleksji nad systemem prawnym, po czym kontynuował.

– Wśród podstaw tego systemu znajduje się paradoksalnie spór, konflikt. Walka między prokuratorem a obrońcą, z których każdy broni swojego zdania, przedstawia swoje argumenty i wyciąga własne wnioski, aż od czasów antycznych jest preferowanym przez nas sposobem dochodzenia do prawdy. Jest to dobry sposób, bo chociaż prawnicy reprezentują różne interesy, równocześnie służą większej, ważniejszej sprawie. Tak prokurator, jak i obrońca służą samej idei społeczeństwa prawa. Znosimy swoje zwycięstwa i porażki z zawodową godnością i spokojem, ponieważ wiemy, że tak właśnie ma się to odbywać.

Wreszcie podniósł wzrok, omiótł nim salę, widzów, dziennikarzy i sędziów, po czym zatrzymał spojrzenie na mnie.

– Ale... – rzekł, a ja nagle poczułem, jak wszystkie przebiegające przez salę prądy skupiły się wokół mnie niczym niewidzialne linie wysokiego napięcia. Garmann uniósł palec wskazujący. – Ale jednej rzeczy system nie toleruje, a mianowicie zdrady i świadomego sabotażu. Działanie wymiaru sprawiedliwości zależy od tego, czy wszyscy przestrzegają zasad gry. Obrońca ma pewne przywileje. Cieszy się zaufaniem sądu, lecz jeśli nie będzie lojalny wobec systemu, system ów się zawali. I jeśli obrońca, zamiast być sługą prawa, staje się sługą oskarżonego, czyli przestępcy, wówczas cała idea prawa karnego zostaje rozsadzona od środka. Wówczas adwokat sam zmienia się w przestępcę, nowotworowy guz w trzewiach wymiaru sprawiedliwości.

Jego palec nie wskazywał już w górę, lecz prosto na mnie. Ulv Garmann był żądny krwi.

– Mikael Brenne – powiedział cicho. – Mikael Brenne sam postawił się w takiej pozycji. Zlecił brutalną napaść na starszą kobietę, aby zastraszyć ważnego świadka w sprawie karnej, w której był obrońcą. Celem było wygranie sprawy. Ten człowiek nie jest ani trochę lepszy od przestępców, których reprezentował. Nadużył zaufania społecznego, zaufania sądu, zaufania nas wszystkich. I dlatego należy go skazać na karę pozbawienia wolności, a co najważniejsze, należy na zawsze odebrać mu prawo wykonywania zawodu adwokata.

Kiedy usiadł, w sądzie panowała całkowita cisza. Nikt nie patrzył na Ulva Garmanna. Spojrzenia wszystkich, nawet sędzi Ewy Granheim, podążyły za palcem wskazującym prokuratora. Patrzyli na mnie. I mimo tych licznych okazji, kiedy sam korzystałem w sądzie z podobnych trików oraz aktorskich zagrywek, miałem ochotę zniknąć, zapaść się pod ziemię, przepaść. Po okrutnej salwie Ulva Garmanna niemal czułem się winny.

– Możemy na chwilę przerwać, wysoki sędzie? – poprosił Rune Seim. – Muszę zapalić, a poza tym przydałoby się wywietrzyć smród siarki po kazaniu oskarżyciela.

Cichy, przynoszący ulgę śmiech gruchnął w ławkach.

– Dziesięć minut – powiedziała Eva Granheim surowo.

Ulv Garmann był niczym starotestamentowy prorok, Rune Seim natomiast przypominał miłego wujka lub dobrotliwego dziadka, gdy wstał, by zwrócić się do sądu. Rozejrzał się po sali smutnymi brązowymi oczami i pokręcił głową.

– Panie prokuratorze, przepraszam, jeżeli moja wypowiedź sprzed przerwy wydała się panu pozbawiona szacunku – zaczął,

a Ulv Garmann, który przez całą przerwę robił wrażenie rozwścieczonego, zmusił się do sztucznego, nieszczerzego uśmiechu.

– Nic się nie stało – rzekł. – Taka praca.

Rune Seim kiwnął głową i odwzajemnił uśmiech.

– To dobrze, to dobrze. Wymsknęło mi się, rozumie pan. Nie żebym nie zgadzał się z pańskim stanowiskiem. Nielojalni sędziy w wymiarze sprawiedliwości to zło, nie mam wątpliwości. A ci zdemaskowani zasługują oczywiście na karę. Nie powinni też dalej pracować w charakterze obrońców. Ani też oskarżycieli czy sędziów. – Znów się uśmiechnął i wzruszył ramionami, jakby chciał przeprosić za swoje słowa. – A więc ten odrobinę nieszczęśliwy komentarz wymsknął mi się nie dlatego, że nie zgadzam się z pana ogólną oceną, panie prokuratorze. Jednak siedząc tak i słuchając pańskiej mowy wstępnej, zacząłem się zastanawiać, czy aby nie zrozumiałem czegoś opacznie. Myślałem, że znaleźliśmy się tu dziś, by zdecydować, czy mecenas Mikael Brenne jest lub nie jest winny. Jednak pan brzmiał tak, jakbyśmy już, bez mojego udziału, zakończyli prezentację dowodów i rozpatrzyli kwestię winy, a teraz dotarli do wymierzania kary.

– Panie mecenasie! – mruknęła sędzia ostrzegawczo.

Rune Seim odwrócił się do niej.

– Tak, wysoki sędzie, wiem, że balansuję na krawędzi, ale skoro prokurator mógł się wypowiedzieć, myślę, że ja też powinienem mieć szansę zauważyć, że jego mowa wstępna, która powinna zawierać obiektywny przegląd dowodów w sprawie, w rzeczywistości była zgoła czymś innym. Moim zdaniem prokurator powinien trzymać na wodzy swoje moralne zaangażowanie, by nie powiedzieć – moralizatorstwo, do momentu, gdy rozpatrzymy kwestię winy.

– Myślę, że rozumiemy pańskie stanowisko, panie mecenasie – powiedziała Eva Granheim. Wyglądała na zmęczoną, jakby już znudziła ją ta sprawa. – Ma pan coś jeszcze do dodania?

– Tylko to – rzekł Rune Seim – że kiedy w najbliższych dniach będziemy prezentować dowody, chciałbym, aby sąd stale pamiętał o jednym pytaniu. A tym pytaniem jest: „Dlaczego?”. – Odkaszlnął, zerknął w papiery, po czym kontynuował. – Dlaczego Mikael Brenne miałby zrobić to, o co został oskarżony? Prokurator poruszył tę kwestię. Twierdzi, że Mikael Brenne chciał wygrać sprawę. Miałby zatem zlecić brutalną napaść na świadka, by wygrać sprawę karną. Ale to przecież żadne wyjaśnienie! W rzeczywistości to stwierdzenie rodzi jeszcze więcej pytań. Przecież to nie Mikael Brenne był oskarżony, lecz Hans Mikkelsen. Brenne był tylko obrońcą.

Łyk wody. Pauza.

– Można zadać pytanie, czy obrońcy nie chcą wobec tego wygrywać spraw. I jako obrońca, który pół życia przepracował w tym sądzie, odpowiem: „Tak, chcemy”. Bardzo chcemy wygrywać sprawy. Ale na ogół nam się to nie udaje. Większość spraw przegrywamy, i tak już ma być. Zanim policja przedstawi akt oskarżenia i zwróci się do sądu, powinna mieć dość dużą pewność, że posiada wystarczające dowody. To, że przegrywamy większość spraw, oznacza jedynie, że prokuratorzy dobrze wykonują swoją pracę.

Uśmiechnął się do sędziów, po czym wzruszył lekko ramionami.

– Dlatego przywykliśmy do przegrywania spraw. Więc chociaż chcemy wygrywać w sali sądowej, to – i tu zdradzę państwu tajemnicę zawodową – nie miewamy nieprzespanych nocy z powodu przegranych batalii. Tak już musi być. Wszystkich

obrońców pyta się, dlaczego reprezentują złodziei, morderców i gwałcicieli. Istnieje wiele odpowiedzi, lecz jedną z nich jest to, że nie identyfikujemy się z naszymi klientami.

Znów wzruszył ramionami, po czym rozłożył ręce.

– Ale muszę coś wyznać. Jest pewien motyw, który czasami sprawia, że obrońcy przekraczają granicę, łamią zasady i nadużywają zaufania, którym są obdarzeni. Chodzi o pieniądze. Rywalizacja o klientów jest zaciekle, a klient oznacza dla adwokata pieniądze. Obrońcy podkradają sobie klientów, zdarza się też, że młodzi, ambitni lub może niezbyt utalentowani adwokaci czasami chadzają na skróty i łamią zasady, by wygrać sprawę. Ale Mikael Brenne?

Od wolnego kręcenia głową zatrzęsły mu się policzki.

– Później przedstawię statystyki, ale najpierw proszę pozwolić, że jeszcze coś powiem: jako adwokat Mikael Brenne był człowiekiem sukcesu. Miał wielu klientów. W momencie aresztowania miał na swoim koncie wiele ważnych, dużych spraw, w tym głośne przypadki zabójstw, co stanowi ostateczne potwierdzenie klasy obrońcy. Brenne nie był żółtodziobem pnącym się po szczeblach kariery. Nie musiał iść na skróty, aby osiągnąć sukces. On już go osiągnął. Dlaczego miałby to zrobić? Nie wiem. Wiem tylko, że prokurator musi przedstawić lepszy motyw niż ten wspomniany, jeżeli Mikael Brenne ma zostać uznany za winnego.

Ulv Garmann wyglądał, jakby dopadła go migrena. Siedział wpatrzony w blat stołu, pocierając czoło, a ja pomyślałem, że to dobry znak.

– Dobrze ci poszło – powiedziałem do Runego Seima. – Znakomicie.

Naprawdę tak myślałem. Był dobry, lepszy, niż sądziłem, lecz

jednocześnie wiedziałem, że wcale mi to nie pomoże. Norweskie prawo nie wymaga udowodnienia motywu sprawcy. Może to i dobrze. Po fakcie przestępstwa, mierzone bezwzględną miarą mądrości po szkodzie, wydają się w większości idiotyczne, nieprzemyślane lub wręcz kompletnie irracjonalne. Rzadko ratuje to sprawców przed wyrokiem. Wiedziałem, że mnie też nie uratuje. Potrzebne mi było coś więcej. Potrzebny mi był cud.

ROZDZIAŁ 58

Déjà vu – tę francuską nazwę nosi nieco przerażające uczucie, że historia się powtarza. Tak właśnie czułem się po lunchu. Ulv Garmann zacięcie, lecz cicho dyskutował z policjantem na korytarzu prowadzącym do sali sądowej. Następnie podszedł do nas, zupełnie mnie zignorował i zwrócił się do Runego.

– Będziemy mieć opóźnienie.

– Dlaczego?

– Poszkodowana się nie zjawiała.

– Gerd Garshol?

– Zgadza się. Wysłałem patrol, żeby jej poszukał. Sędzia tymczasowo nas zwolniła.

– Co jest, Mikaelu? Jesteś biały jak ściana. – Rune Seim popatrzył na mnie trochę zdziwiony. – Źle się czujesz?

Pokręciłem głową.

– Nie, ja... Poprzednim razem też tak było.

– Jak to?

– Nie zjawił się świadek. Od tego się zaczęło.

– Nie sądzisz chyba, że ktoś... chyba nie myślisz, że może się stać to samo? Przecież to w ogóle nielogiczne. Co ktoś miałby w ten sposób osiągnąć?

– Nie wiem.

Zastanowił się, po czym zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie, Mikaelu, to paranoja. Przecież to zdarza się ciągle. Świadkowie tracą rachubę czasu, mogą zaspać, mieć kaca, cokolwiek, przecież sam wiesz.

– Oczywiście – przyznałem, lecz nadal byłem niespokojny.

Dzwonek rozległ się dopiero po drugiej po południu. Kiedy weszliśmy do sali, Gerd Garshol siedziała już na swoim miejscu.

Była niewysoką, nieco krągłą kobietą po pięćdziesiątce, ubraną w ciemnozielony wełniany płaszcz, zapięty aż pod samą szyję. Na kolanach trzymała małą torebkę, którą stale się bawiła – słyszałem irytujące klikanie zatrzasku. Patrzyła prosto przed siebie, nie rozglądała się na prawo ani na lewo, kiedy salę powoli wypełniali ludzie. Dopiero gdy weszli sędziowie i dobiegło ją szuranie krzeseł, zerknęła w zakłopotaniu na wszystkich wstających i sama wolno się podniosła.

Złożyła przysięgę tak cichym głosem, że trudno było cokolwiek usłyszeć. Gdy skończyła, sędzia spojrzała pytającym wzrokiem na Garmanna.

– Panie prokuratorze, co było przyczyną spóźnienia?

Wzruszył ramionami.

– Świadek przebywała u swojej siostry, wysoki sędzie.

Sędzia skupiła uwagę na Gerd Garshol.

– Otrzymała pani wezwanie do sądu, prawda?

– Tak.

– Więc dlaczego się pani nie stawiła?

– Ja... byłam tak... Nie chciałam.

– Pani Garshol, to nie do pani należy wybór. Świadek ma obowiązek stawić się na rozprawie. W przeciwnym wypadku może, jak się pani przekonała, zostać doprowadzony przez policję.

Gerd Garshol zaczęła płakać. Eva Granheim popatrzyła na nią z tym szczególnym wyrazem twarzy, jaki niektóre panie rezerwują dla innych przedstawicielek swojej płci, nie do końca odpowiadających standardom właściwym dla nowoczesnej kobiety.

– Dlaczego pani płacze, pani Garshol?

Ciche chlipanie przeszło w szloch. Eva Granheim przewróciła oczami.

– Panie prokuratorze – powiedziała. – To pański świadek. Proszę bardzo.

Ulv Garmann miewał już w sądzie wszelkiej maści świadków: zmieszanych, głupich, agresywnych i zrozpaczonych. Płacząca kobieta nie zbiła go z pantałyku. Wstał, przeszedł przez salę i położył dłoń na ramieniu Gerd Garshol.

– Wszyscy rozumiemy, że trudno było pani tu dzisiaj przyjść.

Szloch i pociąganie nosem.

– Ale mogę panią zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Proszę się tylko nie spieszyć. Potrzebujemy pani pomocy, jeżeli osoba, która zleciła napaść, ma zostać ukarana.

Pociągnięcie nosem.

– Może zaczniemy powoli, od pani związku z Gustavem Niemannem? Gustav jest pani partnerem, czyż nie?

– Był nim. – Dalej pociągała nosem. Otworzyła torebkę, wyjęła chusteczkę i wydmuchała nos.

– Okej. Proszę powiedzieć nam, jak pani poznała Niemanna?

Zaczęli. Gerd Garshol opowiedziała wzruszającą historię o spotkaniu przy bingo i stopniowym rozwoju związku.

– Wiedziała pani wtedy, czym się zajmował?

– Rachunkowością.

– Oczywiście. Ale czy wiedziała pani, dla kogo pracował i co robił jego pracodawca?

– To znaczy, czy był przestępcą?

– Właśnie. Proszę powiedzieć, jak się pani o tym dowiedziała i co się stało?

Ulv Garmann powoli prowadził ją przez całą historię. Przerywał jej ostrożnie, gdy za bardzo wchodziła w szczegóły, zadawał pytania dodatkowe, gdy coś pominęła, i robił stosownie krótkie przerwy za

każdym razem, gdy zbierało jej się na łzy. Szło dobrze, dopóki nie doszła do samej napaści. Wtedy znów zanosła się płaczem.

– Krótka przerwa, wysoki sędzie? – poprosił i dostał zgodę.

Nie wiem, co jej powiedział podczas tej przerwy, ale w każdym razie pomogło. Kiedy znów zaczęliśmy, Gerd Garshol przedstawiła zadziwiająco jasną i spójną relację z tego, jak, niczego nie przeczuwając, otworzyła potężnemu, obcemu mężczyźnie z kucykiem, który zadzwonił do drzwi pewnego przedpołudnia. Gdy tylko uchyliła drzwi, mężczyzna wdarł się do środka z taką siłą, że odrzuciło ją w tył, aż uderzyła w ścianę. Zamknął za sobą i zaczął ją maltretować.

– Byłam... byłam przekonana, że umrę – powiedziała. – Bił mnie i kopał, bez przerwy. I... miałam wrażenie, jakby nic to dla niego nie znaczyło. To znaczy nie był zły ani podekscytowany, nic z tych rzeczy. Po prostu wykonywał pracę, zadanie. Jakby... no nie wiem... jakby malował dom czy coś takiego.

Rozejrzała się bezradnie wokół, jak gdyby szukając pomocy w zrozumieniu niepojętego, tego, że ludzie mogą tak wobec siebie postępować. Wszyscy spuściliśmy wzrok.

– I zniszczył moje kotki.

– Kotki?

– Porcelanowe kotki. Zbierałam je, a on je potłukł.

– Mówił coś? – zapytał Garmann.

– Nie.

– Nic?

– Nazwał mnie... Brzydko do mnie mówił. Nie mam ochoty powtarzać tutaj tych słów.

– W porządku, może to pani pominąć. Ale czy powiedział, dlaczego panią bije?

– Nie, ale wiedziałam dlaczego.

– Ach tak? Dlaczego?

– Ponieważ Gustav miał zeznawać jako świadek.

– Gustav Niemann miał zeznawać jako świadek?

– Tak, w sprawie Hansa Mikkelsena. Greka. To było ostrzeżenie. Wiadomość dla Gustava, żeby nic nie mówił.

– Skąd ta pewność?

Udzieliła tej samej odpowiedzi, która niegdyś padła z ust Gustava Niemanna, poparta równie nieodpartą logiką.

– Co innego mogłoby to być? Z jakiego innego powodu ktoś miałby mnie tak pobić?

– Panie mecenasie – odezwała się Eva Granheim. – Pytania?

Drgnąłem, odruchowo otworzyłem usta, by zaraz zdać sobie sprawę, że to nie do mnie mówiła.

– Dziękuję – rzekł Rune Seim, po czym wstał. – Tylko kilka. Chciałem jedynie zapytać, czy widziała pani wcześniej tego mężczyznę – powiedział, wskazując mnie. – Proszę przyjrzeć się mojemu klientowi. Widziała go pani kiedyś? To znaczy, oprócz gazet?

– Nie.

– Czy Gustav o nim mówił?

– Nie.

– A napastnik? Czy wspomniał mecenasa Brennego?

Pokręciła głową.

– Rozumiem, że oznacza to „nie”. Czy z jakiegoś powodu uważa pani, że Mikael Brenne odpowiada za napaść na panią? Bardzo proszę o odpowiedź, pani Garshol. To moje ostatnie pytanie. Ma pani powody, by tak sądzić?

– Nie.

– Dziękuję. Poza tym, tak dla porządku, rozumiem, że nie jest już pani w związku z Gustavem Niemannem?

– Zgadza się. Po tym, co się stało, bardzo się wystraszyłam. Pomyślałam, że ludzie, dla których pracowałam, mogą wrócić. Nie mogłam spać, kiedy z nim byłam, leżałam tylko, nasłuchując. W końcu... w końcu powiedziałam, że już nie dam rady. – Znów zanosła się płaczem. – Mieliśmy się pobrać – szlochała. – Mieliśmy się pobrać w sierpniu.

Wieczorem zadzwoniłem do Petera.

– Jak się masz?

Nie odpowiedział.

– Jak rozprawa, Mikael? – zapytał za to.

– W porządku.

– Zeznawałeś już?

– Nie, dopiero jutro. Ale posłuchaj, Peter, muszę cię prosić o przysługę. Musisz coś dla mnie sprawdzić w kancelarii.

Chwila milczenia.

– Chyba już nigdy nie pójde do kancelarii, Mikael.

– Tak. Rozumiem. Ale wystarczy jeden twój telefon.

Następnie wyjaśniłem, o co mi chodzi.

Później zastanawiałem się, czy uda mu się to zrobić. Jego głos w słuchawce wydawał się słaby i odległy, jakby Peter znajdował się gdzieś na końcu świata. Zresztą może tak właśnie było.

ROZDZIAŁ 59

– Tak – powiedziałem tak cicho, że musiałem powtórzyć. Wargi, policzki – cała moja twarz zdawała się sztywna i dziwnie odrętwiała. Potarłem ją dłońmi i sędzia posłała mi nieco zdziwione spojrzenie. Właśnie zapytała, czy wiem, że nie zeznaję pod przysięgą, lecz mimo to muszę zeznawać zgodnie z prawdą.

Po kilku wstępnych pytaniach, na które zasadniczo odpowiedziałem przecząco, straciła zainteresowanie.

– Może najlepiej będzie, jeśli pan, panie prokuratorze, zajmie teraz głos. To pan zna fakty – stwierdziła, a Ulv Garmann skinął głową na znak zgody i wyprostował się na krześle.

Wyglądał jak zawsze w sądzie. Śnieżnobiałe mankiety wystawały spod togi. Czarne, świeżo wyczyszczone buty. Granatowy krawat. Miał mocne czarne włosy, jedynie lekko przyprószone siwizną na skroniach, chociaż byliśmy w podobnym wieku. Zastanawiałem się, czy je farbuje.

– Cofnijmy się w czasie o pół roku, panie Brenne – rzekł i tym samym zaczęliśmy. Garmann pytał najpierw o Greka, a następnie o Gustava Niemanna i Gerd Garshol. Wolno i metodycznie tworzył obraz sprawy i zamieszanych w nią osób oraz tego, o co toczyła się gra. Był systematyczny, precyzyjnie formułował wypowiedzi, a ja znałem go dość długo, by wiedzieć, że za pozbawioną wyrazu twarzą kryje się znaczna inteligencja. Ta świadomość czyniła mnie ostrożnym, może zbyt ostrożnym. Czułem, że odpowiadam z odrobiną za dużą rezerwą, trochę sztucznym tonem. Zerknąłem na Runego Seima i zobaczyłem, że nie jest do końca zadowolony. Zrobiliśmy krótką przerwę. Rune poprosił, żebym się odprężył, a ja bez słowa kiwnąłem głową. Po przerwie w centrum uwagi znalazł się Morten Ålekjaer.

– Znał pan wcześniej Ålekjaera, panie Brenne?

– Byłem adwokatem klubu motocyklowego, do którego należał, ale nie skojarzyłem jego nazwiska, kiedy ponownie je usłyszałem.

– Ilu członków liczył ten klub?

Wzruszyłem ramionami, rozkładając ręce.

– Nie pamiętam. Nie wiem, czy kiedykolwiek miałem takie informacje.

– Według moich policyjnych źródeł członków było około piętnastu. Jak pan myśli, czy to prawdopodobne?

– Całkiem. Jak powiedziałem, nie wiem.

– Ale nie pamięta pan Mortena Ålekjaera?

– Nie z tamtego czasu.

– Czy kiedykolwiek był u pana w biurze?

Zawahałem się chwilę.

– Nie wiem. To znaczy, jak mówiłem, nie pamiętałem go, ale z moich notatek z tamtej sprawy wynika, że był.

– Właśnie. Ile razy?

– Chyba trzy.

– Tak też podają dokumenty. Był u pana trzy razy. Ilu innych członków klubu brało udział w tych spotkaniach?

– Chyba czterech.

– To również zgadza się z protokołami. Czterech innych członków. Te same pięć osób uczestniczyło we wszystkich trzech spotkaniach.

– Tak na pewno było.

– I nie pamiętał pan Ålekjaera?

– Nie.

– Czy spotkał się pan z nim albo rozmawiał z nim wiosną lub wczesnym latem tego roku?

- Nie.
- Jest pan tego pewien?
- Całkowicie.

Wyglądał na zadowolonego, a ja wiedziałem, z jakiego powodu. Dokładnie takiej odpowiedzi potrzebował, aby ukazać mnie jako kłamcę. Najpierw skonfrontował mnie z billingiem telefonicznym, z którego wynikało, że Morten Ålekjaer do mnie dzwonił. Później przeszedł do spotkania, które rzekomo miało miejsce w noc świętojańską, oraz do dokładnego opisu mojego stroju, jaki przedstawił Ålekjaer. Wierciłem się na krześle, cały spocony, prawie cały czas odpowiadając jedynie „nie” albo „nie wiem”.

Sędziowie zapalczywie notowali. Eva Granheim uniosła brwi, jak gdyby zastanawiała się, czy to wszystko, na co mnie stać, biorąc pod uwagę całe moje sądowe doświadczenie. Ale nie miałem wyboru, nie mogłem odpowiadać inaczej. Było zbyt późno, by zacząć konstruować zeznania. Na swoją obronę miałem jedynie prawdę.

Garmann przeciągał moją mękę najdłużej, jak potrafił. W najważniejszym momencie, kiedy sędziowie zaczęli się lekko niecierpliwić, zamknął leżącą przed nim teczkę z dokumentami na znak, że zaraz skończy.

– Proszę odpowiedzieć jeszcze na jedno ostatnie pytanie, panie Brenne. Dlaczego Morten Ålekjaer miałby zrzucić na pana winę, jeśli nie była to prawda?

- Nie wiem. Może żeby...
- Żeby co?

Poruszyłem się niespokojnie.

- Żeby kryć prawdziwego zleceniodawcę.
- Ach tak? Ale jeśli to prawda, wszystko to musiało być przecież z góry zaplanowane, czyż nie? Chyba ten telefon do pana i opis

pańskiego stroju nie były czystym przypadkiem?

– Nie. Ktoś musiał to zaplanować.

– A więc innymi słowy sądzi pan, że to spisek.

Skinąłem głową.

– Tak.

– Co pan powiedział, panie Brenne? Proszę mówić głośniej.

– Zgadzam się, że to spisek.

– A ma pan jakąś teorię, kto mógł chcieć panu zaszkodzić?

Musiał pan o tym sporo myśleć przez ostatnie miesiące.

Nagle miałem już dość tej gry. Miałem dość cienia ironii w jego głosie i wiecznie uniesionych brwi, wyrażających uprzejmy sceptycyzm, miałem dość bycia wodzonym za nos jak jakiś głupek i po raz pierwszy w ciągu tego długiego dnia straciłem na chwilę kontrolę.

– Tak, myślałem o tym – potwierdziłem. Słyszałem, że mówię za głośno i że mój głos leciutko drży. – Przez ostatnie pół roku prawie nie myślałem o niczym innym. Ale nie wiem, kto to zrobił. To mógł być ktokolwiek, kto mnie nie lubi. Na przykład pan.

– Tutaj nie chodzi o to, czy ja pana lubię, czy nie, panie Brenne. Właściwie to nie mam nic przeciwko panu. – Uśmiechnął się, a w jego uśmiechu widać było ślad smutku, jakby mnie żałował albo jakby ciążyły mu obowiązki. – Ale nie podoba mi się to, co pan zrobił.

Choć raz z łatwością dało się odczytać wyraz oczu Ulva Garmanna. Widziałem, że jest zadowolony, i to bardzo, czemu nie mogłem się dziwić. Publicznie przybił mnie do krzyża; gdybym nie był tak odrętwiały, pewnie poczułbym ból.

Rune Seim wstał, ciężko i wolno.

– Przypuszczam, że prokurator skończył – powiedział, po czym

zaczekał na potwierdzające skinienie głową Garmanna. – Jeżeli sąd pozwoli, swoje pytania zadam oskarżonemu w późniejszym terminie.

ROZDZIAŁ 60

Po obiedzie poszedłem do kancelarii. Nie dlatego, że musiałem czy miałem tam coś szczególnego do załatwienia, ale ponieważ nie wiedziałem, co innego mógłbym robić. W maleńkim biurze wszędzie wałały się dokumenty i brudne filiżanki po kawie. Zabrałem się do sprzątanania. Odkładałem dokumenty do teczek i segregatorów, wyrzucałem żółte karteczki i niezrozumiałe dla mnie samego notatki, śmieci, które w zadziwiająco krótkim czasie uzbierały się na moim biurku. W szufladzie pani Sørensen znalazłem foliowe worki, które wypełniłem odpadkami. Miałem wrażenie, jakbym pakował się przed wyjazdem na stałe, i trochę tak było. Wiedziałem, że po wyroku skazującym nie będę dla Synne szczególnie pomocny.

Później wyniosłem wszystkie brudne filiżanki do małej kuchenki za recepcją. Gdy przyszła Synne, zmywałem. Zatrzymała się w drzwiach i popatrzyła na mnie zdumiona.

– Zmywasz?

– Jak widzisz.

– Rany, Mikael, nie sądziłam...

– Co?

– Nie sądziłam, że wiesz, jak się to robi.

Kiedy skończyłem, wytarłem ręce i poszedłem do jej gabinetu.

– Nad czym pracujesz?

– Aron Sørvik. Powinnam w tym tygodniu dokończyć wniosek o wznowienie jego sprawy.

– Skąd ten pośpiech?

– Bo w tym tygodniu mam czas. Od poniedziałku same rozprawy, jedna za drugą. A ty? Dlaczego tu jesteś?

– No, ja tylko... wiesz... nosiło mnie i pomyślałem, że równie

dobrze mogę posprzątać biuro.

– Właściwie dobrze się składa. Możesz mi pomóc z wnioskiem. W końcu to ty znasz najlepiej tę sprawę.

Odpowiadało mi to. Nie miałem nic innego do roboty, a już lepiej zająć się pracą, niż myśleć o własnym procesie. O nadciągającej katastrofie.

Przez kilka godzin pracowaliśmy w skupieniu. Najpierw razem ułożyliśmy plan wniosku. Później ja zacząłem pisać wstępną wersję, podczas gdy Synne przeszukiwała teczki w poszukiwaniu dokumentów do załączenia. Chwilę trwało, zanim się rozkręciłem, ale gdy już się wgryzłem, szło dobrze. Synne zajrzała do mnie po dwóch godzinach.

– Kawa u mnie?

– Pobrudziłaś kolejne naczynia? – zapytałem z wyrzutem, ale wstałem, rozprostowałem zeszywniałe mięśnie i poszedłem do jej pokoju.

– Myślę o tym brakującym przesłuchaniu – odezwała się.

– Co? – Moje myśli zajmowały zupełnie inne sprawy.

– To małżeństwo... wiesz, o kogo mi chodzi, ten ornitolog i jego żona...

– Wiig-Sørensenowie.

– Właśnie. Czy aby na pewno ich przesłuchiwano?

– Jak to?

– No cóż... Mamy jedynie słowo pani Wiig-Sørensen, że tak było.

– Dlaczego miałyby kłamać?

– Nie mam pojęcia. Po prostu głośno myślę. Cholernie dziwna sprawa z tym protokołem, który rozpląnął się w powietrzu, a my przecież nic nie wiemy o tych ludziach, prawda? Przecież nikt nie pamięta ich ze sprawy. Właściwie musimy wierzyć tej kobiecie na

słowo, że w ogóle byli wtedy na Vestøy.

Poszedłem do swojego pokoju i wróciłem z fotografiami.

– Proszę – powiedziałem, podając Synne jedyne zdjęcie, na którym nie dominował orzeł. – To zdjęcie bez wątpienia zrobiono na Vestøy. Popatrz na datę i godzinę. Mniej więcej wtedy zabito Anne.

– A ta goła babka ukazująca swe wdzięki to nasza tajemnicza pani Wiig-Sørensen?

Straciłem cierpliwość.

– Tak. Ale o co ci chodzi, Synne? Sprawa jest rozwiązana, morderca się przyznał. Czego jeszcze chcesz?

Wzruszyła ramionami.

– Niczego. Tyle że właśnie piszę wniosek o wznowienie sprawy i mam problem z wyjaśnieniem zaginięcia protokołu z przesłuchania. To się po prostu nie trzyma kupy, Mikael. Protokołu nie było w aktach ani nie figurował w wykazie dokumentów... Jesteś pewien, że go tam nie wymieniono? Może został jakoś błędnie zapisany?

Wszystkie dokumenty w sprawach karnych są numerowane i odkładane na właściwe miejsce we właściwej teczce, w zależności od swojego charakteru. Zeznania świadków oznacza się tą samą cyfrą rzymską, a poza tym numeruje się je na bieżąco cyframi arabskimi.

– Nie. Wszystko sprawdziłem. Gwarantuję, że nigdzie go nie ma. Możesz oszczędzić sobie ponownych poszukiwań.

Jednak Synne już trzymała teczkę z przesłuchaniami świadków.

– Mhm. Masz rację. Tu go w każdym razie nie ma. Ale...

– Ale co?

– Sam zobacz.

Odstawiłem filizankę i obszedłem biurko, po czym zerknąłem

przez jej ramię na wykaz dokumentów. Nie zobaczyłem tam nic ciekawego.

– Co... – zacząłem, lecz mi przerwała.

– Popatrz tutaj – rozkazała, chwytając inną teczkę leżącą na blacie. – Jeżeli porównamy to na przykład z wykazem dokumentów dotyczących przeszukań, zobaczysz od razu.

Wykaz przeszukań był znacznie krótszy, ale nie ta różnica była najważniejsza. Ewidentnie dokumenty sporządziły różne osoby, w różnym czasie, różnym charakterem pisma i różnymi długopisami. Wykaz przesłuchań świadków był inny, a wszystkie pozostałe wpisy – identyczne. Ten sam charakter pisma. Ten sam długopis.

– Ktoś to przepisał.

– Tak.

– Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem, Synne. Z jakiegokolwiek powodu. Może oryginalna strona przypadkiem się podarła albo ktoś pobrudził ją kawą czy dżemem. Kto wie? Naprawdę nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

– No tak... Ale to dziwne.

Wyciągnęła ręce nad głowę i ziewnęła, a następnie popatrzyła z niezadowoleniem na sterty dokumentów.

– Boże, mam dość tego bałaganu. Brakuje nam miejsca na takie sprawy. Będę zadowolona, mogąc odesłać te papierzyska policji.

Komórka zawibrowała w kieszeni. Na wyświetlaczu zobaczyłem, że to Król Słońce, więc wstałem, aby odebrać we własnym gabinecie.

– Cześć, Karl Petter. Czego chcesz?

– Czego ja chcę? To ty kazałeś mi sprawdzić, czy Morten

Ålekjaer nie miał jakichś nierozwiązanych spraw karnych. Aż tak zramolałeś?

– Nie, nie, pamiętam. Znalazłeś coś?

– Tak. Trochę to dziwne. Posłuchaj...

Gdy skończył mówić, podziękowałem i rozłączyłem się. Później chwilę siedziałem i myślałem o informacjach od Króla Słońce. Nie potrafiłem w żaden sposób wyjaśnić tych faktów ani nigdzie ich dopasować. Potem pomyślałem o rozmowie, którą właśnie odbyłem z Synne, o zaginionym przesłuchaniu i przepisany wykaz przesłuchań. Głowa swędziała mnie jak szalona. Trapiło mnie coś jeszcze. Coś nieokreślonego. Coś, co powiedziała. Wstałem i wróciłem do Synne.

– Co takiego właśnie mi powiedziałaś?

– Co? Że to dziwne z tym przesłuchaniem?

– Nie, nie to. Ostatnie, co powiedziałaś, kiedy do mnie zadzwoniono.

Zastanowiła się.

– A, to! Nic ważnego. Tylko tyle że z chęcią pozbędę się tych wszystkich dokumentów, bo zagracają biuro.

Stałem, patrząc na nią z otwartymi ustami.

Miałem wrażenie, jakbym ujrzał świeżo zakwitły kwiat. Tak się czułem. Jakby płatki się rozwinęły, odsłaniając tajemny wzór, który dotąd tkwił w ukryciu. To było jak objawienie, eksplozja nagłego zrozumienia.

– Co jest? – zaniepokoiła się Synne. – Coś nie tak, Mikael? Żle się czujesz?

Tylko pokręciłem głową, tak zaskoczony powiązaniem, które wreszcie zacząłem dostrzegać, że nie potrafiłem od razu jej odpowiedzieć. A kiedy w końcu się odezwałem, spojrzała na mnie

jak na pomyleńca.

– To jak czarodziejska sztuczka – szepnąłem. – Jak magia. Wpatrujesz się ślepo w to, co jest na pierwszym planie, i w ogóle nie widzisz tła.

– Co? – zdziwiła się Synne, ale w nagłym pośpiechu nie mogłem jej nic wyjaśnić.

– Masz znajomego lekarza? Potrzebuję kogoś, kto da mi zwolnienie chorobowe. Tylko na jeden dzień. Mam coś do zrobienia.

ROZDZIAŁ 61

– Już pan wyzdrowiał, panie Brenne? – zapytała Eva Granheim uprzejmie.

– Tak – odparłem. – To była tylko infekcja żołądkowa. Nieprzyjemna, ale szybko minęła.

Siedziałem za niewielkim stolikiem dla świadków pośrodku sali rozpraw, gotów do dalszego zeznawania po dniu przerwy z powodu choroby. Tego dnia byłem bardzo zajęty. Czułem, jak żołądek ściska mi się z nerwów.

– Panie mecenasie – powiedziała Eva Granheim. – Proszę. Pański świadek.

Rune Seim lekko dotykał brzegu togi, także zdenerwowany, i nic dziwnego. Nie miałem czasu z nim porozmawiać. Nie wiedział, co go czeka. Zdążyłem jedynie zapisać na kartce pierwsze pytanie, jakie musiał mi zadać.

– Ee... wczoraj, nie, przedwczoraj, odpowiadając na pytanie prokuratora, stwierdził pan, że... – Zerknął na stół, pewnie żeby sprawdzić notatkę na kartce. – Że nie wie pan, kto dokładnie stoi za napaścią na Gerd Garshol.

– Zgadza się.

– Niech pan pozwoli, że raz jeszcze zadam to pytanie. Czy wie pan, kto stoi za napaścią na Gerd Garshol?

– Tak. Teraz już wiem.

Nagle w sali zapanowała całkowita cisza. Najdrobniejsze dźwięki, szuranie stopami, szepty – wszystko ustało.

– Proszę mówić – ponaglił Rune Seim. Następnie oparł się na krześle. Czekał. Wszyscy czekali.

– Zaczęło się od tego... – odezwałem się wolno, głosem tak zachrypniętym i niewyraźnym, że musiałem odchrząknąć

i spróbować ponownie. – Właściwie wszystko się zaczęło przed laty. Dla mnie jednak zaczęło się dopiero siedem miesięcy temu. To wtedy przyjąłem zlecenie Arona Sørvika. Jak wiadomo, został on skazany za dwa zabójstwa dokonane w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym. Moim zadaniem było sprawdzić, czy istniałby powód do wznowienia tej sprawy.

– Wysoki sędzie – powiedział Ulv Garmann cicho – to nie jest...

Eva Granheim nie spojrzała na niego. Patrzyła na mnie.

– Dam panu kilka minut, panie Brenne, w ciągu których musi pan wykazać, że ma to jakiegokolwiek znaczenie.

Nagle poczułem, że cały spływam potem.

– Policja dość prędko przesłała mi akta – kontynuowałem. – Kilka pudeł z dokumentami... Mimo to nie od razu zająłem się tą sprawą. Najpierw musiałem się skupić na innej. Chodziło o sprawę karną przeciwko Hansowi Mikkelsenowi, wielką, skomplikowaną sprawę, w której byłem obrońcą. Wszyscy państwo wiedzą, jak się skończyła. To dlatego tu dzisiaj jesteśmy. Gerd Garshol została napadnięta, a mnie aresztowano i oskarżono o zlecenie napaści. Trzy miesiące przesiedziałem w areszcie. Później dostałem pracę u mecenasa Bergstrøm. Kiedy chciałem odebrać ze starego biura dokumenty dotyczące sprawy z Vestøy, nie było ich tam. Jak się dowiedziałem, policja zabrała je tuż po moim aresztowaniu. Więcej się nad tym nie zastanawiałem.

Ulv Garmann wstał.

– Wysoki sędzie, tak nie można. Pan Brenne może tu siedzieć wiele dni i opowiadać anegdoty z przebiegu swojej wspaniałej kariery, a ja dobrze rozumiem, dlaczego chce zwrócić uwagę na sprawę z Vestøy. Jest znakiem jego triumfu, a mojej porażki. Ale nalegam: to zeznanie musi mieć dla nas jakieś znaczenie. Musimy

skupić się na oskarżeniu. To o tę sprawę tu chodzi.

– Panie Brenne? – zapytała Eva Granheim. Powinna właściwie zwrócić się do Runego Seima, bo to on był adwokatem, ale Rune Seim abdykował, stanął z boku, i wszyscy to widzieli.

– Wiem, że proszę o wiele – odezwałem się cicho – i całkowicie rozumiem, że nie jest łatwo dostrzec tu związek z oskarżeniem. Jednak to, co mówię, ma decydujące znaczenie dla sprawy. Sami się państwo o tym przekonają, jeśli wykażą odrobinę cierpliwości. – Spojrzałem sędzi w oczy. – Blisko dwadzieścia lat byłem prawnikiem, głównie obrońcą, i wierzę, że wykonywałem swój zawód w porządnym, sumiennym sposób. Nie zliczę, ile razy przemawiałem w tym sądzie, ale nigdy nie miałem w zwyczaju korzystać z tanich sztuczek czy bezsensownych manewrów w celu odwrócenia uwagi. Mam za sobą dwadzieścia lat dobrego sprawowania, wysoki sędzie, i walczę tutaj o życie. Zawodowe, ale też prywatne. Wysoki sędzie, potrzebuję dziesięciu minut, to wszystko. Proszę dać mi te dziesięć minut.

Ulv Garmann nadal stał. Otworzył usta, lecz Granheim go uprzedziła.

– Proszę kontynuować, panie Brenne. Na razie.

– Wysoki sędzie! – Głos Garmanna zdradzał wściekłość. Nigdy nie słyszałem, żeby tak się uniósł w sali sądowej, lecz Granheim odprawiła go machnięciem ręki.

– Słyszał pan, panie prokuratorze. Proszę usiąść.

– Jak już wspomniałem, nie zastanawiałem się nad tym, że policja zabrała akta sprawy z Vestøy. Kiedy przesłano mi je ponownie, zapoznałem się z nimi. Rezultat państwo znają, więc nie będę się nad tym rozwodził, lecz wrócę do mojej własnej sprawy.

– Najwyższa pora – mruknął cicho Garmann, ale go

zignorowałem.

– Byłem przekonany, że za napaścią na Gerd Garshol stał Hans Mikkelsen i że to on zrobił ze mnie kozła ofiarnego. Jako jedyna ze znanych mi osób miał motyw, żeby zastraszyć Gerd Garshol. Ale chociaż byłem pewien jego winy, nie dysponowałem najmniejszym dowodem. Kilka dni temu pojechałem do przyjaciółki Mortena Ålekjaera i przedyskutowałem z nią tę sprawę. Powiedziała, że na początku czerwca Ålekjaera odwiedził pewien mężczyzna, wyraźnie wyróżniający się na tle innych, którzy pojawiali się w ich domu. Pokazałem jej zdjęcia Hansa Mikkelsena, ale nie zidentyfikowała go. Wtedy chciałem się już poddać.

Wypiłem łyk wody ze szklanki, która stała przede mną na biurku.

– Jednak parę dni temu otrzymałem nową informację. Morten Ålekjaer był zatwardziałym przestępcą, mnóstwo razy odsiadywał wyroki w więzieniu. Ostatni raz skazano go w roku dwa tysiące czwartym, moim zdaniem niezwykle dawno. Zbadałem to i okazało się, że od tamtej pory prowadzono przeciwko niemu nie mniej niż dwanaście spraw. Spraw, które widnieją w systemie, w przypadku niektórych zakończono śledztwo, ale które z jakiegoś powodu nie trafiły do sądu. Wszystkie sprawy Ålekjaera zatrzymały się w miejscu. Pomyślałem, że to dziwne.

Poruszyłem się lekko na krześle i odkaszlnąłem.

– Dziwiło mnie także kilka innych kwestii. W sprawie z Vestøy brakowało protokołu z kluczowego przesłuchania. Odkryłem, że ktoś majstrował przy wykazie dokumentów, przy spisie treści, w którym powinno figurować to przesłuchanie. Ktoś go przepisał. Do tego dochodzi kwestia akt, które zabrano z mojego biura tuż po moim aresztowaniu. Czegoś takiego nie doświadczyłem nigdy

w całej mojej karierze. Jeżeli mija termin, policja przysyła pisemne przypomnienie o zwrocie wypożyczonych dokumentów, nikt nie wpada po nie tak po prostu. Dlaczego policji miałyby się spieszyć z odbieraniem akt starej, dawno rozwiązanej sprawy? Krótko mówiąc, istniało wiele drobnych tajemnic, lecz pozornie nie miały one jakiegokolwiek znaczenia lub wewnętrznego związku... – przechyliłem się przez stół – ...dopóki nagle nie zauważyłem wzoru, w jaki się układają. Wtedy od razu zrozumiałem, że może istnieć inny motyw napaści na Gerd Garshol, motyw zupełnie niezwiązany z Hansem Mikkelsenem. Tak naprawdę w ogóle nie chodziło tu o Hansa Mikkelsena i jego proces. Hans Mikkelsen, Gustav Niemann i Gerd Garshol byli jedynie postaciami drugoplanowymi, które cały czas zasłaniały prawdę. Bo prawda jest taka, że cały czas chodziło tutaj o podwójne zabójstwo z Vestøy.

Rozejrzałem się wokół. Rune Seim wyglądał, jakby całkiem pochłonęła go moja opowieść. Sędziowie słuchali w napięciu, z uwagą. Twarz Ulva Garmanna całkiem znieruchomiała, nie dało się z niej nic wyczytać.

– Anne Vestøy i Siri Jensen zostały zabite dwadzieścia pięć lat temu. Śledztwo prowadziło dwóch mężczyzn. Sierżant Gunnar Skeie oraz młody, zdolny i ambitny prawnik policyjny Ulv Garmann. Aron Sørvik miał wtedy osiemnaście lat, był dość dziwnym chłopakiem. Lokalna społeczność prędko wskazała go jako możliwego sprawcę. Z czasem śledczy nabrali przekonania, że mają właściwego człowieka. Po czterech dniach intensywnych przesłuchań Aron pękł i przyznał się do obu zabójstw. Wszyscy triumfowali, a zwłaszcza dość młody Ulv Garmann. To była jego pierwsza duża sprawa. Rozwiązał ją w rekordowym tempie, codziennie pokazywano go w prasie i telewizji. Musiało go to

odurzyć. Mało tego, wkrótce doszły go słuchy, że mógłby też poprowadzić tę sprawę w sądzie. Ulv Garmann rozpoczął swoją drogę na szczyt. Ale chociaż sprawę już po niecałym tygodniu można było uznać za rozwiązana, nie oznaczało to, że śledztwo dobiegło końca. Zostało jeszcze dużo pracy. W przypadku zabójstw śledztwo zawsze doprowadza się do samego końca. Nikt nie idzie na skróty, nie ryzykuje prostych rozwiązań. Dlatego przeprowadzono wszystkie zaplanowane przesłuchania, mimo że Aron się przyznał. I wtedy...

W sali rozległ się jakiś hałas. Przerwałem i odwróciłem głowę. Zawstydzony fotograf podniósł coś, co upuścił na podłogę. Nagle w jednym z rzędów ujrzałem Synne. Obok niej siedział Finn. Zabrzmiało zbiorowe mamrotanie, skrzypienie i szuranie wywołane zmienianiem pozycji na twardych ławkach. Wszyscy wstrzymali oddech, gdy mówiłem, i teraz skorzystali z okazji, by się poruszyć. Odczekałem, aż odgłosy ucichną, po czym podjąłem wątek.

– Wtedy pojawiło się małżeństwo Wiig-Sørensenów. Gdy doszło do zabójstw, mieszkali w namiocie na północnym krańcu Vestøy. Pan Wiig-Sørensen był ornitologiem z uniwersytetu, badaczem bielików. Robili zdjęcia. Mnóstwo zdjęć bielików, każde opatrzone datą i godziną. Policja otrzymała film, który prawdopodobnie miał potwierdzić niewinność małżonków. Jednak w tle na jednym ze zdjęć dało się dostrzec Arona Sørvika, mężczyznę, który przyznał się do zabójstw. Siedział w łodzi wiosłowej. Na zdjęciu zrobionym w miejscu i czasie, które dawały mu alibi na jedno z zabójstw.

Ściszyłem głos.

– Proszę pomyśleć, jaki szok i rozczarowanie przeżyli Ulv Garmann i Gunnar Skeie. Jaka to była dla nich katastrofa. Od dawna wychwalano ich sukces w mediach, a teraz cała sprawa

runęła jak domek z kart. Wszystko leżało w gruzach. Więc co zrobili?

Odczekałem, pozwoliłem, by sekundy powoli mijały. Nikt się nie ruszał. Ulv Garmann też.

– Powiem państwu, co zrobili. Odnotowali przesłuchanie, ale nie zdjęcia. Uniewinniający dowód w postaci fotografii został po kryjomu odłożony na dno kartonu i nikt nigdy o nim nie wspomniał.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Rune Seim zabrał głos. Nie było to chyba posunięcie taktyczne ani wyraz sprytu, po prostu pochłonęła go opowieść.

– Ale... ale czy ówczesny obrońca Arona Sørvika nie dotarł do tych zdjęć?

– Nie, dlaczego miałyby? Wiig-Sørensenowie nie zostali nawet podani jako świadkowie w sprawie, a przypuszczam, że z protokołu przesłuchania wynikało jedynie, że na zdjęciach były wyłącznie ptaki. Obrońca nie miał powodów, by się tym zajmować. Dla obrony Arona musiał to być kompletnie nieistotny szczegół.

– Tak, rozumiem – rzekł Rune Seim po chwili. – Ale jak im się to udało? Jak policjant i prawnik zdołali ukryć uniewinniający dowód? Przecież to umyślna pomyłka wymiaru sprawiedliwości.

– Nie wiem – powiedziałem. – Wydaje mi się jednak, że naprawdę byli przekonani o winie Arona.

– Ale zdjęcie...

– Przypuszczam, że włożyli w tę sprawę mnóstwo sił, a wina Arona stała się dla nich kwestią prestiżu, więc z psychologicznego punktu widzenia nie byli w stanie przyznać się do błędu. Poza tym chodziło też o ich przyszłość, prawda? Obaj byli ambitni, na fali sprawy z Vestøy mogli zrobić karierę. I tak się stało. Skeie został

starszym sierżantem, a Ulv Garmann prokuratorem rejonowym.

– Nadal nie rozumiem, jak to się łączy z naszą sprawą – odezwała się nagle Eva Granheim, lecz zauważyłem, że nie mówiła do prokuratora. Nawet na niego nie spojrzała.

– Już wyjaśniam – odpowiedziałem. – Po skazaniu Arona Garmann i Skeie wyparli, jak mniemam, całą sprawę ze świadomości. Do czasu, gdy pojawiłem się ja. Jestem pewien, że zarówno zdjęcia, jak i zeznania Wiig-Sørensenów znajdowały się wśród dokumentów dostarczonych mi wczesnym latem. Nie wiem, jak Ulv Garmann dowiedział się, że mi je wypożyczono. Na pewno stało się to przypadkiem, ale kiedy to odkrył, musiał wpaść w panikę. Jestem znany z dokładności, Garmann wiedział, że przeanalizuję papiery z lupą w ręku. Nagle ryzyko ujawnienia dawnych grzechów stało się ogromne. Taka demaskacja oznaczałaby koniec jego kariery, do tego hańbę, a może i więzienie.

Początkowo uratowało go to, że byłem w środku przygotowań do procesu Hansa Mikkelsena. Garmann liczył, że nie będę miał czasu na sprawę z Vestøy, zanim w tamtej nie zapadnie wyrok. Dawało mu to dość czasu na ułożenie planu i skontaktowanie się z Mortenem Ålekjaerem, by wcielić go w życie.

Plan był prosty. Na zlecenie Garmanna Morten Ålekjaer napadł na Gerd Garshol. Zadbał o to, aby sąsiedzi go ujrzeli, gdy uciekał z miejsca zdarzenia, oczywiście został aresztowany, a następnie wskazał mnie jako zleceniodawcę. Jako obrońca miałem pewien motyw, zresztą dla pewności Ålekjaer zadzwonił pod mój numer tuż przed napaścią. Dodatkowo śledził mnie w noc świętojańską, aby móc opisać, gdzie byłem i co miałem na sobie podczas rzekomego spotkania. Jak powiedziałem, był to prosty i dość elegancki plan, który idealnie zadziałał. Zostałem aresztowany, a więc przestałem

zawadzać, i Ulv Garmann mógł w spokoju zadbać o przewiezienie akt na policję, aby następnie zniszczyć niebezpieczne dowody i sfałszować wykaz dokumentów.

Pokręciłem głową.

– To było szaleństwo. Mógł zaryzykować, że nie odkryję zdjęć. A gdybym je odkrył, mógł po prostu stwierdzić, że przeoczył zdjęcie z Aronem, że popełnił przykrą pomyłkę. Nikt nie zdołałby dowieść, że zrobili to celowo. Ale Ulv Garmann to człowiek ambitny. Chciał dotrzeć na szczyt. Ubiegał się o stanowisko prokuratora krajowego i wiedział, że taki skandal zaprzepaści jego szanse. Więc zamiast liczyć, że nic się nie stanie, zrobił to, co zrobił. Właściwie myślę, że jest niespełna rozumu.

Nikt nie odezwał się ani słowem przez dłuższy czas po tym, jak skończyłem.

Oczy Runego Seima zaokrągliły się ze zdumienia i niedowierzania. Ulv Garmann, ciężko wsparty na krześle, siedział z pochyloną głową. Nie byłem pewien, czy tylko spogląda w dół, czy może zamknął oczy. Eva Granheim kilka razy otworzyła i zamknęła usta.

– Czy usiłuje pan mi powiedzieć, że to prokurator stoi za napaścią na Gerd Garshol? – odezwała się w końcu z niedowierzaniem w głosie.

– Tak.

Znowu zamilkła, po czym ewakuowała się na znajomy, bezpieczny teren.

– Czy ma pan jeszcze jakieś pytania, panie mecenasie? – zapytała, a Rune Seim drgnął. Przez moment wydawał się zdezorientowany, po czym pokręcił głową.

– Panie prokuratorze? Czy ma pan pytania do świadka?

Prokuratorze?

Cała wieczność minęła, nim uniósł głowę i popatrzył prosto na mnie. W jego oczach było coś dziwnego. Kompletnie pozbawione wyrazu, wyglądały jak puste dziury na tle bladej skóry.

– Tak. Tak, oczywiście, mam pytania – powiedział, po czym zamilkł.

– Panie prokuratorze? – ponagliła sędzia po chwili. – Miał pan pytania do świadka?

– Tak. Musiałem tylko... musiałem tylko zebrać myśli. – Nagle się zaśmiał. W tym śmiechu pobrzmiwał osobliwy ton, od którego włosy na karku stawały dęba. – Proszę posłuchać, Brenne, czy ma pan w ogóle jakiś dowód na potwierdzenie tej... tej bajki?

– Tak – odpowiedziałem. – Mam emerytowanego starszego sierżanta Gunnara Skeiego, który czeka na korytarzu. Chce zeznać pod przysięgą, co wtedy zrobiliście. Myślę, że przez wiele lat go to dręczyło.

Ulv Garmann gapił się na mnie, jakbym należał do nowej, nieznanej dotąd rasy.

– Mam też funkcjonariusza o nazwisku Knutsen. Może potwierdzić, że to pan poprosił go o zabranie z mojego biura akt sprawy z Vestøy oraz że otrzymał rozkaz dostarczenia pudeł panu. Analiza potwierdzi z pewnością, że wykaz dokumentów sporządzono niedawno, ale nie wiem, na ile precyzyjnie da się to określić. – Opróżniłem stojącą przede mnie szklankę z wodą. – Akta wszystkich nierozwiązanych spraw Mortena Ålekjaera znajdują się w pańskim biurze. Latami kurzyły się tam i nie zostały przedstawione sądowi. W rzeczywistości jego los zależał od pana. Na pewno bez trudu dało się go zmusić do zrobienia tego, co pan chciał. Poza tym wczoraj wieczorem raz jeszcze pojechałem do

przyjaciółki Mortena Ålekjaera, Randi, i pokazałem jej nowe zdjęcie. Wie pan, o które zdjęcie chodzi? To z artykułu, w którym napisano, że jest pan faworytem do stanowiska prokuratora krajowego. Od razu rozpoznała w panu nieznanego, który odwiedził Ålekjaera wczesnym latem. Na razie mam tyle dowodów, ale na pewno pojawi się ich więcej wraz z postępem śledztwa. Sam pan wie, że na ogół tak bywa.

Ulv Garmann miał dość. Wolno wstał z krzesła. Wszyscy wpatrywali się w niego, gdy zaczął odpinać guziki czarnej prokuratorskiej togi. Było ich wiele, więc trochę to trwało, ale – na ile widziałem – ręka mu nie drżała. Złożył togę i przewiesił ją przez oparcie krzesła. Potem wziął marynarkę leżącą na aktówce za krzesłem i ją włożył. Omiótł mnie wzrokiem, lecz chyba tak naprawdę mnie nie widział. Zdawało się, jakby spojrzenie utkwił gdzieś daleko. Przeczesał dłonią włosy, jakby chcąc upewnić się, że są dobrze ułożone, po czym, nie rozglądając się na prawo ani na lewo, wolnym, sztywnym krokiem ruszył do drzwi.

Wreszcie obudzili się fotografowie. Nie przejmowali się już obecnością sądu i nadal obowiązującym zakazem fotografowania. Trzaskały flesze. Ulv Garmann był blady jak trup, ciemnoniebieskie oczy wydawały się czarne na tle białej twarzy, ale szedł, jak gdyby nigdy nic, przez deszcz światła. Nie wiem, czy to przez wyraz jego oczu, czy może po prostu z powodu szoku, ale nikt nawet nie spróbował go zatrzymać, nikt też nie poszedł za nim, kiedy opuścił salę i cicho zamknął za sobą drzwi.

W którymś momencie, pośrodku chaosu, który potem nastąpił, Eva Granheim musiała zakończyć posiedzenie sądu, ale nikt się tym nie przejął. Przedarłem się przez hordeę przekrzykujących się dziennikarzy i mocno wyściskałem Runego Seima. Byli tam też

Synne i Finn, którzy poklepalili mnie po plecach.

– Wiedziałam – szepnęła Synne ze łzami w oczach. – Wiedziałam, że wymyślisz coś szalonego. Wiedziałam.

Później odezwał się Finn.

– Byłem pewien, że ci się uda, Mikael.

– A ja nie – odparłem. – Nie byłem ani trochę pewien.

Wszyscy się zaśmiali, ale taka była prawda.

– Widziałeś, jak szedł? – zapytała Synne. – Widziałeś jego spojrzenie? Wyglądał jak szaleniec. Prawie zrobiło mi się go żal.

– Mnie nie. Ulv Garmann sprawił, że zostałem aresztowany i upokorzony na oczach sądu. Teraz chciał to zrobić raz jeszcze. Zniszczył życie Arona i próbował zniszczyć moje. Ani przez sekundę nie było mi go żal. Chciałem, by jego upadek odbył się publicznie, w obecności widzów i prasy.

Synne spojrzała na mnie z trochę krzywym, dziwnym uśmiechem.

– Czasami mnie przerażasz. Mściwy człowiek z ciebie, Mikaelu Brenne.

Wzruszyłem ramionami.

– Oko za oko, ząb za ząb. Może zbyt często ostatnio odwiedzałem dom modlitwy.

Później udzielałem wywiadów. Synne organizowała kolejkę i pilnowała, by każdy otrzymał swój wydzielony czas.

– Bergstrøm & Brenne – słyszałem, jak mówi do oczekującej gromadki. – Firma adwokacka Bergstrøm & Brenne, proszę to zapisać.

Napotkałem jej spojrzenie i uśmiechnąłem się.

Trwało to kilka godzin, ale wreszcie się skończyło. Zostaliśmy sami w wielkim holu sądu, podczas gdy ludzie, którzy nie wiedzieli,

kim jesteśmy, przechodzili spiesznie, aby załatwić swoje codzienne sprawy. Wyjąłem komórkę z kieszeni, włączyłem ją i zobaczyłem, że wieść nie zdążyła się jeszcze rozejść. Miałem tylko jedną nieprzeczytaną wiadomość, więc otworzyłem ją bez zastanowienia.

– Cieszysz się, Mikael? – zapytała Synne, a ja usłyszałem jej słowa, lecz nie zrozumiałem ich sensu, ponieważ zdążyłem już odczytać krótką informację na wyświetlaczu.

– Peter nie żyje – powiedziałem.

ROZDZIAŁ 62

W kaplicy panował nieznośny zaduch. Poza tym pomieszczenie pękało w szwach. Zdjąłem płaszcz, ale nie było miejsca, aby odłożyć go na ławce obok, więc musiałem trzymać go na kolanach. Po mojej jednej stronie siedział Finn, a po drugiej Synne. Pociłem się w koszuli.

Dźwięk samotnych skrzypiec ucichł i zaczęliśmy śpiewać – trochę fałszujący, nieskładny chór osób nieprzywykłych do wykonywania psalmów. Ja mamrotałem, ale Finn śpiewał pełnym, lekko drżącym głosem starszego pana. Ukradkiem zerknąłem na Synne. W ogóle nie śpiewała, siedziała tylko ze spuszczoną głową. W dłoniach trzymała program mszy z kiepskiej jakości zdjęciem Petera na pierwszej stronie.

Wszystko wydawało mi się dziwne. Dobór muzyki, psalmy, pastor, który właśnie zaczął podsumowywać życie Petera. Powiedział, że był zdolnym prawnikiem. Dobrym mężem i ojcem.

Pewnie mówił prawdę, a jednak jego słowa nie miały nic wspólnego z człowiekiem, którego znałem. Był zdolnym prawnikiem, ale potrafił też mocno dać w kość. Bywał sardoniczny, arogancki i bezczelny. Bezwzględny w sądzie. Nieszczególnie dobrze znosił słabości innych, choć nie przeszkadzały mu własne. Nienawidził ludzi zbyt poważnie traktujących samych siebie. Był dobrym mężem, kiedy miał czas i możliwość, ale za dużo pracował. Był też dobrym ojcem, kiedy znalazł wolną chwilę. Lubił wypić. Prawdę mówiąc, lubił też zapalić skręta – ten zwyczaj został mu z szalonych czasów młodości. Niekiedy palił również drogie papierosy. Lubił ładne sekretarki. Miał znakomite poczucie humoru, ale niestety na ogół był to humor złośliwy. Sprawdzał się jako przyjaciel, z wyjątkiem tych sytuacji, kiedy zupełnie zawodził.

Pastor cały czas mówił. Nie mogłem uwierzyć, że właśnie w taki sposób mamy wspominać Petera. Unn musiała być w szoku, musiała zlecić komuś innemu zorganizowanie tej uroczystości, może jakimś krewnym Petera. Nie przepadał za swoją rodziną, z wyjątkiem jednego brata, który zmarł młodo. Ledwie widziałem czubek głowy Unn, która siedziała w pierwszym rzędzie, obok dwóch pozostałych braci Petera i ich żon. W ogóle się nie ruszała.

Uroczystość wolno posuwała się naprzód, a dla mnie stawała się stopniowo coraz mniej istotna i coraz bardziej absurdalna. Dałem upust swoim uczuciom, złoścąc się w duchu na pastora, liturgię i psalmy, lecz kiedy odwróciłem się do Finna, żeby coś mu szepnąć, zobaczyłem, że ma łzy w oczach, a jego wargi poruszają się w cichej modlitwie.

Nie chciałem płakać. Skupiłem się na tym, by nie płakać. Niedługo się skończy. Został tylko ostatni psalm, trochę skrzypcowej muzyki, a później trumna wolno zniknie w ziemi. „To absurd – pomyślałem. – Mechaniczna imitacja prawdziwego pogrzebu. Nie ma na co się złościć. Peter zmarł cztery dni temu, już od dawna go nie ma. To tylko przedstawienie teatralne”.

Poczułem, jak ciało Synne zadrżało obok mnie. Ktoś szlochał głośno i bez oporów, nie widziałem kto. Czułem stale narastający ucisk w brzuchu, piersi, głowie. Raz za razem przełykałem ślinę.

– Moje kondolencje.

– Dziękuję, że przyszedłeś.

Stałem w środku długiej kolejki i widziałem uśmiech Unn, który niepewnie jak cień pojawiał się na jej twarzy, gdy automatycznie powtarzała te same słowa wszystkim, którzy chwyтали ją za rękę lub obejmowali, w zależności od tego, jak dobrze ją znali. Przede mną w kolejce stali Hans Olav i Steinar. Nie widziałem ich od

miesiący. Hans Olav był na pół odwrócony i ukradkiem wysyłał SMS-y.

Gdy nadeszła moja kolej, Unn popatrzyła na mnie jak na obcego. Z bliska nie mogłem nie zauważyć sińców pod jej oczami, tylko częściowo zamaskowanych makijażem, i zmarszczek wokół ust, których chyba nie widziałem wcześniej. Miała załzawione, trochę nieobecne spojrzenie. Zastanawiałem się, jakich pigułek się nałykała, żeby przez to przejść, i ile ich było.

– Kondolencje, Unn. – Poczułem jej policzek, zimny, jakby zrobiony z plastiku.

– Dziękuję, że przyszedłeś.

Później była stypa w domu Unn, na którą poszliśmy, ponieważ czuliśmy, że musimy. Przyjaciele i rodzina wypełnili kuchnię jedzeniem. Piliśmy kawę, jedliśmy sałatkę z makaronem i ciastka. Ludzie cicho rozmawiali. Na początku stałem tylko z Finnem i Synne, ale z czasem zaczęli podchodzić inni prawnicy, aby z zażenowaniem wyrazić swoją radość z tego, że zostałem oczyszczony z zarzutów. Twierdzili, że cały czas byli przekonani o mojej niewinności i że wszyscy cieszą się z mojego powrotu do palestry. Ścisnąłem ich dłonie i dziękowałem, mówiąc, że nie mogę się doczekać powrotu do pracy. Synne wykrzywiła kącik ust.

– Teraz to przychodzą, szakale – szepnęła. – Ale kiedy potrzebowałeś wsparcia, to ich nie było.

– Nie szkodzi – odparłem. – Niczego innego nie można się było spodziewać. To żadni bliscy przyjaciele, tylko koledzy i znajomi.

Skinęła głową, ale nie dała się przekonać.

Hans Olav nie podszedł do mnie, Steinar też nie. Zupełnie mnie zignorowali.

Unn gdzieś zniknęła. Jej siostra powiedziała, że odpoczywa na

górze. Wtedy zapytałem o dzieci, a ona wyjaśniła, że są u babci, razem ze swoim kuzynostwem.

– Wszystko u nich w porządku? – spytałem.

Popatrzyła na mnie jak na idiotę.

– Nie, jasne, że nie. Ale jesteśmy dużą rodziną, w której liczą się ciepło i bliskość. Dadzą sobie radę.

Wyszedłem na taras, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Stali tam palacze, a wśród nich Rune Seim, chociaż próbował ograniczyć liczbę wypalanych papierosów. Zamachał do mnie, zapraszając mnie do grupki, która trzęsła się z zimna. Górną wargę miał wypchaną porcją snusu^[1].

– Jak się masz, Rune?

– Słyszałeś o Ulvie Garmannie?

– Nie. Masz jakieś wieści?

– Tak. Znaleźli go na trasie do Kvamskogen. Zjechał z drogi prosto na osypisko położone pięćdziesiąt metrów niżej. Pewnie niełatwo było dostrzec wrak z drogi.

Zamilkliśmy.

– Wypadek? – rzucił młody adwokat specjalizujący się w prawie spółek, a Rune Seim wzruszył ramionami.

– Mówią, że na nawierzchni nie było śladów hamowania, ale kto wie?

– Dlaczego on to zrobił? – zapytał adwokat. – To znaczy, dlaczego ukrył dowody? Był zdolnym prawnikiem, prawda? Chyba i tak zrobiłby karierę?

Wszyscy spojrzeli na mnie, jakbym miał gotową odpowiedź. Pokręciłem głową.

– Nie wiem – powiedziałem. – Był ambitny. Może mu się spieszyło. Może był cynicznym draniem, który po trupach dążył do

celu. W każdym razie chciał pójść po moim trupie, by uratować siebie i swoją karierę... A może wszystko zaczęło się zupełnie inaczej. Możliwe, że tak samo jak Gunnar Skeie naprawdę był przekonany o winie Arona i za wszelką cenę chciał zapobiec jego kolejnym zabójstwom. Tak też mogło być.

Przez chwilę panowała cisza, po czym znowu przemówił młody adwokat. Najwyraźniej nie potrafił utrzymać języka za zębami.

– Ale co za upadek! Ze szczytów władzy w najgłębszą przepaść, i to dosłownie. Jak w starej greckiej tragedii. Biedaczyna.

Znów pokręciłem głową.

– Zasłużył na wszystko, co mu się przytrafiło. Jeżeli nie z powodu tego, co próbował zrobić mnie, to za to, co zrobił Gerd Garshol.

– Komu?

Nikt już jej nie pamiętał.

– Nieważne – odparłem.

[1] Popularna w Skandynawii używka na bazie tytoniu, przyjmowana doustnie przez umieszczenie pod wargą.

ROZDZIAŁ 63

Okazuje się, że łatwiej i szybciej jest stracić licencję adwokacką, niż ją odzyskać. Mój triumf trafił do wszystkich mediów, podobnie jak upadek i koniec prokuratora Ulva Garmanna. Nie było chyba w kraju osoby, która nie wiedziałaby, że padłem ofiarą spisku, nikt też nie wątpił w moją niewinność. Ale związkowi adwokatów to nie wystarczało. Aby w ogóle móc rozważyć przywrócenie mi tytułu adwokata, wymagali formalnego zakończenia sprawy karnej przeciwko mnie.

A sprawa się nie skończyła. Najpierw musiała wrócić z sądu do prokuratury. Trochę to trwało. Podejrzałem, że Eva Granheim nie do końca wiedziała, jak postąpić ze sprawą, w której prokurator został zdemaskowany jako właściwy sprawca, a następnie bez słowa opuścił salę rozpraw.

Gdy sprawa wreszcie dotarła do prokuratury, tam też musiała swoje odleżeć. Przypuszczalnie żaden z byłych kolegów Ulva Garmanna nie chciał albo nie miał siły się nią zająć. Bez końca ich ponaglałem, najpierw telefonicznie, później listownie, ale bez skutku. Wreszcie zadzwoniłem poskarżyć się Runemu.

– Spotkajmy się jutro o dwunastej pod prokuraturą – zaproponował.

Twarz prokuratora rejonowego Kihlberga nie wyrażała żadnych emocji, gdy się z nami witał, ale mówił tylko do Runego Seima, a nie do mnie.

– Oczywiście rozpatrzemy sprawę najszybciej, jak to możliwe – powiedział – jednak najpierw trzeba przekazać ją policji w celu przeprowadzenia dalszego śledztwa, a pański klient musi wziąć pod uwagę, że będzie rozpatrywana na równi z innymi sprawami.

Obiecałem Runemu Seimowi, że będę trzymał gębę na kłódkę,

ale od razu pękłem.

– Dlaczego nie odpowiadacie na moje pisma?! – warknąłem. – Zastanawiam się też, dlaczego, do jasnej cholery, nie patrzysz na mnie, kiedy mówisz, Kihlberg, ani nie używasz mojego nazwiska, tylko zachowujesz się, jakby mnie tutaj nie było. Mam niemal wrażenie, jakbym zrobił coś złego, a przecież nie zrobiłem. To prokurator z tego urzędu złamał prawo w większym zakresie, niż mógłbym sobie wyobrazić, to on wciągnął mnie w to bagno, próbował zniszczyć mi życie i karierę i był tylko o krok od tego, by mu się udało! Więc może trochę więcej kultury osobistej, co?

Gdy mówiłem, Kihlberg z wolna czerwieniał na twarzy i przez chwilę myślałem, że wybuchnie. W takim razie byłby to pierwszy raz, kiedy ktoś zobaczyłby, jak traci opanowanie. Jednak tak się nie stało. Zamiast tego pochylił głowę i wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Przepraszam, Brenne. Masz oczywiście rację.

Rune Seim odwrócił się do mnie.

– Obiecałeś, że dasz mi mówić, Mikael, ale z ust mi to wyjąłeś. Proszę posłuchać, panie Kihlberg. Chcę, aby sprawę przeciwko Mikaelowi umorzono do jutra do godziny dwunastej.

– Nie mogę w żaden sposób...

– W przeciwnym razie ten urząd raz jeszcze trafi na pierwsze strony wszystkich gazet w kraju, z zarzutem, że spowalniacie postępowanie w akcie zemsty przeciwko Mikaelowi Brennemu. Ponadto wystosuję roszczenie o odszkodowanie, które będzie opiewać na astronomiczną kwotę.

– Ale w ogóle tak nie jest...

– Może i nie, ale dziennikarzom spodoba się takie ujęcie sprawy.

– Wstał, ja również. – Aha, Kihlberg... jesteście to winni

Brennemu. Osobiście nie twierdzę, że spowalnicie sprawę, ale wyrządzono mu ogromną niesprawiedliwość, którą macie moralny i prawny obowiązek naprawić. – Rune mówił z autorytetem i powagą, o które go nie podejrzewałem. – Do dwunastej jutro. Umorzenie z uwagi na brak karalności czynu. Ani minuty później.

Umorzenie dostarczono mi do biura kurierem następnego dnia o jedenastej. Tydzień później odzyskałem licencję.

– Gratulacje – powiedziała Synne.

– Naprawdę chcesz tego, o czym mówiłaś wtedy w sądzie? – zapytałem. – Firmy Bergstrøm & Brenne?

– Jasne, że tak. Ale pewnie możesz sobie znaleźć bardziej renomowanych, a na pewno bogatszych wspólników, Mikael.

– Może i tak, ale nie lepszych. Tylko proponuję nazwę Brenne & Bergstrøm.

– W życiu! To moja firma. To ja ją założyłam, a teraz mogę łaskawie przyjąć cię jako wspólnika ze względu na dostateczną ocenę twojego zaangażowania na stanowisku asystenta prawnego w ciągu ostatnich miesięcy. Dlatego będzie Bergstrøm & Brenne.

Nadeszła zima, a wraz z nią ciężkie chmury i chłodny zachodni wiatr, na zmianę z padającym od czasu do czasu deszczem ze śniegiem. Czasami prószył sam śnieg, najczęściej wieczorem; wtedy świat na chwilę stawał się miękki, czysty i piękny. Śnieg topił się i zmieniał w pluchę, a potem znów przychodził mróz, który sprawiał, że wszyscy ślizgali się na cienkiej warstwie połyskliwego jak stal lodu. Później znad morza nadciągało niskie ciśnienie, deszcz spłukiwał gołoledź i cały cykl rozpoczynał się od nowa.

Pewnego dnia w moim biurze wylądował list. Otworzyłem go, a z nieopisanej koperty wypadły dwie proste kartki.

Drogi Mikaelu – głosił nagłówek jednej ze stron. – Gratuluję uniewinnienia i powrotu do pracy. Cały czas

w Ciebie wierzyłam – chcę, żebyś to wiedział. Tak mi przykro z powodu Petera. Na kilka dni przed śmiercią zadzwonił do mnie, prosząc o znalezienie dla Ciebie pewnej noty księgowej. Zrobiłam to, ale przez zamieszanie wokół jego śmierci i pogrzebu zapomniałam Ci ją wysłać. Mam nadzieję, że nie przysporzyło Ci to problemów. W każdym razie znajdziesz ją w załączeniu.

Uściski

Eva

PS Ze słów Petera wywnioskowałam, że się pogodziliście. Bardzo się z tego cieszę.

Szylid z napisem „Ula & Co” nadal wisiał na swoim miejscu, chociaż Petera już nie było. Podejrzewałam, że zostawią go w nadziei na to, że uda im się wykorzystać jego nazwisko. Chociaż szylid był dość nowy, stracił już swój blask, zmatowiał i zaśnieźniał, jak gdyby zima również na nim odcisnęła piętno. Znałem kod wejściowy, ale tym razem zadzwoniłem do drzwi.

– Tu Mikael Brenne. Chciałbym wejść na górę.

– Mikael! – Eva mnie uściskała. – Jak dobrze cię widzieć.

– Ciebie też, Evo. Dziękuję za list. Jak się miewacie?

Posmutniała.

– No wiesz... bez ciebie i Petera to nie to samo.

– Są w środku? Hans Olav i Steinar?

– Tak... – Zawahała się. – Jesteś umówiony?

Pokręciłem głową.

– Zajmę im tylko pięć minut. Powiedz, że to ważne.

– Zapytam – zgodziła się. Po chwili wróciła.

– Jeżeli możesz chwilę poczekać, to przyjmą cię za parę minut.

Rozsiadłem się wygodnie na kanapie i zacząłem czytać świeżą prasę, w przekonaniu, że będę musiał tak siedzieć dość długo. Tacy już byli – zawsze zaznaczali swój teren, cieszyli się drobnymi

zwycięstwami, radowała ich możliwość zadawania innym codziennych upokorzeń. Nie pomyliłem się. Zajęło im to prawie pół godziny.

– Mikael – przywitał mnie Hans Olav. – W czym możemy ci pomóc?

Nie wstał, żeby podać mi rękę. Z ciekawością rozejrzałem się wokół. Przejął mój stary gabinet. Zostawił biurko, ale poza tym wszystko się zmieniło. Fotel obity czarną skórą wyglądał na drogi, podobnie jak obrazy na ścianach. Bez wątplenia panował tam większy porządek niż za moich czasów.

– Cześć, Mikael – odezwał się Steinar. Oparł swój raczej szeroki tyłek o parapet.

Skinąłem im głową.

– Widziałem, że oddano ci licencję – zauważył Hans Olav. – Gratulacje, ale mam nadzieję, że nie chcesz prosić o powrót tutaj. Chociaż bardzo szanuję twoje umiejętności, to nasza firma zyskała nowy profil. Nie ma w niej już miejsca dla... powiedzmy... kowbojów.

Steinar prychnął.

Wolno pokręciłem głową.

– Nie, to nie dlatego tu jestem. I chyba masz całkowitą rację, Hansie Olavie, pewnie nie pasowałbym specjalnie do waszego nowego profilu.

Steinar zmarszczył brwi, trochę niepewny, czy ironizuję, ale Hans Olav pozostał niewzruszony. Popatrzył demonstracyjnie na zegarek.

– Czego chcesz, Mikael?

– Niedługo masz rozprawę Greka, prawda?

– Zgadza się, za trzy tygodnie. – Uśmiechnął się blado. – Chyba

nie powinieneś liczyć na to, że znowu będzie chciał mieć ciebie za obrońcę. Jak dotąd jest zadowolony ze swojego adwokata.

– Okej. Ale to trudna sprawa. Myślisz, że masz szansę ją wygrać?

– Myślę, że jest taka możliwość. – Ewidentnie się nudził. – Mikael, posłuchaj, naprawdę nie mam czasu...

– Może ci się udać tylko z jednego powodu. Nie grasz fair.

– O czym ty mówisz?

– Pewnego wieczoru śledziłem Hansa Mikkelsena, a on spotkał się na łodzi z Gustavem Niemannem. Później odbyłem z Niemannem długą rozmowę. Dlatego wiem o waszym planie. Wiem, że Niemannowi obiecano pół miliona za zmianę zeznań.

Zapadła długa, głęboka cisza. Steinar wydawał się zdezorientowany. Hans Olav lekko poczerwieniał na twarzy. Wreszcie otworzył usta.

– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, ale podkreślam: jeśli, to w takim razie Mikkelsen wymyślił to sam. Ja nie mam o tym pojęcia.

Pokręciłem głową.

– Niemann przekazał mi wszystkie szczegóły. Ktoś opracował jego zeznanie tak, by idealnie pasowało do pozostałych faktów. To nie jest dzieło Hansa Mikkelsena. Stoi za tym ktoś posiadający wiedzę z zakresu prawa karnego.

Na usta wrócił mu uśmiech, choć już nie tak szeroki.

– Możesz uważać, co chcesz, Mikael. Niewykluczone, że nawet masz rację, skąd mam to wiedzieć? W każdym razie to nie ja za tym stoję.

– Tamtego wieczoru na nabrzeżu widziałem jeszcze jeden samochód, oprócz aut Mikkelsena i Niemanna. Ciemny samochód

osobowy. Myślę, że w łodzi była wtedy trzecia osoba. Schowana w kajucie i słuchająca zeznania Niemanna. – Przerwałem. Bacznie przyglądałem się jego twarzy. – Niestety nie miałem czasu przyjrzeć się samochodowi ani spisać numeru rejestracyjnego.

– Szkoda.

Skinąłem głową.

– Owszem. Ale okazało się, że to nic takiego. Niemann dostał połowę kwoty jako zaliczkę, w postaci czeku z pokryciem na rachunku bankowym na Kajmanach.

– Powodzenia w tropieniu, do kogo należy ten rachunek, Mikael. Zaśmiałem się.

– Tak, wiem. To prawie niemożliwe. Ale nie jest też konieczne. – Wsadziłem rękę do kieszeni, skąd wydobyłem kartkę. – Ponieważ wiem, kto WPLACIŁ PIENIĄDZE na ten rachunek. Oto kopia noty księgowej z waszego konta dla klientów. Przelano z niego ćwierć miliona koron na ten sam rachunek, z którego kasę dostał Gustav Niemann. To ty wykonałeś przelew, Hansie Olavie.

– Użyłeś firmowego konta, żeby dać łapówkę świadkowi?! – Steinar w końcu pojął, co się dzieje. Jego głos przeszedł w falset. – Naszego konta dla klientów?! Głupszy już być nie mogłeś?!

– Chyba nie – powiedziałem. – Głupota często idzie w parze z chciwością. Przesłałem kopię tej noty policji i związkowi adwokatów, razem z wydrukiem zeznania Gustava Niemanna. Pewnie za dzień czy dwa się do ciebie odezwą.

Piękny skórzany fotel nagle okazał się zbyt duży dla Hansa Olava, który zapadł się w nim, skurczył się na moich oczach. Nagle wyglądał na tego, kim naprawdę był – rozpuszczonego, samolubnego chłopca. Odwróciłem się do Steinara.

– Chyba niedługo zostaniesz tu jedynym współnikiem.

Powodzenia w prowadzeniu firmy. Do zobaczenia.

– Usatysfakcjonowany? – zapytała Synne.

– Tak – odparłem. – Bardzo.

– Ale czy satysfakcja była tak duża, jak to sobie wyobrażałeś, siedząc w więzieniu i marząc o zemście?

– Nie. Może nie aż taka. Niewiele rzeczy w życiu dorównuje reklamie. Ale i tak było dobrze.

– Świetnie – powiedziała. – Żałuję, że mnie tam nie było. Zastanawia mnie tylko jedno... Gdyby Peter żył, czy zrobiłbyś to samo?

– Nie wiem. Ale Peter nie żyje.

Kilka dni później przyszedłem do kancelarii wcześniej, by zobaczyć, jak zrzędlawy, małomówny dzieciak przykręca mosiężny szyld z napisem „Firma adwokacka Bergstrøm & Brenne”. Zamówiłem go bez wiedzy Synne. Kiedy przyszła, pucowałem go właśnie kuchennym ręcznikiem.

– Mała plamka – wyjaśniłem. – A nasz wizerunek musi być nieskazitelny.

Uśmiechnęła się, ale nie z całego serca. Poszedłem za nią do biura, przyniosłem kawę i zapytałem, co się stało.

– Nic.

– Mogłaś tak mówić, gdy byłem nędznym, wyzyskiwanym popychadłem, ale nie teraz. Teraz jestem partnerem. Mów, co jest nie tak. Myślałem, że szyld cię ucieszy.

– Ucieszył mnie. Jak najbardziej.

– To o co chodzi?

– O nic związanego z tobą, Mikael. – Popatrzyła na mnie z irytacją, wypila łyk kawy i sparzyła język, a potem głośno i długo przeklinała.

Nie skomentowałem tego.

– Chodzi o Sveina – mruknęła po chwili.

– Czy ten palant z tobą zerwał?

– Nie, oświadczył się.

– I to ci się nie podoba?

– Nie. Tak. Nie w tym rzecz. Dostał nową pracę. Dobrą pracę, to dla niego spory awans, ale oznacza przeprowadzkę do Sztokholmu.

Poczułem lekki zawód.

– I...?

– I uznał za oczywiste, że z nim pojedę. Nawet mnie nie zapytał przed przyjęciem oferty, po prostu założył, że jego kariera jest ważniejsza od mojej.

– To przeprowadzasz się?

Posłała mi ostre spojrzenie.

– Na głowę upadłeś, Mikael? Może i ta firma jest mała, ale moja! To znaczy nasza. Ciężko pracowałam, by coś osiągnąć. Najpierw latami byłam twoją niewolnicą, później odkładałam każdy grosz i ledwo wiązałam koniec z końcem, żeby przeżyć, a teraz, kiedy wreszcie zaczynam dostrzegać rezultaty, mam się spakować i wyjechać do Sztokholmu z jakimś zarozumiałym... maklerem giełdowym?!

– Więc co zrobiłaś?

– Zerwałam z nim, to chyba jasne. A co myślałeś? Co za idiota!

I zaniósła się płaczem.

– Wyjedźmy na trochę – zaproponowałem, kiedy najgorsze minęło.

– Co? Dokąd? Nie stać nas.

– Pojedźmy na parę dni na północ. Wreszcie skończyłem wniosek o wznowienie sprawy Arona. Możemy tam pojechać i go

z nim przeanalizować. Będzie zadowolony, a w ten sposób możemy wliczyć wyjazd w koszty i go zaksięgować. Potem pokażę ci Vestøy. Przenocujemy w gospodzie. Pięknie tam jest. Wiem, że ci się spodoba.

Popatrzyła na mnie niepewnie zaczerwienionymi oczami i pociągnęła lekko nosem.

– No może, Mikael. Zasłużyliśmy na to, co nie? Oboje zasłużyliśmy na przerwę. To kiedy będzie najlepiej jechać?

– Rano. Prognoza pogody mówi, że wysokie ciśnienie ma się utrzymać przez kilka dni. To będzie świetny wypad.

ROZDZIAŁ 64

Morze połyskiwało i było gładkie jak lustro, kilwater ciągnął się za nami równym białym pasem. Wokół leżały wyspy, wysepki, pagórki i szkiery pokryte śniegiem; czarne krawędzie wystawały jedynie na samym dole, gdzie przyływ obmywał skały. Krajobraz lśnił w lodowatym świetle słońca.

Zadzwoiłem do Konrada Seglema, który wypłynął nam na spotkanie swoją wodną taksówką.

– Tam – powiedział do Synne, wskazując palcem. – Tam leży wyspa Fjelbergøy. Widzi pani dziwną formację górską pośrodku, przez którą wyspa przypomina kapelusz?

Synne skinęła głową i potwierdziła.

– Może pan przybić do kamiennego nabrzeża – zasugerowałem.
– Pewnie będzie dość płytko, ale...

– Już tu kiedyś byłem – przerwał mi Seglem, po czym zatrzymał łódź pięć centymetrów od krawędzi nabrzeża. Zrzuciłem bagaż na brzeg i zaraz sami tam zeskoczyliśmy.

– Dziękujemy za podwiezienie! – zawołała Synne.

– Rozumiem, że ktoś was odbierze?

– Tak – odparłem. – Za parę godzin odbierze nas Frank Lande.

Chwilę odprowadzaliśmy łódź wzrokiem, potem się odwróciliśmy. Nabrzeże było śliskie. Ziemię między kamieniami pokrywał cienki lód, który z cichym trzaskiem pękał pod naszymi stopami. Zauważyłem wtedy, że to nie śnieg rozbielił krajobraz. Opady nie docierały najwyraźniej tak daleko w głąb morza, ale musiało być tu wilgotno, zanim nagle przyszedł mróz, ponieważ wszystko pokrywała gruba warstwa szronu.

– Poinformowałeś ich, że przyjedziemy, prawda? – zapytała Synne.

– Tak, tak, wczoraj rozmawiałem z Aronem przez telefon. Wie o naszym przyjeździe. Tak samo było poprzednim razem. Też nikt nie wyszedł mi na spotkanie, ale widzisz przecież, że są tu ludzie.

Wskazałem dom, nad którym unosił się dym z komina. Budynki wydały mi się jednak dziwne, choć nie wiedziałem dokładnie dlaczego. Dopiero gdy podeszliśmy bliżej, zobaczyliśmy, że nie tylko pola pokrywa szron. Również zabudowania były białe, a na pół przezroczysta warstwa sprawiała, że gospodarstwo wyglądało jak wnętrze zamrażarki, czerwień budynków została dziwnie stłumiona. Wokół nas panowała zupełna cisza, tylko oszroniona trawa chrzęściła, gdy szliśmy. Nagle ciszę przerwało zaciekle ujadanie, a zza rogu wybiegł czarny owczarek. Zawirował na śliskiej nawierzchni, po czym odzyskał przyczepność i ruszył prosto w naszą stronę. Synne chwyciła mnie za ramię.

– Nie przepadam za psami – mruknęła z niepokojem.

Pies zatrzymał się pięć metrów od nas. Stał tak i szczekał, dopóki Aron nie wyszedł zza rogu domu.

– Uciekaj, Falk! – zawołał. – Uciekaj! Do nogi! Siad!

Pies ignorował komendy, ciągle tylko ujadał. Gdy jego pan się zbliżył, zaczął dziko skakać wkoło, aż wreszcie się poddał.

– Witajcie – powiedział Aron, po czym chwycił rękę Synne, a następnie moją. – Witajcie w gospodarstwie i przepraszam za psa, nie da się nad nim zapanować. Chodźmy do domu, ziąb tu przecież straszny.

Kominek w kącie salonu syczał i był tak gorący, że powietrze wokół niego drgało. Nie wiem, czy to przez nagłą różnicę temperatur, ale nagle poczułem kłujący ból głowy, który prędko przeszedł w tępe pulsowanie. Potarłem czoło. Synne to zauważyła i uniosła pytająco brwi.

– Ból głowy – wyjaśniłem.

– Kawy? – zaproponował Aron. Zgodziliśmy się, a on zniknął w kuchni. Rozglądałem się wokół, nieco zdziwiony. Kiedy poprzednio odwiedziłem Sørvików, dom był nienagannie czysty, bez śladu kurzu czy bałaganu, wszystko znajdowało się na swoim miejscu, lśniące i wymyte. Tego dnia jednak na stole leżały tygodniki, na parapecie stała brudna filiżanka po kawie, a w kącie dojrzałem chyba kłębki kurzu.

– Gdzie jest twoja mama, Aron?

Wystawił głowę z kuchni.

– Co? Moja mama? Poszła na spacer, jest taka piękna pogoda. Chciała wejść na Kapelusz.

– Kapelusz?

Wskazał kciukiem przez ramię.

– Na tę górę w tyle. Nie zauważył pan, że przypomina kapelusz?

– Zaśmiał się bez przyczyny, trochę nerwowo, i przypomniałem sobie, jak potrafi być szalony. – W takie dni jak dziś bardzo tam ładnie. – Znowu śmiech. – Może stamtąd spoglądać w samą wieczność.

Synne popatrzyła na mnie pytającym wzrokiem. Wzruszyłem ramionami.

– Jest dość specyficzna – powiedziałem cicho. – W dodatku niezbyt mnie lubi i nie podobało jej się to, że mam grzebać w tej sprawie. Założę się, że poszła na spacer, by mnie nie spotkać.

– Chyba musi się cieszyć, że jej syn został oczyszczony z zarzutów?

– Bóg jeden wie – odparłem. – Jeśli niedługo wróci, to będziesz mogła ją zapytać.

– Kawa gotowa – zaanonsował Aron. – Mam też domowe

ciastka.

Zapalił świece, napełnił filiżanki, radosny, pogodny i gadatliwy jak zwykle. Kawa była zbyt mocna, a ciastka stawały mi w gardle. Ból głowy się nasilił. Po chwili Synne wyjęła grubą, oprawioną teczkę z dokumentami.

– Proszę, Aron. Wniosek o wznowienie sprawy.

Aron wyciągnął rękę i dotknął papierów niemal z namaszczeniem.

– Myślicie, że dzięki temu zostanę zrehabilitowany?

– Mogę ci to właściwie zagwarantować. Zgodzisz się, Mikael?

– Owszem – odparłem, przyciskając dłonie do skroni. – Może przejrzyjcie razem wniosek. Tak strasznie boli mnie głowa, że muszę po prostu wyjść zaczerpnąć trochę powietrza. W porządku?

– Jasne – zapewnił Aron. – Usiądź tu na kanapie obok mnie, Synne, i pokaż mi, co zrobiłaś. – Jego oczy lśniły, miał wypieki na policzkach. Dwadzieścia pięć lat trwało, by wreszcie został oczyszczony z zarzutów.

Włożyłem puchową kurtkę i czapkę. Nadal panował taki sam ziąb. Słońce zniknęło za Kapeluszem, a cień góry spowił małe gospodarstwo. Świeże powietrze pomogło – ból głowy nieco zelżał. Zacząłem błąkać się po okolicy. Z każdym moim krokiem pod butami rozlegał się trzask. Znów przybiegł pies, ale tym razem nie szczekał, tylko tańczył wokół mnie, raz po raz popiskując. Po paru minutach dał za wygraną i zniknął za rogiem.

Szerokim łukiem obchodziłem budynki. Z moich ust wydobywała się biała chmura pary. Myślałem o pani Sørvik, o tym, że poszła w góry, zamiast nas ugościć. Przypomniałem sobie, jak bezlitośnie pewna była nieomyślności bożego prawa i winy syna, jak gdyby kwestie te stanowiły dwie odsłony tej samej sprawy. Nie

wierzyłem, że wróci przed naszym wyjazdem. Ale na zewnątrz panował chłód. Na pewno marzła.

Obszedłem gospodarstwo i wróciłem na podwórze. Czarny pies leżał przed najmniejszym budynkiem. Z obory po prawej dochodziło beczenie owiec. Otworzyłem drzwi i poczułem zapach owczego łajna oraz mokrej wełny. Zwierzęta stały ściśnięte, ogrzewając się nawzajem. Zauważyły mnie i zabeczały głośniejsze. Widać było ich niepokój, usłyszałem też szuranie racic o betonową podłogę. Wyszedłem.

Pies wstał na mój widok i zaczął piszczeć, drapiąc drzwi, przed którymi wcześniej leżał. Podeszedłem i otworzyłem je, myśląc, że zwierzę marznie i chce wejść do środka. Wbiegło przez szczelinę. Zerknąłem do pogrążonego w półmroku pomieszczenia. Pies stanął pośrodku i zaskomlał.

Zrobiłem krok w przód. Poczułem zapach.

Słodkawy, mdlący zapach.

Zwymiotowałem. Coś tu umarło. Pomyślałem, że pewnie owca, że nie da się zakopać padliny przy tej pogodzie. Ziemia była przemarznięta i twarda jak skała. Odwróciłem się do wyjścia – smród był obrzydliwy – ale zatrzymała mnie nowa myśl, która zasiała we mnie niepokój.

Nigdzie nie widziałem śladów stóp.

Obszedłem całe gospodarstwo, ale jedyne ślady prowadzące do niego lub z niego były nasze, Synne i moje – wyraźne odciski w białej, zmarzniętej trawie. Ani śladu pani Sørvik.

Stanąłem koło psa. Całą swoją uwagę skupiał na bezkształtnej masie w kącie. Rozejrzałem się i zobaczyłem grabie, które chwyciłem oburącz. Musiałem odetchnąć, znów zwymiotowałem, oczy zaszyły mi łzami, ale zmusiłem się, by to zignorować. Zbliżyłem

się do kąta, jakby leżała tam uzbrojona bomba, po czym grabiami odrzuciłem warstwy starego materiału izolacyjnego i papy. Odsłoniłem brudną szmatę. Nabiłem ją na stalowe zęby grabi i ostrożnie odsunąłem. Pochyliłem się.

Nie mogę powiedzieć, że ją rozpoznałem, bo miała zbyt zniszczoną twarz. Jedną część pokrywała krew, a druga była całkiem zmiażdżona. Oko wisiało na policzku. Skroń rozbita w drzazgi, głęboka rana, w której zauważyłem białe odłamki kości i coś szarego – chyba masę mózgową. Kącik ust rozerwano, aż ukazała się kość szczęki, żółte zęby jaśniały pośrodku czerwieni. Siwe włosy były przesiąknięte krwią. Chyba je rozpoznawałem. W każdym razie wiedziałem, że to ona, pani Sørvik. Nie mógł to być nikt inny. Wstałem i na pół się odwróciłem, zanim zrobiło mi się niedobrze. Po kilku krokach w stronę wyjścia znów zwymiotowałem.

Pies zaczął warczeć – głęboki, złowróżbny dźwięk.

Kiedy podniosłem wzrok, w drzwiach ujrzałem Arona.

– A więc znalazł ją pan. Widziałem przez okno, jak tu pan wchodził.

Zacząłem coś mówić, ale głos mnie zawiódł. Musiałem odchrząknąć i splunąć, zanim znów spróbowałem.

– Dlaczego? – zapytałem ochryple.

– Dlaczego? Nie chciała się przeprowadzić. Po tych wszystkich latach, najpierw w więzieniu, a potem tutaj, gdzie za towarzystwo miałem jedynie ją i owce, mogliśmy wreszcie wrócić do domu. Powiedziałem jej to, ale odmówiła. Pokazałem jej nawet list, w którym Synne napisała, że zostanę uniewinniony, ale znowu odmówiła. Powiedziała, że nigdy się stąd nie wyprowadzimy. Że muszę zostać z nią tutaj na zawsze.

– Dlaczego nie chciała, żebyś się przeprowadził?

Nie odpowiedział, lecz ja nagle zrozumiałem przyczynę. Nie mogło być innego powodu.

– Ona wiedziała, prawda? Wiedziała, że jesteś winny. Że zabiłeś Siri.

– Nie chciałem – odezwał się, tym razem innym tonem. – To była jej wina. Mieliśmy się całować, umówiliśmy się na spotkanie, ale nagle nie chciała nic więcej. Byłem strasznie zły... gdyby nie była tak trudna, to by się nigdy nie stało.

– Rozumiem – odparłem. – Ale i tak na pewno cię uniewinnimy, Aronie. W końcu odsiedziałeś już wyrok za zabójstwo, więc to właściwie nie ma znaczenia.

– Nikomu nie powiecie?

– Nie, no co ty. W końcu jesteś naszym klientem – przypomniałem. – Obowiązuje nas tajemnica na temat wszystkiego, co mówisz.

– A mama? O niej też nie powiecie?

– Nie. Poza tym potrzebujesz nas, żeby zostać oczyszczony z zarzutów. Bez naszej pomocy nigdy się stąd nie wyprowadzisz.

Zawahał się. W padającym z tyłu świetle nie widziałem dobrze jego twarzy, ale przelotnie dostrzegłem coś białego, więc pomyślałem, że się uśmiechnął.

– Kłamiesz! – warknął.

Nadal trzymałem grabie i spróbowałem je podnieść, ale była to zbyt nieporęczna broń, a Aron był młodszy, silniejszy i szybszy ode mnie. Dużo szybszy.

Nie wiem, czym mnie uderzył, ale trafił w bok twarzy z szokującą i przerażającą siłą. Zanim zdążyłem zareagować, zanim nawet padłem na ziemię, trafił mnie raz jeszcze, prawie w to samo

miejsce, i usłyszałem trzask. Dźwięk dobiegał jakby z wnętrza mojej głowy, co mnie wystraszyło, bo pamiętałem wygląd twarzy kobiety. Pomyślałem, że też tak skończę, że to będzie ohydne.

Leżałem na ziemi. Aron był pochylonym nade mną cieniem. Pies histerycznie ujadał. Aron wrzasnął na niego, lecz zwierzak tańczył wkoło tuż poza jego zasięgiem. Aron chciał go uderzyć, ale spudłował, a ja usłyszałem kłapnięcie szczęk psa. Aron zaklął. Po chwili zniknął. Zamiast jego sylwetki widziałem teraz wyjście – świecący biały prostokąt, otwór prowadzący z mroku w światło – i pomyślałem, że powinienem się tam dostać. Ale nie mogłem się ruszyć, a jaśniejące pole się zmniejszało, coraz bardziej się oddalało. W końcu było już tylko kropką, nieskończenie odległą kropką, aż wreszcie i ona zniknęła, jakby ktoś wyłączył telewizor.

ROZDZIAŁ 65

Gdy się zbudziłem, pies lizał moją twarz. Może to on mnie ocucił. Usiłowałem przypomnieć sobie jego imię – dopiero co je słyszałem – ale nie zdołałem. Później poczułem chłód, a po chwili ból. Część twarzy rytmicznie pulsowała, jak przy najgorszym bólu zęba. Jednocześnie drżałem i szczękałem zębami z przemarznięcia, a ich nieregularne stukanie wysyłało złowrogie, gorące fale, wędrujące od kości policzkowej do mózgu.

Spróbowałem usiąść, z powodzeniem. Później uklęknąć. To też mi się udało, ale pokonały mnie mdłości, więc opadłem na czworaki. Trwałem tak niczym ranne zwierzę, z pochyloną głową i otwartymi ustami. Krew kapiała z mojej głowy, mieszając się z wymiocinami na betonowej podłodze.

„Wstrząśnienie mózgu – pomyślałem. – To dlatego jest mi niedobrze. To tylko wstrząśnienie mózgu”.

Po chwili wstałem i podszedłem do drzwi. Ból nieco zelżał, podobnie jak mdłości, ale coś było nie tak z moim wzrokiem. Widziałem świat podwójnie, jak na źle naświetlonym zdjęciu, a kiedy tarłem oczy, jeszcze bardziej dolegała mi głowa.

Przede mną rozciągała się biała, nieskalana przestrzeń podwórza. Po drugiej stronie stał dom, w którym był Aron. Nie miałem ochoty tam iść. Nie miałem też ochoty wystąpić z cienia, w którym się kryłem, na białe światło, bo nic nie mogło mi tam zapewnić osłony. Nie chciałem, ale musiałem.

Tam była także Synne.

Nagle zaczęło mi się spieszyć, poczułem, że kończy się czas.

Zrobiłem głęboki wdech, po czym wyszedłem na podwórze. Jeśli Aron wyjrzałby w tym momencie, zobaczyłby mnie, ale ja nie patrzyłem na dom, nie przyglądałem się oknom, aby sprawdzić, czy

nie dostrzeże mnie zza rozświetlonych szyb. I nie biegłem. Szedłem tylko do celu z pochyloną głową, wpatrzony w ziemię, liczyłem każdy krok, aż minąłem róg domu i mogłem odetchnąć. Po chwili ruszyłem dalej, minąłem kolejny róg, a następnie pokonałem trzy stopnie prowadzące do wejścia. Tam się zawahałem i rozejrzałem wokół. Cień góry stał się ciemniejszy. Cały świat przykrywał szron, wszędzie panował spokój. Cała wyspa zamarzła, jakby czas i wszelki ruch stanęły w miejscu. Mocno pragnąłem, by tak właśnie było.

Drzwi okazały się uchylone. Ostrożnie je pchnąłem – poruszyły się bezgłośnie na zawiasach. Zrobiłem krok do środka, zaraz potem kolejny. Bez ostrzeżenia wrócił ból głowy, a po nim mdłości, więc musiałem oprzeć się o ścianę. Zamknąłem oczy i skoncentrowałem się na tym, by nie zwymiotować. Po paru sekundach najgorsze minęło. Wtedy doszły mnie głosy, jeden ciemny i jeden jasny – zrozumiałem, że oboje są w salonie i poczułem ulgę. Żadnych krzyków, jęków, dźwięków paniki czy walki. Kilka razy głęboko wciągnąłem powietrze. Nagle nie mogłem się ruszyć.

Bałem się tam wejść.

Bałem się Arona.

Bałem się, że znów mnie uderzy.

Na stoliku w korytarzu stał mosiężny świecznik z prawie wypaloną świeczką. Wyjąłem ją i zważyłem świecznik w dłoni. Poczułem jego ciężar. Wciąż słuchałem rozmowy dobiegającej zza cienkich drzwi.

– ...i dlatego myślę, nie, jestem pewna, że będzie dobrze – mówiła Synne. Lekkie drzenie w głosie? Może.

– Tak, już wspominałaś. – Teraz odezwał się Aron. – Dobrze sobie poradziłaś.

– Razem sobie poradziliśmy. Mikael i ja. To on wykonał większość pracy, ja tylko użyczyłam mu nazwiska. To jemu powinienęś dziękować.

– Ciebie lubię bardziej. Jesteś urocza.

– Dziękuję. – Zdecydowanie lekkie drzenie w głosie. Prawie niesłyszalne, ale dość wyraźne dla wyczulonego ucha. – Gdzie jest Mikael? Gdzie on się podziewa?

Znów mnie zemdliło.

– Niedługo przyjdzie. Masz chłopaka, Synne?

– Co? Chłopaka? Nie, ja... to znaczy tak, mam.

– Czy on widuje cię naga?

– Przestań już, Aron! – rozkazała Synne surowym tonem. Próbowwała odwołać się do swojego autorytetu, przejąć kontrolę nad rozmową, lecz drzenie głosu zdradzało ją i obnażało. – Chcę wyjść poszukać Mikaela.

– Nie ma sensu.

– Co?

– Mikaela boli głowa. Miał taki ból głowy, że musiał się na chwilę położyć. – Aron zaśmiał się głośno i szczerze; coś w tym śmiechu sprawiło, że się wzdrygnąłem. Mdłości stały mi w gardle.

– Jak to? Przesuń się, chcę wyjść i...

Huk zabrzmiał jak strzał z pistoletu.

– Nie. Zostaniesz tutaj.

Jęk, po czym znów głos Arona.

– Zdejmij sweter.

– Co... nie chcę...

Znowu huk. To nie strzał z pistoletu, ale trzask skóry o skórę. Pewnie dłoni uderzającej twarz. Wyjątkowo mocny i niespodziewany cios. Przypomniałem sobie, jaki Aron jest szybki

i silny. Pracownik fizyczny. Rolnik. Co zaskakujące, wcale na takiego nie wyglądał.

– Jeszcze bluzka. Rozepnij bluzkę.

– Aron... proszę, nie rób tego. To nie...

Trzask.

– Ja chcę tylko być twoim chłopakiem. Dlaczego jesteś taka trudna? Dlaczego wy zawsze jesteście takie trudne? Tak mnie to... tak mnie to wkurza! – Jego głos narastał, nakręcał się, frustracja wypływała na powierzchnię. Zły znak. Niebezpieczny.

Kolejny huk i cichy krzyk.

– Tak, Aron. Już nie bij. – Płakała. – Proszę, nie bij.

Mdłości. Straszliwe mdłości.

Zrobiłem głęboki wdech, otworzyłem drzwi i wszedłem.

Poruszałem się najszybciej, jak mogłem, ale nadal widziałem podwójnie i miałem problemy z utrzymaniem równowagi. Aron był zwrócony do mnie plecami, ale chyba usłyszałby mnie od razu, gdyby nie skupiał uwagi na Synne. Stała przed nim, nerwowo próbując odpiąć guzik bluzki. Jedną stronę twarzy miała czerwoną i spuchniętą, a po policzkach ciekły jej łzy. Uniosłem świecznik i z całej siły uderzyłem nim Arona w tył głowy.

Może mnie usłyszał, a może wyczytał coś z oczu Synne, kiedy mnie zauważyła. W każdym razie zareagował wystarczająco szybko. Nie poczułem zadowalającego oporu, który byłby wynikiem czystego ciosu. Świecznik ześlizgnął się po czaszce i trafił go w ramię. Mimo to zabołało go na tyle, że ryknął i upadł na kolana. Próbowałem zebrać siły do kolejnego ciosu, ale miałem wrażenie, jakbym ruszał się pod wodą. Szło mi za wolno. O wiele za wolno.

Staął na nogach, na długo zanim zdążyłem znów podnieść rękę. Zdołałem utrzymać pion, ale zatoczyłem się w tył pod jego

naporem. Chwycił mój nadgarstek i go wykręcił – teraz to ja krzyknąłem. Musiałem puścić świecznik. Mosiężny przedmiot wypadł z mojej otwartej dłoni na ziemię. Aron błyskawicznie go podniósł. Po chwili jedną ręką złapał mnie za poły kurtki. Świecznik unosił drugą.

– Bóg na ciebie patrzy, Aronie! – zawołałem. Nie wiem, jak na to wpadłem, ale nagle wyjątkowo jasno przypomniała mi się scena, kiedy Aron sięgnął po ostatnie ciastko i matka napomniała go ostro: „Bóg na ciebie patrzy!”.

Cios nie nastąpił. Aron zatrzymał się w pół ruchu. Zrobił dziwny unik, jakby bronił się przed atakiem z góry. Jego twarz wyrażała wściekłość i strach, ale wziął się w garść i znów podniósł rękę. Odruchowo zamknąłem oczy.

To dlatego nie widziałem uderzenia Synne. Ujrzałem jedynie, że butelka wódki trafia Arona w twarz, jakby pojawiła się znikąd i samodzielnie przeleciała przez pokój. Ale to Synne zadała cios, w który musiała włożyć wszystkie siły, bo następnie zobaczyłem chmurę szklanych odłamków w powietrzu i krew tryskającą Aronowi z oka. Puścił mnie i zatoczył się w tył, jedną ręką zasłaniając twarz. Drugą wymachiwał w powietrzu.

Stłuczona butelka była prawie pełna, a większa część zawartości wytrysnęła na Arona. Miał wódkę na dłoni i rękawie, cały sweter przemókł. Alkohol spryskał mu nawet włosy i twarz. Wymachując ręką, dotknął otwartego płomienia świeczki. Rozległ się cichy dźwięk, prawie jakby ktoś zrobił szybki, głęboki wdech, i jego dłoń zajęła się ogniem. Po chwili kolejny dźwięk, bardziej rozjuszony i głodny, jak ugryzienie, i Aron stał w płomieniach.

Wrzeszczał, biegając w kółko, z twarzą zasłoniętą dłońmi. Spomiędzy jego palców wydostawały się błękitne jęzory. Z hukiem

uderzył o ścianę, zatoczył się w tył – prosto w rozżarzony kominek. Znow zawył i padł na stół, który runął pod jego ciężarem. Nagle zapaliły się firanki i dywan. Aron raz jeszcze krzyknął, a w jego głosie brzmiał donioślejszy, bardziej zdesperowany ton, jakby trafił do otchłani piekielnej.

Porwałem Synne i pociągnąłem ją do drzwi. Miała dość trzeźwości umysłu, aby w przelocie chwycić swój płaszcz. Na podwórzu musiałem znow opaść na kolana i zwymiotować. Synne trzęsła się niepoohamowanie na mrozie, wkładając ubrania, a następnie pomogła mi wstać. Odwróciliśmy się. Ogień rozprzestrzenił się aż do przedpokoju. W drzwiach stała ściana wysokich, czerwonych jęzorów. Aron nie wybiegł za nami. Nadal był w środku. Jeżeli jeszcze krzyczał, zagłuszał go huk płomieni, które żywo trzaskały na zimnym powietrzu.

Powoli szliśmy przez zamrożone pola w stronę morza. Na plaży leżał pień, biały jak kość i śliski, jak to bywa z wyrzuconym na brzeg drewnem. Usiedliśmy tam. Na dobre zaczął zapadać zmrok. Cienie stały się błękitne i długie, niebo wydawało się nieskończenie ciemne, a na południu migotały pierwsze gwiazdy. Dość długo siedzieliśmy bez słowa, objęci, aż wreszcie opowiedziałem, jak znalazłem panią Sørvik. Później też o Siri.

– Nie rozumiem – zdziwiła się Synne. – To Aron zabił Siri? Ale przecież Salomonsen się przyznał!

– Salomonsen zabił Anne. Nie Siri. Szczegółowo opisał zabójstwo Anne, lecz nawet nie wspomniał o Siri, dopóki nie zapytałem go wprost.

– Ale wtedy i do tego się przecież przyznał – powtórzyła. – Po co miałby to robić, skoro...

– Przypomnij sobie kontekst. Tuż przed tym, jak się przyznał,

powiedziałem, że nigdy nie zdoła wynagrodzić Aronowi tego, że musiał odsiedzieć wyrok za zabójstwo, którego nie popełnił. Salomonsen stwierdził jednak, że mu się to uda, a następnie przyznał się też do zabicia Siri. Nie rozumiałem tej odpowiedzi, ale teraz rozumiem. Salomonsen wiedział, że Aron zabił Siri. Możliwe, że Aron sam mu się z tego wypowiadał albo wydobyla to z niego matka i przekazała pastorowi. W każdym razie Salomonsen przyznał się nie tylko do zabójstwa, które sam popełnił, lecz także do tego, którego dopuścił się Aron. W ten sposób rachunki się wyrównały.

– Tak – westchnęła Synne. – Pewnie tak było. Ale pani Sørvik... musiała wiedzieć. Musiała wiedzieć, że syn jest mordercą, musiała też wiedzieć, że nie jest bezpieczny. Że mógłby zabić ponownie, gdyby nadarzyła mu się okazja. To dlatego chciała tu z nim mieszkać. Żeby chronić przed nim innych.

– I żeby chronić go przed samym sobą – dodałem. – Mimo wszystko musiała bardzo go kochać. Sądziłem, że jest zwykłą fanatyczką religijną, i dlatego jej nie posłuchałem. A powinienem był.

– Myślałam... – szepnęła Synne. – Myślałam, że on... Tak się bałam, Mikael.

– Wiem. Ja też się bałem. Tak bardzo, że już sądziłem, że nie uda mi się wejść do tego pokoju.

Popatrzyła na mnie.

– Boże drogi, jak ty wyglądasz, Mikael... Jak się czujesz?

– Już tak nie krwawię, ale chyba mam tam coś zmiążdżonego. – Zbliżyłem rękę do kości policzkowej, ale roztropnie jej nie dotknąłem. – Już mnie tak nie boli. Może to przez ten ziąb.

Siedzieliśmy w milczeniu obok siebie, pełni wspomnień, lęku

i bólu. Wreszcie dostrzegłem na morzu czerwone i zielone światełko, po czym z gęstniejącego mroku wyłonił się zarys żaglówki.

– Cóż za ironia – powiedziała nagle Synne. – Ulv Garmann i Gunnar Skeie mimo wszystko mieli rację.

– Nie. Nie mieli racji. Nie mieli prawa zrobić tego, co zrobili.

– Nie to miałam na myśli.

– Wiem, że nie to miałaś na myśli, ale i tak się mylisz. Prawo karne w gruncie rzeczy nie zajmuje się kwestią winy czy niewinności. Nie może. Te sprawy zostawmy Bogu. Tutaj liczą się wyłącznie dowody. Albo dowodów starczy, by kogoś skazać, albo nie.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Kiedyś powiedziałem Ulwowi Garmannowi, że wszyscy bierzemy udział w grze. Czasami wygrywamy, a czasem przegrywamy, ale jedyne, co się liczy, to to, żeby grać według zasad. Nie oszukiwać. Tylko tyle, Synne.

– Może.

Od siedzenia bez ruchu zrobiło się nam zimno, więc wyszliśmy na nabrzeże, aby tam poczekać na Franka. Za nami usłyszałem dźwięk szybkich łap i odwróciłem się. Wreszcie przypomniałem sobie imię psa i uznałem, że to dobry znak.

– Do nogi, Falk! – zawołałem. – Do nogi. Lepiej będzie, jeśli zostaniesz z nami. Nic już tutaj po tobie.

Poczułem zimny pysek, a później ciepły, żywy oddech na dłoni.

EPILOG

Na dźwięk dzwonka do drzwi ogarnął ją czysty lęk. Działo się tak za każdym razem, kiedy ktoś dzwonił. Nawet gdy spodziewała się gości i miała czas, by przygotować się na ów dźwięk, nie potrafiła powstrzymać panicznej reakcji ciała.

– Weź się w garść, Gerd – wymamrotała do siebie. – Daj spokój tym głupotom.

Ale wiedziała, że nie będzie to łatwe. Nie chodziło o to, by wziąć się w garść, wykazać się rozsądkiem i racjonalnie myśleć. Napad coś w niej zniszczył, a ona nie miała pojęcia, jak naprawić ten uraz.

Łańcuch bezpieczeństwa był nowy, dużo mocniejszy niż zwykle. Specjalista z firmy konsultingowej zapewniał, że wytrzyma nawet najbardziej agresywne próby przedostania się do środka. Wizjer w drzwiach też był nowy i chociaż soczewka zniekształcała twarz na zewnątrz, Gerd rozpoznała ją od razu. To adwokat. Ten, który zdaniem policji zlecił napaść na nią. Musiała na chwilę znów oprzeć się o drzwi. Kolejny atak lęku odebrał jej siły i wprawił w drżenie, ale zagryzła wargi. Przecież go uniewinniono! W gazetach pisali, że jest niewinny. Prawdę mówiąc, nigdy nie dowiedziała się dokładnie, co się stało ani dlaczego. Starczyła jej świadomość, że winny nie żyje i nigdy już nie będzie jej męczył.

– Weź się w garść, Gerd – powtórzyła raz jeszcze. Uchyliła drzwi i wyjrzała zza łańcucha bezpieczeństwa.

– Gerd Garshol? – odezwał się mężczyzna. – Dzień dobry. Nazywam się Mikael Brenne. Może pamięta mnie pani z rozprawy.

– Czego pan chce? – zapytała, ale od razu poczuła wyrzuty sumienia. Surowy, niechętny ton tak naprawdę do niej nie pasował. To z nerwów tak się zachowywała.

– Przepraszam, jeśli przeszkadzam... Czy mogę wejść? – Gdy nie

odpowiedziała od razu, ciągnął: – Nie ma się pani czego obawiać. Chyba słyszała pani, że nie miałem nic wspólnego z napadem na panią?

Stał tam tylko i czekał. W ręku trzymał reklamówkę. Miał brązowe, nieco smutne oczy, i nagle zrobiło jej się go żal. W ogóle nie wyglądał groźnie, a jedynie niepewnie i nieswojo. Zamknęła drzwi, zdjęła łańcuch i otworzyła je na oścież.

– Proszę wejść – powiedziała.

Wyjęła najładniejszą porcelanę. Siedział na kanapie, ostrożnie dmuchając na gorącą kawę, po czym wypił pierwszy łyk.

– Oj, gorąca! – wykrzyknął. – Lepiej trochę odczekać. Tymczasem spróbuję ciastek.

Wybrał jedno, uśmiechnął się do niej i włożył je do ust. Przyglądała mu się. Mężczyzna około czterdziestu pięciu lat, może bliżej pięćdziesiątki. Kręcone włosy były kiedyś ciemne, lecz teraz miały przeważająco siwy kolor. „W zasadzie nie jest przystojny” – pomyślała. Za duży, orli nos, zbyt głęboko osadzone oczy, a twarz wychudzona, o zapadniętych policzkach i z głębokimi zmarszczkami wokół ust. Ale była to twarz z charakterem, a gdy się uśmiechał, dostrzegała w nim odrobinę chłopięcego wdzięku, który część kobiet pewnie uznałaby za atrakcyjny. I miał też piękne dłonie o długich, wrażliwych palcach. Tylko był za chudy. O wiele za chudy.

– Smaczne – pochwalił i wytarł usta serwetką. – Przyniosłem coś pani.

Wyjął z reklamówki małą paczuszkę, którą jej wręczył. Rozpakowała ją. Ku swojemu zdumieniu ujrzała małego, jasnorudego, porcelanowego kotka.

– Drezdeńska porcelana – poinformował. – Z tego, co słyszałem,

zbiera je pani.

Bez ostrzeżenia w oczach stanęły jej łzy.

– O co chodzi? – zapytał. – Myślałem, że doceni pani...

– Przepraszam. – Pociągnęła nosem. – To tylko moja głupota.

Bardzo dziękuję, jest uroczy. Nie musiał pan...

– Może pani dostać albo kupić więcej kotków. Stworzyć nową kolekcję. Zacząć od nowa.

– Może.

Zawahał się chwilę, po czym rzekł:

– Przyszedłem tu dzisiaj, aby upewnić się, że pani rozumie.

Popatrzyła na niego trochę zbita z tropu.

– Co pan ma na myśli?

– Napaść na panią. Chciałem zyskać pewność, że rozumie pani, że to był przypadek. Który nie miał żadnego związku z panią. Była pani przypadkową ofiarą, tak samo jak ja. Zostaliśmy wciągnięci w wir. Rozumie to pani, prawda?

Ostrożnie skinęła głową.

– Chyba tak.

– Po prostu znaleźliśmy się w nieodpowiednim miejscu i czasie. I nie miało to też żadnego związku z Gustavem Niemannem. Nikt nie próbował go uciszyć, tak miało to tylko wyglądać. – Jego łagodne i smutne oczy rozпалиł żar. Pochylił się do niej przez stół. – Związek z Gustavem nie jest dla pani groźny, Gerd. Nie wiąże się z żadnym ryzykiem. Rozumiem pani obawy po tym, co się stało, ale może pani z nim być. Jeżeli tylko pani chce.

– Tak pan myśli?

– Tak. Jestem tego w zupełności pewien.

Pokręciła głową.

– To przestępca.

– Był nim, ale nie sądzę, że Gustav Niemann to zły człowiek. Jest tylko słaby. Myślę też... myślę też, że razem bylibyście silniejsi.

– Może on nie chce...

– Rozmawiałem z nim i wiem, że za panią tęskni. Potrzebuje kogoś, kto będzie się o niego troszczył. – Uśmiechnął się lekko. – Jak każdy.

Nagle ogarnęło ją rozczulenie. Potrzebował jej. Gustav jej potrzebował.

Mikael Brenne wstał. Odprowadziła go do drzwi, raz jeszcze podziękowała za prezent, lecz słowa cały czas wirowały jej w głowie. Może jednak nie jest za późno. Może Gustav i ona mimo wszystko mają przed sobą przyszłość.

Zaczął padać deszcz, lekki, lecz smutny kapuśniaczek. Brenne postawił kołnierz i wsadził ręce w kieszenie płaszcza. Nagle, w mdłym świetle, wydał jej się zmęczony, starszy i bardziej siwy.

– Żegnam i powodzenia – powiedział. – Cokolwiek pani zrobi, mam nadzieję, że będzie pani szczęśliwa.

Patrzyła za nim, gdy szedł ścieżką przez ogród. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy jest szczęśliwy, czy ma kogoś, kto się o niego troszczy, lecz odrzuciła tę myśl tak prędko, jak się pojawiła. Wzięty adwokat, mężczyzna w kwiecie wieku. Jasne, że ma kogoś takiego. Szybko wróciła do środka. Zadzwoić do Gustava.

POSŁOWIE

Piosenka *Dead Flowers* pochodzi z albumu *Sticky Fingers* zespołu The Rolling Stones z roku 1971. Wersję Townesa Van Zandta można usłyszeć na płycie *Roadsongs* z roku 1993, a także na końcu znakomitego filmu *Big Lebowski* braci Cohenów.

W niniejszej książce Frank Lande utrzymuje, że to Van Zandt napisał *Dead Flowers*. Podobnie jak twierdzenie, że *Wild Horses* to tak naprawdę kompozycja Grama Parsona, jest to jeden z mało znanych, lecz głęboko zakorzenionych mitów żyjących swoim życiem w sieci. Niewiele wskazuje jednak na to, że to nie Mick Jagger i Keith Richards są autorami obydwu piosenek.

Bergen, 8 czerwca 2010 r.

Chris Tvedt

Krąg śmierci

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Zajrzyj na strony

W serii

Dedykacja

PROLOG

Część I

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

Część II

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20
ROZDZIAŁ 21
ROZDZIAŁ 22
ROZDZIAŁ 23
ROZDZIAŁ 24
ROZDZIAŁ 25
ROZDZIAŁ 26
ROZDZIAŁ 27
ROZDZIAŁ 28
ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30
ROZDZIAŁ 31
ROZDZIAŁ 32
ROZDZIAŁ 33
ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35
ROZDZIAŁ 36
ROZDZIAŁ 37
ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39
ROZDZIAŁ 40
ROZDZIAŁ 41
ROZDZIAŁ 42
ROZDZIAŁ 43
ROZDZIAŁ 44
ROZDZIAŁ 45
ROZDZIAŁ 46
ROZDZIAŁ 47

Część III

ROZDZIAŁ 48

ROZDZIAŁ 49

ROZDZIAŁ 50

ROZDZIAŁ 51

ROZDZIAŁ 52

ROZDZIAŁ 53

ROZDZIAŁ 54

ROZDZIAŁ 55

ROZDZIAŁ 56

ROZDZIAŁ 57

ROZDZIAŁ 58

ROZDZIAŁ 59

ROZDZIAŁ 60

ROZDZIAŁ 61

ROZDZIAŁ 62

ROZDZIAŁ 63

ROZDZIAŁ 64

ROZDZIAŁ 65

EPILOG

POSŁOWIE

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału norweskiego *Dødens sirkel*

Copyright © CAPPELEN DAMM AS, 2010

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”,
Warszawa 2014

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Zdjęcie na okładce: © dautrich/stock.xchng, © soulbeauty/stock.xchng,
© tipotopi/stock.xchng, © eschu1952/stock.xchng, © bjarwicke/stock.xchng,
© xesko82/stock.xchng

Zdjęcie autora:

© Fredrik Arff

Wydano z pomocą finansową NORLA.

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*

Opieka redakcyjna *Magdalena Korobkiewicz*

Korekta *Baharat Joanna Morawska, Katarzyna Sobiepanek-Szczęsna, Malwina
Łozińska*

Redakcja techniczna *Agnieszka Matulka*

Korekta pliku po konwersji *Irmina Garlej*

ISBN 978-83-10-12662-7

Plik wyprodukowany na podstawie *Krąg śmierci*, Warszawa 2014



www.wnk.com.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28

e-mail: wnk@wnk.com.pl



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl